

Dominika Bel

CO GO

PRZERAZIŁO?



Dominika Bel

Co go przeraziło?

Rozdział 1

- Boże, co ja naprawdę miałam zrobić? - Marta rozpaczliwie trzymała się dłonią za czoło, jakby pogubione myśli mogły wylecieć na płytę kuchni.

Oczywiście, już wie. Zaparzyć herbatę. Czemu od razu na to nie wpadła? Wprawdzie trochę późno, ale bez niej rozsypie jej się całkiem kojarzenie. Zagotować wodę. Najlepiej by było założyć gwizdek, ale go nie ma. Przecież przed chwilą go widziała. Właściwie wcale nie widziała, tylko trzymała w ręce. Jasne, szła z nim odebrać telefon, pomyłkowy na szczęście, bo z nikim nie zamierzała rozmawiać. Pudełko herbaty jest na miejscu, pełne, ale bezprawnie, ponieważ Marta była święcie przekonana, że zapomniała ją kupić.

Gdy wypije kilka łyków zbawczego, ciemnego płynu, będzie mogła skupić się na pakowaniu.

Cały dzień funkcjonowała w pośpiechu, jak w transie, nawet nie pomyślała o nieszczęsnym wyjeździe. We wrześniu do pensjonatu na Mazurach. Coś okropnego. O tej porze jeździ się w góry, ale co za różnica, gdzie się jeździ, skoro ona i tak siedzi w Warszawie, bo stale zapomina o zorganizowaniu sobie czegoś. Wciąż są sprawy ciekawsze niż wakacje.

Teraz wypchnięto ją prawie na siłę. Ktoś zrezygnował z wyjazdu, a ona przecież nie może tyle pracować. Akcja kolegów zbiegła się z oddaniem przez nią artykułu, który wyjątkowo dużo ją kosztował. To chyba najlepsza rzecz, jaką do tej pory napisała, z habilitacją włącznie. Może też trochę przesadziła z tempem pracy, najwyraźniej ostatnie dni wypłukały ją ze wszystkiego. Nawet mimo zmęczenia nie mogła spać, śniły jej się wzory. Rano ma wrażenie, jakby w ogóle nie zmrużyła oka.

Mówią, że być profesorem fizyki w wieku trzydziestu siedmiu lat to dobry wynik, więc można by trochę zwolnić. Dobrze, przez dwa tygodnie zwolni. Nie będzie miała wyjścia.

Podobno nie wygląda ani na profesora, ani na fizyka. No to na kogo? Od dawna jej to nie interesowało. Wystarczały informacje od otoczenia, że jest atrakcyjna.

O mało nie wylewając na siebie resztek herbaty, niechętnie powlokła się do lustra. Oczywiście, należało się czegoś takiego spodziewać. Beznadziejna grzywka i jeszcze gorszy koński ogon. Prosto z lamusa. Nożyczki! Na szczęście były pod ręką. Cztery

drastyczne cięcia tuż nad ramionami i od razu lepiej. Grzywki raczej się nie obcina, trzeba ją przypiąć. Już, nie widać jej. Dołem wyrównać. Wprawdzie po kilku poprawkach fryzura skróciła się znacząco, ale to bardzo dobrze. Teraz można sprawdzić, co się dzieje w lustrze.

Puszyste, brązowe włosy otaczały łagodny owal twarzy o idealnym zarysie. Duże zielonkawe oczy, nieco kontrastujące z raczej ciemną karnacją, świadczyły o anielskim charakterze ich właścicielki. I mogła być to nawet prawda, jeśli dawano jej święty spokój i pozwalano robić, co chciała. W przeciwnym wypadku jej usta zmieniały swój wyraz słodczy na złowieszczą zaciętość, a oczy stawały się niebezpiecznie zimne.

W tej chwili jednak widać było przede wszystkim zmęczenie i zniechęcenie. Czeka ją nuda, a cały wyjazd z pewnością będzie mało przyjemny. Dwa tygodnie w męczącym, beznadziejnym otoczeniu. Jedynym wyjściem będzie zamknąć oczy i zatkać uszy, oddychać świeżym powietrzem. W razie problemów oczywiście uśmiech.

Marta kontrolnie zaprezentowała swój uśmiech do lustra. I to wcale nie było jaki. Uroczy, serdeczny, działający niezawodnie. Stosowała go, gdy nie było innego wyjścia.

Teraz zniknął. Nie było na niego zapotrzebowania. Zamiast tego powinna pomyśleć o tej jednej rzeczy, jaką musi sama ze sobą załatwić, ale ciągle nie może znaleźć w sobie dość siły. Jutro w autobusie nie będzie miała co robić, więc się zastanowi, przeanalizuje wszystko jeszcze raz.

Teraz koszmar pakowania. Na szczęście tu nie ma nad czym myśleć. Sweter i dżinsy z drelichowymi na zmianę. Nie zapomni wyrazu wstrętu na twarzy mamy, gdy przyjechała do niej po raz kolejny w tych samych spodniach.

- Ty już kobietą nie jesteś! A nie tak cię wychowałam.

Dobrze, dołoży do torby golf i kamizelkę, które mama dla niej zrobiła na drutach, jak zwykle po mistrzowsku. Kilka niezbędnych drobiazgów, bielizna i koniec sprawy. Jak dobrze, że nie ma problemu z kosmetykami, bo ich nie używa. A swoją drogą najlepiej zastąpiłby je zdrowy sen, tylko nie wiadomo, czy ma szansę na taki luksus.

Słusznie wątpiła. Spała płytko i nierówno. Prześladowały ją rozkłady prawdopodobieństwa. Trochę tego za wiele. Najwyższy czas uwolnić się od wykresów przeanalizowanych i tak o kilka razy za

dużo. Na przemian z nimi dręczył ją nad ranem jakiś ponury czarny las i jeszcze groźniejsza gęsta woda. Niezła perspektywa. Jeśli ma tam wytrzymać, rzeczywistość musi wyglądać znacznie lepiej. W przeciwnym wypadku na drugi dzień będzie z powrotem.

Wstała wcześniej i zmęczona. Czowała dwie rzeczy. Ból głowy i ból gardła. Nie, to nie przeziębienie, które zresztą często ją dopada. Wiedziała, że organizm w ten sposób protestuje przeciwko czekającej ją podróży.

W autobusie nie było lepiej. Wprawdzie na szczęście nikt obok niej nie siedział, ale i tak jakoś nie mogła się skupić. Nie mogła się też odprężyć. Nie dawała jej spokoju świadomość, że ciągle nie umie odpowiedzieć sobie na dręczące ją pytania. Jak postąpić? Czy puścić wszystko w niepamięć? Ale czy wolno jej zapomnieć, udawać, że nic się nie stało? Czy lepiej wziąć skromny odwet? Naprawdę bardzo skromny!

Nie, tej decyzji teraz z siebie nie wydobędzie. Nie wie już, co czuje, prócz oczywiście żalu i złości. Może po powrocie, wypoczęta, zrozumie, jakie rozwiązanie będzie najlepsze, a raczej najmniej fatalne.

Przymknęła oczy. Nie, lepiej spojrzeć za okno, bo może się jej przyśnić powtórka z artykułu. Beznadziejna jesienna szarość poranka znakomicie współgrała z nastrojem Marty. Szkoda, że kiedyś trzeba będzie wysiąść w tym jakimś Pomyślewie, którego już szczerze nie lubi.

Do tego czasu należałoby może przynajmniej spróbować zmobilizować się, przestawić na inny tryb funkcjonowania, po prostu zmusić się do odpoczynku. Ale jak? Nagle być kimś innym? To się nie uda.

W rzeczonym Pomyślewie mały, smętny rynek wyglądał jeszcze bardziej ponuro z powodu zimnego, drobnego deszczyku, który nie omieszkał powitać Marty.

Wysiadła z autobusu jako jedyna, naciągnęła kaptur i uroczyście kładąc skromny bagaż na ławce, zadała sobie pytanie, jak długo powinna czekać na pojawienie się obiecanego kogoś i co zrobić po upływie tego czasu.

Nie zwróciła uwagi na rozklekotany łazik i młodego człowieka w zielonym mundurze leśnika.

- Pani profesor Rodlińska z Warszawy? Zgadłem? - ukłonił się i nie czekając na odpowiedź, chwycił torbę Marty. - Jestem zaprzyjaźniony z panią gospodynią i często przywożę jej gości. Mam nadzieję, że nie ma pani nic przeciwko mojemu pojazdowi. W środku jest całkiem wygodnie... - Zamaszyście otworzył trochę zardzewiałe drzwi. - Pewnie się pani zdziwiła, że wszystko tak sprawnie poszło. My tu, na prowincji, musimy być zorganizowani i inteligentni, żeby dawać sobie radę.

Marta, pełna podziwu dla zdolności mieszkańców tych okolic, chciała zapytać, jak długo potrwa droga, ale potok wymowy jej towarzysza był zbyt wartki, żeby go zatrzymać. W łaziku robiło się coraz chłodniej. Obciągnęła swój ukochany brązowy sweter, zapięła kurtkę, żałując, że nie ma ze sobą rękawiczek. Po chwili zdecydowała się znowu nasunąć kaptur. Wrażliwość na zimno była tym, czego się zawsze wstydziała. Nie mogła znieść kobiet, które mówią: „Ja to taki zmarzluch jestem”, kokieteryjnie osłaniały dekolt cienkim szaliczkiem, podczas gdy ona zdążyła już włożyć dwa swetry.

- Naprawdę wyjątkowy wrzesień. - Leśniczy grzecznie zasunął szybę. - U nas nigdy nie bywa zimno o tej porze. Ale na miejscu zaraz napije się pani gorącej herbaty. Gospodyni dba o gości jak nikt inny. Nawet teraz, gdy jest cała w nerwach.

Marta nie była przekonana, czy obchodzą ją nerwy właścicielki pensjonatu. Może raczej powinna pomyśleć o własnych? Swoją drogą, nie sądziła, że leśniczy może aż tyle mówić. Wypadałoby na takim odludziu być raczej milczącym i zamkniętym w sobie.

- Tak naprawdę to jeszcze nic się nie zdarzyło - podkreślił słowo „jeszcze”. - No, może z wyjątkiem sprawy z psem. Same, wie pani, takie niepewne historie. Najpierw ja, proszę sobie wyobrazić, dostaję informację z policji, że ma tu przyjechać „Król Węgory”. To szef bandy kłusującej nocami na węgory. Oczywiście przybywa całkowicie incognito. Z nimi nie ma żartów, mój poprzednik za dużo zobaczył, to mu stalową linę przeciągnęli przez drogę, jak na motorze lasem jechał, i koniec. - Wykonał wyrazisty ruch ręką koło szyi. Marta wzdrygnęła się, nie wiedząc, czy tylko z zimna. - To właściwie nie moja działka, ale muszę delikatnie sprawdzić wszystkich przyjeżdżających mężczyzn. A tu akurat goście prawie sami nowi, bo i pogoda ludzi wystraszyła, i kleszcze. Tylko pani Nina i pan Krzyś to starzy znajomi. Bardzo mili i kulturalni ludzie. Bo tutaj dosłownie nie

ma z kim porozmawiać. Ach - samochód gwałtownie podskoczył na wybojach - nawet jeździć się czasem nie da.

- Myślałam, że w tym zawodzie rozmawia się z drzewami i leśnymi zwierzętami.

- A, oczywiście. Z tym że mój ojciec był artystą. Ludowym, ale bardzo dobrym. Sprzedawał figurki do sklepu. Chciał, żebym ja też się kształcił w tym kierunku. Żebym pracował w kulturze. Nie wyszło. Poszedłem na leśnika, no i jestem tutaj. Dobrze, że chociaż jest ten telewizor, okno na świat. Seriale, eleganccy ludzie, można na chwilę się odprężyć. Miło pomyśleć, że za parę lat wejdziemy do Unii, będzie więcej możliwości. O, znowu mżawka. - Ze złością wskazał na mokrą szybę. - A co do tych nerwów gospodyni, to osobna sprawa. Takie stare rodzinne historie powychodziły. I tak się pani za chwilę dowie. Nie ma się czym przejmować. Dla mnie teraz najważniejsze uważać na Króla Węgorzy. Konkurencyjna banda spaliła chałupę, gdzie spotykali się jego ludzie, i on teraz przyjeżdża na odmianę z nimi zrobić porządek.

Marta zaczęła się pocieszać, że ten człowiek mógłby na przykład rozprawiać o swoich dzieciach, psach, pieniądzach. Temat królewsko - rybny jest na pewno lepszy.

Leśniczy przestał mówić, rzucając na nią zaciekawione spojrzenie. Spod zielonkawego kaptura widać było tylko jej profil. Profil przyciągający uwagę. Klasyczny, delikatny.

- Pani tak sama? Nie nudno?

Tego nie lubiła, choć z pewnością w pytaniu nie było złej woli.

- Ależ nie. Ten Węgorz, o którym pan mówił, przyjeżdża do mnie za dwa dni. Umówiliśmy się tutaj. - Zdanie, choć podyktowane irytacją, ozdobione zostało uśmiechem tak słodkim, że młody człowiek musiał uznać się za wręcz zaszczyconego.

- Ha, ha, naprawdę świetne - śmiał się dalej, podczas gdy Marta usiłowała ukryć ogarniające ją znużenie. Ładna atrakcja na początek. Straszenie bandytami niczym w telewizji. Wolałaby usłyszeć, że będzie węgorz na patelni, niż rewelacje, że ktoś na nie kłusuje.

Rozdział 2

Gdy samochód dotarł do celu, niechętnie wyjrzała przez częściowo zaparowaną szybę. Dom prezentował się rzeczywiście okazale i sympatycznie, otoczony dość rozległym podwórzem ograniczonym lasem. Z tyłu czaiły się jakieś zabudowania gospodarcze.

Zeskakując ze stopni łazika, poczuła naprawdę, że jest sztywna z zimna, niewyspania i chyba jeszcze ogólnej niechęci do życia. Dlatego też niezbyt pewnie postępowwała za leśniczym, który wymachując jej torbą, sadył susy przez kałuże. O zgrozo, omal nie potknęła się na schodkach. Siedzący pod ledwie chroniącym przed mżawką daszkiem człowiek z miną, jakby grzał się na słońcu, obdarzył ją pogodnym, choć oceniającym spojrzeniem. Leśniczy potraktował go nieco mniej entuzjastycznie.

- Radziłbym raczej odespać w łóżku. Tu jest trochę zimno - rzucił pouczającym tonem.

- Oglądam sobie widoki. - Nieznajomy oparł opalone dłonie na wytartych, ale zaskakująco czystych dżinsach, nie odwracając nawet głowy w stronę rozmówcy.

Marta z wysokości ganku zarejestrowała grubo, owczy sweter i bardzo podobne do niego krótkie, kręcone, jasne włosy.

„Czysta żywa wełna. Woolmark. Baran” - wyładowała w myślach narastającą agresję. Nie pomogło to jednak ani trochę na ból głowy. Stanowczo trzeba było raczej pojechać w góry.

- Ogląda sobie widok - zamruczał z niezadowoleniem leśniczy, gdy weszli do sieni. - Przyjeżdża o piątej rano, czyli jedzie nocą z Warszawy po to pewnie, żeby na tutejszy wschód słońca zdążyć. I jeszcze nie jest zmęczony, a zamiast się ogrzać, siedzi sobie po prostu na zimnie. Potem przechoruje cały urlop. Ale pani to naprawdę chłodno. - Gdy weszli do środka, zawołał: - Pani gospodyni! Przywiozłem panią profesor Rodlińską. Zmarzniętą, ale całą, mimo jazdy moim łazikiem.

Gospodyni, niewysoka, trochę zbyt pulchna, o starannie ułożonych włosach koloru mahoni, zamknęła właśnie drzwi kredensu i przesłała Marcie serdeczny uśmiech.

- Tak się cieszę, że pani do nas dojechała. Antoniowa zaraz zrobi herbaty, a może kawy? - Marta przecząco pokręciła głową. Jej uwagę przykuły drobne cekiny zdobiące puszysty, zielony sweterek

rozmówcy. Pomyślała, że musi być zabawnie tak świecić samą sobą. - Pani pewnie bardzo wczesnie wstała, u nas pani odpocznie - mówiła gospodyni szybko, uśmiechając się całkiem naturalnie, tylko jej krótkie palce nerwowo mięły brzeg idealnie wyprasowanego maleńkiego fartuszka. - Mam nadzieję, że się pani u nas spodoba. Antoniowa zaprowadzi na górę.

Zanim wysoka, chuda, uczesana w ciemny kok kobieta zdążyła wypełnić polecenie chlebobawczyni, bagaż Marty został już pochwycony

- Który pokój? Narożny? Ja panią zaprowadzę.

- Młody człowiek, niewiele wyższy od Marty i ozdobiony okularami w efektownej oprawce, trochę dziecinnie pociągnął ją za rękaw.

- Panie Krzysiu, pan zawsze taki miły - zachwyciła się gospodyni.

- Liczę się już przecież prawie za domownika. - Uśmiechnął się białą równych zębów i pociągnął Martę za sobą w stronę wąskich schodów. - Natychmiast, jak się pani rozgości, proszę przyjść do salonu na herbatę i słodkie. Bo mamy tu oczywiście salon - zachichotał.

- Szefowej bardzo zależy na wysokim standardzie. Wprawnym ruchem przekręcił klucz w zamku i z rozmachem otworzył przed Martą drzwi niewielkiego, ale przyjemnego pokoju.

- Na razie pani jest zmęczona i pewnie w nie najlepszym nastroju, ale tutaj pani wypocznie. O rany, zapomniałem się przedstawić. Nazywam się Krzysiek Nowakowski - wyciągnął rękę na całą długość. Marta po raz pierwszy tego dnia uśmiechnęła się szczerze, podając mu dłoń, którą on zabawnie potrząsnął.

Gdy na schodach rozległ się już tupot jego nóg, usiadła zrezygnowana przy niewielkim stole, usiłując bezskutecznie zrobić sobie coś w rodzaju masażu głowy. Może dzięki temu olśniła ją genialna myśl. Nikt nie może zatrzymać jej siłą, jeśli zechce wyjechać wcześniej. Na przykład za trzy dni. Albo jutro. Zbudowana tym odkryciem, z przypiływem nowej energii odwróciła torbę do góry dnem, wysypując jej zawartość na tapczan. Z utworzonej górki wybrała ręcznik i mydło, resztę w rekordowym czasie ułożyła na kilku półkach szafy. Szybko zmyła ślady podróży. Nie malowała się nigdy. I tak wyglądała zdecydowanie niepoważnie, uwzględniając wiek. Nie

dało się zaprzeczyć, że nowa fryzura odmłodziła ją jeszcze, więc nawet przy dzisiejszym zmęczeniu i złym humorze było całkiem nieźle.

Jasne, że nie będzie się przebierać. Wprawdzie najlepsze lata jej swetra z wiszącym golfem dawno minęły, ale był bardzo ciepły i należał do jej ukochanych. A jeśli chodzi o drelichowe, półwojskowe spodnie, to po prostu nie miały sobie równych. Z przyjemnością przeczesała jeszcze raz włosy i wpięła spinkę jak najdalej od czoła.

- Mówią, że z nową fryzurą zaczyna się nowe życie. Jak dotąd fryzura przewyższa je pod każdym względem.

Z tą konkluzją wsuwając tabletkę asprocolu w jedną z rozlicznych kieszeni spodni i nie zapominając zamknąć drzwi na klucz, wyruszyła w poszukiwaniu osławionego pomieszczenia zwanego salonem. Ledwie zdążyła się zdziwić, że schody nie skrzypią, gdy nagle czyjeś ramię sprawnie objęło ją i zdecydowanie przyciągnęło. Wzdrygnęła się i z trudem powstrzymała od wyszarpięcia. Niższa od niej, sprawiająca wrażenie obszerności poprzez dużą, kraciastą spódnicę i szal dama usiłowała ją po przyjacielsku, czy też może po macierzyńsku, objąć. Tego Marta nie znosiła. Czułości bez sensu i to jeszcze zniecka. Okropność. Kiedyś nawet znajomi wysnuli teorię, że za tego rodzaju reakcje odpowiedzialne jest miejsce jej urodzenia - Poznań. Nie uznała tego za zabawne.

- Przestraszyła się pani? Przepraszam. Jestem Nina Boguszewicz. Polonistka i trochę etnograf. Z zamiłowania. Pani zajmuje się fizyką?

Marta skinęła głową. Nie spodziewała się w takim miejscu usłyszeć takich tekstów.

- Znajdzie tu pani prawdziwie kulturalną, a nawet intelektualną atmosferę. Czujemy się w tym domu prawie jak u siebie. Spokój i miejsce na refleksje. Zostałam teraz na drugi turnus, a w ogóle przyjeżdżam tu co roku. Teraz mamy wyjątkowo dużo nowych twarzy, ale to jeszcze lepiej. Trzeba poznawać nowych ludzi i być na nich otwartym. Chociaż - westchnęła - atmosfera stała się dość specyficzna. Z różnych względów. Ale o tym później, po co się od razu denerwować. - Pociągnęła Martę w stronę salonu. - Na pewno za chwilę zejdą Wolscy. Przemili, choć może trochę dla nas nietypowi. Pani Beata jest bibliotekarką, a jej mąż, świeżo zresztą poślubiony, to prawnik nieparający się nauką ani działalnością sądową, ale właśnie zatrudnił się w którejś z tych prosperujących firm. Takie teraz czasy,

że po stypendiach zagranicznych ludzie marnują się dla pieniędzy. Ten przyjazd to właściwie ich symboliczna podróż poślubna. Na inną nie mieli czasu.

Pan Trzeciak jest adiunktem, człowiek na poziomie, pana Krzysia już pani poznała. Pani Godziszewska z córką to poniekąd jego znajome, bardzo kulturalne. Patrycja jest nadzwyczaj dobrze wychowana. Ale zdecydowanie najbardziej interesujący jest pan Janek. Zauważyła go pani przed domem? Przyjechał dziś rano, a już każdy go polubił. My wszystkie - uśmiechnęła się niewinnie - bez względu na wiek i stan cywilny robimy do niego słodkie oczy. Szalenie przystojny, inteligentny i taki z gruntu szczerzy, przyjazny, a co najciekawsze, to wielki rzeźbiarz. Podobno...

Nie dokończyła zdania zaskoczona hałasem. Krzysztof Nowakowski otworzył zamasyście drzwi przed Antoniową niosącą tacę z herbatą i pokrojonym sernikiem. Sam trzymał koszyk z garścią maślaków na dnie.

- Pani Nino! - zawołał. - Mam coś dla pani. W końcu jednak musiały się pokazać. Idziemy jutro szukać następnych. - Wręczył jej koszyk z głębokim ukłonem.

Królujący na kolorowej serwecie sernik okazał się bardzo dobry, herbata też była nie najgorsza. Marta miała nadzieję, że jeden asprocol jej wystarczy.

- Podobno pani zmarzła - usłyszała niezbyt niski, ale uderzająco modulowany głos. Należał do szatynki w średnim wieku i doskonale pasował do przedziałka dumnie zaczesującego proste włosy do tyłu w węzeł. - Mam bayerowską aspirynę. Inną niż ta cała reszta podróbek.

- Ależ dziękuję pani. - Marta, której żołądek tolerował tylko asprocol bohatersko powstrzymała się od wytłumaczenia, że nie jest to podróbka. - Bayerowska jest dla mnie stanowczo za dobra.

- I w sumie ma pani rację - stwierdziła uroczyście jej rozmówczyni. - To bardzo patriotyczna postawa uznawać tylko nasze rodzime produkty. Musimy bronić się przed zalewem nic niewartej amerykańskości, bo inaczej czeka nas zagłada. Prawda, moja droga?

Marta skinęła głową. Co do zagłady, zgadzała się całkowicie. Zwłaszcza przy bólu gardła.

- Pani ma również pewne zobowiązania - Krzyś podniósł się jak wzorowy uczeń - wynikające z tradycji rodzinnych. Nazywać się

Godziszewska to coś znaczy, prawda? - wymusił tym razem na Marcie odpowiedź, wbijając w nią zza okularów wzrok.

- Oczywiście. Znaczy to, że małżonek pani nazywa się Godziszewski - odpowiedziała grzecznie.

- Nie, proszę państwa. Mój mąż nazywa się inaczej. Też dobre nazwisko, jest u Niesieckiego, ale nie ma oczywiście porównania z Godziszewskimi - spuściła skromnie oczy. - Patrycja nosi nazwisko podwójne.

- No to chyba już nie potrwa długo - wtrąciła Nina Boguszewicz.
- Wyjdzie za mąż i problem się zdezaktualizuje.

- O nie, proszę pani. W dzisiejszych czasach, w ostatniej już dekadzie dwudziestego wieku, nawet w rodzinie tradycyjnej wyjście za mąż nie jest dla kobiety głównym celem. Młoda osoba zdobywa wykształcenie, żeby być użyteczną dla kraju. Dzielić się z innymi swoją wiedzą, choćby w minimalnym zakresie wzbogacać dorobek kulturalny narodu.

Spojrzała z dumą na córkę, której platynowo - blond włosy stanowiły tło dla łagodnej twarzy o dużych, wyrazistych oczach. Króciutka, symboliczna niemal spódniczka zdobiła zgrabne nogi.

- To może i my się przedstawimy. Wolscy. - Energicznie wyciągnął rękę brunet z równiutko przystrzyżonym wąsikiem.

Obok blado uśmiechała się szczupła młoda kobieta. Nawet ładna, ale tak skromna, że niezauważalna.

- Wszystko w porządku? - jej mąż skierował do Marty pytanie kompletnie bezsensowne. Skinęła z przekonaniem głową.

Nic nie było w porządku. Bolała ją głowa, denerwowało i nudziło na przemian otoczenie. Po co to wszystko? Trzeba było siedzieć w domu.

- To doskonale - skomentował Wolski. - Najważniejsze jest pozytywne myślenie.

- Pogoda zaczyna się psuć - zauważyła cichym, miłym głosem jego żona.

- Właściwie, skoro są już pojedyncze maślaki, to rzeczywiście za chwilę będzie ich więcej - Nina Boguszewicz wróciła do tematu zawartości koszyka. - Ale, swoją drogą, gdyby miało pojawić się coś jeszcze, ja osobiście, mimo że znam się na grzybach, mam czasem wątpliwości. Chyba przydałby się atlas.

- Pan Jurek miał atlas grzybów - stwierdził Krzyś Nowakowski. - O, proszę, o wilku mowa.

- O mnie mówicie? - W drzwiach ukazał się mężczyzna w kraciastej flanelowej koszuli i wyciągniętym swetrze. Podwinięte spodnie i wysokie, sznurowane buty harmonizowały z ostrzyżonymi na jeża włosami nieokreślonego koloru i okularami w grubej, trochę niedzisiejszej oprawie. - Oczywiście, że mam atlas grzybów. Wybieranie się bez niego do lasu byłoby dużym błędem. Jerzy Trzeciak. - Nieco teatralnie pochylił się nad dłonią Marty.

Pomyślała, że nie musi na niego patrzeć, żeby wiedzieć, jak wygląda. Zna jego wizerunek na pamięć, powielony w tylu egzemplarzach, że starczyło na wszystkie schroniska i ośrodki turystyczne, od lat sześćdziesiątych począwszy. Zbyt rasowy turysta, żeby mogła na niego patrzeć. Odgradzając się od dalszego i bliższego otoczenia, oparła czoło na dłoniach. Ze zdziwieniem odkryła, że nie ma grzywki, i stwierdziła, że likwidacja tejże mogła nie być dobrym taktycznie posunięciem ze względu na jej funkcję zasłaniającą.

- Miała pani świetny pomysł z tym przypięciem grzywki - odezwał się jakiś głos. Tak spokojny i przyjazny, że nie była w stanie go zignorować jako natręta. Uniosła głowę ruchem charakterystycznym dla kobiety przyzwyczajonej do wrażenia, jakie robi na mężczyznach.

To właściciel owczego swetra najwyraźniej znudził się już swoim niezbyt komfortowym miejscem obserwacyjnym, bo w tej chwili wypełnił sobą, jak się zdawało, znaczną część pokoju.

- Jak się pani czesała przedtem?

Na chwilę znieruchomiała, zaskoczona. Jasne, pogodne oczy patrzyły na nią z zaciekawieniem z opalonej twarzy o regularnych, całkiem interesujących rysach, przypominających antyczną rzeźbę.

Wyjęła spinkę, niedbałym ruchem przyglądała grzywkę i palcami ujęła włosy z tyłu.

- Najczęściej tak. Włosy były dłuższe. Czy jeszcze jakiś problem?

- Jeśli włosy do tyłu, to koniecznie wyżej i spięte w kok. Żeby pokazać kształt głowy. O grzywce proszę zapomnieć. Zasłania panią.

- Czy pan jest przeciwnikiem grzywek w ogóle? - Krzyś potrząsnął bujną ciemnoblonde czupryną równo przyciętą tuż nad brwiami. - Jeśli tak, to jutro jadę do miasta, do fryzjera.

- Pan może się zasłaniać, czym chce - odparł grzecznie zagadnięty. - Ciemnymi okularami, brodą, nie ma sprawy. Natomiast panią natura zobowiązała do pokazywania całej twarzy. - Z zakłopotaniem spróbował zmierzić swe krótko ostrzyżone, kręcone włosy. - No i już narzucam swoją wolę, zamiast się choćby przedstawić. Nazywam się Reising. Dla przyjaciół Janek.

- Marta Rodlińska.

- Państwo dopiero co przyjechali, ale pora zacząć mówić o sprawach nas wszystkich też dotyczących. - Pani Nina oderwała się od atlasu grzybów i swoim dźwięcznym altem przywołała wszystkich do porządku. - Po pierwsze, kłusownicy. Leśniczy panu wspominał, panie Janku?

- Ci od węgorki? Chodzi o to, że najważniejszy Węgorki przyjeżdża robić porządek? Nic z tego nie będziemy mieli. - Machnął lekceważąco ręką.

- Jak to? A co by pan chciał mieć? Zysk? - załamała ręce.

- Broń Boże. Miałem na myśli, że nic nie zobaczymy ani nie usłyszymy. Jak to miło, że jest mleko do herbaty. - Z precyzją niepasującą do jego silnych dłoni szybko zmieszał mleko pół na pół z herbatą i z filizanką usadowił się na kanapie naprzeciw Marty.

- Oby pan miał rację. - Oczy Krzysia za szklami aż powiększyły się z przejęcia. - To może być ktoś, kto przyjeżdża tutaj w charakterze normalnego wczasowicza. I będzie się chciał zemścić na konkurencyjnym gangu, a potem przejąć kontrolę nad terenem.

- Niechże się mści, skoro musi. - Reising skinął głową przyzwalająco.

- Spalili mu tę chałupę, gdzie się spotykali jego ludzie - ciągnął Krzys. - Nie obyło się też podobno bez jakichś poturbowań. Dlatego on teraz musi się na jakiś czas zadekować, powoli zebrać całe towarzystwo do kupy i wtedy odkuje się na tamtych. - Zawinął się szczelnie w dużą, kraciastą bluzę, jakby chcąc się odizolować od ewentualnych skutków wspomnianej akcji.

- Czy pan trochę nie przesadza? - Wolski podniósł krytycznie brwi. - Kłusownicy zawsze byli i będą tam, gdzie jest las. Ale żebyśmy mieli brać poważnie jakiegoś ich szefa i to od ryb?

Młody człowiek tylko wzruszył ramionami urażony, natomiast Jerzy Trzeciak nasuwając okulary, energicznie poprawił się w fotelu.

- Szanowny panie, widać, że nie poświęca pan wiele uwagi mediom, i to mnie dziwi w pana fachu. Co jakiś czas komunikuje się nam, ile kłopotów ma policja z nielegalnymi poławiaczami węgorzy uzbrojonymi nierzadko w broń maszynową - zlekceważył pogardliwe spojrzenie Reisinga. - Tu chodzi o duże pieniądze, a ten szef to po prostu biznesmen z Niemiec.

- Ponieważ jest to biznesmen tego rodzaju, nazwijmy go zwyczajnie, gangster.

- Dokładnie tak, pani Nino - kontynuował - i jeżeli przyjechaliśmy tutaj, nawet nie w pełni świadomi, nie ma sensu udawać, że nic się nie dzieje.

- Chciałbym pana zobaczyć, jak się zacznie dziać - mściwie dodał Wolski.

- Żeby pan siebie nie zobaczył. - Trzeciak nerwowo złożył leżącą na kolanach książkę i dopiero wyraz zadowolenia na twarzy Reisinga dał mu sygnał do opanowania się. - Zresztą widać, że ten temat nie będzie jedynym do tworzenia - skrzywił się - ciekawej atmosfery. Ja nic nie wiem, ale proszę zapytać panią gospodynię - dodał wyzywająco.

- Lepiej nie. - Krzyś zaśmiał się nerwowo.

- Proszę powiedzieć, o co chodzi - zmartwiła się Wolska.

Nina poprawiła się w fotelu, wyciągając przed siebie dłonie o krótkich palcach, jakby chcąc sprawdzić, czy wszystkie wyraźnie artystyczne pierścienie są we właściwej kolejności.

- No cóż - zaczęła po głębokim westchnieniu. - Ta sprawa kiedyś musiała wypłynąć. I tak dziwne, że dopiero teraz. Nasza pani gospodyni jest podenerwowana nie tylko przez tak zwanego Króla Węgorzy. Państwo na pewno nie wiecie o tej nieszczęśliwej historii rodzinnej.

- O Wyrodku - wtrącił Krzyś.

- Otóż to. Prawie sensacyjna opowieść i w sumie dość nieprzyjemna. Początek ma we wczesnych latach pięćdziesiątych. Miało tu miejsce coś na kształt romansu z dziewiętnastowiecznej powieści. Starsza siostra naszej gospodyni, Alicja, wówczas piękna, młoda dziewczyna zakochała się w bardzo przystojnym chłopcu.

- Niestety ubogim - westchnął pod nosem Reising. Nina Boguszewicz wytrzeszczyła oczy.

- Skąd pan wie? Jest pan poinformowany?

- Ależ skądże. Tylko że inaczej nie byłoby sprawy. Musiał być biedny, a najlepiej całkiem goły.

- I był - potwierdziła z zapałem. - Spotykali się na starym niemieckim cmentarzu, tam niedaleko, w lesie na górze. Niestety, miłość ta skończyła się tak, że musieli wyjechać, po prostu uciec na drugi koniec Polski. Na Ziemię Odzyskaną.

- A cmentarz, mówią, upodobały sobie teraz Węgorze, to znaczy ich poławiacze - wtrącił Krzyś Nowakowski. - Dobre miejsce. Wygodne, ustronne.

- Spotykali się tam, a raczej ukrywali, dlatego, że ojciec Alicji był zdecydowanie przeciwny chłopakowi. Podobno traktował go jak wroga. Kiedy zdecydowali się mimo wszystko pobrać, dziewczyna została najzwyczajniej w świecie wygnana z domu. Wyjechali na Ziemię Odzyskaną i wzięli ślub. Mieli syna, który wszedł w konflikt z prawem. Wtedy gospodyni nazwała go Wyrodkiem. I tak już zostało.

- Tak po prostu, bez imienia? - zapytał Reising.

- Gospodyni na pewno zna jego imię - pospieszył z odpowiedzią Krzyś - ale chyba nigdy go nie wymieniła. Tak twierdzi Antoniowa. Wyrodek i już.

- A co on takiego zrobił? - Marta poczuła, że herbata powoli zaczyna przywracać jej świadomość.

- Jakieś rozboje, napady czy morderstwa. Coś w tym stylu. Należał do bandy, która się tym zajmowała. W każdym razie był wtedy jeszcze nieletni i trafił do domu poprawczego. Potem słuch o nim zaginął. Z pewnością później kontynuował tego typu działalność, ale przez cały czas nie było powodu do niepokoju, chociaż gospodyni tak naprawdę trochę obawiała się ewentualnej wizyty siostrzeńca. Jednak dopiero teraz, moi państwo, miały miejsce zdarzenia, które biednej kobiecie spędzają sen z powiek. Przede wszystkim - nabrała oddechu - okazało się, że ktoś tego człowieka, Wyrodka, widział w okolicy. Leśniczy na przykład kompletnie bagatelizował sprawę, ale po tym nieszczęściu z psem będzie musiał nam wszystko opowiedzieć dokładnie. Ach, no jasne, państwo o psie też nie wiedzą. - Westchnęła.

- Powiem krótko. Został otruty. Dwa dni temu wsypano mu do miski truciznę na szczury. Rzecz jest szalenie przykra i denerwująca, bo nikt by nie chciał mieć siostrzeńca bandyty, który może chcieć się upomnieć o część majątku należną jego matce. W ogóle nikt nie ma

złudzeń, że darzy ciotkę sympatią, a to, od czego zaczął, na pewno nie wróży dobrych zamiarów.

- Chwileczkę - wtrąciła Marta. - Nie znamy nawet imienia tego pana, ale ktoś go jednak zidentyfikował, skoro mówi się, że był widziany. Więc albo się przedstawił nazwiskiem, albo jakoś charakterystycznie wygląda, albo ma tu znajomych. Czy w takim układzie kręciłby się tutaj koło domu i podkładał truciznę do psiej budy? Jakiś dziwny chyba. - Wzruszyła ramionami.

- Co do tego, że dziwny, nie ulega wątpliwości. Ma pani całkowitą rację. Ja z kolei jestem przekonana, że nikt nie wie, jak on wygląda. Sprawę oczywiście należy wyjaśnić, ponieważ mimo woli, samą swoją obecnością, zostaliśmy w nią zamieszani.

- Rzeczywiście - podsumował Wolski. - Kręcący się po okolicy, ewentualnie trujący psa bandyta to rzecz nie do zbagatelizowania. A swoją drogą, wracając do historii z przeszłości, ciekawe, co rodzice mówią na zachowanie synka. Jak pozytywni, romantyczni bohaterowie dopuścili do czegoś takiego?

Nina Boguszewicz pokiwała ze zrozumieniem głową.

- Słusznie, że pan o tym wspomina. Rodzice, niestety, stosunkowo szybko zmarli. Ojciec zginął w jakimś wypadku, tam w tych czasach wciąż nie było bezpiecznie. Matka normalnie, Antoniowa mówi, że na jakąś chorobę. Ale przeżyła męża zaledwie o kilka lat, chłopiec trafił do domu dziecka.

- A stamtąd do poprawczaka. To nieźle go życie urządziło - podsumował Reising.

- Nie każdy, panie Janku, kto traci rodziców, musi zostać przestępcą. Znam bardzo porządnych ludzi, którzy wychowali się w domu dziecka.

Ciemne oczy Wolskiego błysnęły z pełną akceptacją.

- Właśnie, w pełni się z panią zgadzam. Człowiek ma taki los, jaki sobie zbuduje. Jest odpowiedzialny prawnie i moralnie za swoje czyny bez względu na dzieciństwo.

- Zwłaszcza gdy od początku ma wszystko, czego mu potrzeba - mruknął Reising.

- Rozumiem pana - uśmiechnęła się Nina - wszyscy tu jesteśmy humanistami. - Marta mimo woli skrzywiła się. - A pan oczywiście musi być idealistą. Są jednak pewne granice.

- Ja muszę być idealistą?

- Jest pan przecież artystą.

- No tak, tak, jestem. - Reising skinął głową z pełnym przekonaniem.

Beata Wolska w zamyśleniu mięła brzeg bluzki.

- Ja również uważam, że każdy zdrowy człowiek odpowiada za siebie, ale... jak na to zareagowała nasza gospodyni? Czy nie pomogła siostrze? Nie zajęła się potem dzieckiem?

- Nie pomogła. - Głos Niny Boguszewicz brzmiał tryumfalnie. - Co więcej, Alicja przyjechała tu podobno z synkiem jakiś czas po śmierci męża. Prosiła o pomoc, była w dramatycznej sytuacji. Siostra odmówiła, a nawet wyrzuciła ją.

- Coś podobnego! - wykrzyknął Trzeciak. - Przecież ta kobieta nie zrobiła nic złego. W dodatku normalnie wyszła za mąż i normalnie miała dziecko.

- Oczywiście. Ale została przez ojca wypędzona z domu i koniec. Utarło się zresztą, że skompromitowała rodzinę słynącą z moralności. Tak mówi Antoniowa.

- Jasna sprawa. - Wolski wyciągnął się w fotelu. - Ale to zrozumiałe, że siostrzeniec z pewnością za ciotką nie przepada. Osobiście wolałbym, żeby się na razie nie zjawiał. Jeszcze słyszałem, zupełnie mimo woli, jak Antoniowa przypominała leśniczemu o jakiejś pocztówce, która o mało co nie zabiła gospodyni.

Nina sięgnęła po następny kawałek sernika.

- O, to już całkiem dziwaczna historia. Nie wiadomo, jak o niej mówić. Mniej więcej tydzień temu przyszła śliczna pocztówka grająca. Pięknie zapakowana bez adresu nadawcy. Pieczętka z Mrągowa. Sama widziałam, jak gospodyni odbierała ją od listonosza. Wyglądało jak kartka z życzeniami. Otworzyła zaintrygowana, a tu zamiast tekstu melodia. Zbladła, jakby miała zemdleć, dobrze, że ją Antoniowa podtrzymała i zaprowadziła do pokoju. Przez dwa dni chorowała, a według mnie do tej pory nie przyszła do siebie.

- Nie przyszła - potwierdził Krzyś. - Od razu, jak przyjechałem, zobaczyłem, że coś jest nie tak. A po otruciu psa to w ogóle szkoda gadać - machnął ręką.

- Czy ta melodia była jakaś okropna? - zainteresował się Reising.
- Na przykład marsz pogrzebowy?

- Słuszna sugestia, oczywiście. - Nina Boguszewicz uniosła rękę.
- Ale tam odezwało się, proszę sobie wyobrazić, Miłość ci wszystko

wybaczy. To była podobno ulubiona melodia Alicji i jej chłopca. Wtedy nie pisało się zwyczajnych piosenek o miłości, chyba że o takiej socjalistycznej, na przykład na budowie. Więc śpiewało się stare, dobre szlagiery. Antoniowa mówi, że panienska Alicja stale nuciła tę melodię.

- No tak, czyli nadawcą jest Wyrodek - stwierdził autorytatywnie Wolski. - Nie zazdroszczę kobiecie. Tylko że my przyjechaliśmy tu odpocząć. Przez całe lato nie było możliwości. Podobno to najspokojniejsze miejsce na świecie, a tu proszę, okazuje się najpierw, że ma tu zawitać gangster, który nie przejmując się nami, będzie sobie prowadził wojnę. Zaraz potem dowiadujemy się, że jakiś kryminalista zagraża naszej wspaniałej gospodyni...

- Proszę pana, bądźmy dokładni. - Nina zmierzyła go karcącym spojrzeniem. - Ten człowiek pojawi się tutaj przede wszystkim po to, aby stać się spadkobiercą.

- Czy pani sugeruje, że...

- Jak najbardziej, proszę pana. Chce po prostu zamordować ciotkę. Bądźmy realni, to nie żarty. Z tym trzeba liczyć się na poważnie.

Zapanowała niemiła cisza. Marta poczuła niesmak i chęć błyskawicznego zapakowania wszystkiego z powrotem i jak najszybszego znalezienia się na dworcu autobusowym w Pomyślewie. Na pewno nie będzie gapić się na żadne mordowanie ani na akcje wstępne.

Do rzeczywistości przywołał ją energiczny głos Wolskiego.

- No, dobrze. Skoro w tym problem, to czemu gospodyni nie zapisze wszystkiego komukolwiek innemu?

Wtedy będzie bezpieczna. Przynajmniej trochę, bo jeśli mowa o zemście, to już trudno coś poradzić.

- Oczywiście, stale coś zapisuje - wyjaśnił Krzyś Nowakowski - ale zawsze zaraz potem coś jej się odwidzi i wycofuje zapis. Uszczęśliwiła w ten sposób parę organizacji, ale czymś się skompromitowały w jej oczach i zrezygnowała. Natomiast teraz, kiedy zaczęło się na poważnie mówić o Wyrodku, leśniczy powiedział, że jest umówiona w domu dziecka. Będzie adoptować i już. Wiadomo, że to nie takie proste, ale ona się tym nie przejmuje.

- A może ten pan wcale nie chce się mścić? Może już wszystko dawno przebaczył? - Patrycja zrzuciła włochate kaptcie i podciągnęła

na fotel idealnie zaokrąglone łydki. - Dlaczego człowieka tak od razu posądzać? Przecież jeszcze nic nie zrobił, pani Nino.

- Teoretycznie masz rację, kochanie. I tak rozumiesz, bo jesteś jeszcze bardzo młoda. Ale kiedy pożyjesz dłużej, zorientujesz się, że światem rządzą proste reguły i jeśli wszyscy wokół coś przewidują, to najpewniej mają rację. Nie ma sensu się oszukiwać.

- To ja bym na jego miejscu nie przyjeżdżał - zdecydował Reising.

- Właśnie, może on się wstrzyma choć ze dwa tygodnie, a wtedy my już będziemy w domu - westchnął Trzeciak.

- Nie sądzę, proszę pana. Przeciwnie, mam przeczucie, że staniemy się świadkami dokładnie wszystkiego. O, nawet pogoda się poprawia.

Rzeczywiście, drobny deszczyk niespodziewanie ustał i mokre drzewa kokieteryjnie błyskały kroplami wody rozświetlanymi przez nieśmiałe promienie słońca.

- Pogodę przywiózł ostatni gość. - Krzyś Nowakowski jak chłopiec rzucił się do okna.

Przed dom, wykonując efektowny zakręt, podjechał granatowy volkswagen.

- Miał przyjechać jakiś ważny redaktor czy wydawca - przypomniał sobie.

Z samochodu wyłoniła się najpierw wygolona głowa, potem nieskazitelna, jasnoszara kurtka i w tym samym kolorze spodnie ostentacyjnie na luzie, ale z idealnie zaprasowanym kantem.

Z przewieszoną przez ramię pudełkową torbą Samsonite, z uprzejmym wyrazem na nieco ascetycznej twarzy, nowy gość zmierzał równym krokiem ku gospodyni oczekującej go z rękami wyciągniętymi na powitanie.

- Podobno wydaje jakieś kalendarze i albumy - wyjaśniła Nina.

Po powitaniu przybysz zajął się wypakowywaniem reszty bagażu. Ruchy miał szybkie i sprawne.

- Jaki wysoki i szczupły - zdziwiła się nie wiadomo dlaczego Godziszewska.

Gdy udekorowany stosem pozostałych samsonitów ukazał się w drzwiach, w salonie zapadło milczenie.

- Pan redaktor Wojciech Drzygłód - ogłosiła gospodyni z prawie macierzyńskim uśmiechem.

Przedstawiony powitał obecnych poważnym skinięciem głowy i w towarzystwie leśniczego, który wyrósł jak spod ziemi, powędrował na górę.

- Ciekawe, czyjego też wylegitymuje - zastanawiał się Wolski.

- Mam nadzieję, kochanie. Przecież każdy może być gangsterem.

- Nie wiem, jak państwo, ale ja jestem bardzo zadowolona. - Nina Boguszczyk otuliła się szalem. - To niezwykle człowiek. Widzieliście jego oczy? Promieniają inteligencją.

Marta pomyślała, że są raczej ostre i przenikliwe. Osobiście nie zabierałaby się do poszukiwania inteligencji u kogoś, kto taką wagę przywiązuje do stroju, ale pewnie nie należy nikogo oceniać po pozorach.

- Tak, spojrzałam - ożywiła się Godziszewska - na jego rysy, kształt głowy. Patrycj, czy nie zauważyłaś uderzającego podobieństwa do twojego pradziadka na portrecie? Ten sam układ twarzy, spokój i przenikliwość jednocześnie.

- Czy to pani krewny? - spytał szybko Wolski.

- Nie, nie zrozumiał mnie pan. Tu nie chodzi o ścisłe pokrewieństwo, ale o rasę. To się jednak liczy.

- Myślę, mam, że w dzisiejszych czasach zwraca się uwagę na co innego. Chodzi o to, jakim ktoś jest człowiekiem.

- Na pewno o to chodzi. Pamiętajmy jednak, że w powodzi tej bylejakości, ludzi nie wiadomo skąd, od pewnego poziomu począwszy powinno się bronić przed zalewem oczywistej miernoty.

- Dlaczego właściwie gospodyni tak się do niego wdzięczy? - zapytał spokojnie Trzeciak.

- Dlaczego? Forsa, ot, co - wyjaśnił Krzyś. - Wydaje kolorowe obrazki, więc ma kasę. To zawsze robi wrażenie.

- Więc skąd się tutaj wziął i to o tej porze roku? Dlaczego nie nad morzami południowymi?

- Przecież wolno mu mieć dowolne fanaberie - uśmiechnął się Wolski.

- Niezależnie od wszystkiego, na pewno to człowiek na wysokim poziomie. Pieniądze nie są najważniejsze. Są inne wartości - podsumowała Nina dobitnie, a ponieważ nie usłyszała znikąd poparcia, odwróciła się do Reisinga, który w milczeniu popijał coś, co nie wyglądało ani na mleko, ani na herbatę. - Pan, panie Janku, powinien wiedzieć najlepiej.

- Ja? Wiedzieć, co najważniejsze w życiu? To dla mnie za trudne.
- Każdy ma jakiś system wartości, a pan, jako artysta, wyraża wartości najwyższe.

- Czy to aby najwłaściwsze miejsce na seminarium z filozofii? - zapytał Krzyś, nachylając się do Marty.

- Wszystko jedno - skrzywiła się. I rzeczywiście było jej wszystko jedno. Takie dyskusje słyszała już tysiące razy.

- Pan unika odpowiedzi na moje pytanie - drażyla Nina.

- Mam zeznać, co dla mnie jest ważniejsze: moja praca czy pieniądze za nią?

Skinęła głową z godnością.

- Gdybym nie miał z czego żyć, najistotniejsze byłyby pieniądze. Ponieważ jednak moja robota nie tylko sprawia mi przyjemność, ale jeszcze podoba się innym, przyznaję, że bardziej za granicą, mogę w ogóle nie myśleć o finansach. Prawda też, że nie mam kosztownych upodobań ani czasu na wydawanie większych sum. I to koniec moich zeznań.

- Czy stara się pan utrafić w gust tych, którzy mogą panu zapłacić? - Beata Wolska szeroko otworzyła oczy.

- Nigdy nie musiałem. Gdybym miał z tym kłopoty i potrzebował pieniędzy, starałbym się.

- Wygrywa pan konkursy?

- Do niedawna. Teraz jestem za stary, żeby się ścigać. Wystarczy moje nazwisko.

- Wobec tego - zdumiał się Trzeciak - dlaczego nie odpoczywa pan w jakimś cieplejszym miejscu? Jak to się stało, że pan tu przyjechał?

Reising uniósł brwi, przybierając wyraz takiej niewinności, że Marta z trudem powstrzymała się od śmiechu.

- Powiem prawdę. Zmuszono mnie do tego. Można udowodnić, że przy użyciu siły.

Zanim ktokolwiek zdążył zapytać, w jaki sposób stosuje się siłę wobec kogoś tak zbudowanego, w drzwiach pojawił się Drzygłód.

- Przepraszam bardzo - oparł się o framugę z wystudiowaną niedbałością - czy ktoś, kto jeździ fordem o metalicznej barwie, byłby uprzejmy umożliwić mi wjazd do tutejszego tak zwanego garażu?

- Do szopy? - spytał rzeźbiarz. - Rozumiem, że stanąłem tam jak krowa. Przepraszam, już idę...

- Myślę, że jak na piątą rano po nocnej jeździe stanął pan bardzo dobrze - ogłosił Trzeciak przy widocznej aprobacie otoczenia.

Marta westchnęła. Dla niej ten człowiek mógł być mistrzem parkowania w szopie. Ale na razie wystarczy jej tego towarzystwa. Szybko podjęła decyzję o dezercji

I kiedy Reising wychodził, wymknęła się z pokoju.

Na schodach odetchnęła z ulgą. Wreszcie sama. Pójdzie do siebie, położy się na chwilę, zamknie oczy i pomyśli. Ułoży sobie plan, jak odizolować się od gadającej gromady i odpocząć. Nie słuchać o Wyrodku i węgorzach. Może nawet pożyczycy sobie jakąś książkę z biblioteki gospodyni.

- Dzień dobry - usłyszała za plecami wesoły głos.

Jakaś dziewczyna, a raczej młoda kobieta, w dość mocno obcisłej krótkiej bluzeczce patrzyła na nią śmiejącymi się czarnymi oczami.

- Chciałam zapytać, czy pani czegoś nie potrzebuje. Jestem Aleksandra. Pomagam mamie. Bardzo się cieszę, że pani przyjechała.

Marta odruchowo zrobiła krok po schodach w górę. „Ciekawe, z czego się cieszy” - zezłościła się w myślach.

- Nie przeszkadza pani, że okno w pokoju się nie domyka? Już na różne sposoby wszyscy faceci próbowali, ale nic. Tylko do przeróbki się nadaje. Ale nie powinno być zimno, bo uszczelnione i z tej strony prawie nigdy nie wieje. A może pogoda się poprawi.

- Oleńka, nie męcz pani, chodź tu - dobiegł głos i Aleksandra, zwana Oleńką, w dwóch susach znalazła się przy drzwiach kuchennych.

Marta pokonała schody prawie biegiem w celu minimalizacji szansy na spotkanie jeszcze kogoś. W pokoju z satysfakcją przekręciła klucz w zamku.

Rozdział 3

Otulona kocem wyciągnęła się na tapczanie, za główny obiekt obserwacji przyjmując z lekka popękany sufit. Ile właściwie sufitów było w jej życiu? Tego pierwszego nie pamięta. Potem biały, równusieńki w domu dzieciństwa. Schludny, jak wszystko naokoło. I dalej pozostał taki sam. Tam nic się nie zmienia. Matka stale tak samo młoda i mówiąca, co myśli. Ach, właśnie, sweter! Wzięła go, bo przysięgła jej, że to zrobi. Rzeczywiście, jest czarny, ładny i gustowny. Bo przecież czarny to kolor dla kobiety, o czym słyszała chyba ze sto razy.

Sweter wyglądał jak z najlepszego sklepu, ale oczywiście wolała swój wysłużony brązowy. Dobrze znosił obsypanie kredą, a mimo koloru była w nim wystarczająco zauważalna. Jak zresztą właściwie we wszystkim. Mama natomiast ma odmienne zdanie na jego temat, wyrażane bez ogródek. Marta postanowiła włożyć czarny sweter, zrobi jej przyjemność. Największą, oczywiście, sprawiłaby pierścieniem zaręczynowym albo czymś w tym rodzaju, ale to nie wchodzi w rachubę. W najbliższej i nie najbliższej przyszłości. Małżeństwo! Jedna wielka mordęga. Znoszenie jakiegoś drugiego człowieka, wdziękzenie się do niego, usługiwanie mu. To nie dla niej. Mężczyzna jest w porządku, jako istota wielbiąca, czasem zdarzy się coś więcej, ale broń Boże, niech dłużej nie nudzi.

Czując, że zaczyna dochodzić do siebie, przeciągnęła się na maksymalną długość. Może dociągnie do metra siedemdziesięciu wzrostu, do którego jej trochę brakowało.

Kiedyś będzie musiała zejść na dół, ale ma jeszcze czas. Nic nie musi. To przyjemna świadomość. W akademiku, a nawet wcześniej, w internacie, kiedy inni skupiali się na życiu towarzyskim, ona robiła to, co chciała, czyli nie ruszyła się z miejsca, póki nie rozwiązała zadań, które ją zainteresowały, nie przeczytała tego, na co miała ochotę. I niechby ktoś ośmielił się to skomentować.

Już wtedy potrafiły śnić się jej wzory, dziwaczne rozwiązania zadań, niedokończone równania bez sensu. Odczuwała to wtedy jako koszmar, teraz prawie się przyzwyczaiła. Chociaż ostatnio chyba już miała dość. Budziła się zmęczona, a wypoczynkiem było natychmiastowe zabranie się do pracy. Jak zwykle, gdy w coś się zaangażowała, a to z kolei leżało w jej charakterze.

„Po prostu ma pani taką właściwość - powiedział dawno temu jej promotor. - Naprawdę to pani wcale nie jest, jak by się mogło wydawać, zafascynowana fizyką. Po prostu wszystko pani robi z ogromnym temperamentem. Akurat padło na tę, a nie inną dziedzinę wiedzy. Nie wiem - dodał skrzywiony - czy nie wolałbym szanownej pani spotkać, na przykład, jako lekarza. Oni ciągle nie mogą nic zaradzić na moje kolano”.

Zdaje się, że wtedy zaproponowała mu, żeby może intensywniej poćwiczył, a on pokiwał głową, że znowu miał rację.

Z temperamentem. O tym stale przypominała jej mama. „Nigdy tutaj nie znajdziesz mężczyzny, żeby był taki jak ty. Pogódź się z tym. Niech to będzie dobry, uczciwy człowiek. Tylko to naprawdę się liczy”.

Dobry człowiek. Jakoś nie zauważyła takiego do tej pory. Swoją drogą, jeśli już zajmować się walorami wewnętrznymi, to proponowałaby raczej pomyśleć o inteligencji. No, może nie tylko. Znajomi powiedzieli jej kiedyś, że ma chyba alergię psychiczną na nieuczciwość. Bardzo możliwe. Kłamstwo, oszustwo to jak brud. Nie znosi go organicznie.

Studenci dowiadawali się o tym wyjątkowo szybko i oczywiście natychmiast akceptowali, jak wszystko, co z nią związane.

Ale teraz całe życie zostało daleko. Ona jest gdzie indziej, może nawet po raz kolejny usiłować się zmienić. Będzie grzeczna, opanowana, całkiem obojętna. Ludzie są tacy, jacy są, i to nie ich wina. Bez problemu zejdzie na dół i przyjaźnie odniesie się do wszystkiego, co zobaczy i usłyszy.

Bez złości przyjęła zatem stukanie do drzwi. Oczywiście, Nina Boguszewicz.

- Jak to dobrze, droga pani Marto, że wszystko w porządku. Pani tak po angielsku zniknęła, że dopiero po chwili zauważyliśmy pani nieobecność i przestraszyliśmy się, że pani zachorowała. Wszyscy, nawet najnowszy gość, pan Drzygłód. Ach, z nim zaczynają się kłopoty. - Westchnęła, wygodnie rozsiadając się na tapczanie obok Marty. - Proszę sobie wyobrazić, on ma takie specjalne, dzwoniące kluczyki. Na gwizdek. Widziała pani coś takiego? Gdy wrócili z garażu z panem Jankiem, akurat Antoniowa przyszła pokazać jedyne, ale ogromnego prawdziwka. Pan Wolski aż zagwizdał z podziwu, tak odruchowo. No i odezwały się. Zaświergotały. Tak

zabawnie, że się roześmialiśmy. A on wtedy, że to normalne u ludzi, którzy mają ciekawsze i ważniejsze sprawy niż szukanie kluczyków. I nie trzymają tych kluczyków kurczowo przy sobie. Kompletny brak poczucia humoru, moim zdaniem. No, i zrobiło się nieprzyjemnie, całe szczęście, że pan Janek, och, jaki on jest uroczy, popatrzył w okno i zagwizdał z podziwu, że tak się przejaśniło. Rzecz jasna, kluczyki znowu swoje. Ten Drzygłód miał straszny wyraz twarzy. Pan Janek bardzo grzecznie przeprosił, że zapomniał, iż nie gwizdże się w towarzystwie. Ale to nie koniec. Jakoś myśleliśmy, że panowie się uspokoili, ktoś włączył telewizor, mała być powtórka tego serialu Zakochani, ogląda pani? Ja osobiście bardzo się ucieszyłam, a tutaj ten człowiek nagle, proszę sobie wyobrazić, ma czelność wygłosić pogląd, że oglądać coś takiego to cofać się w rozwoju intelektualnym. Na drugim kanale był program o górach i oczywiście pan Trzeciak na niego przełączył. Nikt nie śmiał się sprzeciwić temu snobowi ze śpiewającymi kluczykami, tylko pan Janek, kiedy Patrycja, kochane dziecko, zapytała go z ciekawości, co woli, odpowiedział, że góry już widział, a takiego amerykańskiego serialu o miłości nigdy.

Marta stwierdziła w duchu, że ma z Reisingiem jedną wspólną cechę związaną z bardzo sporadycznym włączaniem telewizora.

- Program był krótki, a potem oczywiście reklama. Na nieszczęście Old Spice Sensitive. Pan Trzeciak odezwał się tylko, że to faktycznie dobra woda. Drzygłód zaraz zrobił minę wielkiego lorda i wygłosił: „Muszę przyznać panu rację. Wreszcie coś, co nie jest drapieżne”. A pan Janek uśmiechnął się tym swoim uśmiechem i powiedział, że wobec tego doradzałby używać kremu Nivea, a przyznawać się do normalnego Old Spice'a, jeśli się jest pełnoletnim. Widziała pani, jaką on ma męska cerę?

Marta pomyślała, że Drzygłód, o ile zdążyła zauważyć, również wygląda na mężczyznę, nie wyłączając cery. Chyba niepotrzebnie odezwał się o tym Sensitive. Swoją drogą, dlaczego śmiać się z kremu Nivea?

- No i, pani Marto, na to już Drzygłód nie mógł mieć odpowiedzi, a w telewizji pojawiła się taka ładna blondynka, już nie wiem, co reklamowała. Niekompletnie ubrana. I pan Janek, na pewno odruchowo, zagwizdał z podziwu. Z wiadomym skutkiem, jeśli chodzi o kluczyki. Drzygłód prawie zzieleniał, a Krzysiek Nowakowski zlitował się nad nim i powiedział coś w rodzaju: „Pewnie pan idzie się

rozpakować, a ja nie mogę wytrzymać, żeby pana nie poinformować o lokalnych straszących atrakcjach", i wyciągnął go na górę. My tylko powiedzieliśmy sobie, że podobnego lorda jeszcze nikt nie widział, obejrzelśmy krótki blok informacyjny i rozeszliśmy się. Ja od razu pobiegłam do pani zapytać o zdrowie i cieszę się, że wszystko w porządku. Za chwilę będzie obiad, a potem pójdziemy na spacer, korzystając z pogody. Może nastrój się poprawi.

Po wyjściu Niny przytłoczona nawalem informacji Marta skierowała się do schodów. Wychodzący z pokoju Wojciech Drzygłód grzecznie przepuścił ją przed sobą.

- Jak się pani czuje? - spytał konwencjonalnym tonem.

- Świetnie. Dziękuję - odparła i automatycznie przyszło jej do głowy, żeby na dowód dobrego samopoczucia coś zagwizdać. Ten pomysł tak jej się spodobał, że musiała naprawdę szybko zejść ze schodów, by nie wcielić go w czyn. Trochę za szybko, tak że mogło to zakrawać na niegrzeczność, ale chyba lepsze dla niego to, niż gdyby teraz nawiązała dialog z jego kluczami. A jeśli nawet zostawił je w pokoju, to każdy gwizd musiał wywoływać u niego palpacje serca.

Na obiad była oczywiście zupa pomidorowa. Na pewno zawieszista i kwaśna, z obrzydliwym domowym makaronem. Marta przyzwyczajona do stołkówych obiadów ze wstrętem patrzyła na dymiącą wazę.

- Czy pan dużo podróżuje? - Patrycja bawiła rozmową Reisinga.

- Tylko tyle, ile muszę. Najchętniej siedziałbym w domu.

- Ach, jest pan domatorem! - zachwyciła się pani Nina. - To wielka zaleta i rzadko teraz spotykana. Czy pan ma w ogóle jakieś wady?

- W zasadzie tylko zalety. Czasami jednak udaje mi się niektóre ukryć. Dziś na przykład zakonspirowałem dobre wychowanie.

Ostatnie zdanie wypowiedział głośniejszym w kierunku wchodzącego Drzygłoda i przeprosiwszy panie, podszedł do niego.

- Byłbym wdzięczny, gdyby pan zechciał zapomnieć o moich dzisiejszych wygłupach. Chyba ten klimat źle na mnie działa.

- Rzeczywiście, może pan nie testować moich kluczów. Odezwą się za każdym razem - odpowiedział jego rozmówca beznamiętnym tonem i nie zaszczyciwszy go spojrzeniem, odsunął krzesło naprzeciw Marty starającej się markować nabieranie zupy.

Skinąwszy głową w kierunku Reisinga, który na zakończenie zbyt krótkiej rozmowy uklonił się lekko Drzygłodowi i jej, pomyślała, że gdyby sąsiad z przeciwka zdążył ze swoją celną odpowiedzią nieco wcześniej, atmosferą teraz nie przypominałaby gęstością zupy pomidorowej.

Trudno, nie każdy jest szybki. Ona sama nie miała nigdy takich kłopotów. Przeciwnie. Raczej żałowała swojej pierwszej reakcji, na którą zwykle już nie było odpowiedzi. Za to, jeśli udało jej się pohamować i zmilczeć, była z siebie szalenie dumna.

- Słyszałem, że pani zajmuje się zawodowo fizyką - redaktor Drzygłód uznał za stosowne bawić ją rozmową. - Przyznam, że jest mi to całkowicie obca dziedzina wiedzy. Nigdy nie miałem talentu do nauk ścisłych, ale proszę oświecić mnie w kwestii słynnych czarnych dziur. Czy one istotnie nam zagrażają?

Marta o mało nie jęknęła. Cóż za tekst! A niechże sobie sam je sprawdza, tylko szkoda, że nie można go naprawdę wysłać w kosmos. Na szczęście udało jej się przybrać miły wyraz twarzy.

- Proszę się nie obawiać, na biznes nie mają wpływu. Chyba że zainwestuje pan w jakąś gwiazdę, która akurat zakończy życie i zamieni się w taką dziurę. Ale na pewno jest pan ostrożny w interesach i nie kupi czegoś takiego bez konsultacji z fachowcem.

W ciszy, która nastąpiła, Marta nie patrzyła na Drzygłoda, tylko gdzieś dalej, jakby szukała odpowiedniej gwiazdy. Dla niego.

- Rozumiem, że w razie potrzeby można liczyć na panią - uśmiechnął się Wolski.

- To nie moja specjalność. Zajmuję się fizyką statystyczną.

Na szczęście w tym momencie wszedł leśniczy. Z bardzo uroczystą miną.

- Przepraszam, że przeszkadzam przy obiedzie, ale chciałem oddać państwu dokumenty. Jeszcze raz proszę o wybaczenie z powodu tych wszystkich formalności. Szkoda, że pan posiada tylko prawo jazdy - zwrócił się do Trzeciaka. - Czy zgłosił pan zaginięcie dokumentów?

- Nie zdążyłem. Dowód zawieruszył mi się tuż przed wyjazdem. Jestem pewien, że gdzieś się znajdzie.

Leśniczy skrzywił się pełen dezaprobaty, po czym skierował wzrok na Reisinga wyraźnie nieobecnych myślami.

- Jak to miło przeczytać „Stary Sącz” jako miejsce urodzenia. Ale cóż za nieszczęśliwy wypadek zamazał panu datę urodzenia? Coś z wodą?

- Z wodą? - ocknął się Reising. - Owszem, deszcz kapał mi do kieszeni.

Ale leśniczy interesował się już następnymi osobami.

- Bez wąsów świetnie wychodzi pan na zdjęciu - oddał dowód Wolskiemu. - Cóż za piękne miejsce urodzenia, panie redaktorze, Kraków, skarbnica kultury polskiej. - I po tym komentarzu opuścił pokój.

- Niewiarygodne - ciężko oddychał Trzeciak. - Jak on ma czelność nas tak traktować! Gorzej niż policja.

- Rzeczywiście, przesadza - przyznała cicho Wolska - ale to z gorliwości. Chce dobrze.

- Raczej z braku wyrobienia - sprostowała Godziszewska. - Oczywiście, trudno się wiele spodziewać, ale powinien znać swoje miejsce.

- Swoje miejsce? - zachnął się Wolski. - On je widzi bardzo wysoko na samym szczycie. Może na czubku drzewa.

Drzygłód uniósł brwi. Jego lekko opalona, szczupła twarz przybrała wyraz niechętniej troski.

- Obawiam się, że państwo są przewrażliwieni - odezwał się lekko znudzonym tonem. - Ten pan z pewnością przesadził, ale myślę, że miał dobre intencje. Swoją drogą, jak słyszałem, wydarzyły się tu niemiłe rzeczy, co może go w pewnym stopniu usprawiedliwiać. Jestem jednak zdania, że zamiast poddawać się nerwom, należy pamiętać o tym, że wszyscy znaleźliśmy się tutaj po to, żeby odpocząć, i to w sposób możliwie racjonalny - sięgnął do jednej z licznych kieszeni kamizelki. - Jeśli państwo mieliby ochotę rozerwać się trochę, proponuję coś relaksującego. - Wyjął książkę Umberto Eco.

- Och, Patrycjo, czy to nie jest twój ulubiony autor?

- Tak, mamo.

Gdy dziewczyna grzecznie dziękowała za błyszczącą, kolorowo oprawioną książkę, Marta z trudem opanowała chęć ostentacyjnego puknięcia się w czoło. Co za teatr! I będzie jej ktoś jeszcze dyktował racjonalność wypoczynku! Z daleka z czymś takim od niej!

- Miejmy nadzieję, że druga część dnia będzie przyjemniejsza - odezwał się w końcu Trzeciak. - A w każdym razie trzeba korzystać z tej odrobiny słońca. Proponuję wyruszyć na odświeżający spacer.

- Na cmentarz? - uściślił Reising.

- Ale, panie Janku, to bardzo ładne i nastrojowe miejsce, sam pan zobaczy. - Nina Boguszewicz rozwiała wszelkie obawy.

Marta była już w korytarzu z zamiarem jak najszybszego znalezienia się na świeżym powietrzu.

- Muszę pani powiedzieć, że szczerze podziwiam pani styl - usłyszała za uchem głos Godziszewskiej. - Taki naturalny. Ale rozumiem, że pochodzi prosto ze Stanów. Nazywa się chyba grunge? Sama o nim myślałam, bo bardzo pasuje do naszej rzeczywistości, ale nie miałam odwagi. Cóż, człowiek czasem wie, że postępuje niesłusznie.

- Proszę się nie martwić - Marta ogarnęła spojrzeniem elastyczne spodnie i biały golf z bursztynową broszką - grunge'u nie da się naśladować, a zawsze może pani sobie po prostu wyciąć dziurę w swetrze i będzie w porządku.

Nie czekając na reakcję, włożyła kurtkę i buty sportowe, wprawdzie nie markowe i nie pierwszej młodości, ale ukochane i wygodne. „Niech będzie polski grunge - pomyślała zadowolona. - Na razie przewietrzenie. Wszystko jedno, w jakim towarzystwie”.

Towarzystwo powoli się zbierało. Beata Wolska smutno spojrzała dokoła.

- I zaczynamy od cmentarza - powiedziała cicho.

- Proszę nie narzekać. - Krzysz Nowakowski pogłaskał ją po kapturze jasnofioletowej kurtki. - Prócz cmentarza mamy prawdziwy las, prawdziwe jezioro, a po drugiej stronie, trochę dalej, całkiem prawdziwe bagna. Tyle że trochę podsuszone i zarośnięte, ale tym bardziej niebezpieczne.

- Puszcza Piska zajmuje obszar ponad tysiąca kilometrów kwadratowych. Prawie osiemdziesiąt procent drzewostanu stanowią drzewa iglaste. Obok sosny i świerka występują tu dąb szypułkowy, lipa drobnolistna, klon, brzoza, olsza czarna i szara. - Trzeciak oparty o balustradę nie przestawał studiować przewodnika. - Czy jesteśmy w komplecie? - zmienił temat najpewniej z powodu błagalnych spojrzeń słuchaczy.

- Brakuje pana redaktora - stwierdziła Nina. - Chyba poczekamy na niego.

- Może boi się czarnych dziur i siedzi zamknięty w pokoju - odezwała się całkiem mimo woli Marta.

Dokładnie w tym momencie Wojciech Drzygłód pojawił się tuż za Patrycją.

- Och, jak się przestraszyłam - potrząsnęła chmurą jasnych włosów.

Stojąca naprzeciw Marta odniosła bardzo niemiłe wrażenie, że jej kpina dotarła do uszu adresata.

I po co jej to było? Nie odezwie się więcej. Naprawdę, nie wie, co ją znowu napadło. Nie powinna była. Jak na złość, z każdą chwilą stawała się bardziej pewna, że Drzygłód patrzył właśnie na nią, na jej usta. Po chwili wiedziała już, że patrzył w sposób szczególny, z wyraźną naganą. Nic dziwnego. Zdenerwowana zacisnęła pięści w kieszeniach. Zawsze powie o słowo za dużo. Od dwudziestu lat walczy z tym i okazuje się, że bezskutecznie. Ale od dzisiaj już naprawdę koniec. Będzie elegancko milczała i najwyżej zastosuje swój uśmiech, który załatwia wszystko. Skromna i cicha, jakby kończyła szkołę zakonną, nie technikum nukleoniczne.

Z tym postanowieniem odwróciła się na pięcie i lekko zeskoczyła ze schodków, dając tym samym hasło do wymarszu.

- Najpierw, gdy wyjdziemy z za tych drzew, będzie bardzo ładna droga wzdłuż jeziora. Dobrze, że nie pada, bo wtedy czasem nie można tędy przejść, tak wieje - opowiadał Krzyś. - Potem skęcimy i pomaszerujemy na odmianę kawałek lasem, i będziemy na miejscu. Cmentarzyk jest naprawdę ładny, chociaż nie ma go w przewodniku.

Trzeciak gwałtownie wzruszył ramionami.

- Proszę się nie śmiać z mojego przewodnika. Nie piszą w nim na przykład o miejscowej atrakcji w postaci szykujących zemstę gangsterów. Choć mnie osobiście bardziej interesuje ta romantyczna legenda o zakochanej parze przychodzącej tu potajemnie. Ja uwielbiam takie historie, a pani, pani Marto? Pamięta pani Jana i Cecylię?

Marta odruchowo się skrzywiła. Czy nie mógłby się od niej odczepić?

- Szkoda, że ta historia nie stała się legendą. I w dodatku skończyło się nieprawidłowo, bo żyli w nędzy i osierocili dziecko, które zmarnowało sobie życie. Co pan tu ma do uwielbiania?

Zawiał lekki, ostrzegawczy wiatr. Przyspieszono kroku, zostawiając nieco w tyle Drzygłoda oraz Reisinga, który wypatrywał czegoś lub kogoś w oddali. Nie bez przyczyny, ponieważ po chwili zza grupy potężnych świerków wychynęła dotychczas niewidoczna postać w zielonkawym mundurze.

- Serdecznie zapraszamy, jako przewodnika na pierwszym spacerze. - Ukłonił się leśniczemu, który nie potrzebując dodatkowej zachęty, w rekordowym tempie dołączył do reszty towarzystwa prowadzonego szybkim krokiem przez Wolskich. Za nimi postępowała Godziszewska, milcząco akceptując towarzystwo Krzysia Nowakowskiego i od czasu do czasu kiwnięciem głowy odpowiadając na jego pytania. Patrycja o krok za nimi uśmiechała się do tych pytań, albo do samej siebie, nie zwracając uwagi na Ninę, która zresztą też zajęła się kim innym.

- Jak to miło, że pan się zjawił. - Odwróciła się do leśniczego. - My wszyscy jesteśmy żądni wiedzy o dalszych szczegółach wiadomej historii. - Głos jej brzmiał donośnie. - Dał pan do zrozumienia, że tego człowieka, Wyrodka, ktoś widział w okolicy. Proszę się z tego teraz dokładniej wytłumaczyć.

Marta pomyślała, że wspaniale by było przestać słyszeć, nie zatykając sobie uszu. Mogłaby jeszcze niektórych przestać widzieć. Niechby jedynym, co do niej dociera, był zapach wilgotnych drzew leciutko rozgrzanych nikłymi promieniami niespodziewanego słońca.

- Otóż, proszę państwa, sprawa nie jest, ogólnie rzecz biorąc, do końca wyjaśniona. Widział go, albo przynajmniej tak twierdził, niejaki Florian. Na Piknik Country w Mrągowie. Sam Florian mieszkał tu, w Pomyślewie, od zawsze. Dziewięćdziesiątki jeszcze chyba nie miał, dokładnie nie wiadomo. Pił jak gąbka, ale na ogół był mniej więcej przytomny, gdy się z nim mówiło. Kiedy indziej spał. Pamięć do dawnych czasów miał dobrą, żył wspomnieniami. No i lubił taką prostą muzykę, podobno kiedyś ładnie śpiewał. Na Country jeździł, bo tam zawsze się zbiera trochę takich w jego stylu. Aż niesmaczne, jakie typy przyjeżdżają wtedy do Mrągowa.

- No, może nie tylko - wtrąciła Marta.

- Na pewno, ale ci rzucają się w oczy. Nie daj Boże, żeby pani znalazła się w takim otoczeniu. I Florian właśnie tam go widział. Grzał się w słoneczku na deptaku przy molo, aż go nagle zobaczył. Podobno z jakąś kobietą.

- Jakim cudem wiedział, że to on?

- A właśnie, sam mi to powiedział. Przetarł oczy i spytał: „Władek?”. Mówił, że to dziadek tamtego, jak żywy. Tylko włosy miał podobno w kucyk związane.

- Oczywiście czarny długi podkoszulek, spodnie z demobilu, wysokie sznurowane buty - wtrącił Krzyś. - Tak było?

- Być może, nie mam pojęcia. Florian cały czas powtarzał: „Władek jak żywy”. Tamten podobno uśmiechnął się i powiedział: „Florian”. Wziął dziewczynę, odwrócił się i poszedł. Cały kłopot w tym, że Floriana już nie ma. Umarł jakieś dwa tygodnie temu. Konkretnie, utonął.

- Mój Boże! - westchnęła Nina. - Czy jemu się to aby wszystko nie śniło?

- Gwarancji nie ma. Ale z Florianem było tak, że rzadko się odzywał, a jeśli już, to z sensem. Nie bredził, nie zmyślał. Zresztą całość brzmi dość prawdopodobnie.

- Najbardziej ta fryzura. I ten człowiek tak po prostu poznał Floriana. Jakim cudem?

- To też można wytłumaczyć. Florian na pewno niewiele się zmienił przez ostatnie pół wieku, nawet czupryna mu została rozczochrana, a nie zapominajmy, że siostra gospodyni z synem była tu kiedyś po śmierci męża prosić o wsparcie. Wtedy ich wyrzucono. „Nocujcie u tego pijaka Floriana”. Zastanawiało mnie to wszystko, więc dokładnie wypytałem Antoniową.

- Swoją drogą to koszmar. - Wolski z żoną zwolnili trochę kroku. - Aż przykro słuchać, co ci ludzie przeszli, zwłaszcza chłopiec. Ale ciekaw jestem, czy szefowa do tej pory nie zmieniła zdania. Nie żal jej trochę?

- Ani odrobinę. Natomiast jest wystraszona jeszcze bardziej, niż się wydaje. Oficjalnie nazwała opowiadanie Floriana pijacką bujną, ale naprawdę się przejęła. Ta nieszczęsna grająca pocztówka, której nie wiadomo dlaczego nie wyrzuciła, też wróżyła niedobrze, a po otruciu psa lepiej nie mówić. Najgorzej, że o Wyrodku wiemy tylko, że jest podobny do rodziny ojca i ma włosy związane w kucyk.

- No i jeszcze potrafi się uśmiechnąć - zauważyła Nina. - To wcale nie jest oczywiste u każdego człowieka. Zwłaszcza w takiej sytuacji. Powiedziałabym nawet, że dobrze o nim świadczy. A o dziewczynie nic nie wiadomo?

- Nic. Florian powiedział tylko, że ładna i z dużego miasta.

- Fatalnie - stwierdził Wolski. - A co pan na to, panie redaktorze?

- Proszę łaskawie nie tytułować mnie w ten sposób, jesteśmy na wakacjach. Ale przyznaję, że czuję się szalenie zaskoczony. Nie spodziewałem się atrakcji tego typu. Czy policja została o wszystkim powiadomiona?

- Oczywiście. Otrucie psa jest przestępstwem, ale reszta nie ma znaczenia. Poza tym trudno wymagać, żeby zajmowali się kartkami pocztowymi bez słowa pogróżki, jeśli w dodatku mają na głowie sprawę z Węgorzami.

- No to już chyba nas nie dotyczy.

- Państwa oczywiście nie, ale ja muszę myśleć o temacie...

Marcie już prawie udało się wyłączyć. Wilgotne, miękkie powietrze nadchodzące ze strony majaczącego za chaszczami jeziora działało kojąco. Z trudem powstrzymywała się przed odłączeniem od reszty i wdarciem się pomiędzy sosny i świerki. Czowała, że mogłaby oddychać żywicznym zapachem aż do wieczora. Na razie jednak szła posłusznie ścieżką, mając przed sobą krótko ostrzyżoną fryzurę Niny wyłaniającą się z wełnianego szala. Jeszcze dalej na przodzie Trzeciak z zadartą głową pilnie studiował świerki, jakby liczył im piętra. Marta z kolei chętnie obejrzałaby mchy, ale nie chciała zwalniać, żeby nie zrównać się z idącym za nią Drzygłodem.

Leśniczy natomiast został z tyłu, jakby chciał popędzić zamykającego pochód Reisinga.

- Chciałem pana o coś zapytać.

- Proszę bardzo. - Zmierzył go obojętnym spojrzeniem.

- Pan jest artystą z Warszawy - w głosie leśniczego spod udanego spokoju przebijało podniecenie.

- Owszem, teraz z Warszawy.

- Pan pewnie słyszał, a może nawet pan zna Stanisława Borowskiego. Widziałem jego obrazy. Podobno bardzo popularny w waszym środowisku. Maluje las.

- Las? - Twarz Reisinga znieruchomiała, ale tylko na moment. Spojrzał leśniczemu prosto w oczy. - Rzeczywiście, bardzo piękny las. Ma pan dobry gust. To duży talent.

Leśniczy nie ukrywał zadowolenia.

- Ach, jeszcze jedno. W związku z pana dowodem - podrapał się w głowę zakłopotany.

- Widzę, że jednak postarzałem się od czasu zdjęcia.

- Nie, skądże. Tylko zastanawiałem się, czy to duplikat. Bo panu chyba skradziono dokumenty?

- Zginęły mi, ale się szczęśliwie znalazły. Jasne! Pan pewnie słuchał mojego wywiadu radiowego, na który się zgodziłem mimo chrypki, z głosem podobno nie do poznania.

- Ależ nie. Głos świetnie wyszedł. I sposób mówienia przecież ten sam. Pamiętam, redaktor pytał, czy jest pan artystą z głową w chmurach, myślami pogrążonym w swojej pracy. Pan zaprzeczył, ale dodał, że może już staje się artystą z prawdziwego zdarzenia, bo właśnie zginęły mu dokumenty.

- Dokładnie tak było. Widzę, że ma pan świetną pamięć.

- Nie narzekam. Ale tutaj mi się nie przydaje.

- Marnuje się pan?

- Tak mówią. Ale z takiego miejsca trudno się wyrwać.

Ostatnie zdanie zostało wypowiedziane na tyle głośno, że dotarło do idących na początku.

- Nie ruszylibym się stąd ani na krok, gdybym mógł tu mieszkać i miał pracę - zawołał Krzyś. - O, dochodzimy. To stary cmentarz gminny. Są tu pochowani przeważnie ewangelicy, ale nie tylko. Nie wiem, jak go ocenicie, dla mnie ma po prostu niezwykły urok.

Ozdobne żelazne ogrodzenie istotnie ładnie komponowało się z drzewami już prawie w nie wrastającymi. Trochę pretensjonalna, teraz mocno sfatygowana brama witała gotyckim napisem: „Aufwiedersehen unsere Hoffnung”.

- Jakie to piękne - westchnęła Patrycja.

Dostępu do wygiętej, zardzewiałej furtki broniła okazałych rozmiarów kałuża. Krzyś rozłożył bezradnie ręce.

- Wody powyżej kostek. Chyba jesteśmy skazani na oglądanie z zewnątrz.

- Nie próbujemy tamtej dziury w drugim końcu? Zaskoczeni spojrzeli na Janka Reisinga wskazującego

ledwie widoczny przeciwległy róg cmentarza.

- Skąd pan wie?

- Przecież widzę.

Zrobiona w przerdzewiałym ogrodzeniu dziura okazała się całkiem wygodna i tylko fakt, że od zewnątrz zasłaniał ją cyprys, nie dawał Ninie spokoju.

- Panie Janku, pan tu już był. - Chwyliła go za rękaw kurtki.

- Jeśli nawet, to się nie przyznam. A przejście zrobiły oczywiście nasze Węgorze. Niedopuszczalne, żeby używali furtki jak normalni ludzie.

- Czy musimy stale myśleć o tych bandytach? - spytała Wolska.

- Beatko, traktuj to rozrywkowo. Jesteśmy na wakacjach.

Trawa była wysoka i wilgotna. Groby skromne, po protestancku surowe. Nic do podziwiania. Można tylko stawiać zakłady, który pierwszy się obsunie. Po co ludzie pchają się w takie miejsca, z których można czerpać wyłącznie smutek? Czy mają za dużo radości w życiu? Marta wzdrygnęła się, bo potężna wierzba płacząca musnęła jej twarz mokrą witką.

- Proszę tylko spojrzeć. - Nina nie ukrywała entuzjazmu. - To nie muzeum, to jest prawdziwe. Te gotyckie napisy, ta surowość ozdobiona mchem.

- Szalenie zaniedbane. - Drzygłód nie fatygując się wejść dalej niż dwa kroki, z dezaprobatą lustrował powyginane pręty i zapadające się płyty. - Chyba istnieje ktoś, w czyjej gestii leży zajęcie się takim obiektem.

- Czy pomyślał pan kiedyś, żeby przykleić do swojej rzeźby mech? - Patrycja spytała Reisinga.

- Patrycjo, kochanie, co ci przyszło do głowy? - strofowała ją matka.

- Jeszcze nie przyklejałem, ale dziękuję za pomysł.

- Reising zdradzał dość małe zainteresowanie otoczeniem. - Ale sprawiłoby mi dużą radość, gdyby ktoś za kilkaset lat odkopał moją robotę, może być porośnięta mchem, z moim nazwiskiem i wstawił mnie w historię jako wielkiego twórcę. Szczerze mówiąc, jestem zarozumiały.

- Ależ to oczywiste, pan powinien być zarozumiały!

- wykrzyknęła Nina Boguszewicz, podczas gdy Trzeciak z uznaniem pokiwał głową, a Drzygłód skrzywił się z niesmakiem. - O,

proszę - zmieniła temat. - Proszę spojrzeć, jakie tu mamy ciekawe nazwiska. Całą historię w nich widać.

- Tu jest zwykły Schultz - zauważyła Wolska.

- Ale tam, niech pani spojrzy, Opalla. Zniemczony Opała.

- Na odmianę widzę takiego, co się spolszczył. Mensz przez „sz”, zamiast „sch” - obwieścił Trzeciak.

- Takie rzeczy też się zdarzały, proszę państwa, Chociaż tam z prawej jest Radeck, zwykły nasz Radek. Ludzkie dzieje.

- O, widzi pani, tu jest nazwisko w ogóle niezmienione. Józef Witoski.

- Całkiem polskie - przytaknął Krzyś.

- Niekoniecznie - Nina była niezmordowana. - Państwo pewnie nie wiedzą, ale takie końcówki charakterystyczne są dla Macedonii. Po polsku byłoby Witowski.

- I było - oznajmił milcząco do tej pory leśniczy.

- Kamieniarz się śpieszył albo akurat nie myślał o robocie, nikt się nie upomniał, bo zmarły żył samotnie, bez rodziny. Szczerze mówiąc, przybłąda.

- Naprawdę Polak?

- Tak, to stosunkowo nowa sprawa. Ze dwadzieścia lat temu go pochowali.

- Jest pan pewien, że był Polakiem?

- Najzupełniej.

- Bo, proszę państwa, mógł do nas dotrzeć również i Macedończyk. Te wszystkie półdzikie ludy górami wędrowały po całej Europie. Nic prostszego, jak znaleźć się tutaj.

- No, ale Witoski akurat, zdarzyło się, był Polakiem. Tak jak i ten obok z wielgachnym grobowcem. Rhodlin. Dam głowę, że od słynnego rodła. - Wolska jedną ręką trzymając się męża, drugą włożyła pod ramię Marty. - Pani też chyba zmarzła, bo pani strasznie zbladła.

- Proponowałbym szybki marsz do domu, bo tu zlodowaciejemy.

- Reisinga najwyraźniej nie pasjonował temat rozmowy.

Gdy wszyscy dostosowali się do jego rady, w milczeniu pokonali drogę powrotną w niemal dwa razy krótszym czasie.

- Teraz to ciepło. - Krzyś rozpiął kurtkę. - Może szkoda siedzieć w domu. Przelećmy się gdzieś jeszcze.

- Proponuję do starej tawerny. Stamtąd jest taki piękny widok na zatokę.

- Pani Nino, z panią do każdego lokalu. - Trzeciak przecierając okulary, przybrał postawę gotowości do wymarszu.

- Tawerna była, owszem, aktualna jako lokal przy całkiem porządnym campingu w czasie rozkwitu socjalizmu - zaśmiał się Krzyś. - Teraz po campingu widać tylko ślad, z tawerny zostały dosłownie szczątki. Ale widok dalej jest. Jego brak funduszy nie wyłożył. Mówiąc między nami, tam trochę straszy, znacznie lepiej niż na cmentarzu. Spytajcie Antoniową.

- O rany, stary cmentarz, wymarła tawerna. Czy tu można dostać coś świeżego? - zapytał grzecznie Reising.

- Na przykład, węgorza na patelni - rozmarzył się Krzyś.

- I proponuję przyrządzić go po królewsku - dorzucił Trzeciak. - Pani Marto, czy pozwoli sobie pani towarzyszyć?

Dobrze, niech jeszcze i to. Na dobiecie. Czy to przedszkole, żeby ustawiać się parami?

Na początku dziarskim krokiem szli Wolscy. Beata chyba coś nucila do marszu.

Za Martą i Trzeciakiem Krzyś Nowakowski bawił rozmową Godziszewską.

- I zapisałem się w końcu na taki kurs związany z reklamą i zarządzaniem zasobami ludzkimi. Powiedzieli, że potrzebują ludzi ambitnych i kreatywnych.

- Słusznie pan postąpił. Trzeba coś robić, coś dać z siebie. Patrycja, jak pan zapewne słyszał, będzie studiować prawo. Prywatnie, oczywiście. Potrzeba nam teraz w tym zawodzie ludzi o wysokiej moralności i otwartym sercu.

- Ma pani całkowitą rację - wtrącił Wolski. - Szczerze pochwalam decyzję. Dla młodej, zdolnej osoby zawód prawnika to ogromna szansa wykazania się swoimi możliwościami. Ambitna i dająca satysfakcję praca czeka na takie osoby jak pani córka.

- Czekaj też życie. - Uśmiechnęła się jego żona. - W tym wieku trudno obronić się przed uczuciem.

- Na to przyjdzie czas później. Znajdzie się we właściwym środowisku, zdobędzie pozycję. Będzie mogła znaleźć kogoś wartościowego, odpowiedniego do założenia rodziny.

Marta odniosła wrażenie, że Patrycja właśnie go znalazła - sądząc po blasku, jakim promieniała, zwracając się do z pewnością wartościowego Reisinga i krocząc przy nim sprężysto. A czy jest odpowiedni? Nie wyglądał na kogoś w sam raz do wzięcia. Już prędzej na żonatego mężczyznę. Marta sama nie wiedziała dlaczego, ale takie robił na niej wrażenie. Z pewnością jednak Patrycja miała lepsze rozeznanie w sytuacji.

- Ogromnie jestem ciekawa - Nina podjęła się bawić Drzygłoda rozmową - jak pan, będąc z Krakowa, miasta z takimi tradycjami, czuje się w Warszawie. Znam kilka osób z podwawelskiego grodu, które twierdzą, że po latach mieszkania w stolicy nie mogą się zaaklimatyzować psychicznie.

- O, myślę, że po prostu nie chcą. To dziecinne.

- A różnice językowe? Zamiast „jagody”, mówi pan „borówki”, jak pan nazywa borówki?

- Brusznice. Ale tu ich chyba nie ma.

- Szkoda, bo byłby powód do dyskusji, która nazwa lepsza - zauważył Krzyś.

- Wątpię. Nie mam zwyczaju prowadzić bezsensownych sporów.

- Dlaczego? Powinno się czasem zrobić coś bez sensu. Zwłaszcza na wakacjach. Prawda, panie Janku?

Reising najwyraźniej nie był zachwycony nagłą poufałością. Zmierzył młodego człowieka chłodnym spojrzeniem i rzucił okiem na Drzygłoda, który kontemplując czubki świerków, nie mógł ukryć drżenia mięśni w napiętej twarzy.

- Śmiem twierdzić, że każdemu, a zwłaszcza na wakacjach wolno osiągać taki stopień wyluzowania, jaki mu akurat pasuje. Zwłaszcza że to, co pan nazywa luzem, może nie mieć z takowym nic wspólnego.

- Ale ja nie miałem nic złego na myśli, proszę mi uwierzyć - Krzyś uśmiechnął się rozbrajająco.

- Jasne, że pan nie miał. W ogóle nic.

- A pan, panie Janku? Pan mieszka w Warszawie od niedawna. Jak się pan z tym czuje? - spytała Nina.

- Świetnie. Prawdę mówiąc, wszędzie jestem u siebie.

- Tak myślałam. I intonacji pozbył się pan całkowicie.

- Prawie każdemu to łatwo przychodzi. A po drodze miałem jeszcze kilka innych do opanowania. Tak dobrze? - zmrużył jasne, błyszczące oczy.

- Ślicznie pan to powiedział. Od razu poczułam się jak w Beskidach. A po góralsku może pan coś zademonstrować?

- Tylko w razie absolutnej konieczności. Naprawdę wolę się popisywać na przykład biegłością we francuskim, niż robić z siebie figurkę z Cepelii.

- Pani Marto, widzi pani, co to za kobieta? - Trzeciak kręcił głową z irytacją. - Tylko by wysłuchiwała, jak kto mówi. Zaraz u mnie wyśledzi podwarszawskie pochodzenie. Bo ja jestem z Grodziska, a pani?

- Z Poznania. Czy to już ta nieszczęsna tawerna? Leśna droga kończyła się polaną schodzącą łagodnie do jeziora. Blisko brzegu ktoś kiedyś zbudował z desek malowniczo położoną kawiarenkę, której taras schodkami wtapiał się w uroczą plażę. Poza nimi z całego lokalu został kawałek bufetu ozdobiony dwoma smętnymi stołkami barowymi. Tawernę otaczały chaszczce skutecznie porastające ślady dawnego campingu.

- To jest okropne - zawyrokowała Godziszewska. - Znacznie smutniejsze niż cmentarz. Nie mogę na to patrzeć. Patrycja też.

Patrycja zeszła na brzeg jeziora i zaczęła bawić się drobnymi kamykami. Nagle krzyknęła zadowolona z odkrycia.

- Tam w trzcinach jest łódka!

- Na wpół zatopiona. I pomost też. Stąd widać. - Wolski z żoną stał przy balustradzie tarasu. - Ale tu się kiedyś musieli dobrze bawić.

- Nie zaszkodzi powtórzyć - zauważył Reising. - Tylko proszę ostrożnie opierać się o balustradę. Wygląda kiepsko.

Sam jednym skokiem znalazł się na miejscu, gdzie zapewne kiedyś królował barman. Marta z niesmakiem patrzyła na butwiejące deski. Żaloszne to i wstrętne. W odruchu nagłej złości kopnęła resztkę jakiejś szafki dogorywającej nieopodal. Niespodziewanie z suchym trzaskiem odskoczyła szuflada, a na jej dnie, o dziwo, zamigotała metalem chyba całkiem nowa latarka i zdaje się, paczka papierosów. Tyle Marta zdążyła zauważyć, zanim Reising błyskawicznym ruchem, jakby od niechcienia, dosunął szufladę.

- Czy to prawda, słyszałem, że na kolację dają albumy rodzinne? - zapytał głośno. - Uwielbiam to, bo sam zdjęć nie robię.

Zeskoczył na ziemię i zanim Marta się zorientowała, chwycił ją pod ramiona jak dziecko i szybko, choć delikatnie zestawił ze sterczących metr nad śliskim igliwem desek podłogi.

- Gospodyni po kolacji rzeczywiście zaprasza na oglądanie zdjęć. Chyba chce się po prostu przy nas uspokoić - potwierdziła Nina, poprawiając szal. - Ma pan rację, chodźmy, wystarczy smutku na dzisiaj.

- Pani Marto, czy pani nie odczuwa romantyzmu tego miejsca? - Trzeciak znów znalazł się obok. - Dla mnie ma ono urok całkiem osobliwy.

- Nie odczuwam - ucięła kwaśno.

- Wielka szkoda, może chciałaby pani zobaczyć coś bardziej urokliwego. Chętnie bym pani towarzyszył, choć opisu najbliższej okolicy nie ma w żadnych publikacjach, a zwłaszcza w moim przewodniku, z którego tak się śmiejecie. Antoniowa powiedziała mi, jak niezwykle nazwy mają tutejsze przejścia i przesmyki przez bagna. Wilcza Grotka. Czarci Przesmyk, Pajęczna Ścieżka. Wiem, jak tam pójść, to całkiem bezpieczne, bo przecież bagna są podeschnięte.

- Podeschnięte, ale tylko trochę, Przepraszam, że się wtrącam. - Krzyś szedł tuż za nimi. - Akurat na tyle, żeby zdradliwie wciągać turystów. Tylko tutejsi naprawdę wiedzą, jak przez nie przejść. Nie powiedzą.

- I mają rację - odezwał się Wolski. - Dzięki temu będziemy trzymać się z daleka. Wyjdzie nam to na dobre.

- Nie trzeba trzymać się z daleka. Można popatrzeć sobie z brzegu. Na przykład Czarci Przesmyk wcale nie jest taki groźny, jak nazwa wskazuje. Sam tam często chodzę... Kiedy słońce przyświeci, robi się naprawdę miło.

- Co pani na to? - Trzeciak nie dawał za wygraną. - Jak tylko będzie słońce, można by się wybrać.

- Mowy nie ma. Nie cierpię mokradeł.

- A co pani myśli o tym młodym człowieku? - przyśpieszył trochę i zniżył głos. - Czy pani nie irytuje, że jest taki wszystkowiedzący? Fakt, że przyjeżdża tu już któryś raz z rzędu, nie usprawiedliwia wymądrzania się. Bardzo mi się podobało, jak go, zgasił Reising, gdy czepiał się redaktora Drzygłoda. Co za ogromna kultura, prawda?

- Jaka kultura?

- Pana Janka oczywiście. Jest taki bezpośredni, naturalny. Zresztą przeciwieństwo pana Drzygłoda. A co pani o nim myśli?

- W ogóle nie myślę.

Rzeczywiście, nie w głowie jej było, kto jest kulturalny. Ma do załatwienia dwie sprawy. Jedna pilną, druga może poczekać. Choć wolałaby odwrotnie. Chciałaby w tej chwili znaleźć się na cmentarzu na wzgórzu i stanąć sama przy tym grobie. Sam na sam z tablicą i napisem. Tuk długo, aż się uspokoi. Ale to, niestety, później. I tak cały czas ma go przed oczami. Teraz najszybciej jak się da musi obejrzeć tawernę. Tym razem dokładnie. Najchętniej zobaczyć właściciela latarki. A może właścicieli. Musi znaleźć się tam tak szybko, jak tylko będzie mogła. Dość tego wysłuchiwanie o Węgorzach. Trzeba sprawdzić, co jest do sprawdzenia.

Już nawet nie słyszała dalszych wynurzeń Trzeciaka. Kiedy zbliżali się do świerkowego zagajnika graniczącego z podwórzem, miała obmyślony plan dezercji.

Rozdział 4

W sieni zrobił się tłok, więc stanęła z boku, praktycznie już jedną nogą na zewnątrz. Wystarczył tylko mały kroczek i byłaby wolna, gdyby nie Wojciech Drzygłód.

- Pomogę pani, tam jest ciasno. - Były to chyba jedyne słowa, jakie wypowiedział od czasu dojścia do tawerny.

- Dziękuję, ale muszę jeszcze wrócić, bo coś zgubiłam.

- To niedobrze przy takim oświetleniu. Przyniosę latarkę.

- Jeszcze nie jest ciemno, proszę sobie nie robić kłopotu - powiedziała zdecydowanym tonem, z którym już nie mogło być dyskusji.

Szybko, żeby nie zwrócić na siebie niczyjej uwagi, zeskoczyła ze schodków i z trudem powstrzymując się od biegu, ruszyła w kierunku ciemniejącej ściany lasu. Całe szczęście, że to tylko Drzygłód. Nie robi sprawy z jej wyłamania się z grupy. W ogóle nic nie powie. Swoją drogą, oburzające, żeby łązić wszędzie w gromadzie, jak na koloniach. Jutro z tym koniec. Głęboko wciągnęła wilgotne, sosnowe powietrze. Teraz nareszcie odczuła, gdzie jest, wtopiona w gęsty, nieruchomy las. Spokój. Bezpieczeństwo. Kilka kropel wody i mała gałązka spadły jej na twarz.

- Dziękuję - zawołała i pobiegła jak dziesięciolatka.

Gdy w końcu zatrzymała się zadyszana, oparła czoło o pień świerku. Po raz pierwszy od dawna było jej naprawdę dobrze. Da sobie radę ze wszystkim. Tutaj podejmie decyzję. Lekka jak nigdy, zaczęła szybko iść dalej. Może należało podzielić się z kimś swoim odkryciem w tawernie? Raczej nie powinna do nikogo mieć zaufania. Przez moment wydawało jej się, że gdzieś w głębi lasu słyszy trzask łamanej gałązki. Czyżby miała towarzystwo? Nie, to złudzenie albo na przykład zajac. Nie ma się co zastanawiać, tylko jak najszybciej znaleźć się na miejscu. Obejrzeć spokojnie wszystkie zakamarki. A może będą goście? Ukryje się w jałowcach i wszystko zobaczy.

Równa droga idealnie nadawała się do szybkiego marszu. A może ona sama teraz w rzeczywistości ucieka? Może chce odsunąć od siebie to, co ma zrobić? Pójść tam, gdzie powinna. Przejść przez tę koszmarne ozdobną bramę z jeszcze bardziej koszmarnym napisem. Stać przed tamtą płytą, zapytać o radę. Jutro pojedzie do miasta po jakiś znicz. Zapali światełko.

Zrobiło się zimno, założyła kaptur. Dobrze, że ma kurtkę w ochronnym kolorze.

Za zakrętem zamajaczyła tawerna. Z której strony najpierw ją zbadać? A może od razu do środka? Oczywiście, że tak. Marta wykonała kilka energicznych kroków w stronę tarasu i nagle przeszył ją dreszcz lęku. Uczucie, którego właściwie nie знаła. Nigdy, nawet w dzieciństwie, nie bała się ciemności ani niczego innego. W tej chwili jednak cała maksymalnie napięta już wiedziała na pewno. Tam ktoś był.

I wcale nie starał się ukryć swojej obecności. Usłyszała trzask odsuwanej szuflady. Korzystając z tego, że obcy zasłonięty był resztką filaru, błyskawicznie ukryła się za pniem sosny otoczonej jałowcami. Miała nadzieję, że cel jej obserwacji jest wystarczająco zajęty swoimi sprawami, żeby jej nie zauważyć. Policzką przyłgnęła do chłodnego drzewa, czując, jak jej serce powoli przestaje łomotać. Utkwiła wzrok w tym miejscu tarasu, gdzie powinien ukazać się nieznajomy czujący się najwyraźniej jak u siebie. Coraz bardziej czuła się bezpiecznie. Zostanie tak długo jak się da, zobaczy co się da, i ucieknie na kolację. A jutro być może pójdzie na policję, jeśli będzie miała z czym.

Bardzo dobrze. Wszystko według planu. Odetchnęła spokojnie, skupiając się na obserwacji obiektu. I oto sukces. W drzwiach prowadzących na taras pojawiła się męska postać. Wyprostowany, z rękami w kieszeniach dżinsów, z twarzą zwróconą na wprost kryjówki Marty stał Jan Reising. Całe jej zadowolenie z siebie zniknęło. Tego nie brała pod uwagę, choć powinna była. Zwyczajna bezmyślność.

Przez chwilę, która wydawała się wiecznością, marszcząc brwi, patrzył w jej kierunku w skupieniu dodającym jego rysom zaskakującej ostrości. Nagle zeskoczył jak kot z desek tarasu. Szybkim krokiem zbliżył się do Marty.

- A cóż to za idiotyczny pomysł, żeby zabawiać się w ten sposób! Kompletny brak instynktu samozachowawczego.

Pociągnął ją lekko, tak że oderwała się od pnia, który dawał jej złudne poczucie bezpieczeństwa.

- Chyba że pani jest z policji. - Uśmiechnął się.

Patrzył jej prosto w oczy, trzymając ręce na ramionach. Potrząsnęła przecząco głową, nie mogąc wydobyć z siebie ani słowa.

- To bardzo dobrze. Ostatnio nie byłem zadowolony z kontaktów z tą instytucją. - Urwał, jakby uciekając gdzieś myślami. - Ale to cię

przecież nie interesuje. Chodź, obejrzymy sobie naszą rudę jeszcze raz.

Marta nie mogła opanować sztywności mięśni, gdy obejmując ją delikatnie, ale zdecydowanie, poprowadził do tawerny.

- Wiedziałem, że zauważyłaś nieszczęsną latarkę i papierosy, tylko przez myśl mi nie przeszło, że będziesz się tu sama pchała i to o tej porze. - Teatralnym ruchem wyszarpnął rozsypującą się szufladę. - Potem, kiedy zobaczyłem, jaka jesteś spięta i opowiadasz o jakiejś zgubie, zrozumiałem, na co się zanosi.

Powoli dochodziła do siebie. Dodając sobie większej pewności, wsunęła rękę w kieszenie spodni.

- Po pierwsze jest jeszcze całkiem widno. Po drugie skąd pan się tu wziął, skoro zostawiłam pana ze wszystkimi w przedpokoju? Po trzecie - głos jej zabrzmiał maksymalnie zimno - ponieważ jest pan z dziesięć lat młodszy ode mnie, daruje pan, ale pańskie „tykanie” mnie nie zaszczyca i byłabym zobowiązana, gdyby pan się z niego wycofał.

Chyba się spieszył. Milczał przez chwilę, bawiąc się kawałkiem gałęzi przyniesionej przez wiatr.

- Przepraszam - powiedział łagodnie. - Nie wiedziałem, że panią tak zdenerwuję. Dla porządku wyjaśnijmy, że trzydziestka stuknęła mi już trzy lata temu, więc różnicę wieku mamy nieznaczną, a na oko ja jestem starszy. To nie komplement, tylko stwierdzenie faktu - uśmiechnął się. - Tak to już jest, że kiedy kogoś polubię i chcę się z nim zaprzyjaźnić, jestem przekonany, że on chce tego samego. Stąd ta bezpośredniość. Bardzo mi przykro. - Delikatnie pocałował ją w rękę. - Oczywiście winna jest pani uroda, tak wielka, że trudno się napatrzeć, ale ważniejsze, że w środku jesteśmy do siebie szalenie podobni. Jeśli to pani zbyt nie ubliża.

Urwał, oczekując na jakiś gest pojednania. Nie doczekał się i mówił spokojnie dalej:

- Co do punktu drugiego. Poruszam się szybko przez las, a droga robi niepotrzebne zakręty. Nic dziwnego, że byłem pierwszy. Na wszelki wypadek. Podłoże jest miękkie, las gęsty, umiem cicho chodzić, więc mogła mnie pani nie zauważyć. Teraz punkt pierwszy. Wprawdzie jeszcze nie jest ciemno, ale zaraz zrobi się nieprzyjemnie i nieodpowiednio dla kobiety samej w lesie. Nawet dla kobiety przekonanej, że tylko ona jest w stanie wyjaśnić tajemnicę Węgorzy. Proszę bardzo, tu rzeczywiście mamy schowaną latarkę. Nową,

błyszcząca. I jeszcze paczkę carmenów. Tyle że gołym okiem widać niedopałek ze śladami szminki. A głębiej - teatralnym gestem wskazał paczkę - „Delicje szampańskie”. Czy to jadają gangsterzy? Wprawdzie też są ludźmi, ale moim skromnym zdaniem odwiedziliśmy raczej miejsce romantycznych schadzek niż melinę kłusowników.

- Romantyczne delicje - skrzywiła się.

- Czemu nie? W czym są gorsze od butelki taniego wina? Bo na nic lepszego nie będziemy liczyć. W każdym razie o domniemanej jaskini Węgorzy należy raczej zapomnieć. Jeśli pani nie czuje się przekonana, to obejrzymy pomost. Proszę bardzo. - Już był na dole i podawał jej rękę.

Odruchowo ujęła ją i dała się zaprowadzić do żalostnej pozostałości po pomoście z na wpół zatopioną sporą łodzią wiosłową.

- To nie działa. - Potrącił butem ostatnią całą deskę, która natychmiast pękła. - Tylko samobójca mógłby się zainteresować takim urządzeniem. Wracamy?

Wzruszyła ramionami i w milczeniu skierowała się w stronę drogi. Reising znalazł się przy niej, najwyraźniej bardzo z siebie zadowolony. Szli bez słowa. Z satysfakcją dotrzymywała mu kroku.

- Nie za szybko?

Potrząsnęła głową. Panowała pełna napięcia cisza. Marta poczuła zniechęcenie. Gdyby została w Warszawie, mogłaby spokojnie odpocząć od wszystkiego. Nie słuchać niczyjego gadania. Nawet włączyłaby telewizor. Co, u licha, strzeliło jej do głowy, żeby brać się do podpatrywania jakichś kłusowników? I jeszcze dać się tak potraktować byle komu. Dobrze jej tak.

Te niezbyt miłe rozważania przerwał cichy głos Janka Reisinga.

- Kłusownicy z pewnością mogą nas nie obchodzić. Chyba że pomieszałoby się im w głowach, ale to nie w tej branży. Bardziej niepokoi mnie atmosfera, którą ktoś robi koło gospodyni. Strasząca pocztówka, otruty pies. Ktoś bardzo chce ją zdenerwować. Jeśli tylko dla zabawy, to czekają nas niezłe atrakcje, póki dowcipniś, z pewnością wariat, sam się nie wystraszy albo zostanie nakryty.

- A jeśli to nie zabawa, tylko coś więcej?

- Wtedy zobaczymy to coś więcej. Ale również tylko kompletny szaleniec, planując zrobić komuś prawdziwą krzywdę, bawi się

przedtem w taki sposób. A w najbliższym otoczeniu nikt na specjalnie chorego umysłowo nie wygląda.

.....Chyba że hrabia Drzyglód - zauważyła z troską.

Roześmieli się oboje.

- Rzeczywiście, na oko nie najlepiej z nim. Ale prędzej on stanie się ofiarą kogoś, kto nie wytrzyma z jego wdziękiem.

- Ma pan na myśli siebie?

- Nie, skądże. Ja jestem nieagresywny. Zresztą - westchnął z żalem - za kilka dni człowiek przyjdzie do siebie i koniec atrakcji.

- Chyba rzeczywiście jest pan nieagresywny. Czy to z racji zawodu? Słyszałam o rozładowywaniu napięć przez sztukę.

- Bardzo możliwe. Pani interesuje się plastyką?

- Nie, i nawet nie umiem powiedzieć, dlaczego. To mnie nie usprawiedliwia, ale jestem fizykiem.

- Zauważyłem przy obiedzie - uśmiechnął się. - Dużo pani pracuje?

- Ostatnio bardzo dużo i szybko. Kilka istotnych artykułów do upchnięcia w Stanach w liczących się czasopismach. Nadałam za duże tempo, wygrałam z czasem, ale czuję się wykończona. Namówili mnie na przyjazd tutaj, bo ktoś zrezygnował.

Reising kiwnął głową ze zrozumieniem.

- Całkiem jak ja. Nie mam zwyczaju śpieszyć się z robotą, a teraz niepotrzebnie zobowiązałem się do kilku terminów. Dotrzymałem, ale czuję się zużyty. Przede wszystkim emocjonalnie. Oczywiście też wysłano mnie w zastępstwie za kogoś. Brzydka pogoda, kleszcze, w sam raz dla mnie.

Marta myślami była już gdzie indziej.

- Właściwie nie ma powodu, żeby łączyć ze sobą te dwie afery, pocztówkę i likwidację psa. Straszyć przez pocztę mógł Wyrodek, ale pies pasuje też do Węgorzy. Gdyby na przykład gospodyni im się czymś naraziła.

- Widzę, że panią to naprawdę interesuje. Jasne, że o gospodyni nic nie wiemy i może być normalnie szantażowana, zastraszana. Może coś wiedzieć, czegoś nie chce zrobić. Czemu nie? Potem da się jeszcze kombinować, że Wyrodek i Węgorz to ta sama osoba.

- No, chyba pan przesadza. Tyle że obaj na „W”.

- Przesadzam. Ale proszę sobie wyobrazić. Taki Wyrodek, gdyby naprawdę chciał przyjechać, mścić się na ciotce, to zgrabnie by mu

było wystąpić w majestacie Króla Węgory. Jeśli oczywiście nie stać go na uczciwe zrobienie kariery.

- A czy taki Węgorz nie może prowadzić podwójnego życia? Na co dzień występować jako wzorowy obywatel, lekarz, urzędnik, menadżer, bo ja wiem kto, a w wolnych chwilach kierować gangiem?

- Trudno powiedzieć. Nie wiadomo, jak obciążające czasowo jest stanowisko Króla Węgory. Podobno grunt to dobrze zorganizować sobie czas. Ale między nami mówiąc, czy nie uważa pani, że węgorz z patelni w restauracji w Pomyślewie jest dla nas bardziej interesujący?

Powoli zbliżali się do domu. Niemalże na ich spotkanie wyszli stali bywalcy przechadzający się przed kolacją. Dodatek stanowiła uczepiona ramienia Niny Patrycja, której błękitne oczy na widok, Marty jakby straciły rozmarzony wyraz.

- Jak to miło, że państwo zdążyli już się zaprzyjaźnić i pójść na przechadzkę po lesie - stwierdziła dama. - Patrycjo, a ty cały czas nad książką...

- Miała zadane przy obiedzie, to co się dziwić - zauważył Krzyś z zaskakującą złością.

Marta nie chcąc słyszeć ciągu dalszego, lekkim, prawie tanecznym krokiem wskoczyła na schodki werandy. Tam ledwie uniknęła potknięcia się o markowe adidas Drzygłoda. Ich właściciel malowniczo oparty o ścianę ze skrzyżowanymi ramionami studiował widok ciemniejącego zachmurzonego nieba. Na jej powitanie przybrał wyraz tak jawnej pogardy, że z trudem powstrzymała wesołość.

W sieni odwróciła się do Reisinga.

- Widział pan, jak ten dobry człowiek na mnie spojrzał? Powinam się była przewrócić.

Skinął głową.

- Trzeba mu było przystawić lusterko jak bazyliškowi. Ale czy pani nie ma mi za złe tej kompromitacji?

- Że spacerowałam z panem? - Marta uniosła swoje ciemne, pięknie zarysowane brwi. - Myśli pan, że tak łatwo skompromitować fizyka teoretycznego? - Odruchowo spojrzała w lustro. Stał za nią spokojny i skupiony. Ich oczy spotkały się.

- Rzeczywiście chyba trudna sprawa. Pomyślimy, jak to zrobić.

- Na początek wkroczymy razem na kolację. Tłum już czeka przy stole.

W jadalni panowała grobowa cisza. Godziszewska wyglądała, jakby chciała zakomunikować coś ważnego, ale w końcu zrezygnowała. W przeciwieństwie do niej Patrycja, która swoje lniane włosy zaczesła w gruby warkocz, rzucała tylko spod obfitej, równej grzywki niechętnie spojrzenia to na półmisek z dymiącymi pierożkami, to na talerz z ciastem drożdżowym.

- Nie odchudzaj się, kochanie - odezwała się nareszcie Nina Boguszewicz zajęta przełykaniem farszu. - W twoim wieku trzeba zasilać organizm.

- A któżby się odchudzał na jej miejscu? Po prostu je po to, aby żyć, a nie żyje po to, aby jeść - wygłosiła jej mama.

Marta nie dziwiła się dziewczynie. Sama ledwie spróbowała tłustego nadzienia mięsnego, którego nie znosiła. Ciężkie i bez wyrazu.

Zdanie to najwyraźniej podzielał siedzący naprzeciw Drzygłód, zwyczajnie markujący obowiązkowe konsumowanie. Marta nie czuła już na sobie jego co najmniej niechętnego spojrzenia, przeciwnie, omijał ją wzrokiem, co uznała za jedyny plus ponurej kolacji.

- Na mnie najgorsze wrażenie zrobiła utopiona łódka - wyznała Beata Wolska. - Jakby coś powoli umierało na naszych oczach. A przecież kiedyś pływali nią ludzie.

- Tak, pływali, łowili ryby, żyli, cieszyli się - wtrącił Krzysz Nowakowski. - Wszystko się kończy. Ale nie jest tak źle. Jeśli się dobrze przyjrzeć, to widać całkiem nowy palik do wiązania łodzi. Ta przystań żyje - uśmiechnął się szeroko.

- Osobiście bardzo żałuję, że nie uprawiam żadnych sportów wodnych - ogłosiła Nina, zabierając się do ciasta. - Do dyspozycji mamy wprawdzie tylko łódź wiosłową, ale ci, którzy są urodzonymi wodniakami, chętnie z niej korzystają.

Zatrzymała pytające spojrzenia na Reisingu.

- Ja? - zaskoczony otworzył szeroko oczy. - Ja nie lubię wody.

- Jak to możliwe? Przecież pan wygląda na urodzonego żeglarza.

- Doprawdy? - Reising nie żartował. - Szanowna pani, czy ja mam zaniedbany zarost, jestem brudny, śpiewam prostackie piosenki, nie wstydzę się baraniego głosu i piję do żalostnego skutku obrzydliwe trunki?

- No, nie - broniła się słabym głosem.

- Wobec tego nie mam nic wspólnego z żeglowaniem i myślę, że nawet w chwili ostatniego upadku nie będę miał.

Zrobiło się cicho. Marta miała nadzieje, że ktoś powie coś w obronie sponiewieranych żeglarzy. Po prostu dla porządku. Jej samej, wyjątkowo, nic nie przychodziło do głowy.

- Pana opinia oczywiście jest powodowana bardzo wyrywkowym i niedokładnym odbiorem rzeczywistości.

- Drzygłód nawet nie odwrócił głowy w kierunku rzeźbiarza. - Ja, jak mi się wydaje, nie spełniam żadnego z podanych warunków, a nie odbiera mi to patentu sternika i przyjemności żeglowania, choć przyznaję, nie tak często, jak bym miał ochotę.

- Tutaj, po jeziorach? - wyrwał się Trzeciak.

- Nie, głównie po Bałtyku. Wracając do sprawy, żeglarze mogą się panu nie podobać, to pana sprawa, proszę jednak zauważyć - jego ton stał się jeszcze bardziej znudzony - że przestrzegają oni zasady pomocy każdemu w niebezpieczeństwie, co jest wręcz obce bohaterom chodzącym po górach, których z pewnością pan niezwykle poważa.

Reising skrzywił się, jakby przełykał coś gorzkiego.

- Czy poważam? Na szacunek może zasługiwać człowiek, a nie rodzaj sportu, jaki uprawia. Ja idę w góry, kiedy trzeba i czasem dla przyjemności. Alpinistów rzeczywiście obowiązują pewne konieczne prawa, ale innych one nie dotyczą. Mnie również i obym nie musiał tego udowadniać. Oczywiście bardzo się cieszę, że pana koledzy są skłonni wyłowić mnie z każdej wody, nawet najbrudniejszej. Nie będę tego testował.

- Na pewno bardzo słusznie - stwierdziła Wolska.

- Czy możemy liczyć na jakieś żeglarskie opowieści? Rzadko ma się okazję usłyszeć coś autentycznego.

Drzygłód przez chwilę zwlekał z odpowiedzią. Bawiąc się serwetką, przeniósł wzrok na Martę. Nie przepadała za tego rodzaju gawędami, ale może należałoby się przemóc i przywołać zachęcający uśmiech. Nie udało się. Pod kontrolnym spojrzeniem tego człowieka jej twarz pozostała nieruchoma.

- Państwo wybaczą, ale gdybym to zrobił, spełniłbym czwarty warunek, którego pan nie przytoczył, i zaliczyłbym się automatycznie do opisanej przez pana kategorii.

- Ale skądże znowu, pan Janek żartował - tłumaczyła Godziszewska i może by osiągnęła swój cel, gdyby w drzwiach nie ukazała się gospodyni z tak zdecydowanie zachęcającym wyrazem twarzy, że wszyscy poczuli się w obowiązku wstać i przenieść do miejsca prezentacji albumów rodzinnych.

- Nie chciałam państwa bardzo zanudzać, pomyślałam tylko, że przyjemnie by było popatrzeć na stare rzeczy. - Gospodyni wyglądała już na spokojniejszą. - Tu, w bibliotece, pracował mój ojciec. Miał antykwariat w Pomyślewie. Kiedyś to było duże miasto. Bardzo proszę, są dwa albumy. Panie redaktorze, czy pan ma miejsce? Tu pod lampą będzie najlepiej widać.

Wolski musiał się niezwłocznie odsunąć, żeby pod lampą rzeczywiście było miejsce. Trzeba przyznać, że protegowany gospodyni wcale nie kwapił się do skorzystania z jej uprzejmości. Wodził wzrokiem po ścianach, jakby rejestrując fakt, że przydałoby im się porządne odnowienie.

Zdjęcia były jak inne w albumach tego rodzaju. Gospodyni w kwiecistej sukience z włosami ułożonymi w loki. Niewiele poprawiły jej urodę. Nic dziwnego, że kobieta nie wyszła za mąż. Zbyt pulchna i bez wdzięku. Obok puste miejsce po zdjęciu. Znaczące spojrzenia oglądających. Tam musiała być fotografia Alicji.

- Jest jeszcze jeden taki mały albumik. - Sięgnęła na półkę, gdzie na szczycie sterty książek spoczywał kartonik zdobny w czerwono - złote różyczki.

- Ach, jeszcze to, proszę sobie posłuchać. - Ze sztucznym uśmiechem zdjęła go i otworzyła.

Melodia Miłość ci wszystko wybaczy spowodowała, że oglądający na chwilę przestali oddychać.

- To tak sobie po prostu do mnie przyszło. Nic ważnego, ładna, stara melodia. A ten album zdjęłam, bo właściwie jest nim jedno ważne zdjęcie. Proszę spojrzeć, to Ares. Mój przyjaciel z dzieciństwa. Był w naszym domu całe lata.

Zdjęcie przedstawiało naprawdę ładnego, zadbanego setera.

- Jutro dam je panu leśniczemu. Obiecał mi przywieźć takiego samego ze schroniska. Nazwę go też Ares. Nie chce pan spojrzeć, panie redaktorze?

Drzygłód bardzo niechętnie wziął album do ręki. Jako jedyny ani odrobinę nie starał się udawać zainteresowania pokazem.

- Nie lubi pan psów? - zdziwiła się Patrycja.
- Nie przepadam.
- Bardzo słusznie - pochwalił Reising. - Nie ma się czym zachwycać, nie dorównują kotom.
- Kotom? - ucieszył się Krzyś Nowakowski. - Czyżby pan był starym kawalerem?
- Z odzysku. Potrójnego. Miałem do tej pory trzy żony - wyjaśnił.
- Po kolei oczywiście. Ogromnie lubię się żenić.
- Pan sobie żartuje. - Godziszewska z trudem łapała oddech.
- Panie redaktorze - gospodyni zmieniła temat na właściwy - pan się specjalizuje w czym innym, ale proszę łaskawie spojrzeć na to zdjęcie. Czy jest udane?
- Owszem, bardzo dobre.
- Sama je robiłam. Chciałam, żeby było jak z filmu.
- Mogłoby być z filmu. Ten pan wygląda jak amant!
- wykrzyknęła Nina Boguszewicz.
Istotnie, spod bujnych, zaczesanych do tyłu, blond włosów patrzyły spokojne, pogodne, jasne oczy. Uroku dodawał uśmiech żywo przypominający ówczesne filmy amerykańskie.
- To mój kuzyn Ryszard.
- A co się z nim teraz dzieje? - nie dawała za wygraną Nina.
Gospodyni zacięła usta. Odłożyła albumy na miejsce, starannie umieściła fatalną pocztówkę tam, gdzie leżała poprzednio.
- Co pan sądzi o tym wszystkim, panie redaktorze? Może napije się pan kawy?
Drzygłód grzecznie, ale stanowczo podziękował. Reszta błyskawicznie zerwała się z miejsc i wycofała.
- Uff, czułem się jak w podstawówce, gdy pani nauczycielka miała ukochanego ucznia, syna dyrektora kombinatu. Taki sam cyrk z nim robiła - utyskiwał Trzeciak, gdy szczęśliwie znaleźli się na korytarzu.
- Czy to tylko kwestia pieniędzy? - dziwiła się Wolska.
- Trudno przypuścić. Muszę państwu powiedzieć
- Nina zniżyła głos - że z tego antykwariatu może i niewiele zostało fizycznie, ale na pewno jest całkiem pokaźny majątek. Gospodyni ma swojego doradcę w Mrągowie, z którym dbają o te sprawy. Dlatego może dawać nam tak przystępne ceny. Wynajmuje dla przyjemności i prestiżu.

- A największą przyjemnością jest lord Drzygłód
- stwierdził Wolski. - Ale i on, widzę, wyrwał się ze szponów gościnności i idzie tutaj. Życzymy państwu dobrej nocy.

Marta, choć zmęczona, spała źle. Śnił jej się wysoki mężczyzna z włosami związanymi w kucyk. Pochylał się nad nią z uśmiechem. Chyba była Florianem siedzącym na ziemi i mimo największych wysiłków nie mogła się podnieść ani odezwać. Mężczyzna właściwie nie miał twarzy, wiedziała tylko, że się uśmiecha i patrzy na nią intensywnie, jakby czegoś oczekiwał czy nawet się domagał. Potem wyciągnął do niej rękę, którą chciała uchwycić, ale nie mogła ruszyć swojej.

Rozdział 5

Obudziła się z uczuciem lęku, który nie ustępował, mimo że sen się skończył. Otaczało ją coś denerwującego. Dopiero po chwili zorientowała się, że chodzi o dźwięk. Cichy, ale bardzo dokuczliwy. Pewnie on ją zbudził, to dobrze, ale teraz nie pozwala jej dojść do siebie. Spojrzała na zegarek. Druga trzydzieści. Zrezygnowana opadła na poduszkę. Nie cierpiała wprawdzie na bezsenność, ale obudzona o tej porze zasypiała z trudem. Cóż za irytujący sen. Chociaż może lepsze coś takiego niż dowody probabilistyczne. Teraz trzeba wstać i ustalić, co tak żałośnie piszczy. Przerażliwie, a przy tym jakoś nienaturalnie.

Gdzieś za drzwiami. Nie zamierzając znosić tego ani chwili dłużej, Marta zdecydowanym ruchem wsunęła stopy w pantofle. Cicho, jak gdyby nie chcąc nikogo spłoszyć, wyszła na korytarz. Pisk niewątpliwie dochodził z za uchylonych drzwi biblioteki. Po zrobieniu kilku kroków po schodach zawahała się.

„Nie muszę niczego sprawdzać, mogę wrócić do siebie i dobrze zamknąć drzwi” - pomyślała i nagle serce podeszło jej do gardła. Oczywiście, przyzwyczajawszy się do ciemności, dostrzegły jakąś postać opartą o framugę.

- To tylko ja - usłyszała uspokajający szept. Reising w niebieskim dresie służącym za piżamę,

z miną, jakby w ogóle się nie kładł, otworzył szerzej drzwi do pokoju, oświetlając trochę siebie i korytarz wpadającym przez szybę światłem latarni z podwórza.

- Właśnie chciałem zrobić porządek z tym rzeźeniem, ale usłyszałem, że pani wychodzi, więc poczekałem.

- Czy pan jest wszędzie? - zapytała, przechodząc pod jego ramieniem przytrzymującym drzwi. Była zadowolona, że mówiąc cicho, nie zdradza drżenia głosu.

- Wszędzie gdzie trzeba i jeszcze w kilku miejscach - odpowiedział od razu. - Oczywiście to ta potworna pocztówka dogorywa. Dobijamy ją?

Pewnym ruchem zapalił lampę na stole i oskarżycielsko wskazał półkę, z której dochodził pulsująco płaczący dźwięk. Wydawała go rzeczywiście pocztówka z różami trochę zsunięta ze sterty albumów. Po przyściśnięciu jej pierwszą z brzegu książką zapanowała upragniona cisza.

- Nic samo z siebie nie zaczyna grać - stwierdziła Marta, obserwując swojego towarzysza, którego twarz wcale nie nosiła śladów świeżego przebudzenia. Z pewnością w przeciwieństwie do niej, ale przywykła do tego, że nawet nieuczesana, rozspana, w cieplej piżamie wygląda dobrze.

Reising z przekonaniem pokiwał głową.

- Jasne, ktoś musiał tu być i grzebać.

- I poszedł sobie, zostawiając taki alarm?

- Przysięgam, że to nie ja. - Scenicznym gestem położył rękę na sercu. - Wiem, że z każdą chwilą coraz bardziej uważa mnie pani za gangstera, ale proszę powiedzieć, co taki Węgorz robiłby wśród rodzinnych pamiątek. Nudziłby się. To szkaradztwo po prostu zjechało w jakiś czas po wyjściu gościa, bo je szturchnął albo źle odłożył.

- To prawda. Baterie były na wyczerpaniu i dlatego taki efekt. Powinien był pan słyszeć. Od dawna pan nie śpi?

- Od jakiejś godziny. Oczywiście wypadałoby coś słyszeć, ale przez dłuższy czas deszcz tak zacinał, że chyba zagłuszał wszystko. Nawet przez chwilę wydawało mi się, że ktoś chodzi po korytarzu, ale uznałem to za złudzenie. Niestety - uśmiechnął się przeproszająco - nie jestem słuchowcem. Dźwięki mnie nie interesują.

- Dokucza panu bezsenność? - Marta z niezadowoleniem stwierdziła, że wpada w ton egzaminatora.

- Nie, ale nie potrzebuję dużo snu. Wstaję wcześnie albo budzę się o tej porze. Lubię ją. Przychodzą mi wtedy do głowy najlepsze pomysły.

- Chyba najpotworniejsze. Przynajmniej tak funkcjonują ludzie. Ale wracając do tematu, jeżeli Węgorza nie interesują pamiątki, to kto to był? - Poczula, że robi jej się zimno. - Myśli pan, że tu łązi Wyrodek? Nocami?

- Być może nie tylko nocami. Chociaż na razie to raczej nasza wyobraźnia. I rzeczywiście może pora podsuwa za dobre pomysły. Lepiej chodźmy spać. Jeszcze jedno. - Spojrzał jej poważnie w oczy. - Proszę nikomu nie mówić, że pani cokolwiek widziała, a nawet słyszała. Dobrze?

Uśmiechnęła się z wyższością.

- Nic prostszego. Tu w ogóle nie mam ochoty się do nikogo odzywać. A w razie czego wyprę się.

Spała dobrze i czuła się wypoczęta, gdy słabe promienie słońca przekonywały, że warto spojrzeć na zegarek. Dochodziła siódma. Marzyła jej się mocna herbata, co było oczywiste w domu w Warszawie.

„Chyba jestem za stara na tego rodzaju wyjazdy i cudze widzimi się rano”. Myśl o tym, że nie pamięta, o której ma być śniadanie, pogorszyła jej humor. Na szczęście nikt nie ustawiał się w kolejce do łazienki, jak w jakimś potwornym domu wczasowym przed laty. Naokoło panowała cisza, nawet odgłosy krzątania się w kuchni dochodziły na górę bardzo słabo. Marta stwierdziła, że pewnie jak zwykle jest pierwsza, oczywiście, szkoda, że nie bardzo przytomna i już zaczyna ją boleć głowa z powodu braku herbaty. Wytarła puszystym ręcznikiem umytą w zimnej wodzie twarz. Mimo wszystko była zadowolona ze swojego wyglądu.

„Widać służy mi grasowanie po nocy z tak zwanym artystą” - zakpiła w myśli. „Ciekawe, pewnie ten potrzebujący mało snu odrabia teraz w łóżku nocne czuwanie”.

W pokoju przez chwilę zastanawiała się, co włożyć. Uznała, że szarym swetrem szetlandzkim do ukochanych drelichowych spodni zrobi wystarczającą łaskę otoczeniu i na pewno nie zmarznie. Problem, kiedy zejść na śniadanie, dręczył ją coraz bardziej. Zdecydowanym ruchem przypięła zaczesaną do tyłu grzywkę i szybko zeszła na dół.

Nie dochodząc do pustej o tej porze jadalni, zajrzała do salonu. Też wydawał się wyludniony, jedynie w fotelu w rogu, w relaksacyjnej pozie Wojciech Drzyglód skupiał się ze słuchawkami na uszach i książką na kolanach.

Marta z oficjalnym uśmiechem ustawiła się na linii jego wzroku.

- Dzień dobry. Czy pan może wie, o której zaczyna się tutaj dzień?

Drzyglód podniósł wzrok i zmierzył ją od stóp do głów chłodnym spojrzeniem. Powtórzyła pytanie, starając się nie zmieniać wyrazu twarzy. To samo. Mężczyzna nie racząc ani na moment zdjąć słuchawek, zimno i beznamiętnie oglądał ją dalej.

Nie miała ochoty na powtórne zadawanie pytania, a w dodatku poczuła, że przestaje się uśmiechać. Spokojnie podeszła do siedzącego w fotelu, jednym ruchem zdarła słuchawki z jego głowy i cisnęła je o

dywan. Z trudem powstrzymując się od rozdeptania ich, opuściła salon.

Zatrzymała się dopiero w drzwiach na werandę. Siedzący na schodkach Reising powitał ją uśmiechem.

- Tym razem coś słyszałem. Głuchy odgłos. Są jakieś ofiary?

- Jakie ofiary? Trzepnęłam tylko walkmanem o podłogę. -
Dopiero teraz poczuła zdenerwowanie

- Rozumiem, że zdarła go pani lordowi ze łba. Pomogło?

- Ani jemu, ani mnie.

- Czy jemu nie, to się jeszcze okaże. Natomiast dla pani, widzę, akcja w tym stylu to drobiazg. Często tak?

- Przecież nic mu nie zrobiłam - warknęła. Reising zaniósł się śmiechem.

- Całkiem jak na podwórku. Ale to pani zaczęła. Trzeba się pogodzić i przeprosić.

- Akurat! Ciekawe, co pan by zrobił na moim miejscu. Ten człowiek cały czas prowokuje.

- Mnie by pewnie nie prowokował. Ale dobrze mu tak. Już wie, jaki pani ma temperament, i będzie uważał.

- Ja mam temperament? - Marta rzuciła się jak ukąszona przez osę.

- To nic złego, a nawet bardzo dobrze. - Z nieukrywaną przyjemnością patrzył na jej wzburzenie. - Powiedziałbym, że trochę południowy temperament. Pani oczy w zasadzie są zielone - relacjonował - a teraz pociemniały prawie do czerni. Doskonale zgadzają się z pani rysami. Radziłbym pani zapomnieć o dobrym wychowaniu i wyładować złość na mnie. Jestem przyzwyczajony.

Udało jej się wykonać głęboki oddech.

- Brednie. Dla pana każdy będzie południowcem. - Znacząco i trochę pogardliwie obrzuciła wzrokiem jego krótkie, bardzo jasne włosy. Zauważył to.

- No, właśnie. Ten kolor chyba działa uspokajająco, prawda?

Może i działa. Mimo woli uśmiechnęła się.

- Nawiasem mówiąc, nie mogę zrozumieć tej mody u biznesmenów na golenie głowy. O co im chodzi?

- To mniej więcej tak, jak u kobiet z obcinaniem włosów po męsku. Wyróżnić się, zmienić coś w życiu albo zwalczyć chandrę. Więcej nie wiem, bo nigdy takiej chęci nie miałem.

- No właśnie. Ale jeśli ktoś to uczyni o tej porze roku, wtedy powinien mieć jakąś różnicę w opaleniznie. A u tego pana to, widać, stała obsesja.

- Proszę go o to zapytać.

Nie zdążyła odpowiedzieć, bo już mieli towarzystwo.

- Widzę, że od rana w dobrych humorach. - Bystry wzrok Niny Boguszewicz nie pominął żadnego szczegółu, od skórzanych kłapek Marty po świeżo ogoloną brodę Reisinga. - I pogoda się ustaliła. Ciepło, słońce wszystkim poprawiło nastrój, nawet pan Drzygłód jest taki uprzejmy. Dyskutowaliśmy przez chwilę o muzyce.

- A może by tak na śniadanie? - przeciągnął się Reising.

- Słusznie, nawet ja mam dzisiaj świetny apetyt, choć zwykle o tej porze nie mogę nic przełknąć. A pan? Słyszałam, że artyści rano nie jadają i w ogóle długo śpią.

- Ale tylko bardzo wielcy artyści. - Delikatnie przepchnął Martę przez drzwi. - Zapomniałem zapytać, jak pani spała.

- Doskonale - odpowiedziała udając, że poprawia przed lustrem włosy.

- Pamięta pani o umowie?

Zdziwił ją niepokój i zaskakująca powaga w jego głosie.

- Za kogo pan mnie ma? - Patrzyła dalej w lustro przyciągnięta odbijającym się w nim uważnym spojrzeniem niebieskich oczu.

- Czyżby pierwsza sprzeczka? - Jak spod ziemi wyrósł Trzeciak, z elegancją podając jej ramię. - Polecam towarzystwo spokojnych, kulturalnych ludzi.

Na szczęście biała kawa nie była obowiązkowa. Przed Martą pojawił się kubek pachnący mocną herbata. Było też mleko w dzbanuszkach. Pełnia szczęścia. Tylko niepotrzebnie miejsce naprzeciw zajął Drzygłód. Wolałaby mieć jakikolwiek inny widok. Choćby Patrycję, która z taką powagą smarowała masłem bułkę, jakby co najmniej naklejała znaczek na list polecony.

Tymczasem Drzygłód w milczeniu podsunął Marcie cukierniczkę. Podziękowała, krótko potrząsając głową, i sięgnęła po mleko niezadowolona, że mimo woli przybiera zacięty wyraz twarzy.

- Jak widać, państwo mają podobne przyzwyczajenia - odezwał się siedzący obok Trzeciak, patrząc na Reisinga. - Choć już myślałem, że pan Janek w ogóle pija tylko mleko.

- Mleko bardzo chętnie, ale tu jest za nisko, żeby wytrzymać bez herbaty.

- Herbata rozjaśnia umysł - przypomniała Patrycja.

Przed Martą i jej sąsiadem leżał tylko chleb. Drzygłód wyciągnął w ich stronę koszyczek z bułkami.

- Bardzo proszę, niech pani go tu przełoży - usłyszała Ninę Boguszevicz siedzącą z lewej strony.

Niezbyt chętnie sięgając po wiklinowe cudo, zauważyła, że ręka mężczyzny lekko drży. Na moment ich dłonie zetknęły się. Zdziwiła się, że dotyk jego smukłych palców jest ciepły i przyjemny.

- Jak państwo spali? Bo mnie zbudził jakiś pisk i coś chyba chodziło - zagadnął Wolski.

Godziszewska pedantycznie wygładziła obrus pod talerzykiem.

- Pewnie się panu zdawało w tej ulewie. Ja osobiście pewnie przez nią miałam okropny sen - zrobiła pauzę, nabierając tchu. - Oczywiście to przesady, ale współczesna nauka nie lekceważy niczego. Śniło mi się, że ten Wyrodek chodził tu po podwórzu. Ale nie szedł do nas, tylko tak jakoś w kierunku szopy.

- Jasna sprawa, plan łatwy do rozszyfrowania. - Trzeciak pociągnął łyk kawy. - Chciał mordować kury w kurniku. Po jednej.

- Szczęście, że gospodyni tego nie słyszy - westchnął Krzyś. - I tak ledwo się trzyma. Widziałem ją przed chwilą całkiem chorą.

- Snów nie należy lekceważyć. - Nina nałożyła na chleb plaster sera.

- Proponuję zaraz sprawdzić stan rzeczonoego kurnika - poradził Wolski.

Nikt się nawet nie uśmiechnął. Drzygłód odłożył sztucce i chłodnym Wzrokiem powiódł po współbiesiadnikach.

- Nie wiem, jak w kurniku, ale mój stan posiadania zmniejszył się tej nocy o pióro, które naiwnie zostawiłem w wewnętrznej kieszeni kurtki w korytarzu.

- Pióro? Pan żartuje! - Krzyś wytrzeszczył oczy.

- Daleko mi do żartów. To wprowadzie tylko zwykły Pelikan, ale byłem do niego przywiązany i nie umiem pisać długopisem czy innym przyrządem tego typu.

- I zostawił go pan w kurtce? - pokręcił głową Trzeciak.

- Byłem przekonany, że tutaj nie muszę zachowywać ostrożności. Teraz chciałem tylko uczulić państwa na te sprawy, bo mogę nie być jedyną ofiarą.

- Może... - zaczął Trzeciak, lecz urwał, bo wszyscy unieśli głowy zaskoczeni nagłym otwarciem drzwi do jadalni. Ukazała się w nich gospodyni zdradzająca zdenerwowanie, przy którym wczorajsze napięcie było niczym.

- Bardzo przepraszam, że w tym momencie przy śniadaniu - zająknęła się. - Ale muszę to powiedzieć. Zginęło - nabrała tchu - zginęło zdjęcie Aresa. Mojego psa z dzieciństwa. Państwo pamiętają. - Trzęsącą się ręką przeciągnęła po czole. - Zginęło w nocy. Nie wiem, po co to mówię, ale gdyby ktoś z państwa coś wiedział, bardzo proszę... - Nie dokończyła, znikając za drzwiami.

- Niesamowite - jęknął Krzyś. - Zauważcie, otruty pies, teraz skradzione zdjęcie setera, może to obsesja.

- Ale czyja? Ktoś chce kobietę wykończyć nerwowo. Powinno się natychmiast schwytać tego bandytę i odstawić na policję. To sadysta! - wybuchnął Trzeciak.

- Proszę państwa - głos Wolskiego drżał z emocji - zastanówmy się, czy tego mógł dokonać ktoś z zewnątrz.

- Teoretycznie tak. - W drzwiach pojawił się leśniczy. - Dzień dobry państwu, wiem o wszystkim. Oczywiście psa nie ma, nikt nie bronił wejścia. Natomiast zamek nie jest łatwy do otworzenia, okna zamknięte, żadnych śladów błota. W sumie rzecz mało prawdopodobna. Ale proponuję o tym na razie nie myśleć. Jasne, że dobrze jest uważać na swoje rzeczy, ale przede wszystkim proszę nie zapominać, że państwo przyjechali tutaj odpocząć.

- Dziękuję, że pan nam przypomniał. - Wolski odsunął talerzyk. - Szczęśliwie kiedyś wrócimy do domu i będziemy mogli leczyć nerwy po tych wakacjach.

- Może już skończyły się przykrości - uspokajała Godziszewska.

- Ale to się nazywa, że morderca jest wśród nas - przypomniał Krzyś Nowakowski.

- Jak na razie zwykły złodziejaszek - mruknął Reising, wstając od stołu.

- Całkowicie się z panem zgadzam - oznajmił dobitnie Drzygłód.

- Oczywiście, pan nie lubi psów, dla pana to nie jest morderca. - Nina Boguszewicz cisnęła serwetkę na stół. - Ja uważam, że zabić psa to jak zabić człowieka, albo jeszcze gorzej.

- Sądzi pani, że wszystko robi ten sam facet? - uniósł brwi Wolski. - Najpierw otruł kundla, potem ukradł zdjęcie setera, żeby się nad nim znęcać. Chyba rzeczywiście trzeba nie znosić psów.

- I wiecznych piór. - Krzyś nie mogąc powstrzymać histerycznego chichotu, również przemknął się do drzwi.

Marta nie chcąc rozstawać się z herbatą, została sam na sam z Drzygłodem, który ku jej irytacji nie poszedł w ślady pozostałych. Tkwił po prostu naprzeciw niej ze wzrokiem wbitym w obrus. Właśnie postanowiła choćby z ostatnim gorącym łykiem w gardle wstać i wyjść, gdy jej sąsiad uniósł głowę. Lekko opalone dłonie ułożył chyba umyślnie po to, by można było podziwiać ich kształt. Jego spojrzenie stało się niespodziewanie spokojne i ciepłe. Całkiem niechcący zapatrzyła się w szare, błyszczące oczy.

- Przepraszam - powiedział cicho.

Tego się nie spodziewała. Wiedziała, że powinna odpowiedzieć cokolwiek albo przynajmniej włączyć uśmiech. Nic z tego. Po prostu niezupełnie wiedząc, co robi, wstała i szybko wyszła z jadalni. Dopiero w chłodzie korytarza pojęła, jak się zachowała.

Wymyślając sobie od ostatnich idiotek i kwalifikując zdarzenie jako życiową kompromitację, wybiegła na dwór, szukając ratunku w świeżym powietrzu, a może i oczekując wsparcia od jedynej osoby, z którą mogła tu porozmawiać, a która z pewnością jak kot wygrzewa się przed domem.

Nie myliła się. Reising wprawdzie nie dyżurował pod werandą, ale widać go było na zwalonym pniu sosny. Tam, gdzie ściana lasu podchodziła do podwórza. Zamachał do niej z daleka.

- Przeprosił panią? - spytał zadowolony. Skinęła głową.

- Skąd pan wie?

- Mam artystyczną intuicję. A pani co na to? Zaczęła nerwowo oskubywać korę.

- Uciekłam jak dzikuska. Nie wiedziałam, jak się zachować.

- Spodziewam się. Jak rakieta do przodu i zawsze ostatnie słowo. Od dzieciństwa tak?

- Kiedy indziej opowiem. Zła jestem na siebie i nie wiem, co z tym zrobić.

- Jeśli się nie wie, to najlepiej nic nie robić. Coś się zawsze samo okaże. Raczej proszę mi powiedzieć swoje zdanie na temat ostatniej afery.

- Jakże tu może być zdanie? Wariat ukradł zdjęcie, ukradł pióro i poruszył pocztówkę. Ciekawe, co jeszcze wymyśli.

- Pewnie nic. Chodziło o zdjęcie.

- A pióro do napisania dedykacji? Bez sensu.

- Właśnie.

- Myśli pan, że to Wyrodek? - spytała, odruchowo zniżając głos.

- Myślę.

- I otruję psa? Nie wierzę.

- Ja też. Czuje pani, jakby go znała? Roześmiała się nerwowo.

- Chyba już tak. Ale nonsensowe pióro? Kleptomani? W końcu za coś siedział w więzieniu czy w poprawczaku.

- Pewnie nie kleptomani i pewnie w tym nieszczęsnym piórze leży rozwiązanie zagadki, o ile w ogóle będziemy ją rozwiązywać. Co pani robi przed obiadem?

- Aklimatyzuję się.

- Nie pójdzie pani ze mną obejrzeć bagna? Mam przecucie, że jeśli nie dziś, to wcale, bo wszystko rozmięknie.

Potrząsnęła głową.

- Nie chce pani być przeze mnie utopiona czy jest inny powód?

Marta wstała, wciągając dłonie w rękawy swetra. Słońce zaczęło chować się za chmury.

- Chyba by mnie pan tak bezczelnie pierwszego dnia nie utopił. Po prostu nie lubię wilgoci. Jeżeli znowu nie zacznie lać, po południu sama pójdę na spacer, ale w drugą stronę.

Właściwie dlaczego po południu, a nie teraz? Czyżby się bała wzruszenia, zdenerwowania, gdy będzie miała przed oczami tę płytę z nazwiskiem? Dlaczego to odkłada?

Automatycznie skierowała się ku schodom i tam oczywiście powitała ją Nina Boguszewicz.

- Dobrze, że panią dopadłam. Pogoda się kończy, mam nadzieję, że pani nie wybiera się na żaden spacer. Siądziemy sobie, poplotkujemy.

Pociągnęła Martę w tak zdecydowany sposób, że bez szamotaniny nie było mowy o stawianiu oporu. Na dodatek jak spod ziemi wyrósł leśniczy.

- Szczęście, że panie znalazłem. Chodźmy może gdzieś na bok tak, żeby nikt nas nie słyszał. O, właśnie, kuchnia jest chyba pusta. - Rozejrzył się dokładnie. - W sytuacji, jaka zaistniała, jest coś, co muszę powiedzieć przynajmniej paniom, kobietom, powiedzmy sobie - chrząknął zmieszany - najbardziej zagrożonym.

- Jak to? - nie wytrzymała Marta.

- Zaraz wyjaśnię. Otóż wczoraj tak od niechcenia spytałem pana Reisinga o malarza z Warszawy. Stanisława Borowskiego. Powiedziałem, że maluje las. Pan Reising przyznał, że owszem, zna go.

- To bardzo dobrze. Czy pan ogląda ten program przyrodniczy po dziesiątej? - Nina energicznie zgarnęła swój szal.

- Wcale nie tak dobrze. To znaczy, nie dla niego. - Oczywiście leśniczego błyszcząły. - Takiego malarza nie ma. Ja go wymyśliłem na poczekaniu. A on od razu mi przytaknął. Jeszcze dodał, że ten Borowski ma duży talent.

- Niesamowite. - Szal zsunął się na podłogę. - I co dalej?

- Pamiętałem wywiad z Janem Reisingiem w radiu. Interesuję się sztuką, to tradycja rodzinna. Mój ojciec był artystą ludowym. Otóż pan Reising, naprawdę wielki człowiek, udzielił pięknego wywiadu. Od niedawna mieszka w Warszawie, w ogóle urodził się w Starym Sączu. W żartach, gdy go spytano, czy jest rozmarzonym artystą z głową w chmurach, powiedział, że raczej nie, chyba tyle, że ostatnio zginęły mu dokumenty.

- Ach, wobec tego wszystko jasne. - Nina Boguszewicz pobladła.

- Tylko dlaczego podawać się za kogoś znanego? Bezpieczniej załatwić sobie papiery na nazwisko Kowalski. I co ze zdjęciem? Podobny?

- Zdjęcie oczywiście jest jego. Wszystko wygląda w porządku z wyjątkiem zamazanego roku urodzenia. O, byłbym zapomniął, głos ma niepodobny. On o tym wie i od razu się zastrzegł, że wtedy był przeziębiony. Ja oczywiście zaprzeczyłem, powiedziałem, że głos był całkiem niezmienny i jeszcze, że sposób wyrażania się ma identyczny.

- Bardzo mądrze. Nie może się domyślić, że pan coś podejrzewa. Powie pan policji?

- Jeszcze dzisiaj. Błagam, proszę się z niczym nie zdradzić, tylko uważać. - Spojrzał na Martę, która obdarzyła go najlepszą wersją swojego uśmiechu.

- Czy pan może przysiąc, że Stanisław Borowski malujący las na pewno nie istnieje?

- Przecież ja go wymyśliłem.

- To nie znaczy, że go nie ma, prawda? Gdybym panu w tej chwili powiedziała, że przed tygodniem widziałam jego wystawę, to co by pan zrobił?

Leśniczy otworzył usta, chcąc odpowiedzieć, ale tylko opadły mu ręce.

- A widziała pani? - wyjąkał po chwili.

- Nie, nie interesuję się tym. Dlatego oboje nie wiemy, czy taki ktoś chodzi po świecie. Być może wie prawdziwy lub fałszywy Jan Reising. Natomiast nie zdziwiłabym się, gdyby pan gdzieś kiedyś słyszał nazwisko Borowski, ono utkwilo panu w podświadomości i wypłynęło teraz, jako rzekomo wymyślone. Interesuje się pan psychologią?

Leśniczy nie był w stanie nic odpowiedzieć.

- Tak działa proces twórczy - wyjaśniła Nina.

- Oczywiście będziemy szalenie uważać - dodała Marta.

Udało im się niepostrzeżenie wydostać z kuchni. Marta dopiero w salonie poczuła, jak robi jej się zimno. Usiłowała zebrać wszystkie fakty, żeby je spokojnie przeanalizować. Ale dopiero za chwilę. Na razie czuła złość na leśniczego tak ostentacyjnie dumnego ze swej bystrości i genialnego spełnienia obowiązku tropiciela Króla Węgorzy.

- Pani to mówiła poważnie? - zagadnęła jej towarzyszka.

- Sama nie wiem.

- Wszystko jedno. A może po prostu pan Janek jest taki grzeczny, że przytakuje rozmówcy, żeby mu było przyjemnie.

- Może jest.

- Poza tym, moja droga, jedno wiem na pewno. Mówi naprawdę jak z południa Polski. Bardzo poprawnie, nawet elegancko, ale ja to słyszę. I wygląda na górala z tym wspaniałym profilem i opalenizną.

- No i sweter ma góralski - nie wytrzymała Marta.

Musiały przerwać, bo do salonu wkroczył Wojciech Drzygłód. Nie rozstawał się z walkmanem, czarne słuchawki na szyi stanowiły dyskretne uzupełnienie wzoru norweskiego swetra.

- Czy nie będzie paniom przeszkadzało, że wyłączę się z rzeczywistości i przeniosę w świat muzyki?

Marta poczuła bezsilną irytację. Z trudem wysłuchiwała odpowiedzi Niny sugerującej, że kanadyjski program o zwierzątkach na pewno stanowi znakomitą ilustrację do muzyki, wobec czego słuchawki okazują się zbędne.

Przymknęła oczy, bezskutecznie usiłując się skupić nad swoimi myślami. Zwykle udawało jej się to bardzo dobrze, ale teraz nic z tego. Postanowiła pójść do pokoju.

- Czy pani źle się czuje? - jak na miłośniczkę muzyki Nina Boguszewicz wyraziła swoją troskliwość chyba zbyt głośno.

Drzygłód spojrział na Martę badawczo, jakby chciał zadać jakieś pytanie, ale nie odezwał się.

- Wszyscy czujemy się nie najlepiej. - Do salonu wkroczyli Wolscy. - Proszę państwa, chyba trzeba spokojnie porozmawiać.

Drzygłód umiarkowanie zainteresowany zdecydował się wyłączyć walkmana.

- Sytuacja staje się niedobra - ciągnął Wolski. - Nie chcę przypominać o tym nieszczęsnym psie, ale jeżeli skradziono zdjęcie tuż przed wyjazdem leśniczego do schroniska, to znaczy, że ktoś chce dać do zrozumienia gospodyni, że zostanie bez obrońcy. Ktoś ją maltretuje psychicznie. I chyba wiemy kto.

- Wyrodek - szepnęła jego żona.

- Bandyta - ogłosiła Godziszewska, wchodząc. Patrycja subtelnie kołysząc biodrami, zajęła miejsce obok Drzygłoda.

- Może to nieszczęśliwy człowiek - odezwała się nieśmiało. - Przecież nie wiemy, czy naprawdę teraz jest bandytą. Nie powinniśmy oskarżać człowieka. Ja na przykład myślę, że to może być ktoś o bogatej osobowości.

- Raczej zerowej. - Ton Drzygłoda objawiał całą nagromadzoną dotąd pogardę i obrzydzenie - Nie potrzeba bogatej osobowości do tego, żeby kraść, podpalać i straszyć bezbronne kobiety. Nie chcę wspominać o kradzieży kieszonkowej, bo sam jestem jej ofiarą. Swoją drogą - odetchnął, wyładowując pierwszą złość - powinniśmy szybko

zorientować się, gdzie ten człowiek jest i do czego zmierza, a w następnym kroku uniemożliwić mu to.

- O to właśnie chodzi - przytaknął Wolski. - Gwoli ścisłości, nie musi chodzić o mężczyznę. Pamiętajmy, że Wyrodka widziano z jakąś kobietą. Mógł ją przysłać dla zmylenia.

- Jak wyglądała? - odezwała się Marta przez zęby.

- Bo może chodzi o mnie. Po prostu uwielbiam czarne charaktery, więc może to mój chłopak.

- Ma pani naprawdę dziwne poczucie humoru - jęknęła Godziszewska.

- Lepsze takie, niż żadne - Marta już weszła na dość wysokie obroty. - A ten Wyrodek coraz bardziej mi się podoba, zwłaszcza jako narzeczony. Ile on ma lat?

- Około czterdziestu. - Leśniczy stał w drzwiach.

- Nie wiemy dokładnie, kiedy się urodził, bo jego matka przywiozła go tutaj tylko raz, kiedy miał około dziesięciu lat. Może siedem, najwyżej dwanaście. Możliwe, że jest przystojny, ale proszę nawet tak nie żartować.

- Wcale nie żartuję, podoba mi się i już.

Po raz pierwszy dzisiaj zadowolona z siebie wyprostowała nogi w sfatygowanych spodniach, czując się jak nastolatka.

- To doprawdy urocze, że się pani podoba - nieoczekiwanie odezwał się Drzygłód. - Szalenie oryginalne i wszyscy są pod wrażeniem. Z tą poprawką - jego głos stał się bardziej nosowy i pogardliwy niż zwykle

- że niektórzy, oczywiście nie bandyci, woleliby, żeby dama spokojnie raczyła zaczekać, aż się nią zainteresują, zamiast tak po prostu zgłaszać swoją gotowość. Pragnę również zauważyć - zmarszczył brwi - że byłoby to zachowanie znacznie bardziej właściwe dla pani klasy społecznej, której przecież, mimo deklaracji, ani na chwilę by pani nie opuściła nawet dla najgroźniejszego pirata.

Marta poczuła się, jakby przeszył ją prąd elektryczny.

- Klasy społeczne rozróżniam, łaskawy panie, dwie. Mądrych i głupich. I rzeczywiście ze swojej wyjść nie zamierzam. Pozerów natomiast do żadnej nie zaliczam, bo w ogóle ludźmi nie są. Stanowią tylko chwilowe nieprzyjemne zaburzenie czasoprzestrzeni.

Ostatnie zdanie wygłosiła już w drzwiach frontem do sali. Nie wiedząc kiedy, znalazła się na korytarzu.

- Co się ze mną dzieje? Znowu uciekłam. - Z zamkniętymi oczami odchyliła głowę do tyłu, oparta o chłodną boazerię. - Mogłam zostać, posłuchać, co ten typ ma do powiedzenia.

Przecież zawsze tak robiła, a i tak do niej należało ostatnie słowo. Znajomi żartowali, że nawet w awanturze musi skończyć dowód. Tylko brakuje c.b.d.o. A teraz? Co się tutaj z nią dzieje?

Jakby chcąc odpowiedzieć na to pytanie, ze spiżarni wyłoniła się Antoniowa, jak zwykle poprawna w niebieskiej bluzce zapiętej pod szyję i wykrochmalonym fartuchu. Gładko spięte czarne włosy, rysy jak wyrzeźbione w drewnie, na pierwszy rzut oka w niczym nie przypominała córki.

- Schowała się pani? Zmęczona ludźmi? - Zlustrowała ją wzrokiem, który wprawdzie mógł zepsuć humor, ale nastroju Marty nie mógł już pogorszyć. - Ja się tak przyglądałam, jaką ma pani piękną figurę. Dzieci pani nie miała? A męża? To i dobrze, jeszcze czas. Nic dobrego z tego dla kobiety nie ma. Mój niedługo mi umarł. Zostałam z córką i co z tego? Sama jestem. Oleńka dobre dziecko, ale... - machnęła ręką. Każdy człowiek cały czas sam ze sobą i sam dźwiga swój krzyż. Napije się pani kwaśnego mleka? - Zapraszająco otworzyła drzwi do kuchni. - Pięknie się zsiadło. - Szybkim ruchem wyjęła z kredensu dwa mniejsze gliniane garnki. - Przelejemy, nastawimy nowe. Widzi pani sama, na przykład moja gospodyni. Bo to przecież już żadna tajemnica. Nieszczęście na stare lata. I kto by przypuszczał, że tak się to skończy. Niby nic dobrego się nie zapowiadało, jak się zaczęła Alicja z tamtym spotykać. Nieboszczyk pan ją wypędził, jak powiedziała, że wyjdzie za niego. Żal było patrzeć, ale nie płakała. Wyszła po prostu i nie wróciła.

- Pani już wtedy była tutaj.

- Od dzieciństwa tu służyłam. Potem parę lat na swoim. Kiedy męża zabrakło, dziecko wzięła mama moja, a ja wróciłam na chleb pracować. - Powoli, starannie wycierała ręce białą ścierką. - Jak dziś pamiętam naszą Alicję, jak tu przyjechała. Wdowa z małym chłopczykiem. Oboje zmarznięci w cieniutkich płaszczykach, a takie zimno było. Pani nasza gospodynią już wtedy sama była, drzwi im pokazała. Do tego pijaka Floriana wysłała. Dla drwiny chyba. Patrzeć nie mogłam, po kryjomu małemu kawałek ciasta w kieszeń włożyłam. Tylko tyle, bo sama grosza nie miałam.

- A on jak wyglądał?

- Nieduży był, drobny. Z dziesięć czy dwanaście lat, a dałoby się mu osiem. Jasne włoski, duże oczka niebieskie, nosek trochę zadarty, jak aniołek... - urwała nagle. - I gdzie skończył? Za kratami. Nigdy człowiek nie wie, co z dziecka wyrośnie. Czasem myślę sobie: dobrze, że Alicja tego nie doczekała.

- A pani gospodyni za mąż nie wyszła?

- Nie wyszła. Kręcili się tu różni, nie powiem. Ale im głównie o majątek chodziło. Żadnego nie chciała. - Zamilkła nagle. - Ano nieszczęścia tylko same. Jeszcze ci bandyci od węgorki. Swojego króla niby mają przysłać. Strach myśleć, nawet bez psa zostaliśmy. Podły bandyta. - Zacięła usta. - Nie dziwne, że gospodyni poszła do siebie z bólem głowy, niech sobie odpocznie, biedaczka.

Pogoda jeszcze taka niedobra. - Krytycznym spojrzeniem oceniła pochmurne niebo. - O, pan artysta wraca. Widać, że z bagien - rzuciła niechętnie, przenosząc szybko badawczy wzrok na Martę. - I po co mu to? Błota się ludziom zachciewa. - Wzruszyła ramionami. Reising wszedł prosto do kuchni.

- Wpadłem do bagna - oznajmił pełen dumy, a jego buty i częściowo garderoba świadczyły o prawdziwości tych słów. Jasne włosy zostały przyozdobione czarnymi kroplami, oczy na przekór promieniały zadowoleniem, jak po odniesieniu życiowego sukcesu. Nie zrażał go nawet zimny, potępiający wzrok Antoniowej.

- Czarci Przesmyk jest rewelacyjny. Taka nieruchoma zastygłość, w której jednak wszystko po cichu żyje, rusza się, a głębiej może nawet kipieć. Jakby czekało w gotowości do czegoś szczególnego.

- Rzeczywiście szczególnego - stwierdziła Marta. - Utopienia pana. Chyba już nawet zaczęło swoje dzieło.

- Nie mogłem się powstrzymać od bliższego kontaktu. Ale nie ryzykowałem.

- Akurat. Jak każdy topielec.

- Pierwszy raz w życiu widziałem bagna. Myślę teraz o takim happeningu. Tylko że to trudna robota. Ale może wyjść świetnie. Kolega elektronik zrobiłby mi akustykę. Dziękuję pięknie za mleczko. Doskonale. On da sobie radę i wyprodukuje mi takie syczenie i bulgotanie, jak tam było. O czym panie mówiły? Plotki?

- Oczywiście - podchwyciła Marta - o przeszłości, miłości.

- Bardzo słusznie. Jedyne, o czym warto rozmawiać. A propos przeszłości, gospodyni pokazywała nam takie piękne zdjęcie

przystojnego człowieka. Nazywał się Ryszard. Kto to był? Ktoś z rodziny? Efektowny, że trudno zapomnieć.

Antoniowa pokiwała głową, patrząc na ścianę lasu za oknem.

- Właśnie. Trudno zapomnieć. Nie chciałam o tym mówić, ale dzisiaj taki dzień jakiś dziwny... To dalszy kuzyn gospodyni. Przyjeżdżał na wakacje, w jednym wieku byli. Śliczny chłopiec, dobrze wychowany. Słowa nigdy nie powiedziała, ale widać było, że jest bardzo za nim. Młodziutka była, wyglądało, że jej przejdzie.

- Nie przeszło. - Pokiwał głową Reising.

- Ano nie. Rodzice może by ich chętnie widzieli razem. On był taki bardzo miły, mogła sobie coś obiecywać. Mnie to się tak widziało - westchnęła - że on bardziej patrzył na Alicję, choć starsza od niego była. Ona się już wtedy spotykała z tym swoim. Piękna to była dziewczyna. Jeszcze piękniejsza, że zakochana.

- I co z tym kuzynem? - nie wytrzymała Marta.

- Tak wyszło, że nic. Przestał przyjeżdżać. Poszedł na studia, ożenił się.

- Nie widziała go już?

- Widziała. - Antoniowa machnęła ręką. - Wy jesteście uczciwi ludzie, to widać. A czasem dobrze coś powiedzieć, lżej człowiekowi. Raz go zobaczyła. Na wczasach. Do Sopotu pojechała. On jej nie poznał, był z żoną i córeczką. Dziecko podobno strasznie rozpuszczone, latało, psociło, jak chłopak prawie. Tylko złote loczki miała po ojcu. Ona pewnie nie powinna była słuchać, co ludzie gadają, ale nie mogła się powstrzymać. Jakieś kobiety opowiadały sobie, że dziecko takie rozpaskudzone, bo jedno i długo czekane. Więcej dzieci mieć nie mogli. Tyle słyszała, pewnie niepotrzebnie.

- A dziewczynka, wiadomo, jak miała na imię?

- O imieniu nic nie wiem. Tyle że ładna i mała. Teraz musi być dorosła i piękna.

- Niechże jej będzie na zdrowie. - Marta zdecydowała się podnieść z taboretu. - I proszę odradzić temu panu - wskazała na Reisinga - dalsze włóczenie się po podmokłych terenach, bo sam wykona plumknięcie i bulgotanie bez pomocy elektroniki.

Wspinając się po schodach, pomyślała odruchowo o wygodnym tapczanie, ale już w pokoju przeszła jej ochota na kontemplację sufitu. Po raz pierwszy tutaj zapatrzyła się w okno. Uchyliła je i zaczęła wdychać świeży, wilgotny zapach. Nie zanosilo się na poprawę

pogody. To oznacza konieczność przesiadywania w salonie i wysłuchiwania nonsensów. Nie, dość tego. Wyjeżdża jutro. Jedyne, co straci, to finał afery z Wyrodkiem. Jeśli w ogóle będzie jakiś finał. W Warszawie potem spokojnie dowie się wszystkiego. Tylko właściwie od kogo? Odruchowo, wbrew wszelkiej logice nasunął jej się na myśl Drzygłód. Chyba zwariowała. Jedno, co jest pewne, to że nie rozmawiają ze sobą. Dobrze, poświęci się i weźmie telefon od pani Niny.

W tym momencie powietrze przeszył przeraźliwy krzyk dochodzący z parteru i rozchodzący się po całym domu. Marta sama nie wiedziała, kiedy znalazła się na dole.

Na końcu korytarza zebrał się tłumek. Antoniowa już nie krzyczała.

W swoim pokoju na dywanie z zaciśniętymi wokół szyi rajstopami leżała martwa właścicielka domu.

Rozdział 6

- A więc stało się - stwierdziła Nina Boguszewicz.

- Trzeba wezwać policję - oprzytomniał leśniczy. - Pokój zamknąć.

- Chwileczkę. - Na twarzy Trzeciaka pokazał się rumieniec. - Póki co, można się trochę rozejrzeć. O, proszę!

Może i nikt z zebranych by nie zauważył, że tuż koło nóżki narożnej komody z lustrem mało widoczny, bo kolorem wtopiony we wzór dywanu, leżał niemiecki zegar kwarcowy. Wskazówki pokazywały dziesiątą trzydzieści dwie.

- Stoi - dodał lakonicznie Trzeciak.

- Mamy godzinę morderstwa - szepnęła Wolska.

- Stary numer z kryminałów - zaśmiał się nerwowo jej mąż. - Myślał, że się nabierzemy.

- Ma pan rację - pokiwał głową leśniczy. - Tylko że tego zegara się nie nastawia. Od kilku miesięcy ma urwaną śrubkę. - Zdecydowanym ruchem uniósł słuchawkę telefonu. - Policja wszystko wyjaśni. Do nas należy przede wszystkim zachowanie spokoju.

- Oczywiście nie możemy opuszczać domu, prawda? - uściślił Krzyś.

- Chyba nikt nie będzie takim idiotą - parsknął Wolski, zabierając żonę na górę.

Marta jak lunatyczka powlokła się za nimi. W połowie schodów musiała przystanąć. Nigdy w życiu nie pragnęła silnych wrażeń, ale teraz poczuła jakby ulgę. Tuż obok ktoś dokonał zemsty. Miał powód - zmarnowane życie. Ona swojego nie zmarnowała, ale mścić się miała za co. Matka ledwie wiążąca koniec z końcem, wyizolowana, jakoś tolerowana przez sąsiadów dzięki temu, że umie być użyteczna. Ona sama wzrastała w poczuciu krzywdy, cały czas walcząc z wpajaniem jej przekonaniem, że jest inna. Ktoś jest za to odpowiedzialny, nie dał jej i nie da zadośćuczynienia. Czy mogłaby się zemścić? Czasem chciała. I wtedy nie lubiła siebie za te myśli. Wypływały z tych cech charakteru, których u siebie nie lubiła. Potem, dla odmiany, poczucie niespełnionego obowiązku. Obowiązku wyrównania rachunków. Teraz pewnie ktoś rachunek wyrównał. Ulga, że wcale tego nie pochwała. Przeciwnie, czuje wstręt, potępią.

Oparta o ścianę na zakręcie schodów, przymknęła oczy w skupieniu.

„Nie przebaczam. Ale wystarczającą zemstą już jest to, że pod każdym względem, fizycznie i umysłowo, jestem lepsza”.

Nieoczekiwana świadomość załatwienia własnej sprawy dodała jej siły. Gdy zobaczyła wchodzącego bezszelestnie po schodach Reisinga, nawet się uśmiechnęła. Wyciągnął ku niej ramię, uprzedziła go, ruszając na górę.

- Mówiłeś, że Wyrodek za porządnym, żeby psa otruć, a tu zobacz, co zrobił - odezwała się półgłosem.

- Wcale nie mówiłem, że porządnym - sprostował również cicho. - O ile mnie dobrze poinformowano, to mu się dzisiaj niebaczenie oświadczyłaś. Nie martw się, w tej sytuacji wolno ci się wycofać. Ale do rzeczy. Czy słusznie domniemuję, że przy tej okazji zostałaś obrażona jako kobieta? Pytam, bo jeśli tak, to trzeba rzecz raz - dwa załatwić.

Marta patrzyła na niego szeroko otwartymi oczami, nie mogąc całkowicie przestawić się na aktualny temat.

- Dam w zęby naszemu lordowi i po sprawie.

- Broń Boże. Żadnej rozróby.

- Ale to zajmie dwie minuty. I zaraz potem załatwię herbatę.

- Nie waż się nic robić. Nie jestem obrażona. Przyjrzał się jej podejrzliwie, wyraźnie zawiedziony.

- Twoja wola. Ja osobiście lubię porządek w tych sprawach, ale jak chcesz. Poczekaj w pokoju.

Zanim zdążyła coś powiedzieć, zbiegł na dół. I nawet na dobre nie usiadła, gdy już stukał do drzwi.

- Wyszabrowałem jeszcze ciasto. Obiad będzie nie wiadomo kiedy, a ty nie powinnaś być głodna.

- Bardzo dobrze. Wstyd, że nie odebrało mi to wszystko apetytu. Ale przywróciło rozum. Mówię do ciebie przez „ty”, tak jak powinnam od początku.

- Ciekaw byłem, kiedy to zauważysz.

- Podejrzewasz u mnie taką sklerozę, że nie wiem, co robię i nie rozróżniam słów?

- Uważam, że jesteś rozkojarzona, myślami daleko, pochłonięta własnymi sprawami.

- Właśnie czuję, że ze mnie spadły.

- Po wstrząsie to się zdarza.

Normalnie bywała po imieniu nawet ze studentami starszych lat, z którymi łączyła ją praca. Dlaczego na niego zareagowała w ten sposób? Czy ostrzegał ją instynkt?

- Myślisz, że morderca jest tu, w tym domu?

- Pewnie tak. Mam nadzieję, że nie podejrzewasz mnie, choć zostałem awansowany na Króla Węgorzy.

- Rzeczywiście. Dlaczego tak wyszło? - zauważyła, że znowu zaczyna zadawać pytania, jak na egzaminie.

Uważnie przyjrzała się skupionej twarzy mężczyzny, który ze zmarszczonymi brwiami patrzył w dal, może zastanawiając się, czy powiedzieć prawdę, czy wymyślić bardziej wiarygodną od rzeczywistości bajkę. Jeśli ma mu postawić stopień, to na pewno piątkę. Albo za oszustwo, albo za uczciwość, jeszcze nie wiadomo. Ale na pewno ani pół stopnia mniej.

Jego opalone, silne dłoni spokojnie spoczywały na stole, zawinięte rękawy odsłaniały muskularne, nawykłe do pracy fizycznej ręce. Przeniósł wzrok na Martę i spojrzał jej prosto w oczy.

- Moja wina. Ten dobry człowiek z miejsca sklasyfikował mnie jako gangstera. Bez ryzykowania choćby odrobiny pracy myślowej. Absolutnie pewny siebie i swojej błyskotliwości. I dlatego umyślnie podłożyłem mu się, że znam tego Borowskiego, czy jak mu tam. Jeszcze bredziłem coś o zmienionym głosie w wywiadzie, żeby było, że się asekuruję. Swoją drogą, przeziębiony wtedy byłem naprawdę. - Pokręcił głową z dezaprobatą. - Jaką miał minę! Jak drapieźnik, który pochwyił ofiarę. Ale to była zbyt łatwa zdobycz.

- Właściwie, to jesteś bardzo nie w porządku. Wprowadziłeś w błąd człowieka, który wypełniał swoje obowiązki służbowe. I to ważne obowiązki. Nikt nie lubi kłusowników.

- Masz rację. Postąpiłem złośliwie i nieuczciwie, bo zirytowało mnie, że mnie sobie upatrzył i od razu chciał upolować. Czy uważasz, że powinienem go przeprosić i powiedzieć prawdę?

Roześmiała się.

- Niezły pomysł. Ty byłbyś w porządku, a on by cię jeszcze bardziej podejrzewał. Wiesz, lepiej zostaw to tak, jak jest.

- Bardzo dydaktycznie - ucieszył się. - Naucz się najpierw myśleć, potem mówić.

- Jak na artystę - spojrzała przeciągle - to chyba trochę nietypowe. Powinieneś funkcjonować całkowicie na luzie i odzywać się absolutnie spontanicznie.

- Zgodzę się, ale - rozłożył bezradnie ręce - ja przecież jestem Węgorkiem i to najważniejszym. Nie mogę sobie pozwolić na taką beztroskę.

Marta o mało nie udławiła się ciastem.

- I dziwić się, że mówiłeś o trudnościach z policją. Musisz wyprowadzać z równowagi każdego, kto nosi mundur.

Reising w zakłopotaniu usiłował zwichrzyć swoje gęste, kręcone włosy.

- Może nawet nie trudności, ale moje ostatnie kontakty z tą instytucją skończyły się dla mnie zdecydowanie niekorzystnie. Właściwie fatalnie. Obiecuję ci, że to kiedyś opowiem. Zgoda? - Skinęła głową. - A co robimy ze sprawą? Myślimy czy udajemy, że nic się nie stało?

- Myślimy i udajemy, że nic się nie stało. Sądysz, że dziesiąta trzydzieści dwie to naprawdę ta godzina?

- Jeśli wszystko jest dokładnie tak, jak mówią, a zegarek nie stanął na przykład wczoraj, to rzeczywiście jest ta godzina.

- Czy to nie za prymitywne?

- A czy duszenie bezbronnej kobiety rajstopami nie jest prymitywne i wulgarne? Ale zgadzam się z tobą, że może być całkiem inaczej na mnóstwo różnych sposobów.

- Czy ktoś z tych ludzi wygląda na takie ohydne zwierzę?

- W ogóle nikt nie sprawia wrażenia chętnego mordować. Nawet elegancko.

- O przepraszam - spojrzała wyniośle - lord Drzygłód. W czarnych rękawiczkach wsypujący truciznę. Widzę go w tej roli.

- Ale ten nie wsypał, tylko po prostu udusił. A tu sami porządni ludzie. Co za wstyd.

- A może to Węgorz. Jego chyba stać na takie metody.

- Pewnie, czemu nie. Policja oczywiście drogą błyskotliwego śledztwa wyjaśni wszelkie wątpliwości. W dodatku zdaje się, że prężni i wspaniali przedstawiciele prawa właśnie się zjawili. Chodźmy, zanim nas siłą ściągną na dół.

Rozdział 7

Marta nigdy nie uważała się za amatorkę powieści kryminalnych, toteż niewiele obiecywała sobie po rozmowie z młodym policjantem z Pomyślewa.

Chociaż, musiała to przyznać, zaskoczył ją bystrym wyglądem i gdyby był jej studentem, pewnie należałby do tych bezproblemowych.

Z uśmiechem, zapewne służbowym, policjant patrzył na nią uważnie i chyba z ciekawością. Marta przyzwyczajona do zainteresowania ze strony mężczyzn bez względu na ich wiek nie zwróciła na to większej uwagi, natomiast speszyło ją, że ten chłopak najwyraźniej spodziewał się od niej pomocy w postaci jakichś sensownych informacji czy uwag.

- Czy pani znała kogokolwiek z tych państwa przedtem?

- Absolutnie nikogo.

- A pana Reisinga? Potrząsnęła głową.

- Czy w Warszawie pani o nim słyszała?

- Nie interesuję się sztuką. Zresztą podobno w Warszawie zamieszkał od niedawna.

- Czy opowiadał pani o sobie?

- Nie. Tylko tyle, że miał trzy żony. - Poczula się zabawnie. - Ale to fakt powszechnie tutaj znany.

- Zgadza się i to wystarczy. A czy ktoś może ostatnio był zdenerwowany?

- Wszyscy - odparła bez namysłu. - Atmosfera od początku jest podgrzewana.

- Przez kogo?

Dobre pytanie. Nie potrafiła na nie odpowiedzieć Właściwie przez wszystkich. Każdy robi to na swój sposób. Nawet nic nie mówiąc.

- Czy zachowanie gospodyni świadczyło o tym, że się kogoś szczególnie obawiała? Czy może do kogoś z gości miała inny stosunek niż do pozostałych?

Marta poczuła, że się peszy.

- Część gości to stali bywalcy, uważają się prawie za domowników, inni są po raz pierwszy. To oczywista różnica.

- Jasne. Czy ktoś może często szukał towarzystwa gospodyni albo ostentacyjnie jej unikał?

Pokręciła głową.

- Raczej wszyscy byli zajęci mówieniem o niej. Nią samą raczej się nie zajmowano.

- Z pewnością ma pani rację. - Podziękował jej. Wyszła z poczuciem niespełnionego obowiązku, ale zadowolona, że to koniec rozmowy. Na pewno mogło być znacznie gorzej. Z ulgą opadła na fotel w salonie. Wokół zgromadzeni po raz pierwszy nie tylko nie przejawiali ochoty do rozmowy, ale nawet nie patrzyli na siebie.

Wojciech Drzygłód zastosował podwójną izolację w postaci słuchawek i książki, Godziszewska skupiała się nad „Przekrojem”. Pomiędzy nimi Patrycja wpatrywała się w ścianę tak intensywnie, że chyba mogła wprowadzić się w trans. Trzeciak pogrążył się w lekturze przewodnika, a Wolscy wertowali program telewizyjny.

Marta chciała już wrócić do siebie, gdy w drzwiach stanął Reising. Przebrany po nawiązaniu znajomości z bagnem, w jasnoniebieskiej koszuli, nienagannie czystych, choć sfatygowanych dżinsach i odpowiadającej im kamizelce wyglądałby miło, gdyby nie spory nóż, którym malował od niechcienia esy - floresy w powietrzu.

Miała ochotę w dyskretny sposób przywołać go do porządku, ale gdy zobaczyła, jaką radością błyszczą jego oczy, pomyślała, że jeśli nagle wraca do poziomu dwunastolatka, to lepiej mu nie przeszkadzać.

- Chciałem tylko państwa uspokoić co do autentyczności mojej osoby. Niestety, nie mam jak udowodnić, że nie jestem Węgorzem, a tym bardziej ich królem, mogę natomiast zrobić pokaz sztuki przez średnie „s”. Poproszę ten program, i tak jest z zeszłego tygodnia. - Odebrał oniemiałemu Wolskiemu gazetę. - Położymy go, żeby nie nabrudzić.

Okazało się, że w drugiej ręce dzierży rzeczywiście niezbyt czysty korzeń.

- Przywlokłem go sobie z bagien - rozprawiał, sadowiąc się za stołem dokładnie pokrytym kolorowymi stronami czasopisma. - Udało mi się znaleźć na tyle suchy, żeby dał się użyć. Zostawiłem go przed gankiem, chciałem wydłubać coś dla gospodyni, ale nie zdążyłem. Teraz niech pomoże mi naprawić nadszarpniętą opinię. Razem z tym dzielnym nożem od pani Antoniowej. - Obejrzał ostrze pod światło. - Dla mnie każdy jest dobry, byle nie był całkiem tępy.

Publiczność jak zahipnotyzowana śledziła każdy jego ruch, nie odrywając oczu od ostrza, którym manewrował w tak precyzyjny

sposób, że jego palce przypominały raczej palce chirurga niż autora kompozycji mieszczących się w salach tylko odpowiednio dużych galerii.

Korzeń został błyskawicznie oczyszczony i spod rąk rzeźbiarza zaczął wyłaniać się jakiś kształt.

- Z konieczności będzie nieduży. Takie mamy warunki. Aha, dokumenty rzeczywiście zgubiłem, potem znalazłem. Proszę bardzo, złodziej ma zdjęcie pieska, my mamy coś lepszego.

Postawił na stole małą, ale niewiarygodnie precyzyjną figurkę setera, który siedząc, prężył się w znakomicie uchwyconej pozie.

- Geniusz - szepnął Trzeciak z takim przejęciem, że Marta zaczęła mieć poważne trudności z powstrzymaniem się od śmiechu nie dającego jej spokoju od początku widowiska. Miniaturowy Ares i na niej zrobił wrażenie, nie była jednak tak oszołomiona jak pozostali. Być może spodziewała się po Reisingu czegoś rewelacyjnego. On przyzwyczajony do hołdów nie wydawał się ani trochę speszony nabożeństwem, z jakim na niego patrzono. Wyjąwszy może Drzygłoda. Chłodną obojętność wydawcy albumów Marta tłumaczyła sobie zazdrością wobec jeszcze większego efekciarza.

Leśniczy swoim zwyczajem pojawił się nagle.

- Proszę państwa - jego głos brzmiał uroczyście. - Policja stwierdza brak śladów włamania. Ktoś obcy musiałby więc bezszelestnie otworzyć drzwi i przemknąć się przez korytarz, mijając salon, zdejmując buty, bo nie ma śladów błota. Wniosek mamy jeden.

- Morderca jest wśród nas - odezwał się cicho Trzeciak. - To niemożliwe - dodał głośniejszym tonem protestu.

- Ale prawdziwe - odparł sucho leśniczy. - Zdejmą ślady, za chwilę powinno być po wszystkim. Nawet udostępnią pokój. Prokurator przyjedzie później. Oczywiście nie muszę przypominać o konieczności pozostania na miejscu.

- Może pan być pewien, że nawet najgorszy potwór nie będzie się ruszał w taką pogodę. - Krzyś palcem wskazał okno, za którym znów zaczął siąpić drobny deszczyk.

- Ja w każdym razie oddaję broń. - Reising do tej pory odwrócony tyłem, lekkim ruchem zerwał się z krzesła i wręczył kwaśno uśmiechniętemu leśniczemu nóż, uprzednio zamasyżycie wytarty w gazetę.

- I zauważmy, że nie są to rajstopy - parsknął Krzyś.

- Możesz posprzątać, zamiast się wygłupiać - pouczyła go Patrycja.

Nowakowski pośpiesznie zgarnął ze stołu resztki artystycznego warsztatu i zniknął z leśniczym i rzeźbiarzem w kuchni.

- Czyli czas morderstwa: dziesiąta trzydzieści dwie. Dywan stłumił hałas upadku zegara, on go nawet nie podniósł - rozpoczął Wolski.

- Dlaczego on? To mogła być też kobieta.

- Nie wiedziałem, że jesteś feministką, kochanie. Policja ustaliła alibi, ale może teraz choć z grubsza zorientujemy się w tej sprawie dla samych siebie.

- Przed godziną dziesiąta siedzieliśmy tutaj z panią Martą - z godnością oświadczyła Nina Boguszewicz.

- Na sam początek filmu pan Drzygłód do nas dołączył, za jakieś dziesięć minut oboje państwo, pani z Patrycją i zaraz potem pan leśniczy. I nikt nie wychodził.

- Ja, owszem, wychodziłam - zgłosiła się Marta.

- Ale nie dusiłam. Poszłam do kuchni. Od razu.

- Słysząc było, jak drzwi trzasnęły - potwierdził Wojciech Drzygłód.

- Mam nadzieję, że nie uraziło to zbyt pan subtelny słuch.

- Czy państwo muszą się kłócić w takiej chwili?

- Łagodna twarz Trzeciaka przybrała strofujący wyraz. Pedantycznie wytarł okulary. - Ja tu wróciłem chyba akurat, gdy pani wyszła, czyli chwilę przed wpół do jedenastej. Pan na krótki moment wyskoczył po okrycie dla małżonki, jeśli się nie mylę. - Wolski skinął głową.

- Kogo natomiast nie było?

- Mnie i pana Reisinga, jeśli się orientuję, o czym mowa. - Nowakowski dobrze opanowywał zdenerwowanie. - Chciałem się trochę przejść, korzystając z poprawy pogody, i niestety nie załatwiłem sobie alibi. Nie przewidziałem, że będzie potrzebne. Wróciłem przed jedenastą. Oczywiście, mogłem przyjść wcześniej, otworzyć cicho drzwi domu, wejść w skarpetkach, przemknąć się koło salonu i popełnić morderstwo. Ale to przecież nonsens. - Jego policzki zaróżowiły się lekko.

- Chwileczkę - rzekł surowo Wolski - czy ktoś z państwa widział pana Krzysztofa, gdy wychodził lub wracał?

Zapanowała cisza. Bardzo nieprzyjemna.

- Prawdę mówiąc, nie - odpowiedziała za wszystkich Nina Boguszczyk. - Czy pana ktoś widział na spacerze?

Krzyś pokręcił smutno głową. Marta znów poczuła do niego sympatię. Zawsze dowcipkujący, teraz pechowy. Spojrzenia skierowały się z kolei na Janka Reisinga.

- Połaziłem sobie koło bagna. Niezbyt fortunnie. - Patrycja zakrztusiła się nerwowym śmiechem. - Ale nie wiem, kiedy wróciłem. Naprawdę. - Uśmiechnął się rozbrajająco. - Zegarek trzymam w pokoju. I tak wszędzie zdążam - dodał tonem usprawiedliwienia.

- Antoniowa twierdzi, że było za kwadrans jedenasta, bo potem spojrzała na zegar, że czas myśleć o obiedzie - odezwał się niechętnie leśniczy z przedpokoju, udając, że nie widzi ukłonu rzeźbiarza. - Proponuję, żebyśmy to wszystko zostawili policji.

- Święte słowa. Czy można przejść się wokół domu?

- Może pan nawet znowu pójść sobie na bagna, tylko proszę wrócić w lepszym stanie niż rano.

- Dziękuję bardzo, ale proszę się tak nie martwić. Wcale się nie topiłem, tylko trochę chlupnąłem. Rewelacyjne odczucie. Niepowtarzalne.

Leśniczy na znak bezradności rozłożył ręce, przepuszczając Patrycję, która też chciała się przewietrzyć.

Marta czuła się źle. Słucha tych bezsensownych rozmów, a wśród otaczających ją ludzi jest morderca. Może przed chwilą zamieniła z nim jakieś słowo. Może właśnie na nią patrzy.

- Przecież to mógł być ktoś z zewnątrz - odezwał się Trzeciak, jakby czytając w jej myślach.

- Pobożne życzenie. - Krzyś miał skrawek bibułki. - Trzeba być niezbyt rozsądnym, żeby łązić po obcym domu, kiedy w każdej chwili ktoś może wyjść z pokoju.

- To oczywiste. A co pan o tym myśli? - zwróciła się do Drzygłoda, który znów zajął się lekturą.

- Myślę, że policja jest od zastanawiania się. Do nas należy całą sprawę spokojnie przeczekać.

- Nie jest pan ciekaw, kto to? - zdziwił się Trzeciak.

- Jestem. Tylko nie zamierzam bawić się w detektywa. To śmieszne - dodał ze znużeniem.

Trzymając książkę na poręczu fotela, podpierał szczupłą dłonią czoło, manifestując swój brak zainteresowania tematem rozmowy. Jego twarz z prostym nosem o czystym rysunku niemal przywołująca wrażenie sterylności zirytowała Martę. Znowu ma go vis - à - vis. Najwyższy czas, żeby z tym skończyć. Zaczniemy od obiadu. Nic się nie stanie, jeśli zmieni miejsce przy stole.

- Położyła się po śniadaniu z bólem głowy - rozważała Nina - wszyscy wiedzieli, że nikt jej nie będzie przeszkadzał. Zdjęła sweter, rajstopy, przykryła się kocem. Tak mówiła Antoniowa. Morderca nie przestraszył jej. Wstała, złożyła koc, widzieliśmy go na tapczanie. Pewnie usiadła, chwilę rozmawiali. Nawet nie krzyknęła, kiedy jej powiedział, kim jest. A potem dokonał zemsty i koniec.

- Ale pani ma wyobraźnię. - Trzeciak aż przygryzł grube wargi. - Skąd pani wie, co jej powiedział? I że to była zemsta. Uparła się pani na tego Wyrodka.

- Ma pan rację. - Krzyś podskoczył. - Mogło być mnóstwo innych powodów. Nic nie wiemy o jej znajomych.

- Przede wszystkim Węgorz - poparł go Wolski - Zapominamy, że on nie przyjechał tu wypoczywać.

- Kto powiedział, że przyjechał? - Godziszewska przywołała go do porządku. - Proszę państwa, jeżeli to on, to znaczy, że dopiero się zaczęło.

- Niech pani nie straszy.

- Ja? To pan straszy Królem Węgorzy. Nie ma dowodu, że on tu jest.

- Nie ma? A zamordowana kobieta to co? Za mało?

Marta bez słowa ewakuowała się na werandę. Wprawdzie niedaleko, ale przynajmniej bez uroczego towarzystwa na przeciwko. Przetarła szybę. Cóż za przygnębiający widok. Już słyszy swoją mamę. Pogoda nie do wytrzymania. Nie ma prawdziwego życia dla prawdziwych ludzi. Tylko kreatury mogą się tutaj dobrze czuć. Chyba rzeczywiście tylko kreatury.

Poczuła, że ma towarzystwo. Godziszewska najwyraźniej chciała mimochodem skontrolować, co się dzieje na podwórku. Marta odsunęła się. Tylko niech do niej nic nie mówi ta kobieta.

- O, pani Marto, już dawno chcę panią o to zapytać. Z których Rodlińskich pani jest?

Nie przypuszczała, że coś takiego na nią podziała. Przez moment aż zakręciło jej się głowie.

- Konkretnie chodzi mi o to, czy pani jest z spokrewniona z ordynatem Rodlińskim.

Też coś. Na pewno nikogo takiego nie było. Ale to nawet zabawne. Pobawimy się dalej.

- To pani nie wie, że w tej gałęzi przychodzą na świat tylko synowie? - spytała niewinnie.

- Rzeczywiście, że też mogłam o tym zapomnieć. Przecież to znana sprawa.

Jasne, tak samo znana, jak sam ordynat. Szybko pracująca wyobraźnia Marty wytworzyła kogoś naprawdę miłego. Ale nie. On nie będzie do wzięcia.

- Pewnie słyszała pani, że ordynat właśnie się ożenił.

- Ożenił się. - Godziszewska nie była w stanie ukryć rozczarowania.

- Tak jest. I to z kimś spoza swojej sfery. Czy sądzi pani, że to właściwe? - spytała z namysłem.

Problem wymagał gruntownego przemyślenia. Nie dano jednak na to czasu pani Godziszewskiej, ponieważ Krzyś Nowakowski wszedł na werandę, patrząc na Martę. Widok jej rozmówczyni chyba go speszył, bo odruchowo się cofnął. Ona zlustrowała go od stóp do głów, jakby widząc po raz pierwszy w życiu. Badanie to nie wypadło najlepiej, sądząc po lekkim skrzywieniu, którego nie mogła opanować. Z westchnieniem odwróciła się do Marty.

- Myślę, że z takimi decyzjami trzeba bardzo uważać - powiedziała dobitnie. - Potem można gorzko żałować. - I nie oglądając się, zostawiła ich samych.

Krzyś niepewnie podszedł do okna.

- Nie wytrzyma pani tego wszystkiego? Przywykła pani do innego otoczenia. Wprawdzie na wakacjach dobra jest odmiana, ale bez przesady, prawda?

Już chciała się grzecznie uśmiechnąć, ale zbił ją z tropu wyraz jego twarzy. Takie poważne refleksje. I jakiś smutek. Czy on kiedyś pisał wiersze? Nie zdziwiłaby się, ale o to nie spyta.

- Pan też zmienił otoczenie? Machnął ręką.

- Ja go właściwie nie mam. Każdy jest zajęty własnymi sprawami. Gonić za czymś, co się tylko oddala. Kiedy się da

schwycić, okazuje się, że nie o to chodziło. Ludzie patrzą na siebie jak na przedmioty i tyle.

- Ludzie owszem. A kobiety? Odgarnął grzywkę z czoła.

- Kobiety to też ludzie - poprawił z niemal chłopięcym zapalem. - Może nie wszystkie, ale niektóre nawet nie wiedzą, jak bardzo naprawdę są ludźmi. Pod opakowaniem niczym z okładki pisma może kryć się ktoś autentyczny, głęboki i wartościowy. Tylko trzeba wydostać się z tej otoczki.

- W takim wydostawaniu czasem potrzebna jest pomoc - zauważyła Marta.

- Oczywiście. Tylko trzeba na to pozwolić. Zaufać. Odważyć się. - Urwał na chwilę. - To trudne. Zwłaszcza jeśli naokoło żądają czegoś innego. Gry pozorów i ścigania czegoś, co płaskie, ale za to bardzo wymierne.

- We wszystko trzeba włożyć wysiłek, jeśli się chce mieć rezultaty. Ale jeśli warto, jeśli ktoś zasługuje na to, żeby mu pomóc stać się człowiekiem, to nie ma na co czekać.

- Warto. - Jego twarz się rozjaśniła. - Warto - powtórzył z mocą.

Marta z trudem zachowywała powagę. Czuła się, jakby rozmawiała z chłopcem. Ona chyba nigdy nie była tak egzaltowana.

Może nastalaby teraz chwila ciszy z gatunku tych, z którymi nie wiadomo, co zrobić, gdyby nie to, że z salonu dobiegło ich coś dziwnego.

- O rany - stwierdził Krzyś z podziwem - Trzeciak mówi do wiersza.

Rzeczywiście, coś w tym rodzaju było słycać przez korytarz.

- Dlatego, że państwo w ogóle nie odczuwają romantyzmu tych miejsc...

Bo gdybyś przeszedł bory i podszyte knieje Trafisz w głębi na wielki wał pniów i korzeni Obszerny trzęsawicą setkami strumieni I siecią zielsk narosłych i kroplami mrowisk.

- Ładny mi romantyzm - podsumował Krzyś. - Morderstwo brutalne i wredne.

W drzwiach pokazały się okulary deklamatora.

- Szanowna pani - zawołał w kierunku kuchni - może i nam nic nie wolno, ale Pana Tadeusza to mogłaby pani nam udostępnić. Każdy Polak ma prawo do tej książki.

- To trzeba ją wozic ze sobą - odpowiedział twardy głos. - Tu czegoś takiego nie ma i już.

- Pani żartuje! To porządny dom. Jestem przekonany, że się znajdzie.

- Proszę nie przeszkadzać! - Antoniowa ukazała się w całej okazałości. - Jak powiedziałam, tak jest.

Trzeciak dość szybko zniknął, a Krzyś z dezaprobatą pokręcił głową.

- Wariują ludzie z tego wszystkiego, słowo daję. W tej chwili do środka wpadli Reising z Patrycją.

Dziewczyna z rozrzuconymi, ozdobionymi wilgocią włosami wyglądała naprawdę interesująco. Nie patrząc na nikogo, przedfilowała między fotelami i obojętnie usiadła obok mamy.

- Powinnaś się wysuszyć, córeczko.

Janek zajrzał do pokoju. Spokojny, zadowolony z siebie.

- Państwo wyglądają, jakby na coś czekali. Na przykład na obiad. To marzenie. Antoniowa jest w stresie. Później będzie można się upomnieć, ale teraz szkoda nerwów. - Po tym kojącym wstępie uśmiechnął się niewinnie. - Czy ja też mam się wysuszyć? - zapytał Martę.

- Czy ja wiem? - szybkim, kontrolnym ruchem przejechała dłonią po jego włosach, rozpryskując kropelki wody. - Już cię otrzepałam. Wystarczy.

Trochę ubawiona tą drobną demonstracją, bojąc się obejrzeć i napotkać spojrzenie Drzygłoda z pewnością z gatunku tych psujących humor, wyszła za Reisingiem.

- Czy mi się wydawało, czy przez okno słyszałem, że ktoś deklamował? - odwrócił się na chwilę Reising.

- Owszem, proszę pana. Ja wypowiedziałem kilka strof z Pana Tadeusza. Nie widzę w tym nic osobliwego tu, w tym krajobrazie i wśród ludzi wykształconych. Natomiast - głos jego brzmiał godnie - szalenie niestosownym znajduję stwierdzenie tej kobiety, Antoniowej, jakoby w tym domu nie był rzeczony książki. Tak bliskiej sercu każdego Polaka!

- Niech się pan nie przejmuj - uspokajał go Reising.

- Naprawdę może pan do tego tak podchodzić? Pan, humanista! Mówię o największym polskim poecie.

- Nie neguję jego pierwszeństwa, zwłaszcza że sam nigdy nie napisałem żadnego wiersza, więc nie współzawodniczę. Ale do szkoły chodziłem dawno temu.

Urwał, być może lekko sparaliżowany spojrzeniem redaktora Drzygłoda, który zostawiał go właśnie na drugi rok w klasie. Nie unieruchomił go jednak do końca.

- A czy panu na przykład został w pamięci jakiś poeta z lektur szkolnych? - zagadnął odważnie.

- Owszem - Drzygłód skinął głową obojętnie. - Cyprian Kamil Norwid.

- Ach, to oczywiste - umiała się znaleźć Nina. - Poezja czysto intelektualna.

Widząc, że rzeźbiarz już w drzwiach szykuje się do ucieczki przed analizą twórczości wyżej wymienionego poety, Marta błyskawicznie zdecydowała się na to samo.

Szybko znaleźli się na górze. Janek ciągle w świetnym humorze wślizgnął się do pokoju za nią.

- Co ty wyprawiasz? - napadła na niego. - Zachowywałeś się przedtem normalnie i łudziłam się, że nic ci nie dolega, a tu nagle urządzasz takie przedstawienie, że nie wiadomo, gdzie oczy podziać. Po co wystrugałeś tego minipieska? - spytała doprowadzona do ostateczności

- Przede wszystkim dlatego - Reising oparty o framugę jak zwykle zapatrzył się na wierzchołki drzew coraz bardziej rozmyte w deszczu - że coraz trudniej mi było funkcjonować z etykietką gangstera. Koło południa już wiedzieli o tym wszyscy. Kiedy pani Beatka tak uciekała przede mną ze strachu, że o mało nie zabiła się na schodach, postanowiłem zabawę przerwać. Z przedstawieniem - podrapał się w głowę - rzeczywiście przesadziłem, ale taki jestem. I zobacz sama, nikomu nie zaszkodziłem, a ostentacja mogła wzbudzić podejrzenie, że coś tam wiem, bo zachowuję się dziwnie.

- Chcesz zwrócić uwagę mordercy na siebie?

- Byłoby to konstruktywne. Ale dusiciel starszej kobiety wie, że nie jest dla mnie przeciwnikiem.

- Według ciebie, jeśli ktoś napadł na kobietę, to nie ruszy mężczyzny?

- W zasadzie może wszystko chcieć ruszyć, ale czy wygląda na mocnego faceta?

- Przyszedł z wizytą, pogadał chwilę albo i nie, wziął rajstopy, zwałił zegarek i uciekł. Nie, to beznadziejny człowiek. Jak wszyscy tutaj. Masz jakieś podejrzenia?

- Tylko takie, że to najbardziej beznadziejny i najwredniejszy typ ze wszystkich.

- Właściwie to, czy beznadziejny, okaże się, jeśli go złapią - poprawiła się Marta, wyglądając przez okno. - Leśniczy chyba przywiózł Oleńkę z zakupów.

- A razem z nią jeszcze gorszą pogodę. Nawet lubię deszcz, ale nie tutaj.

- Kto to mógł wiedzieć, że gospodyni przerwała odpoczynek, żeby z nim rozmawiać? Kogo lubiła? - Marta wstała i zaczęła chodzić po pokoju. - Albo kto ją zmusił do zainteresowania swoją osobą? Zobacz, to może być Węgorz, który ją szantażował.

- A czymże taki biedny Węgorz mógł ją szantażować? Prędeży ona jego.

- No właśnie. I za to ją zabił.

- Niech ci będzie. Ale to mógł być każdy. Była przecież bardzo gościnna. Nikogo z wyjątkiem Antoniowej nie wyprosiłaby z pokoju nawet ciężko chora. A już na pewno nie drugą kobietę. Jak się znam na twojej płci, nie zrezygnowałaby z okazji do plotek, zwłaszcza że nie miała tu do kogo ust otworzyć, bo Antoniowej nie liczę. Zauważ, że taką akcję z rajstopami mogła przeprowadzić również dama. Nawet starsza i słaba.

- Dobra, każdy. I każdy ma alibi. Może z wyjątkiem Krzysia i Wolskiego.

- Krzyś też ma - machnął ręką. - Widziałem go z daleka na bagnach. Mniej więcej wtedy, kiedy zrobiłem plum do błota.

- Dlaczego nie powiedziałeś? - Stała zdumiona.

- Nie ma sprawy. Będzie trzeba, to powiem.

- Czemu nie teraz?

- Po prostu on naprawdę powinien był mnie zauważyć. Jeśli się do tego nie przyznaje, to znaczy, że ma swoje powody i ja je szanuję. Ma prawo do dyskrecji. Na pewno przez to nikt go nie wrobi w morderstwo, a jeśli by chciał, to będziemy odkręcać.

- Nie rozumiem. Szukał skarbu czy umówił się z kimś?

- Ludzie mają najróżniejsze tajemnice. Pozwólmy im na to.

- Zwłaszcza Wyrodek. Jak on miał wyglądać? Mały zadarty nosek i niebieskie oczka.

- To ja - zadeklarował się Janek. - Wypisz wymaluj mój portret.

- Rzeczywiście - skrzywiła się. - Zwłaszcza nosek.

- Podobno jest bardzo dobry - odparł z godnością. - Wcale nie za duży, tylko w sam raz. Przynajmniej jak na moje strony - roześmiał się, nie mogąc utrzymać obrażonej miny. - Wyrodkowi też pewnie troszkę profil urósł przez lata, a włoski pociemniały.

- Tak że zaczął wyglądać jak dziadek Władysław. A w pijanych zwidach niejakiego Floriana to już na pewno. Do kogo on był właściwie podobny? Według Antoniowej wykapaną matką, według Floriana dokładnie dziadek ze strony ojca. Komu wierzyć? Może w Mrągowie ten z kitką to ktoś całkiem inny i nawet mógł mieć na imię Władysław. Zgodziło się, znał Floriana, jak wszyscy, uśmiechnął się i stąd legenda o krążącym Wyrodku.

- Widzę, że żałujesz naszemu bohaterowi legendy, kitki i uśmiechu, ale masz rację, to się trzyma kupy. Zwłaszcza że na zdaniu pijaków lepiej nie polegać.

- Zapytamy dla porządku Antoniowa o tego Władysława. Też powinna go znać. Choćby z widzenia.

- Słusznie, a na razie - skrzywił się - niech dobrze smaży tę rybę, żeby była gotowa, zanim nas zadusi.

- Nie lubisz ryb?

- Jest mi obojętna. Mało zwracam uwagę na jedzenie. Ale do zapachu kiepskiego oleju nie mogę się przyzwyczaić. Teraz chodźmy, ubierz się w coś jasnego.

- A to po co?

- Nie po co, tylko dla czego. Zlazła z ciebie jakaś najgorsza złość i to trzeba podkreślić - powiedział, wychodząc.

Dobrze, że miała ze sobą jasną, seledynową bluzkę, którą przywlokła zapakowaną razem z kamizelką, ale nawet nie przypuszczała, że włoży je tutaj w jakiegokolwiek sytuacji.

Teraz chyba była właściwa okazja, zgodnie z zaleceniami Reisinga, który po trzech małżeństwach miał prawo znać się na kobietach i ich humorach. Co z włosami? Może je trochę przypiąć? Nie, to już całkiem jak uczennica. Pochyliła głowę szesnęła je na przód, potem odrzuciła do tyłu. W ten sposób utworzyły ciemnobrązowy obłok podkreślający delikatny owal jej twarzy,

tworzący świetne tło dla szarzielonych oczu. Wiedziała, że nie potrzebuje żadnego usztywniania, fryzura będzie trzymać się sama. Bardzo dobrze, nowy wygląd, nowe miejsce przy stole.

Jak na zawołanie, cicho pukając, do pokoju wślizgnęła się Beata Wolska.

- Nie przeszkadzam? - Nieśmiało przysiadła na krześle. - I widzi pani, idziemy na obiad jakby nigdy nic. Zgodnie i miło. A między nami... - ukryła twarz w dłoniach.

- Pan leśniczy bardzo dokładnie przeglądał wszystkie dokumenty - zauważyła Marta, żeby coś powiedzieć.

- Takie tam sprawdzanie - westchnęła Wolska - chyba tylko ze złośliwości. A panu Trzeciakowi na przykład w ogóle nie sprawdził. Ale i tak przecież widać, że to kulturalny człowiek - w jej głosie zabrzmiało coś w rodzaju ironii - ani Wyrodek, ani gangster. Wszyscy zresztą jesteśmy na poziomie, tylko każdy inaczej. Pan Reising to sławny artysta, a Krzysiek Nowakowski jest bezrobotny. Jeden ma siłę przebicia, a drugi został na lodzie, gdy zmniejszili do połowy jego instytut. Wiadomo, kto wtedy pada ofiarą. Ci bez układów, nieagresywni, niewspółcześni. A w ogóle - nabrała oddechu - czy pani na przykład jest zadowolona ze swojego życia?

- Jak najbardziej. - Marta zrozumiała, że jest to po prostu zmiana tematu. - Robię to, co lubię.

- Nie ma pani zamiaru wyjść za mąż?

- Nie mam takich planów.

- Pewnie, przecież pani nie musi. Dla nas to jest właściwie - uśmiechnęła się - podróż poślubna. Trochę spóźniona i może nietypowa, ale tak wyszło. Mąż był za granicą. Ale nie wiem, czy byłoby tu miło, nawet gdyby nie zdarzyła się tragedia. Atmosfera jakaś taka... Wie pani, ja się cieszyłam, że poznam pana redaktora Drzygłoda. Wspaniałe wydawnictwo, albumy, kalendarze. A on sam taki sztywny, nieprzystępny. Wydawało mi się... chyba słyszałam o nim zupełnie inną opinię. Dużo lepszą. Może już chodźmy. - Podniosła się nagle.

- Chodźmy. A co by pani powiedziała na to, żebyśmy pogadały jeszcze przy obiedzie? Znudziło mi się miejsce z tamtego końca stołu.

Gdy Beata wyraziła swój entuzjazm, wyciągnęła ją z pokoju i wmieszały się w tłumek, który zamiast wchodzić do jadalni, zgromadził się wokół leśniczego.

- Proszę państwa, Oleńka przypomina sobie całkiem wyraźnie. Kilka dni temu, dosłownie przed końcem poprzedniego turnusu, jeden z gości, taki starszy pan, inżynier, skleił śrubkę od zegara. Gospodyni narzekała, że nie będzie mogła nastawić zmiany czasu, i zrobił jej niespodziankę.

- Tak było. Pomagałam mu. Sam by nie wiedział, skąd wziąć drugą połowę - dodała szybko Oleńka, patrząc na matkę. - Leżała w czerwonym wazoniku nad radiem.

- To prawda - mruknęła Antoniowa ze wzrokiem wbitym w podłogę.

- Zostawmy to jednak fachowcom - poradził leśniczy. - Lada chwila powinien się tu zjawić prokurator i wziąć sprawy w swoje ręce. Miejmy nadzieje, że wszystko szybko się zakończy.

- Albo zacznie - dodała z filuternym uśmiechem Nina Boguszewicz, zmierzając dziarsko do jadalni.

Marta nie odwracając głowy w stronę swojego dawnego miejsca, przemaszerowała wzdłuż stołu i usadowiła się między Wolską a Godziszewską, nagle zdradzając niebywałą chęć do konwersacji o ściegach dziewiarskich, których udało jej się od czasów dzieciństwa nie zapomnieć.

Rozmawiając raz z jedną sąsiadką, raz z drugą, unikała patrzenia w stronę Drzygłoda zagadywanego przez Ninę nie zmartwioną nieobecnością Marty. Mimo woli jednak pochwyciła spojrzenie Janka Reisinga. Zaskoczył ją chłód niebieskich oczu. Też coś. Swoją drogą nie wyobrażała go sobie takiego. Może to jego prawdziwe oblicze?

- Czy państwo zdają sobie sprawę, co się stało? - Nina zrezygnowała ze zmuszania Drzygłoda do rozmowy. - Sytuacja zmieniła się w sposób diametralny. Nagle my, którzy byliśmy poza wszelką wątpliwością, stajemy się głównymi podejrzanymi. Zegarek został nastawiony na dziesiątą trzydzieści dwie, a więc morderca zapewnił sobie na tę godzinę murowane alibi.

- Nie został nastawiony, tylko mógł być nastawiony - sprostował Trzeciak między jednym łykiem zupy a drugim. - Jeśli dopuściliśmy już raz możliwość przypadkowego upadku zegara, to nie ma powodu jej teraz całkiem wykluczać.

- Dopuściliśmy, bośmy musieli. Ale trudno sobie wyobrazić, żeby ktoś zostawiał po sobie taki ślad - powtarzał Wolski.

- Może został spłoszony.

- Ciekawe przez kogo.

- Proponuję zmianę tematu. Jesteśmy mimo wszystko na wakacjach. - Jerzy Trzeciak w oczekiwaniu na drugie danie wyciągnął niezawodny przewodnik. - Może byśmy wspólnie obmyślili trasę jakiejś naprawdę ciekawej wycieczki. Co pan na to, panie redaktorze?

- Oczywiście. - Drzygłód tylko bawił się łyżką. Mięśnie twarzy miał napięte, z trudem opanowywał drżenie rąk.

Nie zauważył nawet Reisinga, który niespodziewanie obszedł stół, zbierając talerze. Mruknął, że pani Antoniowa ma stresy i trzeba jej pomóc.

- Mam dla pana propozycję - zwrócił się do Drzygłoda. - Znakomite krajobrazy - uśmiechnął się po raz pierwszy od początku obiadu. Jedną ręką trzymając talerze jak żongler, drugą wyciągnął z kieszeni kartkę papieru z pośpiesznym, ale wyraźnym szkicem.

- Pan również rysuje! - jęknęła Nina Boguszewicz.

- Strzał w dziesiątkę. Koło tej sosny jest nadzwyczajnie - pochwalił Krzyś, machając ręką z drugiego końca stołu.

- Nie jestem malarzem, natomiast pan by to świetnie wydał w kolorze - kontynuował Reising. - Trochę kłopotliwe dojście, ale dam ze sobą nie weźmiemy, chociaż Marta aż się wyrywa do towarzystwa.

- Dziękuję, nie fotografuję.

- Oczywiście, ale w Warszawie ma pan chyba specjalistę.

- Mam. Przepraszam, nie cierpię ryb. - W zdecydowany sposób wstał od stołu.

- Proszę to przemyśleć. - Janek odnosząc talerze, prawie potknął się o Antoniowa, która wymamrotała coś nieprzychylnego o jego nadgorliwości, ale widząc skręcającego ku schodom Drzygłoda, załamała ręce.

- Jeśli pan nie lubi ryby, wystarczyło powiedzieć. Znajdzie się coś innego. - W jej głosie brzmiała tak autentyczna troska, że Trzeciak aż uderzył palcami w stół.

- Wszędzie, nawet na wakacjach, będą równi i równiejsi. A myślałem, że te czasy już minęły. Jak dyrektor na wczasach zakładowych. Niesmaczne.

- Żeby chociaż ta ryba była smaczna - ogłosiła Nina. - A ten pan, widzieliście, ani nie spojrzął na Antoniowa, tylko wyszedł. Myślę, że wycieczki będziemy organizować w uszczuplonym składzie.

- Doprawdy? - oburzyła się Godziszewska. - Chyba nie pani tu decyduje. Proszę lepiej zająć się rybą, bo wystygnie.

- Jest wstrętna - poinformował Wolski. - Pasuje do sytuacji. A w kwestii formalnej, kogo należy prosić o pozwolenie na obejrzenie tego zegara? Można by spojrzeć na słynną śrubkę, zamiast o niej dyskutować.

- Chyba musimy poczekać na prokuraturę. Ale jeśli oni się nie wykażą, weźmiemy sprawy w swoje ręce. - Nina Boguszewicz kończyła drugie danie. - Słyszałam coś o kisielu na deser.

- Już podaję - oznajmiła Antoniowa. - Nie, pan nie zbiera talerzy - dodała groźnie.

- Chciałem się tylko zasłużyć - westchnął rzeźbiarz.

- Pan się nie ma zasługiwać. Znam swoje obowiązki i wiem, co się komu należy, a co nie. - Westchnęła uroczyście. - Ja nic nie mówię. Policja przyjedzie, zrobi swoje. Mojej pani i tak to nie wskrzesi.

Niebezpiecznie energicznym ruchem postawiła tacę z kisielami na mereżkowanym obrusie i dla zwiększenia efektu trochę zbyt głośno zamknęła drzwi.

W ciszy, która zapanowała, słychać było tylko wzmagające się bębnienie deszczu.

- Oszalała - zdiagnozował w końcu Wolski.

- Ależ to wszystko musiało być dla niej ogromnym wstrząsem. - Patrycja przeciągnęła łagodnym spojrzeniem po obecnych. - Ja widziałam, jak była przywiązana do gospodyni.

- Planowała umieścić deser na mojej głowie, ale się w końcu zlitowała - rozważał Reising. - Porządna kobieta. Naprawdę zdarzają się gorsze.

- Nawet jeżeli pan jest przyzwyczajony do różnych rzeczy, to ja po następnym popisie po prostu ją zamorduję. - Trzeciak zaczął rozdawać salaterki. - Przyznam się i jeszcze będę się chwalił. Nienormalna baba.

- Może po przyjeździe prokuratora się uspokoi - zaczęła Godziszewska, ale urwała zagłuszona gwałtownym uderzeniem w szybę deszczu wspomaganego przez liście i gałęzie. Na dworze pociemniało. Wszyscy odwrócili się w stronę okna, za którym po ucichnięciu wichury można było rozróżnić prawie pionowe strugi wody.

- Oberwanie chmury - stwierdziła pani Nina. - Niedobrze.

- Przeleci.

- Pan jest optymistą, bo porównuje pan z górami, ale na nizinach też zdarzają się powodzie.

- Zalewa rzeczywiście najprędzej w górach, a tutaj trochę naciągnie wody i wszystko zrobi się gąbczaste.

- Drogi też - zauważył niewinnie Krzyś.

- To prawda - stwierdził Trzeciak. - Ale niech pan nie żartuje, nieprzejezdne drogi nie ułatwiają życia.

Beata Wolska drgnęła.

- Będziemy odcięci od świata? Mąż otoczył ją ramieniem.

- Jestem przy tobie. Nic złego się nie stanie. Marta mimo że od dłuższego czasu nie brała udziału w rozmowie, nie mogła się skupić. Przecież dużo się zmieniło. Odwrócenie sytuacji z alibi po stwierdzeniach Oleńki na nikim prócz Niny nie zrobiło wrażenia. A przecież dopiero teraz coś się naprawdę zaczyna. Czy policja potrafi to jakoś szybko załatwić? Czy nikt o tym nie myśli? Janek Reising tylko bawił się w zaczepianie Antoniowej i zapraszanie na wycieczki krajoznawcze kogoś, kto na pewno nigdzie z nikim nie pójdzie. Poza tymi czynnościami zajęty jest własnymi myślami i to najwyraźniej na ponuro. Nina Boguszewicz omawia z Trzeciakiem rozkład bagien i okolic. Ten udaje, że słucha, ale naprawdę gapi się na nią, Martę. Patrycja uczesała się jak skromna panienska, włożyła nawet spódniczkę w kratę i uparcie tłumaczy coś cichutko Reisingowi, który jej nie słucha. Jej mama robi dobrą minę do złej gry i stara się maksymalnie dużo z tego zrozumieć, ale przeszkadza jej Krzyś Nowakowski, który odzyskał swój styl dzięki zmianie niefortunnego dla niego układu sprawy zegara. Co chwila wypytuje o różne sposoby przyrządzania ryb słodkowodnych, z których jedną nie wiadomo czemu ma jeszcze przed sobą na talerzu.

- Strasznie ciemno się zrobiło. Może zapalić światło - zaproponował w końcu.

- Tak dokładnie musi pan oglądać, co pan ma na talerzu? - spytał Wolski. - Proponowałbym muzeum przyrodnicze. Są tam lepsze eksponaty, a na pewno bardziej apetyczne.

Krzyś podsunął opadające na nos okulary.

- Tu nie chodzi o przyjemność, tylko o ratowanie życia. Będę następną ofiarą, jeśli udławię się ością. Żeby tego uniknąć, trzeba mieć dobry wzrok, czym niestety nie mogę się pochwalić.

- Ale ja przecież siedzę w ciemniejszym miejscu i jakoś sobie radzę - zdziwił się Trzeciak.

- Bo na pewno pan niedawno dopasowywał szkła, a ja nie zdążyłem dać do policzenia moich minusów i teraz żałuję.

- Sam jest pan sobie winien - stwierdziła Godziszewska. - O oczy należy dbać i w porę zgłaszać się do okulisty.

Nowakowski uśmiechnął się z przymusem.

- Za to słuch mi się wyostrzył. Chyba pan leśniczy nadchodzi.

Nie mylił się. Młody człowiek w mundurze pojawił się w drzwiach, ale brakowało mu zwykłej energii. Ręce miał bezradnie opuszczone.

- Nie przyjadą. Odebraliśmy telefon. Rozmyło drogę i zerwało mostek. Nie wiadomo, co dalej.

- Nie ma w okolicy helikoptera? - nie dowierzał Wolski.

- Ta ulewa zrobiła większe szkody, niż się wydaje. Zanim doszła do nas, odcięła od świata kilka wsi. Mają pełne ręce roboty, nasza sprawa może poczekać.

- My też jesteśmy odcięci od świata - zaakcentowała pani Godziszewska.

- Ale naszemu życiu nie zagraża niebezpieczeństwo - Krzyś urwał zagłuszany przez wzmagające się bębnienie o szybę. - Cieszymy się, że mamy światło i żywność. Poczekajmy, to nie potrwa długo - dodał bez wielkiego przekonania.

Trzeciak wstał i energicznym krokiem podszedł do leśniczego.

- Rozumiem, że jesteśmy zdani na własne siły. W takim razie proszę o udostępnienie nam pokoju, w którym zostało popełnione morderstwo. Chcemy obejrzeć zegar stanowiący dowód rzeczowy.

- Och, te powieści kryminalne - westchnął Krzyś Nowakowski.

- W tej sytuacji - bąknął leśniczy - oczywiście, proszę bardzo.

Rozdział 8

Marta z żalem zdała sobie sprawę, że trzeba będzie ruszyć się z miejsca i razem z innymi iść na oglądanie zegara i jego szanownej śrubki. Czy naprawdę muszą wyręczać policję? Na co właściwie płaci się podatki? Z niechęcią zamykała pochód, który prowadził Jerzy Trzeciak zwycięsko dzierżący klucz.

W drzwiach kuchni dostrzegła Oleńkę. Dziewczyna, poważna, przejęta rolą, jaką odegrała, nie spuszczała oczu z gości. Na widok Marty uśmiechnęła się.

- Okropność, nie? Jak w tryllerze. Zobacz pani, w wieczór dopiero robi się straszno. Lubi pani takie filmy? - Marta zadowolona, że ma pretekst do zostania, oparła się o boazerię. - Ja to w ogóle nie myślałam o tym Wyrodku, ale widać, jak ludzie mówią, to coś w tym musi być.

- Tak? Co na przykład?

- Że coś się w końcu stanie, jak się miało stać. Państwo pewnie nie wiedzą - zawahała się - gospodyni mówiła, że on to jeszcze i podpalić potrafił.

Marta uniosła brwi, jak w odpowiedzi na zaskakujące nonsensy na egzaminie.

- Coś takiego. Co podpalił?

- Nie wiem co, ale bardziej kogoś. Pani gospodyni mówiła, że przez niewdzięczność i mściwość. Ona wiedziała, bo przecież zawiadomili ją, jak był proces, ale nie pojechała. I powiem pani, że bardzo dobrze zrobiła. Po co się jeszcze wstydu najeść? Ale co ja będę opowiadać takie historie, przyjechała pani na urlop odpocząć, rozerwać się, a tu mówią, żeby nie ruszać się miejsca. Dobrze, że przyjechało para facetów, to mniejszy strach. Zresztą pani pewnie sama jest odważna. Niech mi pani coś powie - przysunęła się bliżej i Marta poczuła zapach lakieru do włosów - ten pan Janek, taki miły, naprawdę wielki artysta? Bo to, co wystrugał, nieduże było, a on sam nie wygląda, żeby miał kasę. Już prędzej pan Drzyglód, jak pani uważa?

- Nic nie uważam o panu Drzyglodzie. - Zdążyła pożałować, że nie przyłączyła się do innych i daje się straszyć podpalaczem. - Piesek rzeczywiście jest mały, bo tyle pan Reising miał materiału. Proszę go osobiście zapytać o twórczość, na pewno chętnie opowie. A co tam

słysząc w aferze śrubowej? - zagadnęła Krzysia, który stojąc na końcu, odłączył się od tłumku.

- Proszę sobie wyobrazić, że chyba coś okropnego. Nie wiem dokładnie co, ale strasznie się kłębą. Pan Reising widzi wszystko z góry, ale ja tak nie urosłem, więc muszę czekać, aż mi powiedzą.

- Na pewno była sklejona, przysięgnę na wszystko, co chcecie.

- Ależ każdy pani wierzy, tylko tam coś potwornego wykryli.

Marta wzruszyła ramionami.

- Ciekawe, co. Potworne mogłyby być tylko następne zwłoki, ale chyba nikogo nie brakuje.

- Brakuje pana Drzygłoda - wyszeptał Oleńka, a jej piwne oczy powiększyły się.

- Jego? To nie ma o czym mówić. - Marta ostentacyjnie skierowała się ku drzwiom

Musiała jednak zatrzymać się w połowie drogi, by nie zostać staranowana przez Ninę, która jak pocisk przedarła się przez zaaferowaną gromadkę.

- Proszę państwa, nie ma! - wołała, machając rękami. - Nic nie wiecie?

- Liczymy, że pani nam powie - odparła Marta grzecznie.

- Nie ma śrubki. W ogóle.

- Jak to się stało? - wytrzeszczył oczy Krzyś.

- Przysięgam, że była - zapewniała Oleńka.

- Ależ oczywiście, moje dziecko. Zawsze w zegarku jest śrubka i w tym też na pewno była, kiedy ją sklejano. Wszyscy ci wierzą. Tylko teraz zniknęła - zakończyła triumfalnie.

- Ale gdzie ona jest? - Godziszewska obejmowała córkę, po gwiazdorsku uśmiechającą się do Krzysia Nowakowskiego.

- Właśnie, wymyśl coś, taki dowcipny.

- Nie mam pojęcia. - Młody człowiek bezradnie opuścił ręce wzdłuż flanelowej bluzy w kratę. - Dlaczego jej nie ma?

- Sama sobie nie poszła, co do tego nie ma wątpliwości. - Wolski wynurzył się z pokoju. - Pani Nino, pani oczywiście ma rację.

- To przecież proste. - Skinęła głową już spokojnie. - Śrubkę usunął morderca. Mieliśmy nie mieć wątpliwości, że zegara się nie nastawia, i od razu przyjąć wersję z godziną dziesiątą trzydzieści dwie. Tak by też się stało, gdyby pani Oleńka nie pamiętała, że zegar dopiero co był naprawiany.

- Tak! Gdyby sama wypadła, byłaby pewnie wewnątrz obudowy!
- wykrzyknął Krzyś.

- Gratuluję bystrości, nikt by na to nie wpadł. - Patrycja jakby chcąc go całkiem pogrążyć, kołysząc plisowaną spódniczką, wspięła się na schody.

Powoli wszyscy też udali się na górę. Leśniczy cały czas milczący podszedł do Marty.

- Widzi pani? Policja niepotrzebna. Wszystko wiadomo. Jeszcze tylko wskażą mordercę i po wszystkim.

- Lepiej, żeby sam się przyznał, bo z tym mogą być kłopoty. A gdzie właściwie ta śrubka teraz jest? Nie lubię żelastwa, ale w końcu mnie zaciekawiła.

- Na pewno leży gdzieś w błocie albo na dnie jeziora. Nie sądzę, żeby morderca nosił ją przy sobie. Chociaż kto to wie. Niech pani lepiej myśli o przyjemniejszych rzeczach. Tyle tutaj towarzystwa. - Skierował się do kuchni, skąd dochodziły odgłosy krzątania się Antoniowej.

Marta zaczęła powoli wchodzić po schodach, zastanawiając się, co ze sobą począć. Czuła się rozkojarzona i sama nie wiedziała, czy potrzebuje spokoju, czy właśnie rozmowy z kimś, kto pomoże jej zebrać myśli. Usłyszała czyjeś kroki. Myślała, że to Janek Reising schodzi na dół. W porządku, może pogadać. Za chwilę jednak zrozumiała, jak bardzo się myliła. Z góry zbliżał się do niej Drzygłód. Zrobiło jej się nieprzyjemnie. Chciała uniknąć wszelkich rozmów z nim, a już na pewno w cztery oczy. Nie mieli sobie do powiedzenia nic miłego, zwłaszcza po dzisiejszej, ostentacyjnej, trzeba to przyznać, zmianie miejsca przy stole. Z pewnością usłyszy jakąś wyniosłą tyradę albo po prostu złośliwość. Trudno, przeżyje to, albo może coś odpowie.

Była w błędzie. Drzygłód minął ją i stał teraz niżej; widziała dokładnie jego szczupłą zmęczoną twarz i szare oczy ozywające nieco ascetyczną całość. Teraz robiły nawet wrażenie pogodnych. Próbował się uśmiechnąć.

- Chciałem na chwilę zaburzyć pani czasoprzestrzeń - z trudem powstrzymała się od zapytania, czy wie, o czym mówi - i przeprosić za wszystko, co było dotychczas. Zwłaszcza dziś rano przy telewizji. Bardzo proszę, zacznijmy naszą znajomość od początku.

Tego się nie spodziewała. Patrzył na nią ciepło i badawczo zarazem. Wiedziała, że oczekuje czegoś, na co ją zwyczajnie w tej chwili nie stać. Miała pustkę w głowie.

- W porządku. Nie ma o czym mówić - usłyszała siebie wygłaszającą to zdawkowe zdanie. Ledwie skinąwszy głową, zdecydowanym krokiem, sama nie wiedziała kiedy, weszła na piętro.

- Nie podobało mi się. - Cichy głos należał do Reisinga, opartego z rękami w kieszeniach o ścianę koło drzwi pokoju. Z jego tonu można było wywnioskować, że nie podobało mu się bardzo. - Słyszałem wszystko.

- Tak? To masz problem.

Otworzyła drzwi i chciała wejść, zatrzaszkując mu je przed nosem, ale w ostatniej chwili odwróciła się na progu.

- A co według ciebie miałam robić? - wyskandowała ze złością.

Delikatnie zdjął jej rękę z klamki i wprowadził do środka.

- Nigdy nie byłeś w takiej sytuacji?

- Oczywiście, że byłam.

- I jak się skończyło? Inaczej, prawda?

Ten człowiek miał za złe jej, Marcie Rodlińskiej, sposób, w jaki się zachowała. Co go to obchodzi? Była kulturalna i to wystarczy.

- On zaprezentował się o wiele mniej właściwie przed tobą w bardzo podobnej sytuacji.

Reising pokręcił głową z uśmiechem.

- Nie możesz porównywać tych dwóch spraw. W tej, o której mówisz, ja na luzie popisywałem się sceną przeprosin, a on był zestresowany. Teraz ułożyło się inaczej. On nie dawał pokazu dobrego wychowania, tylko naprawdę mu zależało, żeby coś ludzkiego od ciebie usłyszeć.

I powinien był. Już przeszedł swoje, kiedy się przesiadłaś. Nie widziałaś? Nie zwróciłaś nawet uwagi?

Postawił ją przy oknie tak, że przyćmione gęstym deszczem światło padało na jej twarz, która jak zwykle w zaskoczeniu przybierała słodki wyraz.

Bezceremonialnie położył dłoń na jej włosach.

- Trochę inaczej cię uczesać i jesteś prawdziwą Madonną. Twoje portrety powinny zdobić połowę istniejących kościołów. W Warszawie mi się nie wymkniesz, wykorzystam cię. - Leciutko

przecięgnął opuszkami palców po jej czole. - Masz nadzwyczajne łuki brwi.

Nie drgnęła.

- A może do rzeczy - zaproponowała z anielskim spokojem.

- Tak, do rzeczy. - Niezbity z tropu, trzymając ręce na ramionach Marty, w skupieniu ją studiował. Na chwilę uciekł myślami. - Nie martw się, nie zabieram się do poznawania niewidocznej części ciebie. Ale chyba już wiem, jak wygląda. Wracając do tematu - nie zdejmował dłoni - wspomniany Wojciech Drzygłód nie zniósł nerwowo twojej demonstracji przy obiedzie. Tak bardzo, że sobie poszedł. Nie dbając o to, co o nim pomyślał.

Popatrzył chwilę w jej zielonkawę oczy. Z uśmiechem machnął ręką.

- Obiecuj chociaż, że się przesiądziesz.

- Niech ci będzie, przesiądę się. Powiedz tylko, za co właściwie lubisz tego lorda. Przypominam, że proponowałeś rękodzieło w związku z nim. Chociaż jesteś nieagresywny.

- I miałem rację. Byłoby spokojnie i zdrowo. A za co go lubię? Może za wrażliwość. To dzisiaj coraz rzadszy towar. Nie mam natomiast pojęcia, skąd się biorą takie stworzenia jak ty. Poznań wyglądał mi na całkiem normalne miasto. Nawet sympatyczne.

Oczy Marty zmieniły się.

- O tak, bardzo piękne. - Odwróciła się i szybko przeszła w głąb pokoju. - Ale to tylko moje miejsce urodzenia. Jestem w Warszawie od dobrych kilkunastu lat. Czy możesz znieść to bębnienie deszczu?

Wzięła cepeliowską poduszkę i opierając się o nią, wcisnęła się w kąć tapczanu. Reising milcząco patrzył w okno, nie dzieląc się swoimi myślami. Teraz ona go obserwowała. Czy rzeczywiście jest rzeźbiarzem? Nie знаła żadnego. Jak powinien wyglądać? Jego silne ręce były niespodziewanie zgrabne i ładne. Poza tym do tej pory ludzi tak silnie zbudowanych klasyfikowała jako niedźwiedziowatych albo drwalowatych. On ruszał się miękko jak kot, nie pasował do żadnej z tych grup.

- Nie przyłączyłeś się do śrubkowych oglądaczy? - zagadnęła.

- Nie lubię tłoku.

- Słusznie, zwłaszcza gdy tłoczy się bez wielkich sukcesów.

- Też cię nie podniecają wyniki akcji „Śrubka”? Ja mam takie niejasne wrażenie...

- Że to jeszcze nie koniec?

- Właśnie. Stale się coś z nią okazuje, a nigdy jednoznacznie. Wprawdzie trudno sobie wyobrazić, że od czasu, gdy Oleńka lepiła ją z tym dobrym człowiekiem, ktoś zdążył wedrzeć się i całą ukreć. I po co? Żeby uniemożliwić nastawienie zegara przy morderstwie? Bez sensu. Ze złośliwości, żeby gospodyni nie mogła przestawić czasu na zimowy? To już chyba pasuje tylko do serii psot Wyrodka, ale też nie za bardzo. Pozostaje wersja pani Niny i też czuję, że temat się nie wyczerpał, śrubka siedzi gdzieś niedaleko.

- Wyczuwasz przedmioty na odległość czy uważasz mordercę za takiego, co nic nie wyrzuca, bo wszystko może się przydać? Myślisz, że może ją nawet nosić przy sobie?

- Jasne, tak najbezpieczniej. - Skończył obserwację okna i usiadł przy stole, bawiąc się pseudoludową serwetką.

- Musi być nienormalny, żeby zabijać. Chyba że to gangster.

- Normalny? - uśmiechnął się.

- Tak mi się powiedziało. Ale poważnie, czy w ogóle wierzysz w tego Króla Węgorky?

- W ogóle? Tak, czemu nie. Miał przyjechać, to przyjedzie, albo już jest. Chyba żeby mu coś wypadło. Ale czy akurat interesuje się nami? - Swoim zwyczajem usiłował zwichrzyć włosy. - Wszystko wydaje się jakieś takie... Wiesz, czego mi brakuje? - Spojrzał na Martę poważnie. - Prawdy. Niekoniecznie sprawdzonego faktu. Jakiegoś jednego autentycznego, niewątpliwego uczucia.

Był skupiony, zapatrzony w coś niewidzialnego. Jak urządzenie przewijające taśmę.

- Tak. - Oprzytomniał uśmiechnięty zwycięsko. - Jasne. To jedno jest poza wszelką dyskusją.

Pokiwała głową z politowaniem.

- Tak. Poza wszelką dyskusją mamy zamordowaną kobietę i kilka znacznie mniejszych strat. Na artystach pewnie robią wrażenie tylko odczucia.

- Dobrze mówisz, za to nam płacą. - Bardzo zadowolony z siebie zbagatelizował jej zgryźliwość. - Mam właśnie taką artystyczną wizję, że ktoś wpuszcza nas w maliny. I jedyne, czego można się trzymać, to emocje, które nie dają się ukryć.

- Dobrze, emocje. Myślisz, że gospodynię uduszono w związku właśnie z nimi czy z wyrachowania?

- Myślę, że na zimno, i dlatego nie wiemy, kto. Zrobiłaś sobie naukowe notatki czy powtarzamy rachunek strat i nieszczęść?

- Jeszcze nie muszę zapisywać wszystkiego, co się zdarza. Do tego etapu brakuje mi paru lat.

- Podejrzewam, że nie zapominasz niczego. Nawet tego, co powinnaś.

- To znaczy?

- Wygląda, że przyjechałaś tutaj pochłonięta jakimiś nie najlepszymi myślami. Najpewniej związanymi z przeszłością. Od dzisiaj rana te sprawy zeszły na dalszy plan, ale całkiem się ich nie pozbyłaś.

Zapanowała cisza. Marta obejmując rękami kolana, siedziała nieruchomo, jakby zbierając siły.

Reising nie przerywał milczenia. Nie doczekał się jednak niczego w odpowiedzi.

- Wiemy, że Wyrodek miał powody do zemsty - zmarszczyła brwi. - A co ważniejsze, zyskuje na śmierci ciotki. Dodając kryminalną przeszłość, staje się głównym podejrzanym. Dziwne, że się tego nie obawiał.

- Zauważ, że może być całkiem prymitywny. Takie rozumowanie mogłoby być dla niego zbyt skomplikowane - westchnął rzeźbiarz. - Albo przeciwnie. Jest bardzo dobrze kryty.

- Czyli na przykład działa przez kogoś podstawionego. Niekoniecznie musi być to kobieta. Inna możliwość, Król Węgorzy. Też nie wiadomo o nim nic i nie można sobie wyobrazić motywu. Chyba że gospodyni go rozszyfrowała albo...

- Myślisz o szantażu. Czemu nie, wszystko dla ludzi. Nic o niej nie wiemy i nie mamy jak się dowiedzieć. Antoniowa będzie rozmawiać tylko z tobą, ja się nie mogę do niej zbliżyć.

- Nie widzę powodu.

- Bo nie patrzysz.

- Dobrze, nie patrzę. Teraz podejrzani. W wyniku genialnego, społecznego śledztwa zdecydowano, że morderca ustawił dziesiątą trzydzieści dwie, sugerując urwaniem śrubki, że zegara się nie reguluje i że wskazówki pokazują godzinę morderstwa. Stąd wniosek, że podejrzani są posiadacze najlepszego alibi na tę godzinę. Czyli pani Nina, Beata, Godziszewskie, leśniczy, Trzeciak i Drzygłód. O, właśnie, on ma chyba najlepsze, nie licząc Niny Boguszewicz.

- Czy taki kulturalny człowiek dusi ludzi? - Janek przeciągnął się na krześle. - Między nami mówiąc, on mi czasem na to wygląda.

- Na wszystko wygląda. Tak, pamiętam, przesiadę się z powrotem przy kolacji. Żeby nie było na mnie, jeśli nie będzie chciał jeść. Rany boskie - zdenerwowała się nagle. - Kto z tych ludzi jest mordercą? Przecież to musi być widać. Nie może być takim człowiekiem jak inni. Musi być w nim coś zboczonego, odrażającego.

- I z pewnością jest, tylko na razie tego nie dostrzegamy. Zobaczymy, kiedy się go znajdzie.

- Nikogo z nich nie lubię - stwierdziła.

- Widać nie zasłużyli. Leśniczy najwyraźniej ma podobne zdanie po wnikliwym przyjrzeniu się dowodom osobistym. Ja swój zalałem, nie mam pretensji. Obywatel Trzeciak nagle zgubił, bardzo brzydko. Wolski nosi wąsy, jeszcze gorzej. Małżonka mogła bez pozwolenia zmienić uczesanie.

- Czy Król Węgory może mieć kłopoty z dokumentami? Stać go chyba na najlepsze.

- W zasadzie tak, ale drobne zalenie daty urodzenia nie zaszkodzi. Dla zmylenia logicznie myślących ludzi.

- Lepiej przyznaj się od razu, że to ty. W ogóle masz taki humor, jakbyś już wszystko wiedział.

- Wiem to, co ci powiedziałem. O emocjach. Ale one ciebie nie interesują.

- Rzeczywiście, dziękuję, mam własne.

- Które z kolei mnie mają nie interesować? Demonstracyjnie westchnęła.

- Muszę cię rozczarować. Ani nieszczęśliwa miłość, ani nieślubne dziecko. Również nie aktualna miłość. W ogóle nic frapującego.

- Co nie znaczy, że przez to nie łatwiejsze do przetrwania. - Wstał, niespodziewanie podniósł ją do góry jak dziecko i lekko pocałował w czoło. - Pamiętaj, zawsze daję bardzo mądre rady.

- Dobrze, pamiętam, Postaw mnie.

- Zapomniałem, już cię stawiam. Strasznie mało ważysz przy swoim wzroście. A nawiasem mówiąc, nie boisz się tego wszystkiego?

- Nie wiem, a powinnam? - Z ulgą stwierdziła, że znów stoi na podłodze.

- W każdym razie uważaj. Staraj się nie być sama z jedną osobą i zamykaj drzwi na klucz. Nie wdawaj się w niepotrzebne dyskusje, najlepiej z nikim poza mną o aktualnościach nie rozmawiaj.

Zanim zdążyła się ustosunkować do wytycznych, usłyszeli energiczne pukanie do drzwi.

- Ogłaszam zbiórkę, moi drodzy. - - Nina miała niespożyte siły. - Doszliśmy z panem leśniczym do wniosku, że najmądrzej będzie trzymać się razem. Wszyscy.

Jak najwięcej w grupie. Zejdziemy do salonu. Posłuchamy tego wstrętnego deszczu.

- Czy pan leśniczy też dotrzyma nam towarzystwa? - spytała słodko Marta.

- Mamy taką nadzieję.

- To miło, że znalazł czas. Już mi się zaczęło wydawać, że las w czasie deszczu też wymaga zainteresowania, ale racja, jesteśmy po godzinach pracy.

Przez półotwarte drzwi dochodziły odgłosy ruchu na schodach.

- Ależ mam, te seriale są beznadziejne. Lepiej jakiś program edukacyjny.

- Masz rację córeczko. Nawiasem mówiąc, czy doczekamy się wreszcie prawdziwej polskiej telenoweli? Od czasu nieodżałowanego Labiryntu jesteśmy skazani wyłącznie na zagraniczną tandetę. - Westchnęła.

- A może ktoś nam coś ciekawego opowie, kochanie. Od pana Drzygłoda na pewno można mnóstwo dowiedzieć się o Krakowie.

- W Poznaniu też jest piękny rynek, co pani na to, pani Marto? - Trzeciak wyciągnął do niej ramię, w drugiej ręce trzymając dużą, plastikową butelkę. - Proszę się nie dziwić, w atmosferze stresu żołądkowcy cierpią najbardziej. To maalox, świetny zagraniczny środek.

- Pan Drzygłód jest u siebie. Trzeba go zaprosić na dół.

- Tylko niech pani zaraz wraca, pani Nino, bo będziemy niespokojni - zaśmiał się Krzyś Nowakowski.

- Bardzo prosimy do salonu, panie redaktorze - zawołała Nina Boguszewicz. - Od teraz trzymamy się razem.

- Koniecznie? Zamierzałem napisać kilka listów.

- Może pan to zrobić na dole, nie będziemy hałasować. - Zawahała się, jakby chcąc zrezygnować ze swej misji, ale poczucie

obowiązku zwyciężyło. - Proszę nam nie odmawiać, wszyscy jesteśmy w tej samej sytuacji. Większość już zeszła niżej.

- Właściwie, na logikę biorąc, jedna osoba może zostać. Ale tylko jedna - zauważył Krzyś, radośnie błyskając oczami zza okularów, czym wzbudził w Marcie chęć strącenia go ze schodów.

Obejrzała się do góry. Drzygłód sprawiający wrażenie jeszcze wyższego, oparty o framugę, usiłował łagodnie pozbyć się rozmówczyni. Marta z niemiłym uczuciem zauważyła, że wygląda na najbardziej zmęczonego ze wszystkich. Może pracuje nad czymś więcej niż listy? Na sekundę ich spojrzenia spotkały się.

- Wezmę tylko blok listowy. Dziękuję za zaproszenie. - Skinął głową w stronę zaskoczonej Niny, która zresztą nabierała coraz więcej energii.

- Przyznacie państwo, można by lepiej zadbać o nasze samopoczucie w tej sytuacji. Nikt nie proponuje nam nawet kawy, a traktowanie... - machnęła ręką. - Nie poznaję tej kobiety, mówię o Antoniowej. Teraz widać, że chlebodawczyni zmusza ją po prostu do kulturalnego zachowania. Poza tym - wyprostowała się - o czym jeszcze myślę, słuchajcie, ten dom stracił właściciela. U kogo my faktycznie mieszkamy?

Nikt nie odpowiedział. Wydawało się, że nawet deszcz na chwilę ucichł, oczekując wyjaśnienia problemu.

- U Wyrodka. - Cichy, lecz aż nadto wyraźny głos należał do Janka Reisinga, który po bezskutecznych próbach wkręcenia się do kuchni stał oparty o ścianę. - Przecież to rodzony siostrzeniec.

Być może wiatr zawiął silniej, bo wszystkich ogarnęła fala chłodu. Godziszewska utkwiała w rzeźbiarzu zdumione spojrzenie, a Nina z hałasem wypuściła coś z ręki.

- To straszne - jęknęła - ale się zgadza.

- Niestety - błysnął bielą uśmiechu w opalonej twarzy, podając jej upuszczony długopis.

- Na łasce i niełasce?

- Dlaczego zaraz mówić o niełasce? Może nie być tak źle. Nie sądzmy nikogo, jeśli go nie znamy.

Kobieta wzniosła dramatycznie wzrok w górę.

- Na Piknik Country z włosami w kitkę i z tą przeszłością. Dziękuję bardzo. Ja się takich ludzi boję i najwyraźniej słusznie. Do wszystkich chyba dotarło, że to jeszcze podpalacz.

- Ma pani całkowitą rację - popierała ją Godziszewska. - Wegetujemy tu wszyscy w domu należącym teraz do tego człowieka, do bandyty. I zapewne pod okiem gangstera, który w każdej chwili może z nami zrobić, co zechce. Bo być może jeszcze nie dokończył dzieła.

Zauważyła Drzygłoda, który taszcząc liczne przybory do pisania, nie mógł się zdecydować, czy wejść do salonu, czy przyłączyć się do zebranych na werandzie.

- Czy pan ani trochę nie obawia się o życie? Czy na przykład nie przyszło panu do głowy uważać na siebie? - Widząc jego zdumienie, starała się mówić dobitniej. - Przecież morderca może pana napaść w ciemności.

- Napaść? - Szare oczy Drzygłoda rozbłysły na moment, sprowadzając uśmiech zaskakująco świeży, i wydawało się, że mężczyzna za chwilę wybuchnie śmiechem.

Opanował się jednak błyskawicznie i uprzejmie zwrócił się do Godziszewskiej.

- Dlaczego, na Boga, wyznacza mnie pani na następną ofiarę?

- To nie ja wyznaczam. W nocy przed morderstwem skradziono gospodyni zdjęcie, a panu pióro. Jej już nie ma. Teraz proszę pomyśleć poważnie o tym ostrzeżeniu i nie być takim pewnym siebie.

Drzygłód zmarszczył lekko brwi, przybrał już zwykły wyraz znudzenia. Leniwym krokiem podszedł do drzwi i obok Reisinga oparł się o sąsiednią framugę jakby dla uczynienia zadość symetrii. Marta oceniła w myśli, że mimo podobnego wzrostu trudno o bardziej kontrastujące ze sobą postacie mężczyzn. Jedna atletyczna promieniejąca witalnością, druga wyniosła, smukła należąca do chłodnego intelektualisty.

- Gdyby każdy okradziony z jakiegoś nawet wartościowego drobiazgu miał stracić życie, byłoby nas bardzo mało - stwierdził obojętnie. - Naprawdę nie łączyłbym tych spraw tak bardzo różnych jakościowo. Natomiast co do poprzednich wątpliwości, niestety pan Reising miał rację. Jesteśmy, jak pan to słusznie ujął, u Wyrodka. Nic jednak nie wskazuje na żadne przykrości, na jakie moglibyśmy być w związku z tym narażeni. Ulewa to przecież jeszcze nie koniec świata, wkrótce przybędzie prokurator, po jakichś niezbędnych formalnościach odjedziemy do domów i założę się, że zapomnimy o sprawie znacznie szybciej, niż nam się wydaje. A co podpalania, to

sądzę, że jeśli nie będziemy używać grzałek w pokojach, nic nam nie grozi.

- Tak pan uważa, naprawdę?

- Nie mam powodu ukrywać swojego zdania.

Ponownie zapanowało ciężkie milczenie. Tylko Beata położyła głowę na ramieniu męża i oddychała głęboko, jakby chcąc się uspokoić.

Krzyś oderwał wzrok od mokrej szyby.

- Przyszło mi coś takiego do głowy - zaczął nieśmiało. - Ten Wyrodek może mieć na przykład syna, któremu zawdzięczamy atrakcje w rodzaju anonimowej pocztówki grającej. Jego mógł widzieć Florian i może być podobny do dziadka Władysława. Na Piknik Country przyjeżdża mnóstwo młodzieży. Znał Floriana z opowiadań i też mógł się uśmiechnąć.

- Ma pan rację - powiedziała Nina Boguszewicz. - A ten uśmiech nie daje mi spokoju... Jest chyba jakiś znamieny.

- Może nie był całkiem krwiożerczy - wtrącił tonem nadziei Drzygłód.

- Z pewnością to całkiem normalny uśmiech - podchwycił Reising. - A co do podobieństwa, ma pan rację. Człowiek widziany przez Floriana mógł nawet być spokrewniony z naszym przyjacielem. Zdarzają się takie zbiegi okoliczności.

- Zwłaszcza przy zamroczeniu alkoholowym - dodał Drzygłód i skierował się do salonu, rozkładając tam swoje przybory piśmiennicze.

Za jego przykładem powoli przemieścili się inni. Patrycja bezwolnie wtłoczona przez mamę w fotel stanowiła niezbyt korzystne tło dla Beaty Wolskiej, która blada, niespokojnie przewracając kartki kolorowego czasopisma, co chwila nabierała tchu, chcąc zacząć rozmowę. Nie zdecydowała się jednak na wypowiedzenie żadnego słowa. Może i słusznie, bo nikt nie zdradzał zainteresowania otoczeniem, z wyjątkiem Krzysia nie odrywającego wzroku od Patrycji.

Marta nie śpieszyła się z wejściem do środka. Odsunęła się, by zrobić miejsce Godziszewskiej, która ogarnawszy wzrokiem salon i upewniwszy się, że wszystko w porządku, z godnością białej bluzki z broszką wyszła na korytarz. Ku zaskoczeniu Marty, zamiast w taki sam sposób się oddalić, zaczęła wysyłać w jej stronę

porozumiewawcze spojrzenia, a następnie opiekuńczo i konspiracyjnie odciągnęła ją w głąb werandy.

Nie ukrywała zakłopotania.

- Doprawdy sama nie wiem, jak zacząć, ale chciałam z panią porozmawiać, jak kobieta z kobietą. - Marta przygotowała się na kłopoty. - Może pani mi poradzi, co o tym myśleć. Otóż niechęć stałam się w pewnym sensie i częściowo świadkiem, ale sama nie wiem czego. Rozum jednak mówi mi, że to ważne.

Świetnie. Rewelacja. Szkoda, że to nie egzamin w sesji poprawkowej, wtedy wiedziałyby, jak rozmowę zakończyć.

- Otóż jakiś czas temu, gdy zaczynałam schodzić na dół, przechodziłam koło pokoju pana Drzygłoda. Drzwi musiały być niedomknięte, bo wyraźnie, choć niechęć usłyszałam - zawiesiła głos - płacz kobiety - dokończyła cicho. - Wiem, że pani za nim nie przepada i może być nieobiektywna, ale muszę się tym z kimś podzielić. To było takie tłumione łkanie. - Widząc brak reakcji Marty wyprostowała się zgodnością. - Nie mam halucynacji i nie zaszła pomyłka z radiem. Jestem osobą odpowiedzialną i wiem, że pani też nią jest. Dlatego zwracam się z pytaniem: czy pani ma jakieś sugestie na ten temat? Kto to mógł być? I czy pani coś wiadomo o tym człowieku?

Marta poczuła, że za chwilę dostanie pierwszej w życiu arystokratycznej migreny. Przez indukcję.

- Na szczęście absolutnie nic mi nie wiadomo o tym panu, i bardzo dobrze, bo pewnie też bym łkała. I naprawdę nie mam pojęcia, kto mógł u niego być. Nie pani i nie ja. Proszę z reszty zrobić selekcję. A czy pani jest pewna, że to kobieta? Może on takim głosem płakał na przykład nad naszym niskim poziomem intelektualnym.

Godziszewska ściągnęła brwi.

- Pani Marto, pani żartuje, bo pani nie musi troszczyć się o nikogo. Ja mam dziecko, być może wydane na czyjaś pastwę.

- Wydaje mi się, że dziecku nic nie będzie. Oczywiście, nie zaszkodzi na nie uważać. Ale Patrycja jest już duża, świetnie wychowana i myślę, że może pani jej dać możliwość wykazania się rozsądkiem i poczuciem odpowiedzialności.

W głosie Marty i w szeroko otwartych oczach, których zieleń aż lepiała się od słodczy, tyle było szczerości, życzliwości i jednocześnie kompletnego braku zrozumienia problemu, że Godziszewska

westchnęła i z rezygnacją zebrała się do odejścia, z pewnością w celu chronienia dziecka. Raz jeszcze rzuciła tragiczne spojrzenie.

- Ta kobieta mogła płakać z miłości, albo ze strachu. - I zostawiła Martę z problemem.

Swoją drogą powodów do płaczu może być sporo. Z bólem zęba włącznie. Trzeba jednak przyznać, że żaden pomysł nie przychodził w tej chwili Marcie do głowy i rozwiązanie zagadki było ponad jej siły. Jeśli zagadka w ogóle istniała. Niewykluczone, że dama zmyśliła sobie na poczekaniu niewiarygodną historyjkę, żeby wyciągnąć jakieś plotki.

Z drugiej strony pomysł płaczu z miłości wydał się Marcie bardzo interesujący. Nigdy jej się to nie zdarzyło, a może szkoda. Naprawdę bardzo mocno kochała się platonicznie w nauczycielu języka rosyjskiego w szkole średniej. Ale wtedy była szczęśliwa. Potem jakoś samo przeszło. Na studiach był najprzystojniejszy kolega na roku, wszyscy myśleli, że wezmą ślub, ale sama nie wie, dlaczego przestała się z nim spotykać. Miała akurat wtedy pomysł na doktorat. Dalej w zasadzie tak samo. Nic dziwnego, wszyscy bowiem byli nudni. Od początku do końca, niezależnie, czy krótkiej znajomości, czy czegoś pozornie zapowiadającego dłuższy związek. Po prostu nudni.

Trudno, nic nie poradzi, że dzieje się tak, a nie inaczej. Nie może się zmusić, by czuć coś, czego nie czuje.

Ona ma za wysokie wymagania, a naokoło ludzie bez życia. To była teoria jej mamy. Poparta autorytatywnym stwierdzeniem, że i tak naprawdę u mężczyzny liczy się tylko uczciwość. Na wszystko inne Marta miała zamknąć oczy, bo i tak nigdy z nikogo nie będzie zadowolona. Doskonale pamiętała matkę przeprowadzającą ten wywód, z właściwą energią, pielącą ukochany ogródek dłońmi, które nawet w rękawicach wyglądały na to, że są raczej stworzone do otwierania flakoników z pachnidłami na planie filmu kostiumowego, niż do grzebania w ziemi.

To, że człowiek powinien być uczciwy i prawdomówny, Marta rozumiała jako coś tak oczywistego, jak chodzenie na nogach, a nie na głowie. Natomiast inne zalety? Nie potrafiła powiedzieć. Niech będzie, że jest za bardzo wymagająca. Może nie wyjść za mąż, co za problem? Przynajmniej oszczędzi sobie kłopotów z rozwodem. Jasne, że kiedyś miała marzenie o kimś w rodzaju królewicza z bajki. Jak

każda normalna dziewczyna. Miała, a może jeszcze ma? Nie zastanawiała się nad tym, ponieważ ewentualne rozwiązanie zagadnienia nie wносиło nic nowego. Prawdopodobieństwo spotkania kogoś takiego było z pewnością liczbą tak małą, że zaniedbywalną. Co za różnica, wobec tego, czy ma jeszcze swoje marzenia, czy nie?

Teraz musi tkwić wśród ludzi, z których ktoś popełnił potworną zbrodnię.

Może by na nich chociaż nie patrzeć. Może wyjść, ale przecież nie w taką pogodę.

Co się dzieje wobec tego w nieszczęsnym salonie? Właśnie wkroczyła Antoniowa, tym razem bez wyraźnego celu. Brzegiem fartucha starła ze stołu niewidzialny pył i niepewnie popatrzyła na piszącego Drzygłoda. Pewnie sprawdzając, czy mu czegoś nie brakuje do szczęścia.

Potem odwracając się już do wyjścia, zmierzyła pogardliwym wzrokiem Trzeciaka.

- A tego Pana Tadeusza to pan sobie w księgarni poszuka. - I zaraz zniknęła.

- Czyście to widzieli? - jęknął ten dramatycznie.

- Celowała we mnie palcem, jakby chciała dziobnąć. O co chodzi tej wronie?

Reising wyciągnął nogi w wypłowiałych dżinsach tuż przed nosem Drzygłoda.

- Jak to o co? Sam słyshałem, że ma pan pójść do księgarni.

- Aż zbyt wyraźnie. - Trzeciak z trudem opanowywał się, sięgając do obszernej kieszeni po butelkę maaloxa. Po czym pociągnął z niej dość ostentacyjnie.

- Ależ drogi panie - nie wytrzymała Godziszewska - na żołądek najlepsze jest siemię lniane. Nie umywają się do niego te wszystkie białe papki.

- Moja babcia mówiła, że tylko tłusta śmietanka - dołączył rzeźbiarz.

- Rozwałę sobie wątrobę.

Krzyś Nowakowski nie ukrywał zdumienia.

- A pan by chciał mieć zdrowe jedno i drugie? A może wszystko inne też? To nie te czasy.

Trzeciak schował butelkę, wydając książkę w zielonej okładce.

- Czasy nie są takie złe, tylko trzeba umieć się w nich znaleźć, a przede wszystkim cieszyć się tym, czym można. Na przykład korzystając z otaczającej nas przyrody.

- Wie pan co? - nie wytrzymał Wolski. - Niech pan wreszcie gdzieś schowa ten przewodnik. On nam przynosi pecha.

- Pan sobie żartuje! Twierdzi pan, że ta książeczka ma związek morderstwem?

- Może i nie ma. Ale wprowadza złą atmosferę. Myślę, że jest pan w stanie przez jakiś czas się bez niej obejść.

- Niech pan już schowa ten przewodnik - poprosiła Nina Boguszewicz.

- Dobrze, skoro tak. - Obrażony Trzeciak z godnością wstał z miejsca. - Chowam go do kieszeni kurtki w korytarzu. Mówię to na wszelki wypadek, gdyby ktoś potrzebował na przykład coś sprawdzić. Przypadkowo oczywiście - dodał dobitnie.

Nina wzruszyła ramionami.

- Mężczyzna, a jaki obraźliwy. Godziszewska wyprostowała się w fotelu.

- Dowiedziono, że mężczyźni są słabsi psychicznie. Ze swojej trony dodałabym, że w poczuciu bezradności bywają nieobliczalni, agresywni i najchętniej stosują politykę siły.

Chciała kontynuować, lecz przerwała zaskoczona nagłym trzaskiem spowodowanym przez Drzygłoda, który stanowiąc żywą ilustrację dla jej wynurzeń, z tłumioną złością złamał długopis o poręcz fotela. Marta także słyszała odgłos łamanego plastiku.

- Coś nie tak? - odważył się Krzyś Nowakowski.

- Źle znoszę pisanie długopisem - odpowiedział sucho Drzygłód, trochę jednak zażenowany swoim wybuchem. - Nie przewidziałem, że znajdę się w takiej sytuacji.

Nowakowski zaczął szybko szukać po kieszeniach.

- Gdzieś powinienem mieć coś miękko piszącego. O, proszę bardzo.

Gdy uratowany od ciężkiej pracy związanej z przyciskaniem długopisu, uspokojony podziękował poważnym ukłonem, Marta z trudem opanowała pogardliwe skrzywienie. Też lubiła wszelkie miękkie pisaki, ale krępowałyby się robić z tego sprawę. Natomiast nie sposób zrozumieć, jak mężczyzna może z własnej nieprzymuszonej woli przyznać się do czegoś takiego. Rzecz jasna,

zważywszy na subtelny kształt jego ręki, z pewnością nie przestraszyłaby się jej siły, ale po co o tym przypominać otoczeniu? Wszystko pasuje do tej nieszczęsnej wody po goleniu, która skłoniła Janka do bezsensownych złościwości.

Z drugiej strony, może to byłby jakiś sposób na życie: nieukrywanie swoich słabości, nawet czasem demonstrowanie ich. Po co oszukiwać innych i potem ryzykować rozczarowanie? Po raz pierwszy miała ochotę przyznać lordowi Drzygłodowi słuszność. Rzeczywiście jego postawa świadczy o jakiejś odwadze, choć może raczej o wielkiej pewności siebie, po prostu zarozumiałości. Ciekawe, na jakiej podstawie ktoś taki uważa się mimo wszystko za lepszego od innych. Właściwie, ona sama mogłaby coś takiego o sobie powiedzieć, a nawet udokumentować, tylko czy ładnie jest wpadać w samouwiebienie?

Rozmowa nie kleiła się. Wszystkie neutralne tematy zostały wyczerpane, a o najistotniejszych rzeczach już nikomu nie chciało się dyskutować. Na kłótnie też nikt nie zdradzał ochoty.

- Patrycja, córeczko, a ty do nikogo nie napiszesz? Tyłu masz przyjaciół.

- Może później, mamo.

Reising od dłuższego czasu usiłował wygodnie zmieścić się w wytartym, pluszowym fotelu, który tylko teoretycznie pasował do jego rozmiarów.

- O, pisanie listów to zanikający zwyczaj. Królują pocztówki.

- Pan żadnej nie wysyła? - spytała Nina znad sterty zapisanych widokówek.

- Owszem, czasem tworzę listy, gdy najdzie mnie ochota, ale kartki pocztowej nie wysłałem ani jednej chyba przez ostatnie dwadzieścia lat.

- Rozumiemy, że nie otrzymał pan również ani jednej. - Uśmiechnął się szeroko Krzyś Nowakowski.

- Ze skrucą przyznam, że owszem, niejedną.

- Pewnie od kobiet, bo w tych sprawach nie ma sprawiedliwości.

Reising potarł opalony, starannie wygolony policzek.

- A któż panu powiedział, że w życiu ma być sprawiedliwość?

- Chyba każdy człowiek powinien dążyć do tego, żeby była. Przynajmniej na miarę swoich możliwości.

Wolski zmarszczył brwi.

- Mam wrażenie, że właśnie ktoś wymierzył własną sprawiedliwość dziś rano. Niestety w bardzo szerokim pojęciu. Dlatego należałoby z tym uważać, bo można przesadzić.

Nowakowski zerwał się z miejsca i usiadł na parapecie.

- Nazywa pan bestialskie morderstwo wymierzeniem sprawiedliwości? Na jakiej podstawie? Według pana, jeśli ktoś daje się zabić, to sam jest sobie winien? Myśli pan, że żyje w dżungli?

Wolski wzruszył ramionami.

- To, co ja myślę, nie ma akurat najmniejszego znaczenia. Ale uświadamia pan sobie, mam nadzieję, że nasz świat wprawdzie dżunglą jeszcze nie jest, ale obowiązują w nim prawa korzystne dla lepszych. To znaczy obdarzonych większą inteligencją i możliwością działania.

- Właśnie - pokiwał głową Trzeciak. - Wrócił pan z za granicy i świat stoi przed panem otworem. Nie dziwi mnie ten punkt widzenia.

Marcie nie chciało się tego słuchać.

- Niech pan powie - zagadnęła leśniczego - jak właściwie gospodyni radziła sobie finansowo? Utrzymanie takiego domu musi sporo kosztować.

Leśniczy uniósł brwi.

- To prawda, że ostatnio nie było najlepiej. Nie inwestowała też specjalnie, to widać. Oczywiście jest stały dochód z wynajmowania sklepu w Pomyślewie, gdzie dawniej był antykwariat. Wiem na pewno, że chciała zrobić reklamę przy pomocy naszego pana redaktora. Ale założyłbym się, że ten Drzygłód nawet rozmawiać by o sprawie nie chciał. Cały czas starała się go sobie zjednać. Nie wiem, z jakim skutkiem. To nie jest człowiek do dogadywania się. - Wskazał wzrokiem w stronę, gdzie aktualny przedmiot rozmowy zajmował chyba najbardziej zużyty fotel z szerokimi, drewnianymi poręczami.

Na jednej z nich ustawił sobie buteleczkę z korektorem i szeroki marker, jasnioletowy, bo tym kolorem co jakiś czas zdobił fragmenty swoich wyczynów epistolograficznych.

- Czy pani widzi, że on cały czas albo słucha muzyki, albo czyta, albo coś pisze? Jak tak patrzę, to dużo bym dał, żeby wiedzieć, do kogo pisze. Żony nie ma, to wiem na pewno.

- Może mieć narzeczoną.

- Czy to jest facet, który by siedział i pisał listy miłosne? Żartuje pani. - Skinęła głową z przekonaniem. - Znam takich, jeśli się ożeni,

to z majątkiem, żeby razem zrobić więcej forsy. Tylko to się u nich liczy. Z nami nie będzie rozmawiał, bo mu szkoda czasu. Nie zarobiłby na tym ani grosza.

- Może więc pisze w interesach.

- Najpewniej. Ale do interesów służy raczej komputer i telefon.

Być może czytając w ich twarzach, Nina zwróciła się do Drzygłoda.

- Szczerze podziwiam pana pracowitość. Rozumiem, że to korespondencja zawodowa...

- Niezupełnie. Piszę do przyjaciół. Odrabiam zaległości.

- Czy do Krakowa? Skinął głową.

- Również.

- Wszyscy skarżymy się na brak czasu. Wspaniale, że pan go znajduje na przyjaźnie i kontakty międzyludzkie.

Nie udało jej się skłonić rozmówcy do uniesienia głowy, ale spowodowała przynajmniej pojawienie się grymasu, który miał oznaczać uśmiech.

- Czasu zawsze jest mało, do nas należy wybór, na co go przeznaczamy.

Pani Nina już nabierała tchu, żeby coś odpowiedzieć, ale nagle przerwano jej.

- Panie redaktorze! - trudno było uwierzyć, ale słodki głos należał do Antoniowej. - Tylko pan może nam pomóc.

- Już idę. - Drzygłód zerwał się błyskawicznie.

- Nie możemy dostać się do tej półki na górze - dochodziły wyjaśnienia z kuchni.

Nina Boguszewicz drgnęła, jak zdradziecko przez coś ukąszona. Oczy zaokrągliły jej się ze zdumienia i przerażenia. Z dziwną bezradnością spojrzała naokoło, szukając zrozumienia czy wręcz pomocy. Martę zaskoczyła reakcja nieproporcjonalna do tego, co się wydarzyło. Przerwano rozmowę, która i tak się nie kleiła. Nic więcej. A może nie, może stało się coś, czego nie zrozumiano. Przecież ta kobieta przyjeżdża tu od kilku lat i mimo że raczej nie należy do genialnych, miała okazję zaobserwować jakąś rzecz, która w tej sytuacji nabrała znaczenia. Nie, czysta teoria. Znowu jakieś egzaltowane przywidzenia.

- Ale tę nieszczęsną antenę ośmielę się naprostować. - Reising wskazał teatralnym gestem okno, przy którym ciągle dyżurował Krzyś.

- Pan tam widzi jakąś antenę? - zdziwił się.

- Zawsze widzę to, co chcę - pochwalił się rzeźbiarz, przesuwając się w stronę okna. Po drodze zdjął z poręczy fotela pozostawiony przez Drzygłoda blok, nakładając przy okazji skuwkę na cienkopis. Kładąc rękę na ramieniu Krzysia, postukał palcem w szybę. - O, tam na płocie. Wiatr ją nieźle urządził.

- To dlatego telewizor nie odbiera - stwierdziła Godziszewska.

- Trafiała pani w sedno - pochwalił Trzeciak. - Tylko niech pan włoży coś na głowę! - zawołał bezskutecznie za wychodzącym.

Marta niezbyt uszczęśliwiona perspektywą oglądania telewizji zaczęła się zastanawiać, dlaczego tu jeszcze siedzi. Nie pamięta, kiedy ostatni raz znalazła się w takiej sytuacji. Zawsze konsekwentnie, gdy nie odpowiadało jej otoczenie czy atmosfera, ewakuowała się. W pracy przyzwyczajono się, że z każdego zebrania wychodzi, kiedy chce, i nie ma na to rady. Teraz tkwi jak w klatce, nie zmobilizuje się nawet, żeby pójść na górę po coś cieplejszego do ubrania.

- Patrycja, córeczko, zobacz może tam w kuchni przyda się kobieca ręka. Moja dziewczynka posiada prawdziwy talent do gospodarstwa. Szkoda jej na to, bo umysł ma niesłychanie bogaty.

Deszcz zabębnił w szyby ze zdwojoną siłą. Gdzieś z oddali doszło uderzenie pioruna.

- Jesienna burza - westchnął Trzeciak. - Budzi ludzkie namiętności.

Pochwyciwszy spojrzenie Marty, które odbierało mu prawo do życia, a już na pewno do mówienia, urwał wpół słowa.

- Zimno mi - wzdrygnęła się. Marząc o jak najszybszym znalezieniu się we wnętrzu ciepłego swetra, wysunęła się z pokoju, imponująco zgrabnie przeskakując przez buty leśniczego.

Dla rozgrzewki pokonała schody, skacząc po trzy stopnie zadowolona, że nikt nie widzi jej zachowującej się jak nastolatka. Gdy rozpędzona przekręciła klucz w zamku, uderzyły ją drzwi otwierające się zbyt gwałtownie. To niedomknięte okno, o którym mówiła Oleńka, zaprezentowało w końcu swoje możliwości. Do pokoju Marty wpadł mokry kłęb igliwia, grudek błota i innych bliżej nieokreślonych fragmentów zewnętrznej rzeczywistości. Z rozmachem chwyciła

rozchylone na całą szerokość okiennice w silnym postanowieniu natychmiastowego poradzenia sobie z sytuacją. Bezskutecznie. Nic dziwnego, skoro dotychczas był to problem nie do opanowania dla wszystkich w tym domu, a co dopiero dla Marty, która nawet jak na kobietę nie należała do zbyt silnych. Żadnych szans. Nie mogła przecież tkwić, trzymając okno, śmieszna jak myszka Miki. Opuściła ręce bezradnie. Dobrze. Jeszcze to na dobiecie.

Prawie nie było słyhać, że ktoś wszedł do pokoju.

- Jakiś problem? - Wojciech Drzygłód najwyraźniej poczuł się zwolniony z obowiązku przebywania w salonie. Teraz beznamiętnie ogarniał wzrokiem rozmiar nieszczęścia.

- Tak, jeden drobny. - Marta ze zniechęceniem chciała go poprosić, żeby zawołał Janka Reisinga.

- Nie daje się zamknąć? - spytał.

Nie odpowiedziała. Denerwowały ją bezsensowne rozmowy. Tym bardziej teraz, gdy wiatr z deszczem hula po pokoju. Chyba sama zejdzie na dół po pomoc. Wciśnięta w kąt między szafą a ścianą, zziębnięta patrzyła nieżyczliwie, jak jej gość podchodzi do okna, przymyka je i jednym ruchem przekręca klamkę.

- Już w porządku. Trzyma się.

Aż nie zrozumiała w pierwszej chwili, ale podeszła, żeby przekonać się na własne oczy. Nie było wątpliwości. Tylko ślady zadrapań świadczyły o czyichś bezskutecznych zmaganiach w przeszłości.

- Dziękuję, ale przecież tej klamki nie da się domknąć - dodała tonem pretensji.

- Coś takiego - zdziwił się zdawkowo, choć przysięgłaby, że w jego oczach zamigotały iskierki wesołości. - Będzie pani chłodno - dodał obojętnie, prześlizgując się wzrokiem po jej sporym dekolcie, i wyszedł, starannie zamykając za sobą drzwi.

Rozdział 9

Jak zwykle po spotkaniu z Drzygłodem niezadowolona z siebie Marta energicznie ściągnęła kamizelkę i bluzkę. Zaszycie się w brązowy sweter z golfem sprawiło jej dużą przyjemność. Może by jeszcze zrobić coś z włosami. Wypróbujemy klamrę. Udało jej się nie chwycić ich ani za nisko, ani za ciasno. Efekt uznała za niezły. Przynajmniej pierwsze, co się udało od rana. Tylko dlaczego zostawili jej niedomknięte okno i wmawiali, żeby nic nie ruszać? Chyba na włamywanie się istnieją prostsze sposoby. Niepotrzebne kręactwo.

Następne pukanie do drzwi. Tego już za wiele.

- Czy mogę teraz posprzątać? - Oleńka prawie dygnęła. - Pan Drzygłód mówił, że wiatr załatwił pani kompletnie pokój. - Uzbrojona w szczotkę i śmietniczkę manifestowała chęć do pracy. Skontrolowała krytycznie okiennicę. - I tę klamkę w końcu udało się naprawić - stwierdziła pogodnie. - Niech jej pani lepiej nie rusza - doradziła.

- Nawet nie będę próbować. - Marta powstrzymała się od dalszych komentarzy. - Będę na dole.

Na dole Janek Reising w korytarzu między salonem a kuchnią robił za babskiego króla, otoczony wszystkimi damami, nawet Antoniowa z rękami skrzyżowanymi na piersiach ponuro przyglądała się jego profilowi. Wątpliwe bowiem, czy słuchała tego, co odpowiadał Beacie zainteresowanej historią sztuki.

Marta mimo woli zatrzymała się. W całej postawie kobiety w fartuchu tyle było pewności siebie, a nawet godności, że właśnie ona przykuwała wzrok. Musiała poczuć na sobie spojrzenie, bo odwróciła się z nieoczekiwanym uśmiechem.

- Ale pięknie pani wygląda. Te włosy przypięte. Prawdziwa kobieta.

Do czegoś takiego Marta nie przywykła. Co najwyżej zdarzało jej się słyszeć, że kobietą nie jest, nie była i nie będzie.

- Zmarzłam i musiałam się przebrać - wyjaśniła.

- Toż trzeba ciepłej herbaty.

Marta nie miała zamiaru bronić się przed wciągnięciem do kuchni.

Antioniowa zamknęła drzwi, odgradzając gościa i siebie od siedzących w przedpokoju.

- Patrzą, gdzie będzie pani najlepiej usiąść. - Rozejrzała się dokoła.

Marta bez namysłu wybrała sobie niski stołeczek. Bardzo wygodne miejsce z oparciem o szafkę i widokiem na kredens. Kredens z gatunku takich, jakie królowały kiedyś wszędzie, a teraz tylko gdzieś tam straszą, cofając czas o ćwierć wieku. Matka Marty nienawidziła kredensu od samego początku. Potem przyzwyczała się, jak do większości rzeczy, z którymi musiała się pogodzić. Dziwne, ale jej kuchnia była zawsze ciekawsza i przytulniejsza. Może więcej półek z najróżniejszymi naczyniami, często glinianymi, może parę kolorowych szmatek zamiast nieśmiertelnej ceraty. Oczywiście dla pani Rodlińskiej stanowiła ważną część życia nielekkiego, ale samodzielnego. Dla Antoniowej było to miejsce pracy nie należące do niej ani odrobinę.

- Pamiętam, że pani lubi z mlekiem bez cukru. Ciasteczka ciepłe, prosto z blachy.

Dziwiąc się, że Antoniowa to zapamiętała, z przyjemnością przyjęła ciepły płyn zmieszany w takich proporcjach, jakie rzeczywiście smakowały jej najbardziej.

- Nie przywykła pani do takiej kuchni? Tej węglowej też używamy, jak przyjdzie dużo ugotować, a rano się rozpala, bo i tak trzeba dla świnek. W mieście to są małe klitki. - Machnęła ręką.

- Wychowałam się w dużej - odpowiedziała Marta automatycznie. - I niezupełnie w mieście. Ale pani - odważyła się - mówi właśnie jak ktoś z miasta.

Antioniowa westchnęła machinalnie, wycierając niewidzialny brud z płyty kuchennej.

- Szkołę w Pomyślewie kończyłam. Miałam się uczyć dalej, ale nie udało się. Kiedy po śmierci ojca zostałyśmy z mamą same, pracować musiałam, nie o nauce myśleć. Tu przyszłam na służbę i chyba mi tak było pisane, bo jak mój mąż na tamten świat odszedł, to dziecko mamie zostawiłam i z powrotem przyszłam tutaj na cudzym na chleb zarabiać. Prawie całe życie tu przeżyłam. Pięć lat wszystkiego moje małżeństwo trwało. Też ciężko było. Starszego o dwadzieścia lat dostałam. - Siadła, podpierając się łokciami o stół. - Mama moja myślała, że on mnie zabezpieczy, ale gdzie tam. Wyszło na to, że wódkę lubił, potem chorował, bez niczego zostałam. Co było począć? Wróciłam tutaj. Tak myślałam, że i tutaj umrę. A teraz jak będzie? Nie wiadomo.

- Właśnie. - Marta ochoczo wróciła do tematu.

- Kto tu przyjdzie?

Usta Antoniowej zacisnęły się.

- Ten Wyrodek tu się nie pokaże. Nie odważy się.

- Myśli pani, że on tego nie zrobił? Kobieta skrzywiła się.

- A ci zbóje od jeziora to co? Jak miał ten ich król przyjechać, to myślę, że nie sam, bo mu bandę rozpędzili, tylko naprzód swoich pomagierów przysłał, morderca. Nie wiem, jaki był powód, może mu się moja pani pomyliła z jakąś inną od jego interesów osobą. U nich żadna różnica jednego człowieka więcej zatłuc.

- A ta pocztówka grająca?

- To ten Wyrodek pewnie chciał postraszyć i po pijanemu taki pomysł miał. Teraz już pewnie wie, co się stało, i będzie chciał na gotowe. Ale to nie ze mną. - Zmarszczyła się i znów przypominała figurę w drewnie.

- Póki ja tu jestem, on tego progu nie przestąpi. Taką hańbę domowi przynieść.

- Co on konkretnie robił? - Marta trzymając kolanami kubek z herbatą, sięgnęła po ciastko.

- Był w takiej bandzie, co napadała na ludzi, i jeszcze kogoś podobno spalił. Do poprawczaka go wzięli.

- A potem?

- Pewnie to samo, bo jakżeby miało być. Żadne słuchy nas nie dochodziły. Widać teraz go wypuścili, skoro się pokazał. Florian był pijak, ale wiedział, co mówił, a te Country w Mrągowie akurat pasują.

- Myśli pani, że naprawdę go widział?

- Mógł widzieć. Włosy w kitkę, teraz tak się nosi to chuligaństwo. Bieda, że Florian sam już nie opowie, jak się utopił. - Przeżegnała się.

- To wobec tego niech pani opisz, jak ten dziadek Władysław wyglądał, skoro ma być do niego podobny.

Antoniowa pokręciła głową.

- Za młoda byłam, żeby go pamiętać. Chłopak z twarzy to w matkę poszedł. Niebieskie oczka, jasne włoski, nosek jak z porcelany. Nigdy nie wiadomo, co z kogo będzie.

- A ojciec jego jaki był?

- Przystojny, ciemny. Nazywali ich cyganami, ale tylko w żartach. Przyjemni ludzie byli on i jego ojciec, ale biedni, aż strach.

Marta nagle zrozumiała, że czegoś brakuje w tej historii.

- No dobrze, ale czy bieda to wystarczający powód, żeby wyrzucić własną córkę? Nie mogę w to uwierzyć. Stawiałabym, że narzeczony panny Alicji miał kłopoty z prawem. Wtedy wszystko jest bardziej zrozumiałe.

Antoniowa nawet się nie obruszyła. Spojrzała głęboko w oczy Marty.

- Mądra z pani kobieta. Z nich nikt się temu nie zdziwił. Takie teraz czasy, że bieda grzech największy. Ale to nie tak, jak pani myśli. Ten chłopak, Jurek miał na imię, żeby zarobić, sprzątał, pomagał w antykwariacie. I pewnego razu przyszła taka pani Kwiatkowska. Stara panna była, śmieszna, ale poczciwa. Robiliśmy sobie z niej żarty, bo chyba siedemdziesiątkę już miała, a takie głupie kapelusiki nosiła. Też jej się nie najlepiej żyło, musiała trochę wyprzedawać. I przyniosła książkę, Pana Tadeusza. Pan dał jej niską cenę, że zniszczona i kto takie rzeczy teraz czyta. Gdzieś po tygodniu pani Kwiatkowska znowu przyszła i chciała książkę odkupić. Oczywiście z marżą. Ten mówi jej, że już sprzedał. A Jurek odzywa się, że się panu pomyliło, że przecież jeszcze jest na zapleczu. Pan się strasznie zezłościł i zażądał od niej ceny ze sto razy większej. Ona płakała, że książka była u niej w domu od zawsze i żeby ją normalnie odsprzedał. On był nieubłagany, bo podobno data wydania była taka stara, że miał na nią dobrego kupca w Warszawie. Mówili, że to było takie historyczne wydanie z czasów Bismarcka jeszcze, z potajemnej drukarni. I pani Kwiatkowska swojego nie dostała, a Jurek ze sklepu wyleciał.

- Nic dziwnego, zachował się jak naiwny.

- Gorzej. Nie darował, chciał, żeby było sprawiedliwie. Powiedział, komu mógł. Trochę się sprawa rozniosła, ksiądz tłumaczył panu, że źle postąpił i że to nawet jest niezgodne z prawem. Ale kto by się na to oglądał, skoro pan był tak dobrze z tamtymi władzami. Na chłopaku się w sumie skrupiło.

- Niesamowite. I miał odwagę w ogóle po tym wszystkim interesować się córką tego człowieka?

Antoniowa uśmiechnęła się blado.

- Cóż, serce nie wybiera. Myśleli: „Miłość ci wszystko wybaczy”. Mieli nadzieję, że jakoś się ułoży. Ale się przeliczyli, musieli po prostu uciekać. Raz to pan już nawet Jurkowi groził. Miał dojście do tych, co rządzą. Więc wyjechali. Na zmarnowanie.

- Podoba mi się ten Jurek - stwierdziła Marta. - I pomyśleć, że ktoś o takim charakterze miał syna kryminalistę.

- Ano wyrodził się, Wyrodek. Mówią, że w każdej rodzinie co ileś lat takie się zdarza. Tylko dlaczego akurat Alicji syn? Ach, co tu gadać! - machnęła ręką. - Niech pani powie coś o sobie. Taka pani piękna. Nawet stroić się pani nie musi. Mężczyźni spokoju nie dają?

- Jedni dają, inni nie dają - odpowiedziała dyplomatycznie. Może wypadało coś jeszcze dodać, ale uratowało ją pukanie do drzwi. To Godziszewska wsunęła głowę i przepraszając, wycofała się. Marta wstała.

- Pójdę już. Dziękuję. Antoniowa dotknęła jej rękawa.

- Jeszcze jedno chciałam pani powiedzieć, niech się pani nie obrazi. Proszę trzymać się z daleka od tego pana Reisinga. On nic nie jest wart.

- Być może. - Uśmiechnęła się Marta. - Ale to już jego problem.

Oczywiście wspomniany Reising jeszcze królował w korytarzu, gdy wyslizgnęła się z kuchni.

- Miałaś nigdzie nie łązić. - Wciągnął ją do salonu. - Już chciałem sprawdzać, co się dzieje na górze.

- Byłam pod dobrą opieką. - Z królewską łaskawością skinęła w stronę Drzygłoda.

- A, to w porządku. I pan ją ubrał w sweter?

Nie otrzymał odpowiedzi, a ich uwagę ściągnęła Nina Boguszewicz przymierzająca przed lustrem za wąską dla niej, kolorową indiańską kamizelkę Beaty Wolskiej.

- Od razu lepiej niż w szalu, prawda? - wołała od stołu właścicielka.

- Pani Marto, co pani na to?

- Rewelacyjnie.

Wchodząc do jadalni, przypomniała sobie o danej obietnicy powrotu na miejsce. Trudno, przeżyje.

Naprzeciw jej dawnego krzesła stał Drzygłód zajęty słuchaniem Godziszewskiej. Nie patrząc w tę stronę, czuła, że obserwuje każdy jej ruch. Jak można robić problem z takiego głupstwa. Zatrzymała się i być może trochę sztywno usiadła. Drzygłód natychmiast uprzejmie rzucił mamie Patrycji coś kończącego rozmowę, po czym zajął swoje miejsce naprzeciw Marty, co dziwniejsze, uśmiechając się w sposób

tak naturalny, że zaskoczona automatycznie odpowiedziała mu również uśmiechem.

- Jakie okropne jest to lustro - kokietowała Nina. - Nic człowiekowi nie daruje. Wszystkie zmarszczki jak na dłoni.

- Takich konfrontacji należy unikać - pouczył ją Reising. - To wina źle ustawionego światła. Niepotrzebnie straszy naprzeciw salonu.

- A wie pan, że mam inne zdanie? Prawdy unikać nie należy. To kwestia odwagi. W tym lustrze naprawdę wszystko dobrze widać. Więcej, niż ktoś mógłby chcieć, ale takie jest życie - zakończyła, tocząc wzrokiem po obecnych.

- A jaka jest prawda o kolacji? - wpadł jej słowo Nowakowski. - Co dają?

- Gulasz! - obwieściła Oleńka, wnosząc tacę. - Bardzo dobry, mięciusiutki.

- Ach, prawdziwy węgierski gulasz to jest coś! - Nina Boguszewicz nie przestawała mówić. - U nas to oczywiście mniej czy bardziej udana imitacja. W ogóle, przyznają państwo, nasze tradycje kulinarne są takie ubogie i bez wdzięku. O - wycelowała wyciągniętym palcem w Drzygloda - przecież pan jest z Krakowa. Wszystkim wiadomo, że to osobna kultura. Jakie jest charakterystyczne danie dla pana miasta?

- Charakterystyczne? - Mimo świdrującego wzroku, jakim go przeszywała, nie palił się do podjęcia tematu. - Przede wszystkim nie przywiązuje się wielkiej wagi do kulinariów, przynajmniej w porównaniu z Warszawą. A z konkretów, słynne chyba wszędzie kopytka i kotlety mielone.

Wolski nałożył sobie sporą porcję gulaszu.

- Czyli oszczędność. - Machnął widelcem. - Oślawiona krakowska cecha. Ciekaw jestem, przepraszam, jeśli to nachalne pytanie, czy pan się wyzbył tej cechy, czy tkwi ona zbyt głęboko?

Drzyglód lekko wzruszył ramionami.

- Ta cecha, przedmiot dowcipów, nie tyle tkwi głęboko, co wynika z braku środków materialnych, tym samym zabawna nie jest - dokończył chłodnym tonem.

- A inne tradycje kulturowe? - ratował sytuację Trzeciak. - Czy wciąż są panu bliskie, czy łatwo pan z nimi zerwał w Warszawie?

- Umiarkowanie bliskie. Pochodzę z typowej, dość dobrze sytuowanej rodziny urzędniczej. Z tą atmosferą bardzo łatwo zrywa się podczas studiów. W Warszawie szybko całkiem o niej zapomniałem. Zresztą od dawna nie mam kogo odwiedzać w Krakowie.

- Ale tam pan spędził całe swoje dzieciństwo, w szerokim pojęciu tego słowa?

- Tak, oczywiście. - Wydawał się zaskoczony inkwizytorskim tonem, jakim zostało zadane pytanie dotyczące tak niewątpliwego faktu.

Marta odetchnęła z ulgą, gdy pani Nina wyczerpała temat i skończyła przesłuchanie. Niech tylko teraz spróbuje zapytać ją o Poznań.

- Może jutro będzie pogoda i przyjedzie, kto ma przyjechać - rozmarzyła się Godziszewska.

- Nawet gdyby świeciło lipcowe słońce - skrzywił się Wolski - to i tak nic z tego. Sama pani słyszała. Drogi rozmyte i co ważniejsze, zerwało ten nędzny mostek. Jesteśmy odcięci od świata. Bo bagien raczej bym nie brał pod uwagę.

- Ale mostek może chociaż zacząć naprawiać.

- Może zacząć.

Marta z niechęcią przełykała gulasz, który stanowczo za bardzo przypominał jej wszystkie potrawy stołowe, z jakimi miała do czynienia. Czy kiedyś zacznie sama gotować? Wątpliwe.

- Koniecznie musi pani przymierzyć tę kamizelkę. - Nina przestała wypytywać i zaczęła doradzać.

- Nie, dziękuję, nie pasuję do tych kolorów.

- Ależ jak najbardziej. Sama się pani zaraz przekona.

Żeby nie odpowiadać, Marta poprosiła Drzygłoda o nalanie drugiej szklanki kawy zbożowej, która wprawdzie nie miała walorów smakowych, ale przypominała jej czasy internatu, które wspominała bardzo dobrze.

- To prawie wojskowy napój - zauważył z nutką zdziwienia.

Nie odezwała się. Nie ma powodu, żeby ten człowiek krytykował jej upodobania smakowe. Jeśli mu się nie podoba, niech nie pije.

- Oczywiście, że nie ma nic lepszego na kolację niż ciepłe mleko - wtrącił Reising.

Trzeciak aż się otrząsnął.

- Może dla kotów. Ale do gulaszu?

- Czemu nie? Na pewno pan nie próbował. Ja piję mleko do wszystkiego i dlatego rosnę.

Marta ciekawa, czy uda jej się szybko znaleźć w pokoju, już podnosiła się z miejsca, gdy Oleńka scenicznym szeptem z korytarza oznajmiła czekające w salonie ciasteczka. Trzeciak w odpowiedzi rzucił, że z pewnością „ptibery”.

Oczywiście nie udało jej się spokojnie przejść koło lustra. Natychmiast poczuła na ramionach koszmarną kamizelkę.

- Fantastycznie - zachwycała się Nina Boguszewicz. - Teraz jest pani sobą. Pokazuje pani temperament, taki trochę południowy. Tak, to lustro mówi prawdę.

- Droga pani - głos Marty ociekał słodyczą - muszę panią rozczarować. Nie mam temperamentu. Ani południowego, ani północnego. Żadnego w ogóle.

Mówiąc to na wprost lustra, wzrokiem omijała swoje odbicie i przyjrzała się tłu, które stanowiło wnętrze salonu, a w nim był tylko leśniczy obok Oleńki stawiającej talerz z ciastkami na serwetę. Bez skrępowania położył rękę na biodrze dziewczyny. Przeciągnęła się leniwie.

- Może wreszcie włączymy telewizor - zaproponowała głośno - skoro pan Janek już go naprawił. Choć z pewnością znowu nie będzie nic do oglądania, bo na prognozę pogody chyba nie mamy ochoty.

- W Warszawie na pewno świeci słońce, a my tutaj jak w więzieniu - podsumował Krzyś Nowakowski. - Może jednak dowiemy się, jak żyją gdzieś ludzie. Uwaga, wciskam magiczny czerwony guziczek.

Ciesząc się jak dziecko, przyjął w fotelu klasyczną pozycję widza z ciastkiem w palcach.

Powoli do salonu wchodzili inni, jakby zwabieni migoczącym ekranem. Na nim miały się dwie wyondulowane dziewczyny w serialu komediowym.

- Naucz się wreszcie nosić swoje ciuchy! - wrzeszczała jedna do drugiej.

- Jeszcze mi tylko brakuje czegoś miłego na kolanach - rozkoszował się Krzyś. - Niech będzie chociaż ten drewniany piesek. Może jest zaczarowany i ożyje.

Po drodze do półki, gdzie rezydował zrobiony przez Reisinga Ares, obejrzał się na scenę zdzierania bluzki ze szczupłej blondynki. Zaaferowany tym widokiem sięgnął po figurkę tak nieszczęśliwie, że leżący obok niej walkman Drzygłoda spadł na podłogę.

- Ojej, bardzo przepraszam! - zmartwił się.

- Nie szkodzi, to jest odporne. - Właściciel nie przejął się, mimo że pudełko na baterie rozleciało się, uzewnętrzniając całą swoją skromną zawartość.

- Miejmy nadzieję - westchnęła Patrycja. Zatrzymała się w miejscu, w którym klęczący Krzyś widział tylko jej nogi wyłaniające się z czarnych pantofli na koturnach.

Kłótnia skąpo ubranych bohaterek serialu przyciągnęła uwagę widzów.

- Nigdy nie wiesz, na czyje pończochy patrzysz! - W okienku telewizora zanosilo się na większą awanturę.

Krzyś powoli wstawał. Na jego pobladłej twarzy malowało się skrajne przerażenie, gdy oddawał Drzygłodowi jego doprowadzoną do porządku własność.

- Proszę się nie denerwować. Czy nigdy nie wypadło panu nic z ręki? - spytał ten uspokajającym tonem.

Ponieważ Nowakowski był zbyt poruszony, by odpowiedzieć, Drzygłód spokojnie założył słuchawki i wziął się do porządkowania napisanych po południu listów, nie interesując się już niczym innym.

Marta stwierdziła, że znów ma go na wprost oczu. Chyba na inne widoki umawiała się, przyjeżdżając tutaj.

- Nawet kwiatka na oknie. Żadnej doniczki - westchnęła Godziszewska.

- Nic dziwnego - dołączył Trzeciak. - Kobieta, która wypędziła z domu niewinnego siostrzeńca, żałuje czasu i miejsca dla żywej rośliny.

Nina Boguszewicz zlustrowała go strofującym spojrzeniem, od niezdejmowanych w domu turystycznych butów po ostrzyżoną na jeża czuprynę.

- Ależ pan zawzięty. I za swój błąd, bo ja też nie pochwalam jej w tym momencie, miałyby zapłacić życiem? To według pana jest w porządku?

Trzeciak obrażony wysunął dolną wargę.

- Płacenie życiem oczywiście nie jest w porządku, ale człowiek powinien być przygotowany na to, że w jakiś sposób za swoje czyny będzie musiał rachunek uregulować.

- Mówi pan po prostu o zemście.

- Wszystko jedno, jak to nazwać i z której strony przyjdzie. Nie należy się zdziwić, jeśli będzie robił to pokrzywdzony, i wtedy najczęściej powiemy, że to zemsta. Zgodnie potępimy ją. Natomiast ja miałbym propozycję. Może by tak nie popełniać nagannych czynów i nie być narażonym na konsekwencje.

Na to nie było odpowiedzi. Tylko Wolski za milczącą aprobatą ogółu wyłączył telewizor.

Nina Boguszewicz wstała z miejsca, władczo podnosząc rękę.

- Moi drodzy, chyba mamy temat, o którym nie należy milczeć. Proponuję, żeby każdy powiedział swoje zdanie, co sądzi o zemście jako takiej. Powinniśmy w naszej sytuacji być ze sobą szczerzy. Kto pierwszy, pani?

Godziszewska wzruszyła dumnie ramionami.

- Nie ma o czym mówić W wielkiej literaturze mamy: „Gwałt niech się gwałtem odciska”.

- Patrycja?

Dziewczyna spojrzała na matkę z naganą.

- Człowiek nie powinien się mścić. To niskie.

- Pani Beata?

- Też jestem przeciw. Gdyby każdy chciał się odgrywać, mało byłoby już ludzi na świecie.

- I może to niezły pomysł, kochanie. Teraz jest za ciasno. Ja osobiście nie mam do tego głowy, ale w uzasadnionych merytorycznie wypadkach zrobienie porządku uważam za wskazane.

- Pan Krzysiu?

Młody człowiek był wyraźnie osowiały.

- Ja się nigdy w żaden sposób nie mściłem i nie planuję. Jaką z tego można mieć przyjemność? Jest, jak jest.

- Popieram, że taka przyjemność bywa mocno przereklamowana. Zostawmy ją antycznym bogom, bo na szczęście są nieaktualni.

- Pan redaktor?

Drzygłód już dawno zdjął słuchawki walkmana.

- Szczęśliwie pod naszą szerokością geograficzną takich akcji się nie praktykuje. Miejmy świadomość swojego miejsca w Europie. Jestem oczywiście przeciw.

Marta poczuła irytację, na którą nie mogła nic poradzić.

- To bardzo inteligentne zasłaniać się współrzędnymi geograficznymi, żeby nic nie zrobić. Tak jest wygodniej i bezpieczniej. A przy okazji jeszcze cywilizowanie.

Niepodobna w tej chwili ani trochę do anioła, sądziła, że Drzygłód nie podniesie głowy pod jej spojrzeniem. Stało się inaczej. Ledwie zdążyła odetchnąć ze złości, gdy ich oczy spotkały się. Jej błyszczące gniewem, teraz ciemnozielone, naprzeciw szare, spokojne i pytające.

Zacisnęła dłonie na chłodnych poręczach fotela, żeby się uspokoić. W końcu odwróciła wzrok. Dobrze, niech na nią patrzy, w końcu każdemu wolno.

- Otóż widzimy, że wygrało humanistyczne spojrzenie na świat - perorowała Nina.

Wolski wzruszył nerwowo ramionami.

- Z czego się tu cieszyć? Mogliśmy też przegłosować, że nie wolno zabijać właścicielki domu, w którym mieszkamy, a nie zmienilibyśmy faktów.

- A może by tak zmienić temat? - rozzłościła się. - Przypomnijmy sobie, że to wakacje.

- Jasne, zaplanujmy wycieczkę - zadrwił.

- Właśnie, dlaczego nie?

- No to może postudiujmy jeszcze przedtem przewodnik, żeby wszystko było idealnie. - Głos Wolskiego drżał z irytacji.

- Bardzo dobry pomysł - triumfowała. - Poprosimy o przewodnik - zwróciła się z uśmiechem do Trzeciaka.

Ten przybrał dumny wyraz twarzy.

- Nie ma problemu. Przewodnik, jak wspomniałem, jest dla wszystkich. Zostałem zmuszony do wyniesienia go na korytarz, ale nikomu nie bronię dostępu do niego. Proszę bardzo.

- No, niechże się pan nie wdzięczy. Przecież nikt nie będzie panu grzebał po kieszeniach kurtki.

- Oczywiście, mogę przynieść. - Powoli podniósł się z miejsca i poczłapał do przedpokoju. - Gdzieś tu miałem w środku karteczkę z

orientacyjnym szkicem okolic. - Uniósł książkę i potrząsnął nad stołem.

Zanim jednak upragniona mapka wysunęła się spomiędzy sfatygowanych kartek, otoczenie zelektryzował cichy, lecz wyraźny brzęk. Małeńki kawałek metalu potoczył się i zahamował w fałdach serwety.

- Śrubka - wyszeptała Nina Boguszewicz. - Znalazła się.

Grube ręce Trzeciaka zatrzęsły się. Na czoło wystąpiły mu krople potu.

- Nie rozumiem - wykrztusił. - Nie mam pojęcia. Proszę mi wierzyć.

Nikt się nie odezwał. Marta zrozumiała, że nagle wytypowano tego człowieka na mordercę. Chyba trochę za szybko.

Drzygłód jakby czytał w jej myślach.

- Na jakiś czas zostawił pan coś poza zasięgiem wzroku - odezwał się w śmiertelnej ciszy tonem pełnym niesmaku. - Nierozważnie. Radziłbym sprawdzić pozostałe kieszenie, czy ofiarodawca nie wziął sobie czegoś w zamian za ten wątpliwy prezent. - Wzruszył pogardliwie ramionami. - O ile się nie mylę, każdy z nas miał teoretyczną możliwość zajęcia się pana kurtką niezauważenie.

Po wygłoszeniu tej długiej, jak na jego obyczaje, kwestii ostentacyjnie zablokował uszy walkmanem.

Reising przesłał, niestety bez odzewu, uśmiech w jego stronę.

- Pan ma całkowitą rację. To była nieostrożność, a my wszyscy jesteśmy jednakowo podejrzeni. Proponuję dobrze schować tę śrubkę, żeby nie wypełzła przy najbliższej pełni księżyca. A przy okazji, może sprawdzimy, ile do niej brakuje - dodał już w drzwiach. - Z tego małego pomostu widok powinien być niezły.

Marta zawahała się. Mogła pójść na górę, wziąć prysznic i położyć się. Ale i tak pewnie nie zaśnie. Może to dobry pomysł wyjść na spacer.

- Ja zostanę, mamó. Za chwilę powinien być bardzo interesujący obraz.

Beata Wolska otworzyła szeroko oczy, nie rozumiejąc.

- Chodzi pewnie o film, kochanie. My już pójdziemy. Chyba wystarczy na dzisiaj.

Marta szybko włożyła kurtkę i adidas. Wieczór niespodziewanie stał się ciepły. Poczowała lekki wietrzyk, zaprzeczenie tego, który szalał

jeszcze przed godziną. Wyłożona kamieniami ścieżka przecinała podwórze i dochodziła do ukrytego za sosnami pomostu, wdzierającego się w głąb małej zatoki. Z jego końca aż prosiło się oglądać jezioro. Oczywiście, jeśli komuś to odpowiadało.

- Na pewno nigdy w życiu się nie poślizgnęłaś, ale teraz uważaj.
- Reising z daleka podobny do wikinga, którego pozbawiono brody i na dodatek ostrzyżono, wyciągnął do niej rękę. Uchwyciła ją w ostatnim momencie przed ześlizgnięciem się z bali.

- Coś okropnego, prawda? - uśmiechnął się. - Brakuje tylko Nessie do towarzystwa. Jak ci się powiodło z Antoniową? - spytał, nie tracąc czasu.

- Średnio. Ale była miła. Skąd wiedziałeś?

- Przecież mam swoje sposoby patrzenia na świat, którymi ty gardzisz bez względu na ich skuteczność.

- Rozumiem, że jesteś z siebie bardzo zadowolony.

- Jasne, że tak. Coraz więcej zaczyna mi się zgadzać.

- Uczucia oczywiście? - pokiwała głową, jak lekarz nad beznadziejnym przypadkiem.

- Jak na to wpadłaś? Aha, przecież reprezentujesz myśl naukową o wysokim stopniu nasycenia.

- Wiesz, że czasem bywasz denerwujący?

- Owszem, czasem się zdarza, że irytuję kobiety, ale rzadko, bo tylko te, które się we mnie nie kochają.

- No coś podobnego. To w ogóle są takie?

- Zdarzają się potworki bez gustu. - Objął ją lekko, pogodny, jakby wokół nic złego się nie działo. - Popatrz, mówiłem, że ładnie.

Było ładnie. Jasna kula księżycy delikatnie złociła ciemnogrnatową wodę. Czarne kontury świerków przypominały staroświecką koronkę.

- Aż za pięknie, zważywszy na sytuację - westchnęła Marta. - Przytłaczająco nieruchomo. Jak na tamym świecie.

- Aufwiedersehen unsere Hofnung?

- Właśnie. - Marta niezbyt dobrze знаła niemiecki, ale była z nim osłuchana i uderzyła ją naturalnie miękka wymowa rzeźbiarza. Jakby słyszała rodowitego Niemca z południa. - Nawiasem mówiąc, czy udało ci się wyciągnąć coś z Oleńki? - zmieniła temat.

- Mało. Bardziej ona wypytywała mnie o wszystko. Ale do wścibstwa jestem przyzwyczajony. Powiedziała, że gospodyni

wynajmowała lokal po antykwariacie, prowadziła jakieś interesy, może chodziło o giełdę, ale nie inwestowała w dom, tylko trzymała pieniądze.

- Po co właściwie trzymała? Dla kogo?

- Chyba jednak nie dla Wyrodka. - Reisingowi humor dopisywał. - Chociaż ostatnio wyszło na to, że dla niego. Myślę, że zbierała je dla przyjemności. Są tacy ludzie. Swoją drogą, według tego, co mówiła Oleńka, większość wczasowiczów była zapraszana ze snobizmu i dla atmosfery, ale z niektórymi łączyły ją jakieś sprawy. Podobno na przykład czasem sprzedawała coś z dawnego antykwariatu.

Marta zapięła kurtkę. Robiło się chłodniej.

- Leśniczy twierdzi, że chciała namówić Drzygłoda na album z tak zwanymi dziełami sztuki czy starociami na tle przyrody. Brzmi to nonsensownie.

- Rzeczywiście straszne. Ale nie wiesz, co ludzie potrafią, gdy biorą się za tak zwaną sztukę. Gorzej niż za leczenie. I zgodził się?

- Nie zdążyła mu chyba powiedzieć.

- Całe szczęście. Byłby w dużych opałach.

- Nie troszcz się o niego. A poza tym widziałam, jak leśniczy romansował z Oleńką.

- Gdzie?

- W lustrze.

Roześmieli się równocześnie.

- Bo to jest lustro prawdy - dodała po chwili zastanowienia. - Pani Nina sto razy powtórzyła, że ono mówi prawdę. Myślała chyba o zmarszczkach.

- Tak, ale ty widziałaś inną prawdę. Zresztą niezaskakującą. Powiedz lepiej, czego tak potwornie przestraszył się Krzyś. Akurat kiedy wchodziłem, wyglądał, jakby zobaczył ducha.

- Nie mam pojęcia. Rozwalił walkmana panu redaktorowi, ale w końcu nieszkodliwie. Aż się zdziwiłam, dlaczego tak się przejął. Zaraz, zaraz - zmarszczyła brwi - w telewizji szła jakaś komedia o rajstopach czy czymś takim. Może mu się to skojarzyło z morderstwem, może jakieś olśnienie, może wie coś więcej. Ostatecznie, przyjeżdża tu od kilku lat. I na tych bagnach, sam mówiłeś, był po coś w tajemnicy. Wiesz, trochę boję się o niego. Reising skinął głową ze zrozumieniem.

- Bać się twoje prawo, a nawet obowiązek. Od tego jesteś kobietą. Ale dobrze by było, żebyś sobie w wolnej chwili przypomniała, jak dokładnie się wtedy zachowywał. Kiedy naprawdę zaczął się trząść jak galareta. Na co patrzył, co słyszał.

- Proszę bardzo. Nie gapię się wprawdzie na niego bez przerwy, więc nie wiem, czy jest coś, co mogłam zapamiętać. Ale niech mi się przyśni. Lepiej to niż na przykład śrubka. Nie chcę jej więcej widzieć.

Coś plusnęło w trzcinach, lekko zbulgotało pod pomostem.

- Tym razem to nie ona - stwierdził uspokajająco. - Pewnie dlatego, że jej rola się skończyła.

- Myślisz, że morderca podrzucił ją komukolwiek i zadowolony? Dlaczego upatrzył sobie Trzeciaka?

- Może akurat było wygodnie, a może mu się facet po prostu nie podoba.

- Ty znowu po swojemu - westchnęła. - Tobie wystarczy, że ktoś albo coś się nie podoba. Całkiem jak świętej pamięci ojciec gospodyni.

- Wyrodkowy dziadek? Nie znałem, niestety.

- Byłabym zapomniała. W zasadzie u niego było dużo więcej niż niepodobanie się. Antoniowa mówiła o prawdziwym powodzie nienawiści do ojca Wyrodka. W ogóle chłopak miał na imię Jurek, jeśli to ma znaczenie. Zarabiał sobie z biedy sprzątaniami w antykwariacie i był świadkiem, jak szef kupił za bezcen zabytkowe wydanie Pana Tadeusza. Jeszcze bardziej cenne, bo z podziemnej drukarni. Ta pani potem chciała książkę odkupić, ale antykwariusz powiedział, że już jej nie ma. I nasz Jurek zgłasza, że owszem jest, na zapleczu. Wtedy ojciec gospodyni podał taką cenę, że uszom nie wierzyli. Podobno miał na nią poważnego kupca z Warszawy, pewnie kolekcjonera.

- O, brzydka sprawa - gwizdnął Reising. - Za takie coś w tamtych czasach można było nawet siedzieć, gdyby ktoś się wziął za sprawę.

- Ale ten pan był dobrze ustawiony i nic mu nie zrobili. Natomiast Jurek chciał go nakłonić do uczciwego załatwienia sprawy przez jej nagłośnienie. Nawet ksiądz mu pomagał. Bez skutku.

- A chłopak był skończony. Biedny wariat.

- Ciekawe, co ty byś zrobił na jego miejscu?

- Na miejscu Jurka? Nie wiem, pewnie bym zagroził starszemu panu, że mu kark skręcę, jeśli nie odda książki albo nie wyrówna

ceny. To mogłoby podziałać, bo co by antykwariuszowi przyszło z tego, że mnie potem wsadzą? Nic. Ważne, czy by uwierzył, że to zrobię. Ale myślę, że mógłby uwierzyć.

- Zwłaszcza gdybyś zaczął jakąś wstępną akcję. Nie wiedziałam, że jesteś zwolennikiem przemocy fizycznej.

Janek wzniósł oczy ku niebu, którego prócz księżyca nie zdołała żadna gwiazda.

- Oczywiście, że nie jestem. Głęboko nią pogardzam. Ale sama widzisz, jak fatalnie czasem się wychodzi na innych metodach.

- Widzę. I dziwię się, że w ogóle po tym zajął się Alicją. Mógł łatwo przewidzieć finał.

- Nad tym się nie panuje - odparł z przekonaniem Reising. - No i w ten sposób mamy jasność w sprawie Wyrodka. Liczyłem, że przesłuchasz na tę okoliczność Antoniowa.

- A to na jakiej podstawie?

- Była spora luka w problemie i nie mogłaś jej ominąć. Innym wystarczyła jako powód różnica w pozycji majątkowej.

- Mówisz jak Antoniowa.

- Naprawdę? Bo to jest moja pokrewna dusza, tylko o tym nie wie.

- Lepiej się do niej z tą wiadomością nie zgłaszaj. A teraz popatrz, kto idzie. Nessie nie przypomina, ale chyba coś wywołaliśmy.

Nina Boguszewicz istotnie sylwetką bardzo różniła się od szkockiego potwora, gdy dziarskim krokiem zbliżała się do pomostu.

- Mam nadzieję, że nie przeszkadzam. - Zadarła energicznie głowę.

- Czekaliśmy na panią - oznajmiła Marta, podczas gdy Janek machał zapraszająco ręką.

- Macie rację, moi drodzy, że podziwiacie widoki. Czasem warto się odprężyć. Przyroda pozwala nam zapomnieć o wszystkim, co złe. Jest sprawiedliwa i bezwzględna. Woda podobnie jak lustro odbija prawdę. Bez kłamstwa i zdrady. - Marta z trudem opanowała ziewnięcie. - Zwłaszcza gdy wokół nas tyle złości i nienawiści. Nie wiem, jak to powiedzieć... - Zawahała się. - Państwo wprawdzie nie utrzymują bliskich stosunków z panem Drzygłodem, ale mimo to chciałabym ostrzec. Proszę uważać. Właściwie to ja powinnam

uważać na siebie, bo nie ukryłam zaskoczenia, a raczej przerażenia w krytycznym momencie.

- Który to był moment? - spytał Janek całkiem obojętnie.

- Nie widzieli państwo? No to może i dobrze. Wtedy, gdy zawołano go do kuchni... Nie mogę powiedzieć wszystkiego. Nie chcę was w to mieszać. Doprawdy. To był szok. Ale nie chcę, nie mogę o tym dłużej mówić. Nie pytajcie mnie proszę.

- W porządku. Nie będziemy. Ręczę za Martę i za siebie.

- To bardzo dobrze, naprawdę.

Marcie wydawało się, że słyszy w jej głosie ton rozczarowania.

Jakiś nocny ptak załopotał w trzcinach. Wzdrygnęła się. Może zdrowiej było oglądać telewizję. Zrobiła zdecydowany krok w stronę brzegu. Smukłe sosny tworzyły coś w rodzaju ozdobnej bramy prowadzącej na podwórze. Brama. Może by i tutaj zawiesić „Aufwiedersehen unsere Hofnung”, bo właśnie to miejsce jest ponure i złowieszcze. Stary dom w teatralnym świetle latarni, czarne drzewa, z których dopiero teraz wychodzi jakaś niesamowitość. Dlaczego w dzień tego wszystkiego nie, widać? Czyżby światło było narzędziem obłudy ze strony natury, która w ten sposób chowa swoje prawdziwe ponure oblicze? Coś niewidzialnego strąciło resztki deszczu z korony sosny. Krople wody prysnęły Marcie na twarz. Nie starła ich. Były orzeźwiające.

Odwróciła się do Niny.

- Czy kogoś prócz nas pani jeszcze ostrzegęła? - spytała od niechcienia.

- Musiałam uczulić na sprawę panią Godziszewską. Uważałam, że to konieczne ze względu na jej bardzo widoczne plany w związku z Patrycją. Nie łudziłam się, że się przejmie tak jak państwo, ale słowo daję, że jej beztroska zaskoczyła mnie całkowicie.

- Nie przejęła się w ogóle - domyślił się Janek.

- W ogóle. Prawie że mnie wyśmiała. Powiedziała, że rozumie, że nie każdy może mieć taką córkę jak ona, zwłaszcza jeśli nie ma męża, i żadnych insynuacji nie będzie słuchać. No i co wy na to?

- Ludzkie i naturalne - stwierdziła Marta.

- Ale chyba trochę przesadzone. Żeby za to nie odpokutowała. O, proszę!

W scenicznym świetle lampy pokazały się sylwetki trzech osób. Środkowa, najwyższa należała do Drzygłoda, obok godnie stąpała

Godziszewska. Z drugiej strony z dziecinnym wdziękiem skakała po kamieniach Patrycja.

- Nie wiem, jak wy, ale ja zupełnie tego nie pochwalam - kontynuowała Nina. - Wszyscy rozumiemy kwestie finansowe. Każdy też przyzna, że ten pan jako mężczyzna jest szalenie interesujący. Pozostaje jednak różnica wieku. Dwukrotna - zaakcentowała, podnosząc złowieszczo palec do góry. - Nikomu źle nie życzę, ale takie akcje organizowane bez względu na zaistniałe okoliczności zwykle kończą się dramatem.

Przerwała jedynie ze względu na zbliżających się bohaterów jej wywodów.

- Nie podobał się państwu obraz? - zagadnęła imponująco słodkim głosem.

- Nie był zbyt ambitny - zawyrokowała Godziszewska. - Poza tym trzeba się trochę przewietrzyć. Czy tam rzeczywiście jest pięknie? Nie zawiódł się pan?

- Myślę, że jest ambitnie. Zwłaszcza przycumowana łódź. Jeśli ktoś lubi podróż wodą w świetle księżyca, to byłaby okazja.

Rzeczywiście widzieli łódź wiosłową. Marta nie zwróciła na nią większej uwagi. I co Jankowi nagle wpadło do głowy? Czy chce potopić te damy?

- Sama nie wiem - Godziszewska zaczęła poważnie podchodzić do problemu - czy to jest bezpieczne. Patrycja, kochanie, a ty się nie boisz?

- Ani trochę, mamo.

Drzygłód do tej pory nie zwracał uwagi na mówiących, zajmując się obserwacją księżyca tak pilnie, jakby go widział po raz pierwszy w życiu.

- Przykro mi, ale proszę na mnie nie liczyć - powiedział uprzejmie. - Pojmuję pływanie w nieco inny sposób.

Reising rozłożył ręce.

- A ja po prostu nie lubię wody. Jednak wszystkim innym szczerze polecam. Ale teraz chyba robi się zimno. - Pociągnął swoje towarzyszki w stronę domu.

Nina Boguszewicz kręciła głową.

- Po co pan wymyślił to pływanie łodzią? Roześmiał się.

- Chciałem utopić lorda i zlikwidować problem. Dobry czy zły, a na dnie jeziora i już.

Marta pokiwała smętnie głową.

- Niech się pani nie przejmuję. Przez jego poczucie humoru powoli staję się feministką. Zaraz po przyjeździe do Warszawy pomyślę o jakiejś adekwatnej organizacji.

- Państwo sobie żartują, a tu aż nieprzyjemnie wracać wieczorem do domu. Zostało w środku parę osób, ale jakoś już nie mam do nich zaufania.

Marta uniosła pytająco brwi.

- Sugeruje pani, że podczas naszej nieobecności stan liczebny mógł zmniejszyć się o jakiś przedmiot lub osobę?

Nina Boguszewicz odwróciła się raptownie, omal nie łamiąc nogi na śliskim kamieniu, i wycelowała w nią palec.

- Trafnie i elegancko to pani ujęła. Zostali Wolscy, Trzeciak i pan Krzyś. Krzyś, mam nadzieję, doszedł już do siebie po tej żenującej awanturze z walkmanem.

- Jakiej awanturze? - zainteresował się rzeźbiarz.

- Tej, którą mu urządził jaśnie pan Drzygłód o upuszczenie jego ukochanego skarbu, oczywiście.

- Żadnej awantury nie było. - Głos Marty zabrzmiał tak zimno i stanowczo, że Reising nie opanował uśmiechu zadowolenia.

Nina przez chwilę mięła fałd spódnicy głębokim zastanowieniem.

- Zasadniczo też nie słyszałam, ale - ożywiła się - musiała być, bo chłopak aż się trząśł ze zdenerwowania. Ani trochę zresztą nie jestem zaskoczona. Widać, jaki to człowiek. Zimny, skryty, samolubny. Nie chciałabym się znaleźć na miejscu Krzysia ani przez moment.

Reising nie odrywał wzroku od Marty, która tego nie zauważała, zamysłona.

- No dobrze - stwierdził. - Ja chyba też bym nie chciał. Tylko że teraz ten straszny człowiek właśnie wyszedł. Kogo pani się obawia?

- Kogo? Panie Janku, niech pan nie zapomina, że niejaki Trzeciak, u którego znalazła się śrubka od zegara, nie ma w ogóle dowodu osobistego. Z kolei pan Wolski tak się szczyci nowymi dokumentami, że to aż ciekawe. W nocy ginie fotografia, a gospodyni rano zostaje zamordowana. Niech mi nikt nie próbuje wmówić, że te dwa fakty nie mają związku. A w ogóle to - zatrzymała się przy schodkach - jeśli mi się śniło, to był to przerażający sen. Ale chyba

słyszałam to naprawdę. Coś przenikliwie, żałośnie piszczało. To była zapowiedź.

- Piszczalo? - Reising otworzył oczy zdumiony.

- W jaki sposób?

- Brzmiało to, moi drodzy, jak płacz, skarga, wołanie o pomoc.

- Bardzo cienko?

- Straszliwie.

- No to nic takiego. - Machnął ręką. - Zwyczajnie straszy. W każdym starym domu musi, inaczej coś by z nim było nie tak. Całe szczęście, pani Nino, że pani to zjawisko namierzyła, jestem spokojniejszy. Oglądamy telewizję?

Gdy Nina Boguszczyk postanowiła dotrzymać towarzystwa Krzysiovi samotnie tkwiącemu przed telewizorem, Reising pociągnął Martę za rękaw, jak sześciolatek.

- I jak z twoją pamięcią? Przypomniało ci się?

Marta już wchodząc na schody, z rękami w kieszeniach drelichowych spodni, nie miała zbytnio ochoty do rozmowy.

- Owszem. Kiedy w telewizorku wrzeszczano o rajstopach, z całą pewnością patrzył na nogi Patrycji. W lycrach. Widział je w zasadzie całe. Takie są prawa optyki.

- I nóg się tak przestraszył? Chyba nie jest aż tak niedorozwinięty. Z Patrycji też morderczyni żadna. Ani trochę nie jest w stylu Balladyny czy choćby Gorgonowej. - Westchnął z wyraźnym żalem. - Musisz przypomnieć sobie coś innego.

- Sam sobie przypominaj.

- Przecież mnie nie było.

- No to sobie wymyśl.

Szybko wdrapywała się na schody.

- Wiadomo chociaż, skąd ten wściekły humor? Nie obejrzała się nawet.

- Jaki wściekły? Jest bardzo dobry.

Oczywista nieprawda. Nie wiadomo dlaczego, nagle zrobiła się zła. Na kogo? Może na wszystkich, może na siebie. W każdym razie nie przychodziło jej do głowy nic, co mogłoby poprawić nastrój.

- Poczekaj! - Janek odezwał się całkiem zdecydowanie.

Stał trochę niżej. Widziała jego krótkie, trochę zmierzwiłone przez pogodę włosy i niebieskie oczy, w świetle kinkietu ciemniejsze niż zwykle.

- Ustalmy niezbędne fakty. Obywatelka Boguszewicz jest stuknięta na tyle, że nie należy się nią przejmować w ogóle - powiedział ostatnie słowo z naciskiem. - Godziszewskie są natrętne i przez to bez najmniejszego znaczenia. Całe towarzystwo natomiast tak przywykło do twoich złośliwości wobec Drzygłoda, że tekst o ewentualnej wendecie potraktowali jako naturalną złośliwość.

Oparła się o boazerię, która wydała jej się prawie miękka.

- Wiesz, że nie miałam na myśli wendety. Ale przy okazji, czy jesteś szamanem?

- Absolutnie nie. Tylko czasem się przydaję. Wyśpij się dobrze. Życie tutaj to ciężka praca.

Tak, to ciężka praca. W tej chwili jednak Marta poczuła się lepiej. Śmieszne, że trzy zdania potrafią zmienić nastrój. Chyba staje się histeryczką, albo czymś w tym stylu.

Z daleka dochodziło pohukiwanie sowy. Dobrze, że nie jest przesądna. Może, jeśli pogoda będzie lepsza, wszystko się zmieni. Wyjedzie stąd i zapomni o całej sprawie. Życie będzie się toczyło jak dawniej. Tylko czy rzeczywiście tak samo jak dawniej? W przykry sposób zrozumiała, że coś na świecie zmieniło się nieodwracalnie.

Z podwórza dochodził odgłos kroków. To trójka wieczornych spacerowiczów wracała zmarznięta i znudzona. Marta poczuła się senna. Na pewno zaśnie głęboko i spokojnie. Może obudzi się z promieniami słońca.

Rozdział 10

Stało się inaczej. W męczącym koszmarze stale powracał obraz bramy z nieznośnym „Aufwiedersehen unsere Hoffnung”. Za bramą płyta nagrobkowa z nazwiskiem, które znała od zawsze. Wystarczy, że tam pójdzie. Po prostu pójdzie jutro. Co więcej może zrobić?

Obudziło ją coś niedobrego. Początkowo trudnego do określenia. Po chwili wiedziała, że to duszący zapach dymu. Zza drzwi wydobywała się czarna smuga. Pożar? Tego już za wiele. Uchyliła drzwi na korytarz. Jeszcze gorzej. Zakaszła. W ciemnych kłębach dochodzących z parteru zamigotały fałdy różowej koszuli nocnej.

- Palimy się! - wołała Godziszewska.

- Pani się uspokoi. To szyber - doszedł z dołu przepełniony złością głos Antoniowej.

Marta nie czuła się jeszcze do końca przebudzona, ale stać ją było na energiczne zastukanie do drzwi Reisinga.

- Otwórz mi okno - rozkazała krótko. Wyszedł natychmiast, błogo rozespany, ale zadowolony, mimo że dochodziła piąta.

- Słuchaj, coś strasznie czuć - oznajmił odkrywco. - Już idę. Ale wędzarnia!

- Szybko orientujesz się w sytuacji.

- Spałem przy otwartym oknie - wyznał przepraszająco już w pokoju Marty. - Chciałem wachać przez sen sosny. Rzeczywiście twoje było niezłe zamknięte. Mogłaś mieć z nim kłopot.

Z ulgą wciągnęła świeże powietrze.

- Zamknij to teraz i jeszcze raz otwórz - zakomenderowała.

Spojrzał na nią podejrzliwie, lecz wykonał polecenie bez protestu.

- No dobrze - skinęła głową. - A teraz powiedz mi, czy ta klamka łatwo się zamyka czy trudno.

- O, skomplikowane pytanie, pani profesor. - Pod niebieskim dresem rysowały się mięśnie zdecydowanie pokaźniej szych rozmiarów, niż Marta przywykła oglądać. - Ja nie miałem z nią problemów, ale większość ludzi powinna.

- Większość ludzi - prychnęła. - Też mi odpowiedź!

- W porządku. W zasadzie każdy. Nawet widać dramatyczne ślady walki z mechanizmem przy użyciu broni białej. Czy to stanowi duży problem dla ciebie? - spytał troskliwie.

Zdenerwowana odruchowo zburzyła swoje i tak nieuczesane włosy. Jak zwykle nie budziło jej niepokoju, że może wyglądać nie

najkorzystniej rano z niedbałą fryzurą i w pospolitej piżamie, a nie na przykład w peniuarze. Przywykła, że w takim wydaniu też się podoba. Miała zresztą rację. Gdyby przyjrzała się Jankowi, spostrzegłaby to w jego oczach.

- Owszem, stanowi. Bo ktoś robi ze mnie balona - rzuciła szybko.
- Nie patrz tak na mnie, nie jestem chora umysłowo. Okno nie domykało się. Oleńka opowiadała, że nikt nie był w stanie zrobić z nim porządku. Drzygłód zamknął je od razu - wyrecytowała jednym tchem.

- Rozumiem doskonale twój niepokój. Albo robi z ciebie balona klamka, bo nie domyka się niesłusznie, albo Drzygłód, bo ją domknął też niesłusznie. Co byś wolała?

Westchnęła ciężko - nie ma siły na rozmowę z artystycznym wariatem. Wtedy poczuła jakby zapach sosny.

- Nic bym nie wolała. Dziękuję ci za okno.

- Dobrze, już idę - uśmiechnął się. - Spróbuję jeszcze zostawić ci tak klamkę, żebyś mogła sobie z nią sama w razie czego poradzić. Chyba w ten sposób będzie w miarę dobrze. - Sprawdzał jeszcze raz. - Teraz trzeba zobaczyć, czy wszyscy żyją.

Przez uchylone drzwi dojrzała, że wychodząc, natknął się na Drzygłoda - nieskazitelnego w jasnobrązowej piżamie, ale wyraźnie zaniepokojonego.

- Wszystko w porządku - poinformował go. - Okno otwarte. Tylko Antoniowa trzeba ratować w chorobie nerwowej, bo pomstuje.

Marta cofnęła się w głąb pokoju. Mimo wszystko nie chciała się pokazywać w takim stanie Drzygłodowi. Spojrzała w lustro. Mogło być gorzej. Niech inni przeżywają tragedię pożarową, ona weźmie prysznic.

Widok, jaki przedstawiała sobą kuchnia, przerósł jej najgorsze przeczucia. Wprawdzie dym udało się wywietrzyć na tyle, żeby można było oddychać, ale całość pokrywała znacząca warstwa ciemnego pyłu i to ona z pewnością doprowadziła Antoniowa do rozpacz. Kobieta, mnąc róg fartucha, nie odwracała się od okna, nie złościła się już głośno, lecz nie zwracała uwagi na otoczenie.

- Szyber sam się nie zamknął - oznajmił Wolski. - To czyjaś świadoma działalność. Nie chcę mówić, w jakim celu.

- Ale tak pan myśli, prawda? - dokończyła Nina Boguszewicz. - Ciekawe, czy wszyscy mieliśmy być celem wspomnianego działania,

czy tylko jedna osoba. A jeśli tak, to kto? A może to po prostu delikatne ostrzeżenie.

Reising z politowaniem pokręcił głową.

- Taki mały szyberek jeszcze nikomu krzywdy nie zrobił. Brudu, owszem, sporo. Po prostu nie trzeba go było zasuwać na noc, skoro taka jest ta kuchnia.

- Nie wiem, co mi się stało - odezwała się Antoniowa zduszonym głosem. - Straciłam głowę z tego wszystkiego.

- A rano buchnęło, prawda? - współczuł rzeźbiarz.

- Mogła pani dostać zawału, w ogóle kiepsko pani wygląda.

- Koszmar, prawdziwy koszmar. - Nina Boguszewicz właśnie kończyła wyjaśniać zasadę działania kuchni węglowej i zwróciła uwagę na Trzeciaka, który chyba najbardziej ucierpiał na katastrofie. Ledwie trzymając się na nogach, kurczowo ścisnął butelkę z lekarstwem.

- Pan musi mieć uczulenie na dym. Proszę wyjść na powietrze.

- To nie uczulenie, proszę pani, tylko nerwy. - Wpatrywał się ponuro w brudną kuchnię. - Zróbmy chociaż coś z tym.

Chwycił wypełniony worek na śmieci.

- Wysypuje się, trzeba go zawiązać. - Owinął plastik kawałkiem sznurka i usiłował całość wyciągnąć z kuchni. Bezskutecznie.

W końcu wydał jęk zmieszany z jakimś przekleństwem, gdy usiłował zwalczyć oporną materię.

- Przykro mi, ale muszę zwrócić panu uwagę. - Grzeczność Drzygłoda nie miała granic. - Każdą czynność należy wykonać porządnie. Ten węzeł nie działa, prawda?

Trzeciak nie mógł zaprzeczyć.

- Bo nie ma prawa, nie nadaje się do wiązania. Nazywany jest babskim. Proszę, oto najprostszy i skuteczny.

Marta nieprzyjaźnie patrzyła na szybkie ruchy jego palców. Całe życie wiązała wszystko tak jak Trzeciak, jakoś się trzymało i nie wiedziała, że robi to po babsku. Cóż, w sumie może jednak lepiej być babą niż kimś takim jak ten pan i wszyscy jemu podobni.

- Słyszał pan to? - Trzeciak szukał wsparcia u Reisinga. - Ja podobno jestem baba, prawdziwe węzły wykonuje pan redaktor.

- Nie sądzę, żeby pan był baba, tylko zawiązał pan węzeł zwany babskim, inaczej grandmother's knot. Nie ma nic wspólnego z brakiem męskości, bo sam go całe życie używałem, aż moja druga

żona, anielska kobieta, nauczyła mnie makramy. To bardzo zabawne, ładne i praktyczne. Mogę panu pokazać kilka podstawowych splotów, wszędzie się przydają.

- Dziękuję, miałem już lekcję. Reising rozejrzał się po kuchni.

- A pani nie chciałaby się nauczyć? - spytał Antoniową, która pomijana przez wszystkich, może po raz pierwszy w życiu bezczynna, wciśnięta w róg kuchni, z niemą rozpaczą oglądała rozbity jasnoniebieski talerz.

Krzyś przecierał okulary.

- Jeszcze i porcelana. Podobno przynosi pecha. Nina Boguszewicz wzięła go pod rękę.

- Czy pan już doszedł do siebie po wczorajszym? Że też akurat pan musiał upuścić przedmiot należący do tego człowieka. Ale teraz już w porządku?

Krzyś skinął głową bez szczególnego przekonania.

- Wszystko kiedyś mija, nawet kłopoty. Trzeba sobie to uświadomić.

Reising odwrócił się do niego.

- Jak na tak młodego człowieka, bardzo dojrzałe stwierdzenie. Szkoda, że sam stale zapominam o tej prawdzie.

Niezauważalnym ruchem dotknął czarnych włosów Antoniowej bez słowa skulonej na taborecie.

- Czy słyszała pani o kleju wszystko klejącym? Mam go na górze, za chwilę naprawimy talerz i o jedno zmartwienie będzie mniej.

- Pan wozi ze sobą klej? - zdziwiła się Godziszewska.

- Jest w mojej torbie, z której rzadko coś wyjmuję, tylko dokładam - wyjaśnił Reising. Widząc, że Drzygłód parzy na niego z wyraźnym niesmakiem, uśmiechnął się rozbijając. - Przyznaje, że nie przepadam za porządkami. Chyba że generalnymi.

Nina gorliwie przytaknęła.

- Oczywiście, pan jest spontaniczny i trudno wymagać, żeby pan żył w szufladkach. Prawda? - szukając poparcia, wzrokiem trafiła akurat na Drzygłoda.

- To pana sprawa - powiedział chłodno. - Wolno panu trzymać swoje rzeczy tam, gdzie pan ma ochotę, i w sposób, jaki pan wybierze.

Marta postanowiła zaczerpnąć świeżego powietrza na werandzie. Nikt nie wychodził na zewnątrz, wilgotny, poranny chłód działał odstraszająco. Wzdrygnęła się. Cóż za beznadziejny początek dnia.

Tlenek węgla do wdychania, do oglądania zrozpaczona Antoniowa, do słuchania Nina Boguszewicz.

- Teraz dopiero widać, jakie mamy szczęście, że nikt z nas nie pali. Nie wiemy na co dzień, co to dym. Zrobiłam błyskawiczną ankietę. Pan Jurek oczywiście od lat nie tyka papierosów ze względu na żołądek, państwo oboje nigdy nie palili, Patrycja próbowała z dziecinnej głupoty, pan Krzysio rzucił ze względów finansowych, pan Drzygłód kiedyś palił, a pan Janek, taki typ silnego mężczyzny, powiedział, że poprzestał na jednym papierosie w wieku dwunastu lat... czy to nie dziwne?

- Droga pani, palenie nie świadczy o sile, a raczej o słabości - tłumaczył Wolski.

- Ale sami państwo powiedzcie, czy to nie zastanawiające - nie dawała za wygraną. - Absolutnie nigdy nie łączyłabym kogoś takiego jak nasz pan redaktor z papierosami. Pytałam oczywiście, jak mu się udało rzucić, a on odpowiedział, że to wyłącznie kwestia woli.

Marta poczuła nadchodzący ból głowy. Ciekawe, że do tej pory prawie nie wiedziała, co znaczy ta dolegliwość.

- A czy to nie jest właśnie kwestia woli? - nie wytrzymała. - Proszę powiedzieć śmiało, nie wstydzić się genialności. Nie wierzy pani, że palił, a ponieważ tak twierdzi, staje się automatycznie podejrzanym. Nie jestem prawnikiem, ale obawiam się, że to nie wystarczy na proces poszlakowy.

No, chyba właśnie straciła rozum, bo zaczęła nagle bronić człowieka, na którego nie mogła patrzeć, nie mówiąc o słuchaniu. Wcale nie zdziwiłaby się, gdyby wymyślił historyjkę o paleniu dla dydaktycznego przykładu. Do wszystkich zalet brakowało mu tylko silnej woli i już ją ma.

- Widzę, pani Marto, że pani też to wszystko już działa na nerwy. - Jej rozmówczyni nie obraziła się.

- Nic dziwnego, o piątej rano prawie pożar. Które to już z kolei ostrzeżenie?

- Lepiej nie liczyć. - Beata Wolska weszła na werandę. - Dobrze, że pan Janek sklei ten nieszczęsny talerz, bo Antoniowa jest kompletnie przybita całą sprawą.

Oczy Niny powiększyły się.

- To prawda, co pani mówi, ale czy to nie dziwne po tylu latach popełnić błąd w obsłudze kuchni? Ja osobiście jestem święcie

przekonana, że ona domyśla się, albo i wie, kto to zrobił. Dlatego jest taka wstrząśnięta i przerażona. Ma świadomość, kto to zrobił, czyli świadomość sytuacji.

- Niech pani nie przesadza - włączył się Wolski.

- Nic prócz nastraszenia nie da się w ten sposób osiągnąć. A po co straszyć? I kto?

- Kto? Ten, kto prowadzi tutaj tego rodzaju działalność. Wyrodek. Każdy chyba zgodzi się ze mną, że nie była to akcja w stylu Króla Węgorzy.

- Uważa pani, że prócz tych dwóch już nikogo innego tu nie ma?

- I owszem, my jesteśmy. Kaszlący, głodni, niewyspani. Po to, by nie zapomnieć, że zależymy od czyjejś łaski.

- Moim zdaniem to wyczyn klinicznego idioty. - Wychodząc, usłyszała opinię Wolskiego. - Kimkolwiek by on był.

To prawda, bez dwóch zdań. W końcu dlaczego miałyby jej zależeć na czyjejś inteligencji? A może by tak najzwyczajniej na świecie ktoś stanął i zapytał: Który tu jest Wyrodek, jaki ma IQ i dlaczego uświłł cały dom?

W kuchni już z grubsza uprzątniętej panował spokój. Wprawdzie Antoniowa, prawie przywrócona do życia, wycierała wciąż tę samą półkę, ale Oleńka bez słowa podawała wchodzącym, jak w barze szybkiej obsługi, talerzyk z kanapkami i herbatę. Przez dłuższą chwilę wszyscy zajęci byli porannym posiłkiem.

- Proszę zauważyć - Nina zdążyła zregenerować siły - że to musiał zrobić ktoś, kto zna się na wiejskich kuchniach. Człowiek z miasta byłby tu bezradny.

- Chyba że w dzieciństwie jeździł na wieś - skwitował Wolski. - Pani Antoniowa, ma pani podporę. Przyjechał pan leśniczy.

- I to cudem - zaczął przybyły. - Nie wiem, co jest mojemu łazikowi, może zwyczajnie dolega mu wiek. W warsztacie powiedzieli, że za każdym przekręceniem kluczyka w stacyjce mogę się spodziewać trzech rzeczy. - Wyciągnął przed siebie szeroko rozstawione palce. - Albo nic się nie stanie, albo ruszy, albo eksploduje. Do tej pory ruszał, dzisiaj też, ale tutaj dotarłem już tylko siłą rozpędu. Co teraz będzie, nie wiem. Ale co tu tak czuć? Co się stało?

Nina Boguszewicz zamachała rękami.

- Nic takiego. Pani Antoniowa wyjątkowo wieczorem zamknęła główny szyber i rano przy zapalaniu buchnęło.

- Coś podobnego! Doskonale pamiętam, że w tej kuchni szyber się nie zamyka. Stara jest i przerabiana. Jak mój łazik. - Westchnął. - Że też Antoniowa mogła zrobić coś takiego. Pewnie przestraszona, biedaczka. A gdzie to pan Janek?

Reising właśnie zszedł na dół. Nie przyłączając się do reszty, stanął oparty o ścianę z ramionami skrzyżowanymi na piersi. Szaroniebieski sweter szetlandzki włożony na gołe ciało odbijał kolorem od opalenizny i potęgował błękit w tej chwili całkiem zimnych oczu.

- No dobra - odezwał się z idealnym spokojem. - Rozumiem, że można ukraść pióro, ale żarty z kluczem do mojego pokoju zupełnie mi nie odpowiadają.

- Cóż się stało? - zapytał leśniczy z rozdrażnieniem.

- Niewiele. Zostawiłem pokój otwarty, klucz w zamku od środka. Zostałem zamknięty z kluczem nie wiadomo gdzie.

Oleńka podrapała się w głowę.

- A może pan zamknął pokój, a klucz się przy tym wszystkim gdzieś zapodział?

Reising zmierzył ją takim spojrzeniem, że stojącej obok Marcie zrobiło się nieprzyjemnie.

- Może komuś się zapodział, ale nie mnie, ponieważ zostawiłem go w drzwiach. Pewnie to dziwne, ale zawsze wiem, co robię. - Oleńka, ostentacyjnie wtulając głowę w ramiona, poszła do kuchni. - Na samym kluczu mi nie zależy, nie mam u siebie nic ciekawego. Chciałbym dostać się do pokoju.

- Najprościej wziąć klucz zapasowy - orzekł Trzeciak.

Oleńka bardzo niepewnie wychynęła na korytarz.

- Nie zdążyliśmy dorobić. Goście gubią. Do połowy pokoju brakuje.

- A to nieszczęście - stwierdziła Godziszewska.

- Jak pan wejdzie do środka?

Rzeźbiarz popatrzył na nią niewinnie znad swojego talerzyka i herbaty.

- Zwyczajnie. Taka deska nie wytrzyma jednego szturchnięcia.

- Nie może pan przecież demolować budynku - oburzył się leśniczy.

Krzyś Nowakowski nawet nie próbował tłumić śmiechu.

- Kto mówi o demolowaniu? Każdy może z nerwów mocniej nacisnąć, a pan Janek nie jest winien, że ma siłę.

Ponieważ Reising bez dalszych komentarzy skierował się na górę, reszta podążyła za nim, tworząc coś w rodzaju małej procesji.

W końcu odezwała się Godziszewska:

- Proszę państwa, zastanówmy się. Nie wiemy, jak tam jest w środku.

- Co pani ma na myśli? - zaniepokoił się leśniczy.

- W jakim środku?

- W pokoju pana Janka oczywiście. Coś tam jest. Albo ktoś.

Odruchowo wszyscy prócz Reisinga zatrzymali się. Trzeciak skrzywiony chwycił się za żołądek.

- Nie rozumiem, przecież nikogo nie brakuje.

- Czyli nie ktoś, tylko coś. To znaczy gorzej - wyjaśnił Krzyś.

Leśniczy z irytacją spojrzał na Wolską, która z rozszerzonymi oczami wbiła palce w ramię męża.

- Nie bądźmy dziecinni - zarządził. - Pan artysta posiał gdzieś klucz i tyle całej historii.

- No nie wiem, nie wiem - kręcił głową Krzyś wcale niezbity z tropu. - Swoją drogą, może to nie najgorszy pomysł takie kluczyki, jakie ma pan redaktor, na które się gwizdże.

Reising nie zareagował, natomiast Drzygłód zamykający pochód i wyraźnie zmuszający się do zainteresowania, teraz przyspieszył kroku.

- Miło, że pan pamięta takie szczegóły, ale jeśli mówimy o demolce - zwrócił się do leśniczego z obojętną uprzejmością - może nie będzie konieczna, jeśli dałoby się dostać przez okno obok. Chętnie służę swoim kluczem.

Sprawnym ruchem wyciągnął z małego skórzanego pokrowca odpowiedni kluczyk i otworzył nim swoje drzwi na oścież.

Marta w odróżnieniu od innych nie zaszczyciła wnętrza pokoju spojrzeniem. Nie mogło tam być nic ciekawego. Patrzyła na Janka Reisinga, który z rękami w kieszeniach dżinsów stał naprzeciw krytycznych drzwi, oparty o ścianę w postawie obojętnego wyczekiwania. Można było sądzić, że stracił chwilowo zainteresowanie dla sprawy pogrążony w swoich myślach.

- To świetny pomysł - przyznał leśniczy. - Wtedy otworzę od środka zamek yalowski i po sprawie. No, nie - skrzywił się zniechęcony, wyjrzawszy przez okno - nikt przy zdrowych zmysłach nie zaryzykuje czegoś takiego. Przykra historia.

Marta przypomniała sobie, że rano po wyjściu Reisinga widziała jego krótką czuprynę wychylającą się na zewnątrz.

- Chwileczkę - odezwała się. - Może z mojego pokoju będzie bliżej. Okna muszą być ustawione nieregularnie.

- Ma pani rację! - wykrzyknął leśniczy. - Tu kiedyś było jedno pomieszczenie.

Rzeczywiście tym razem odległość okazała się łatwa do pokonania i leśniczy zniknął w pokoju Reisinga. Marcie wydawało się, że jest tam odrobinę za długo, ale za chwilę usłyszeli zgrzyt przekręcane zamka. Gdy drzwi się otwierały, kilku osobom wyrwało się westchnienie ulgi. Jednak napięcie nie miało jeszcze opaść.

Tło dla wychodzącego z pokoju leśniczego stanowiła szeroko otwarta torba z prawie wysypującą się na stół zawartością, a on sam bez słowa w wymowny sposób podnosił w dwóch palcach plastikową torebkę wypełnioną białym proszkiem.

Przez chwilę czekał na reakcję.

- I nadal pan twierdzi, że nie ma u siebie nic ciekawego? - spytał dobitnie.

Reising, na którym skupiły się wszystkie spojrzenia, zachował obojętność taką samą jak dotychczas, tylko jego jasnoniebieskie oczy miały już wyraz nie chłodny, lecz lodowaty i jak pomyślała Marta, idealnie bezwzględny.

- Dalej twierdzą. - Zrobił dwa kroki w stronę leśniczego.

- A może pan powie, że tę rzecz panu przed chwilą podrzucono?

- Nie, to moja własność - odpowiedział rzeźbiarz tonem lekko znudzonym. - Proszę o nią. - Wyciągnął rękę.

W odpowiedzi leśniczy z tryumfalnym uśmiechem uniósł swój łup do góry. Reising od niechcienia wykonał szybki ruch, w wyniku którego młody człowiek znalazł się nagle na podłodze pod przeciwległą ścianą.

Nikt się nie poruszył ani nie odezwał.

- Chciał mnie pan zabić - zawołał leśniczy, wciąż na podłodze.

- Absolutnie nie. - Janek niedbałym ruchem podrzucił torebkę z proszkiem - Najlepszy dowód, że pan żyje.

Drzygłód, który do tej pory najwyraźniej się nudził, co chwila sprawdzając stan kinkietu zawieszono go trochę za nisko dla jego wzrostu, teraz pochylił się nad leżącym.

- Proszę pozwolić sobie pomóc - wyciągnął do niego rękę. - Czy dobrze się pan czuje?

Leśniczy bez słowa wstał o własnych siłach.

- Nie chciałbym krytykować, ale istnieją chyba metody dyskusji bardziej cywilizowane niż przemoc. - Drzygłód z niesmakiem odwrócił się od Reisinga, który ani trochę nieprzejęty przeciągnął po obecnych pytającym spojrzeniem.

Nie doczekawszy się reakcji, wzruszył ramionami.

- Jeśli nikogo nie interesuje, co za substancję wywleczono mi z torby, to ona po prostu wróci na swoje miejsce, a tylko powiem, że jest dla mnie cenna i dość trudna do zdobycia. Jeśli natomiast obawiacie się, że trzymam u siebie narkotyki, mogę zapewnić, że tak nie jest. To oczywiście nie wystarczy, więc proponowałbym, żeby ktoś będący choć odrobinę w temacie dokonał ekspertyzy.

Nina Boguszewicz dramatycznie uniosła ręce w górę.

- A któż się na tym zna? Może pani, pani Marto?

- Ja? - Marta aż podskoczyła. - A to dlaczego?

- Pani jest naukowcem - bąknął Wolski.

- Według pana naukowcy to ćpuny? - spytała słodko.

- Skądże. Ale pani jest fizykiem.

- Ale nie chemikiem. I dziękuję uprzejmie za zaufanie. Sprawa w ogóle mnie nie interesuje. - Włożyła ręce do kieszeni drelichowych spodni.

- To co my teraz zrobimy? - wyszeptał Trzeciak. Drzygłód oderwał się od ściany, tym razem już na poważnie zagrażając kinkietowi.

- Myślę, że po prostu, przepraszając za wścibstwo, zapytamy pana Reisinga, co jest w tej nieszczęsnej torebce, bo on wie najlepiej - odezwał się niegłośnie, lecz dla wszystkich słyszalnie dzięki idealnej dykcji. - A jeśli sugestia o narkotykach jest aż tak silna, to może będę mógł pomóc.

- Potrafi pan stwierdzić, czy coś jest narkotykiem czy nie? - prawie wykrzyknął Nowakowski.

- To najczęściej nie jest trudne.

Spokojnie zajrzał do torebki otwartej przez Reisinga.

- Już wygląda dziwnie - stwierdził, marszcząc brwi. - To bardziej pył niż proszek. W smaku też - skrzywił się - na pewno substancja nieorganiczna. Zaczynam być ciekaw, co to takiego. Ale przede wszystkim - powiedział, oddając torebkę właścicielowi - powinniśmy już dawno pana przeprosić, co niniejszym czynię w imieniu tych, którzy nie czują się winni. - Skłonił się lekko.

Reising odpowiedział mu tym samym ze zwykłą grzecnością, zmienioną tylko przez wyraz skupienia, który go nie opuszczał.

- To pumeks. Oryginalny wulkaniczny - powiedział, patrząc Drzygłodowi prosto w oczy.

- Do renowacji starych mebli! Rzeczywiście trudno dostępny na rynku. Bardzo piękne hobby - dodał ten tonem pochwały.

Leśniczy powoli dochodził do siebie.

- Ja przepraszam - wyjąkał. - Chciałem tylko powiedzieć, że torba była otwarta, a to z niej wypadło. Nie grzebałem w rzeczach.

Nikt go nie słuchał. Niepostrzeżenie scena opustoszała. Wszyscy prócz Marty i Reisinga szybko się rozeszli. Marta czuła jakiś niepokój. To, co się stało, było od początku do końca nieracjonalne, choć przecież w sumie niegroźne. I bez sensu. Narkotyki, też coś.

Zamyślony rzeźbiarz sam wyglądał jak posąg, mimo dzinsów i swetra przypominający gladiatora koncentrującego się przed walką. Ona sama w ogóle nie mogła zebrać myśli.

- Co się właściwie stało? - zapytała prawie bezwiednie.

Ocknął się z zamyślenia. Bez słowa wziął ją za rękę i otworzył drzwi do swojego pokoju. Istotnie, centralny punkt stanowiła imponujących rozmiarów skórzana torba z odsuniętym zamkiem błyskawicznym, ukazująca część swojej zawartości tak ostentacyjnie, że aż zachęcająco do dalszej rewizji.

- To twoje dzieło czy leśniczego?

- Bałagan w torbie? Jasne, że mój. Mam tu wszystko, co potrzebne, znajdę, co chcę, bez szukania. Zamykam ją rzadko, pokoju nigdy, ale nie zdarzyło się, żeby mi ktoś w niej grzebał.

- Nie rozumiem. - Wzniosła oczy do góry. - Otwarta torba to prowokacja. Kuisz los, a potem masz pretensję, że ktoś się zainteresuje białym proszkiem. Trzymałeś go pewnie na wierzchu?

- Torebka z pumeksem była akurat całkiem głęboko. Ten ktoś miał chwilę czasu na zajęcie się moją torbą. I nie był to pan leśniczy.

- Naprawdę ktoś tu łąził? Chcesz powiedzieć, że pobuszował po pokoju i na koniec cisnął gdzieś klucz?

- Oczywiście.

- Aż nie do uwierzenia. Kto? Chyba każdy mógł tu przyjść na moment. Ludzie kręcili się na dole. Ktoś, jeśli niepostrzeżenie wślizgnął się do środka, to ryzykował, że w każdej chwili wejdziesz. No tak, po to zamknął drzwi na zasuwkę. Ale co by było, gdybyś je chciał otworzyć? Musiałby skakać przez okno, albo do mojego pokoju. Jestem jedyną osobą, która mogła to wykonać, ale o ile pamiętam, zajmowałam się czym innym. Popatrz - z rozmachem wskazała drzwi - zwykle, nieawaryjne wyjście też było ryzykiem. Ktoś mógł być w korytarzu, tutaj nie słychać dobrze kroków. Wszystko wskazuje na to - podsumowała - że gościłeś w pokoju kompletnego idiotę bez rozumu i wyobraźni. Może on w ogóle nie kontaktuje rzeczywistości.

- Ale mu się udało - przypomniał.

- Przypadkiem. Jak zwykle głupiemu. Tylko czego tak bezczelnie u ciebie szukał. A może coś podłożył?

Reising stał oparty o framugę okna, zapatrzony na wierzchołki sosen.

- Nie sędzę, żeby miał cokolwiek do podłożenia.

- Chcesz powiedzieć, że wiesz, kto to? Objął ją i poczuła szorstką fakturę swetra.

- Ma miejsce w mojej teorii - powiedział.

- W tej o prawdziwych emocjach? - jęknęła.

- W tej samej. Opowiedzieć ci?

- Przepraszam cię, ale dziękuję. Wolałabym poradzić sobie z faktami.

- Jasne. Tylko jak na razie, to one nieźle sobie z nami radzą.

Za oknem nieoczekiwanie się wypogodziło. Od jakiegoś czasu deszcz nie padał, a niebo przestało być beznadziejnie szare. Może trzeba to wykorzystać. Pójść tam. Zastanowić się. Dowiedzieć się w końcu, co robić. Na chwilę uciekła myślami daleko. Do rzeczywistości przywołała ją świadomość, że coś wymaga natychmiastowego wyjaśnienia.

- Słuchaj, a dlaczego właściwie tak się przejąłeś? To do ciebie nie pasuje. I do twojej otwartej torby.

- Masz rację, to do mnie nie pasuje. Nie pasuje, że nie wiem, co robić. Zdenerwowałem się raczej na siebie, bo nie mam pojęcia, jak zareagować.

- Jeżeli nie masz pojęcia, to lepiej nie reaguj. Uśmiechnął się.

- Chyba się zastosuję. Niech to, co narozrabiało, nie myśli, że się przejąłem. Zresztą wszystko i tak potoczy się samo.

- Zgodnie z emocjami? - spytała podejrzliwie. Odsunęła się, spoglądając na jego opaloną twarz, do której twardych rysów nie pasowało widoczne łagodne rozmarzenie.

- A z czymże by innym? To podstawa. Pokręciła głową. Przypadek beznadziejny. Jeszcze te meble do odnawiania. Cóż za pomysł.

- Nie podejrzewałam cię o zamiłowanie do antyków - powiedziała głośno. - Jest chyba nieco mieszczańskie.

- Chodzi ci o mój pumeks? Lubię wszystko, co ładne. Obojętne, stare czy nowe, rusza się czy nie. Nie przeczę, że najbardziej odpowiada mi układ taki, że coś, co mi się podoba, jest wytworem moich rąk. - Uśmiechnął się niewinnie. - Wracając do sprawy. Stare graty wywleczone z rupieciarni potrafią być nadzwyczajne, choć trochę tracą na romantyzmie po odnowieniu. Niestety nie można się bez tego obejść i mój kolega od wewnątrz, który je uwielbia, a nie radzi sobie do końca z drewnem, prosi mnie o pomoc. Zadowolona?

Skinęła głową.

- Mało ciekawe. Narkotyki były zabawniejsze. I to nie tylko moje zdanie. Myślę, że jestem wyrazicielką opinii ogółu.

- Na pewno. Poczekaj, pogrzebię jeszcze w torbie, może coś się dla was znajdzie.

- Obawiam się, że najwyżej mleko w proszku. - Rozejrzała się po pokoju. - Naprawdę nic ci nie zginęło?

- Nie sądzę.

- Sprawdzalesz? - egzaminowała. Pokręcił głową.

- Nie mam nic ciekawego. - Wykonał kolisty ruch ręką.

Rzeczywiście na półce nad tapczanem poza jakimiś przyborami do rysowania leżała tylko książka. Marta odruchowo rzuciła okiem na okładkę. Umberto Eco.

- No, coś podobnego. Najpoczytniejszy autor w tym domu.

Popatrzył na nią z uśmiechem ożywiającym wszystko naokoło.

- Myślę, że możesz nadrobić zaległości. Proszę bardzo.

- Dziękuję. - Gdy ostentacyjnie niedbałym ruchem wzięła książkę, śliska okładka wymknęła jej się z ręki. Chwyciła ją w locie, dumna ze swojego refleksu. W palcach została jej jednak kartka połyskliwego papieru listowego zapełniona równym, wyraźnym pismem, służąca jako zakładka. Odruchowo włożyła Reisingowi list do ręki. Ten zatrzymał jej dłoń.

- Lubię, kiedy los zadecyduje za mnie. - Spojrzał jej prosto w oczy. - Cały czas chciałem ci to dać do przeczytania, ale nie mogłem się zdecydować. Chyba głupio mi było mącić ci w głowie, ale teraz przynajmniej będziesz wiedziała tyle, co ja. Dostałem go parę dni temu od Przemka, fotografa, z którym pracuję. Jest młody, zdolny i co ciekawe, pisze ładne, długie listy.

Marta usiadła, czując się, jak studentka biorąca do ręki zestaw pytań egzaminacyjnych, z którego może wyniknąć dla niej dokładnie wszystko.

Już na samym początku Przemek obiecywał, że wbrew niechęci Janka spowodowanej przepracowaniem doprowadzi do jego spotkania z kimś, kto mógłby wydać jego pierwszy polski album z prawdziwego zdarzenia. On sam nie posiadał się z zachwytem nad osobą redaktora Drzygłoda.

„Będę Cię namawiał choćby dla samej przyjemności pracy z takim człowiekiem. Słyszałem przedtem o nim mnóstwo dobrych rzeczy, ale rzeczywistość przeszła moje najśmielsze oczekiwania. Miał to być facet błyskotliwy o ogromnym zmyśle estetycznym. Przy tym profesjonalista spokojnie, ale stanowczo realizujący swoje zamierzenia.

Mimo wszystko bałem mu się pokazać na oczy, gdy nawaliłem z robotą. Wtedy, gdy byłem do niczego po odejściu Joanny. Zwłaszcza kiedy mi przepowiedzieli, że wyjść od niego mogę razem z szybą. Wyobraź sobie, nie tylko mnie nie zabił, nie posłał do diabła, ale cierpliwie wysłuchał moich rozpaczliwych tłumaczeń. Zamiast oznajmić, że nie interesują go moje prywatne kłopoty, zadał jeszcze parę pytań i poradził, żebym pamiętał, że kobieta jest oczywiście rzeczą ważną, ale nie najważniejszą. Chyba musiałem wyglądać źle. Za to wyszedłem od niego bardzo podbudowany, prawie odrodzony.

Jest prawdą to, co mówią, że otacza go aura pogody ducha i tolerancji".

- O rany! - jęknęła Marta. - Twój Przemek zwariował. Aura pogody. Tolerancja! Coś okropnego.

Reising skinął głową z przekonaniem. Zdenerwowana czytała dalej.

„Ma taki akceptujący stosunek do trudności życia codziennego, a nawet do złośliwości przedmiotów martwych. To widać na każdym kroku. Wiem, co zaraz powiesz. Że powinienem mniej gadać, a więcej pracować. I nic dziwnego, że Joanna zostawiła mnie dla dobrze ustawionego dermatologa. Mimo to dalej twierdzę, że musicie się spotkać".

- Już się spotkaliście - zauważyła. - Ale wielka radość!

„Wprawdzie Drzyglód, tak jak mówiłem, myślał o pokazywaniu małych form, żeby nie dublować tego, co wydałeś za granicą, a Ty oficjalnie twierdzisz, że figurki cię nie interesują. Wychodzą Ci jednak tak rewelacyjnie, że mógłbyś przestać na chwilę być związanym wyłącznie z dużym formatem i happeningiem".

- Happening. Ładne rzeczy - skomentowała Marta z naganą w głosie

„Poza tym powinieneś pozbyć się swojej niechęci do ludzi o zamiłowaniach wodniackich. Zwłaszcza jeśli ktoś, tak jak Drzyglód, jest prawdziwym żeglarzem. Nie zdążyłem Ci tego wszystkiego powiedzieć, a nie chciałem czekać na Twój powrót, Żebyś miał czas wszystko przemyśleć. Sądzę, że jesteście bardzo podobni do siebie i na pewno szybko się dogadacie. Macie taki sam luz wewnętrzny i magiczną zdolność zjednywania sobie ludzi. Różnicie się tym, że Ty stale zmieniasz żony, a jemu sprawia przyjemność towarzystwo atrakcyjnych kobiet. Polubisz go od razu, jako wzrokowiec, bo z jego twarzy i ruchów można poznać od razu wszystko, o czym mówiłem. Ciepło i pewność siebie.

Żałuję tylko, że ostatnio w ogóle nie mogłem się do niego dostać. Był nieosiągalny najwyraźniej dla wszystkich. Sekretarka - wyjątkowo ładna i bardzo inteligentna - najpierw twierdziła, że zajęty, potem jakoś kręciła. Na koniec wyglądało, że wyjechał, ale niczego pewnego się nie dowiedziałem. Mimo że trochę się z nią zaprzyjaźniłem, tak mi się przynajmniej wydaje. Nie wiem dlaczego, ale idiotycznie wydawało mi się, jakby jednak był na miejscu. W

końcu to jego sprawa. Myślę, że kiedy będziesz w Warszawie, wszystko już wróci do normy, bo Drzygłód należy do ludzi, którzy zawsze są i zawsze mają czas.

W każdym razie jestem całkiem optymistycznie nastawiony do najbliższej przyszłości, czego i Tobie życzę

Przemek"

Marta przesunęła chłodną dłoń po czole. Najchętniej przyłożyłaby sobie do skroni kawałek lodu. Chyba nie przepada za literaturą panegiryczną.

- Jednak czymś się różnimy z tym dobrym człowiekiem. - Janek nie odrywał wzroku od krajobrazu za oknem. - Ja, kiedy Przemek nawalił z robotą, wyrzuciłem go po prostu za drzwi. I on doskonale o tym pamięta. Co nie zmienia faktu - machnął ręką - że jest naprawdę dobry i warto go hołubić. Niezależnie od jakości własnego charakteru. Jakie wrażenia? - spytał nagle.

- Potworne. Jedyne, co pasuje, to że kobieta jest rzeczą. Czy twój przyjaciel pije? Bo całość wygląda na przywidzenia.

- Kiedyś miał mały problem z alkoholem, ale to przeszłość. Jest egzaltowany, z grubsza jednak nie mija się z prawdą. Ma dużą intuicję.

- Bardzo się cieszę. Szkoda, że teraz napisał bez sensu. „Magiczna zdolność zjednywania sobie ludzi”. Gratuluję intuicji. Strzał w dziesiątkę. - Humor Marty poprawiał się. - Wcale nie mam pretensji, że nie pokazałeś mi tego listu wcześniej. Stanowi ryzyko dla świadomości.

- Wiem coś o tym... - zaczął, ale przerwał mu ostry dźwięk dochodzący najwyraźniej z kuchni.

- Proszę stąd wyjść! - krzyczała Antoniowa. - Nie kontrolować mnie. Już!

Widocznie nie dana im chwila spokoju na pogadanie. Trzeba zejść na dół, zanim zostaną wyciągnięci siłą.

Rozdział 11

Na dole Trzeciak istotnie bardzo szybko opuszczał kuchnię.

- Co za ordynarność. - Nina zdążyła chwycić Martę za rękaw od razu, gdy ta pojawiła się na dole. - A takie dobre wrażenie robiła za życia gospodyni. Chodźmy, moi drodzy, do salonu, tam już wywietrzone i trochę bezpieczniejsze towarzystwo.

Po drodze zatrzymała się przed lustrem.

- Nie zaszkodzi czasem spojrzeć. Pani, pani Marto, nie musi, wygląda pani zawsze pięknie, ale to lustro akurat jest niezwykle. Pokazuje prawdę. Czy pan często patrzy w lustro, panie redaktorze?

- Tylko wtedy, gdy napotkam je na swojej drodze. - Zatrzymany przez nią Drzyglód stał naprzeciw secesyjnie oprawnej tafli.

- A lustro prawdy? Czy może pan patrzeć w lustro prawdy? - pytała z coraz większym naciskiem.

- Podobno właśnie to robię - zauważył lekceważącym tonem.

- A ono jakoś nie pęka. - Reising bezszelestnie podszedł do Niny.

- Ciekawe, czy by wytrzymało, gdybym się tak skupił i wlepił w nie zły wzrok.

- To zależy, czy ukrywa pan jakąś tajemnicę.

- Czy ukrywam? Hm, kilka mrocznych by się znalazło i może ze dwie przerażające. - Przy czym uśmiechnął się tak rozkosznie, że nieprzyzwyczajone lustro mogło tego nie wytrzymać

Nieco zbита z tropu Nina Boguszewicz zasiadła w fotelu, przygotowując się do monologu. Reising przytrzymał Martę.

- Nie słuchaj jej, tylko sobie przypomnij to, co ci mówiłem. Pamiętasz? Kiedy dokładnie Nowakowski tak się przestraszył. W którym momencie to się stało, co się wtedy działo, co zobaczył, co usłyszał. Postaraj się.

Skrzywiła się w odpowiedzi na jego rozkazujący ton.

- Nie wiedziałam, że moim zadaniem jest obserwacja Krzysia. Ale jeśli mam się koncentrować, to lepiej pójdę na górę.

- W żadnym wypadku. - Zmarszczył brwi. - Siedź z innymi. Ja idę się przewietrzyć na ganek.

Krzyś Nowakowski, zamykający grupę wchodzących do salonu, poważnie podniósł palec do góry.

- W porządku. Jedna osoba może zostać poza zasięgiem wzroku.

- Dwie też - syknął Wolski. - W razie gdyby wyeliminowano jedną, prosta logika wskaże mordercę.

- Od logiki specjalistą jest pani Marta. - Trzeciak usiłował ją chwycić pod rękę, ale zręcznie wywinęła się i usiadła w najbliższym fotelu.

Ten przypadkowy wybór nie był najszcześniejszy, bo jej sąsiadem okazał się nie biorący udziału w rozmowie Drzygłód. W zasadzie bez żadnego powodu poczuła się niepewnie. Nigdy przedtem nie znalazła się tak blisko niego. Zwykle miała go vis - à - vis i to wcale nie było takie złe w porównaniu z obecną sytuacją.

Pewnie powinna się odezwać, ale przecież nie ma przymusu. Teraz już na pewno nie będzie mogła się skupić nad tym, czego przestraszył się Krzysiek Nowakowski. Swoją drogą, szczyt wszystkiego, żeby taki Reising rozkazywał jej, o czym ma myśleć.

Pewnie w końcu posłucha pani Niny, która właśnie rozpoczyna przemówienie:

- Otóż, proszę państwa, chyba nie będę w błędzie, twierdząc, że konieczne jest pewne podsumowanie. Proponuję hierarchię czasową. Punkt pierwszy. Złowieszcza pocztówka grająca. Przypuszczalny sprawca: Wyrodek. Punkt drugi. Otrucie psa. Przypuszczalny sprawca: Wyrodek.

- O, protestuję. - Nowakowski uniósł się z kanapy.

- To mógł być tak samo Król Węgory. W celu ostrzeżenia lub zastraszenia.

- No, niech będzie. Dziękuję, panie Krzysiu. Punkt trzeci. Kradzież zdjęcia psa. Tu już osoba sprawcy nie budzi wątpliwości. Punkt czwarty. Kradzież wiecznego pióra. Sprawca nieznany.

- Jak to nieznany? - wyrwał się znów Nowakowski.

- Wiadomo, złodziej.

- No, nie wiem, panie Krzysztofie - zaprotestował Trzeciak. - Celem tej akcji było zapewne również ostrzeżenie lub groźba. Nie miejmy złudzeń, pospolite złodziejstwo nie pasuje do tego, co tu się dzieje.

Spojrzenia skierowały się na Drzygłoda, który wcale nie poruszony ostatnimi sugestiami obojętnie pokręcił głową.

- Nie czuję się ostrzeżony.

Beata Wolska zmarszczyła cienkie brwi.

- A może niesłusznie. Powinien pan sobie uprzytomnić, co to może znaczyć. Z kim może się kojarzyć.

- Muszę państwa rozczarować. Nie mam takich znajomych - odparł tak grzecznie, że wręcz obraźliwie.

Marta uważała przy każdym ruchu, żeby nie dotknąć jego ciemnego, lekko połyskującego swetra. Pomyślała o tym, jak bardzo różnią się od siebie, a nawet są istotami z innych światów.

Jej programowy luz obok jego absolutnego uporządkowania. Jej niepokój, napięcie i jego obojętne znudzenie kontrastowały ze sobą tak bardzo, jak jej rozrzucone gęste włosy z jego ogoloną głową, pokrytą lekką opalenizną dopełniającą wrażenia absolutnego zadbania.

- Punkt piąty - obwieściła Nina. - Morderstwo. Sprawca nieznany. Powód również. Możemy jednak zrobić sobie małą powtórkę z tego, co wiemy. Morderca chciał nas zmylić, spodziewając się, że nabierze nas na stary numer z zegarem. Zatrzymanym zegarem. Mieliśmy przyjąć nastawioną przez niego godzinę za czas morderstwa. Zrozumiałe, że na tę godzinę morderca ma alibi załatwione. Czyli ci, którzy go nie mają, są najmniej podejrzani.

- Jak to było w końcu z tą śrubką? - nie wytrzymała Godziszewska.

- O, właśnie. Na początku daliśmy się nabrać, bo wszyscy myśleli, że zegara się nie nastawia. Do niedawna miał uszkodzoną śrubkę. Na szczęście panna Aleksandra pamiętała, że została ona sklejona. Morderca mógł więc swobodnie manipulować mechanizmem i nami. Ale tylko przez jakiś czas. Albowiem gdy komisyjnie obejrzelśmy wnętrze zegarka, okazało się, że śrubki nie ma. Gdyby odpadła sama, byłaby za klapką w tylnej ścianie. Wniosek: po nastawieniu została zabrana, żeby zasugerować, że mechanizm jest nienastawialny.

- I znalazła się u pana Jurka. - Godziszewska palcem wycelowała w Trzeciaka, który tylko wzruszył ramionami.

- Niech pani lepiej powie, kto chciał mnie zrobić i dlaczego.

- Nikt nie wątpi, że to kolejna manipulacja. Kto i dlaczego, oczywiście nie wiemy. To pan może wiedzieć, jakich ma wrogów. - Trzeciak zaczął się mocować z zakrętką maaloxa. - Ważniejsze jest teraz skupienie się nad tym, co mamy. Mianowicie, w najgorszej sytuacji są posiadacze alibi formalnie najlepszego. Czyli: zacznę od samej siebie, potem pan Drzygłód, pan Trzeciak, pani Beata i pani Godziszewska z Patrycją. Zbrodnię mógł popełnić zarówno mężczyzna, jak i kobieta. I to jest koniec naszych informacji.

- To może punkt szósty - zaproponował Krzyś.

- Proszę bardzo. Zapełnienie domu trującym dymem. Cel: najpewniej przypomnienie, co może spotkać nas wszystkich. Sprawca oczywisty.

- Czy to znaczy, że mamy siedzieć i się bać? - spytał rzeczowo Wolski.

- Skądże znowu. Strach jeszcze nikomu nie wyszedł na dobre. Proponuję punkt siódmy. Zamknąć pokój pana Reisinga. Tak to formułuję, bo o ile w normalnych warunkach można by mówić o zapomnieniu, roztargnieniu, o tyle w naszej sytuacji nie wolno sprawy lekceważyć. Poza tym pan Janek jest człowiekiem odpowiedzialnym i wie, co robi. Mam nadzieję, że będzie w stanie uprzytomnić sobie, kto mógł mu w tak bezceremonialny sposób grozić.

Jak na życzenie, z zewnątrz usłyszano Reisinga.

- Niech pani nie robi takiego przeciągu, bo się pani zaziębi. - Troska, z jaką zwracał się do Antoniowej, brzmiała prawdziwie. - Już dawno chciałem poradzić, żeby wywietrzyć bibliotekę, ale trzeba było powiedzieć, pottrzymałbym okno.

- Dałabym sobie radę sama - odpowiedziała niegrzecznie, ale nie protestowała, gdy zajął się miotanymi przez wiatr okiennicami.

- Nie mogła pani tego przewidzieć - tłumaczył. - Dopiero co była ładna pogoda, a tu nagle zadęło. Będzie zmiana, dawno nie padało. Najlepiej wywietrzyć przez korytarz, bo nie dozbieramy się tych papierów.

- Czy pani nadal twierdzi, że nie ma Pana Tadeusza? - spytał zgryźliwie Trzeciak. - Może nie muszę go nosić ze sobą?

- Chciałby pan wymienić na Kordiana? - Reising, zbierając rozrzucone papiery spod biurka, wskazał na coś ładnie oprawionego. - Też dobre.

Marta, czując się uwolniona od towarzystwa, wzięła od niego plik gazet i ułożyła je przy starym, wygodnym fotelu. Tu powinny leżeć ulubione lektury kogoś, kto w nim siadywał. Ale to nie były książki, tylko stare gazety, a raczej obszerne wycinki. Nieobserwowana przyjrzała się im dokładnie. Większość stanowiły artykuły podpisane „Leonard”. Trochę pretensjonalny pseudonim, jak na społeczno - polityczny tygodnik. Nie miała chęci wgłębiać się w żadne z tych wypracowań, choć Antoniowa patrzyła spokojnie nawet na Janka, który spod biurka wystawił rękę z jakimś zdjęciem.

- Rozumiem, że to nie pani Alicja, choć miejsce by się zgadzało - zagadnął bez skrępowania.

Nie rozzłościła się jak zwykle.

- Nie, to pani gospodyni i pan Ryszard.

Marta przyjrzała się zdjęciu, na którym wysoki młody człowiek otaczał ramieniem pulchną panienkę, patrzącą prosto przed siebie z zadowoleniem, a może i z tryumfem. Nad ich głowami widniało wyraźnie „Aufwiedersehen unsere Hofnung”.

- To nie moja sprawa, ale znam lepsze miejsca na randki. - Janek pokręcił głową krytycznie. - Zwłaszcza te niepotajemne.

- A nie były potajemne. Ojciec pani bardzo chętnie widział ich razem. Ach, co tu gadać. - Machnęła ręką. - Widać nie było pisane.

- I ostatnia wiadomość o tym człowieku, to że miał ładną córeczkę - dodał współczująco. - Pokaże nam pani jakieś ładne zdjęcia, zanim zejdzie się tu reszta?

Antoniowa skinęła głową. Z płaskiego pudełka po czekoladkach powoli zaczęła wyjmować po jednej fotografii. Marta z trudem opanowywała ziewanie. Nienawidziła rytuału oglądania zdjęć rodzinnych, z podróży ani żadnych innych. Teraz jednak starała się uważnie przyglądać poźółkłym, nie najlepszym zresztą fotografiom. Rozczarowała się. Jak zwykle, nawet w domu, w którym popełniono morderstwo, były one straszliwie nudne. Stale ten sam antykwariusz w różnych miejscach, między innymi w sklepie, gdzie oszukał starszą kobietę. Powinni się takiego antykwariatu wstydzić, a nie jeszcze robić mu zdjęcie. Córka, pani gospodyni w młodości na ławeczce przed domem, na łódce, bawiąca się z psem ze słodkim niewinnym uśmiechem. Coś okropnego. Nic dziwnego, że tego zdjęcia pieska nie ukradziono.

Poirytowana przedłużającą się procedurą oglądania nagle drgnęła. Na światło dzienne wychynęła fotografia przedstawiająca cztery osoby. Obok pana domu z córką stał jeszcze starszawy, korpulentny mężczyzna i bardzo interesująca młoda kobieta. Wysoka, szczupła w prostej, kwiciastej sukience, gładko uczesana, urodą i jeszcze czymś nieokreślonym przyciągała wzrok.

Reising uśmiechnął się do Antoniowej.

- Ja bym panią postawił na środku jak królową, a nie z boku. Ma pani jeszcze jakieś swoje zdjęcie?

Bez słowa podsunęła fotografię. Na niej ta sama ciemnowłosa kobieta, tylko z małym dzieckiem na kolanach. Oparta o wyszywaną poduszkę przytulała pyzată dziewczynkę z czarnymi oczami i kokardą we włoskach. W rogu można było dostrzec gałązkę choinki obwieszoną bombkami.

- O, panna Aleksandra. Grzeczna była?

- Grzeczna. - Na wąskich ustach Antoniowej pojawił się ślad uśmiechu. - Pół roku skończyła wtedy na Boże Narodzenie.

Marta poczuła, że za chwilę będzie ją boleć głowa. Owszem, w domu jej mamy leży gdzieś na półce niewielki album, w którym kilka zdjęć natarczywie ożywia wspomnienia. Dla matki tak bolesne, że chciała kiedyś zniszczyć fotografie. Ale ona nie chce uciekać od przeszłości. I tak dobrze wie, kim jest. Tylko z jednym musi dać sobie radę. Musi coś zdecydować. Za chwilę pójdzie tam, gdzie powinna być już wczoraj. Że też te zdjęcia musiały przypomnieć jej fotografię. Fotografię młodego ciemnowłosego mężczyzny opiekuńczo obejmującego jej matkę. I wspomnienie jego śmiechu. Takiego beztroskiego, jakiego już nigdy potem nie słyszała. Czy ma prawo przejść nad tym wszystkim do porządku dziennego? Czy nie byłaby to po prostu zdrada?

Zmuszając się do grzecznego wyrazu twarzy, patrzyła na Reisinga, który całkiem w swoim żywiole wyciągał z pudełka kolejne, podobne do siebie zdjęcia. Tak, za chwilę, kiedy tylko się stąd wyrwie, wychodzi. Pójdzie tam, gdzie będzie mogła się skupić, pomyśleć.

- To mi się podoba - ogłosił Janek. - To jest moment. Odślonięcie pomnika ku czci bohaterów w Pomyślewie. I pani z małżonkiem w towarzystwie VIP - ów. Takie życie to rozumiem.

- Nie odślonięcie - poprawiła nieoczekiwanie szorstko. - Parę miesięcy później. Stale się tam chodziło. Nie widzi pan daty? Odślonięcie było pierwszego maja.

Z tyłu ładnym, równym pismem wypisano rok i dzień piąty sierpnia.

- Słusznie. Piękną rzecz wam postawili. Szkoda, że autor nie żyje.

Marta miała wątpliwości co do urody wspomnianego arcydzieła, które zauważyła od razu po przyjeździe, mimo że teraz zasłaniał je pawilon handlowy. Ale ostatecznie nie ona jest ekspertem od sztuki.

- Ano nie żyje - ucięła Antoniowa i szybkim ruchem zgarnęła zdjęcie do pudełka.

- Dlaczego pani nie trzyma ich u siebie? - dopytywał się niezrażony rzeźbiarz. - To są pani pamiątki.

- Ja nie mam czasu na oglądanie. Teraz też idę do roboty.

Energicznie wstała i w drzwiach czekała, aż wyjdą. Zaskoczona Marta szybko i chętnie znalazła się na korytarzu, nie czekając na Reisinga, który jeszcze marudził, usiłując tego i owego dotknąć, domyślając się, że już nigdy nie dostąpi zaszczytu wizyty w tym pokoju.

Marta w okamgnieniu, w obawie, żeby jej nikt nie zagadnął, nałożyła sportowe buty i kurtkę. Na zewnątrz dopinając w pośpiechu zamek błyskawiczny, od razu poczuła podmuch wilgotnego, chłodnego wiatru, nie na tyle jednak silnego, by ją powstrzymać.

Na duży deszcz chyba się nie zanoszą, a jeśli nawet, to wszystko jedno. I tak nie będzie teraz wracać. Pójdzie, gdzie ma pójść. Przed oczami jeszcze miała zdjęcie przywołane ze wspomnień. Szczupłą twarz mężczyzny o regularnych rysach i ciemnych oczach, uśmiechniętego do jej matki. Ona sama czuła się wtedy naprawdę dobrze. Potem wszystko zniknęło jak sen.

Piaszczysta droga nadawała się po ulewie do szybkiego marszu. Prześwietlone skąpych promieniami słońca krople wody, strącane wiatrem z drzew, spadały na jej twarz, ozdabiając rzęsy i włosy. Na chwilę zwolniła kroku, żeby się rozejrzeć. Po lewej stronie ściana wilgotnego, pachnącego lasu. Po prawej niewysokie zarośla tylko szuwarami oddzielone od stalowogranatowego jeziora.

Nawet lubiła zapach mułu, ale wiatr mógłby być trochę słabszy. Przyśpieszyła znowu. Żeby już być na miejscu. Stanąc, spokojnie popatrzeć na tę tablicę i pomyśleć. Podjąć decyzję. Decyzję, której potem nie będzie zmieniać. Byle szybciej. Las po lewej stronie przeszedł w młodniak, bez trudu znalazła ścieżkę prowadzącą na wzgórek cmentarza.

Prawdę mówiąc, śliczne miejsce. Dobre na randkę. Ciekawe, jak tu było czterdzieści lat temu.

Podejście na polankę, gdzie królował cmentarz, zdołały zachwycające barwą mokre wrzosy. Jak mogła zapomnieć! Przecież powinna położyć kwiaty na płycie. Pewnie będzie jedyną osobą

przychodzącą po prostu na cmentarz. Poza tym bywa tu tylko banda Węgorzy, jeśli to prawda o ich punkcie kontaktowym.

Z silnym postanowieniem zrobienia wiązanki kwiatów rozpoczęła poszukiwania scyzoryka, który miała wziąć. Oczywiście zapomniała. Nie szkodzi. Energicznie zabrała się do walki wręcz z kępą wrzosów malujących na różowofioletowo pasmo trawy przy ścieżce. Zadanie okazało się dość niełatwe. Niektóre łodygi łamały się zupełnie dobrze, inne znacznie gorzej. Mimo to po kilku dość brutalnych akcjach typu ciągnięcie i skręcanie Marta uzbrojona w okazały bukiet, z lekkimi otarciami na dłoniach, nacisnęła zardzewiałą klamkę.

Na cmentarzu skutki deszczu były bardziej widoczne niż na zewnątrz. Uważając, żeby się możliwie mało zabłocić, ostrożnie stawiała kroki w wąskiej alejce. Ziemia była rozmiękła, mokra trawa dokuczała jej mimo drelichowych spodni. Zaniedbane, niszczące groby, napisy porośnięte mchem. Aż żal na to patrzeć. O mały włos z winy śliskiego kamienia nie wpadła do jednej z dziur zdradziecko porośniętych zielskiem.

Żeby złapać równowagę, oparła się o pogiętą balustradę przy wspaniałym grobie Rhodlina. Była już u celu.

- To dla ciebie. - Położyła wrzosy na kamiennej brudnej płycie. - Ode mnie. Pewnie cię to nie obchodzi, wolałbyś kogo innego. Mój wygląd też ci, myślę, niezbyt odpowiada, ale takie są fakty i już.

Wiatr wzmagął się. Wsunęła ręce w kieszenie kurtki. Teraz mogła mieć poczucie, że poza nią i tym cmentarzem nie ma świata. Zniknął, odpłynął w mokrej zawiei. Została sama z tym popękany, omszałym grobem i napisem, który musiała kiedyś zobaczyć. Teraz zada to pytanie. Chce znać odpowiedź.

Zawiało silniej. Kilka wilgotnych liści uderzyło ją w twarz. I nagle przeniknęło ją niemiłe odczucie czyjejs obecności. Natychmiast rozejrzała się naokoło. Jeśli ktoś prócz niej tu jest, to tylko w najdalszym zakątku cmentarza, który ma kształt litery „L”.

Miała wrażenie, że słyszy jakieś kroki, ale pewnie w wyobraźni. Jeśli nie, to najwyraźniej ten ktoś też nie chce nikogo spotkać. Wycieczka skończona.

Gdy zamykała za sobą furtkę, już na pewno, mimo szumu wzmagającego się wiatru, wiedziała, że ktoś idzie w jej kierunku. Stała w oczekiwaniu nieproszonego towarzystwa, uważnie obserwując, co wyłoni się zza rogu, bo stamtąd dochodził szelest.

Najwidoczniej ktoś, kto zamiast furki używał dziury w ogrodzeniu, powoli zmierzał ku dróżce w dół.

Ostatecznie, gospodyni została zamordowana we własnym pokoju, a nie napadnięta w młodniaku przez gromadę Węgorzy. To nie tak wygląda. Nie ma się czego obawiać.

Nie do końca pewna słuszności swojego wyводу, coraz bardziej spięta, przez bardzo długą chwilę, ze zmarszczonymi brwiami wbijała wzrok w gęsty rząd drzew osłaniający ścieżkę wzdłuż cmentarza.

Ktoś posuwał się tak cicho, że zaczynała wątpić w sensowność całego popłochu. Może to halucynacje ze zdenerwowania. I w tym momencie zza rozłożystego modrzewia zdobiącego róg cmentarza wyłoniła się wysoka sylwetka Wojciecha Drzygłoda.

Niezmieszany spotkaniem, wyjął na widok Marty ręce z kieszeni. Leniwie, jak na deptaku, nie przejmując się niecodziennością sytuacji, stąpał po miękkim mchu, starannie omijając bardziej ozdobne kępy, na pewno stale pamiętając o obowiązku chronienia przyrody. Jeszcze obrzucił spojrzeniem turysty ścianę lasu podkolorowaną rozkwitłymi wrzosami.

- Mam nadzieję, że pani nie przestraszyłem - oznajmił optymistycznie. - Widzę, że pani również nie lubi tłoku przy oglądaniu interesujących miejsc i wybiera wycieczki indywidualne.

Nie zdążyła odpowiedzieć. Nie zdążyła nawet odczuć ulgi z powodu wyjaśnienia sytuacji. Nagły, prawdziwie sztormowy podmuch wiatru uderzył ją w plecy tak silnie, że straciła równowagę, ale zamiast upaść na mokrą trawę, znalazła się w objęciach Drzygłoda. Poczula zapach Old Spice i dotyk miękkiej wełny jasnego swetra, w który zdążył się przebrać po porannym zadymieniu. Była bezwolna, gdy następny, jeszcze silniejszy atak wiatru spowodował, że ręce mężczyzny przytrzymały ją mocniej. Ten nienaturalny, lecz zdecydowany uścisk wywołał u niej na moment dziwny stan podobny do spadania w przepaść. Spadanie, ale bez lęku. W przepaść, w której chciała się znaleźć, i nie wiadomo, jak długo by to trwało, gdyby do realnego świata nie przywołało jej nieprzyjemne, wilgotne uderzenie strąconego wicherem igliwia. Odzyskała grunt pod nogami.

- Niewiarygodne - stwierdził Drzygłód spokojnie. - Wieje z każdej strony.

Marta potrząsnęła włosami, odcinając się od tego, co było przed chwilą i czego nonsensowność zaczynała do niej docierać.

- Zawdzięczam panu życie - powiedziała z uśmiechem.

- Proszę nie żartować. Ta pogoda staje się niebezpieczna. Całe szczęście, że byłem dość blisko.

Marta pomyślała, że do tego wszystkiego zaczyna tracić poczucie odległości, bo dałaby głowę, że wtedy, gdy popchnął ją wiatr, on stał dość daleko. Ale z faktami się nie dyskutuje. To nie takie ważne, co jej się wydaje.

- Chyba powinniśmy wracać - rzekła.

Zanim się zorientowała, kilkoma precyzyjnymi ruchami oswobodził jej włosy z igieł i gałązek. Potem bez słowa, jakby to należało do jego obowiązków, założył jej na głowę kaptur kurtki, starannie zawiązując sznurki.

Mimo woli zauważyła, że jego oczy mają nie tylko interesujący kolor, ale jeszcze bardzo ładny kształt podkreślony przez wyjątkowo długie rzęsy.

Niezbyt głębokie, ale wyraźnie rysujące się w złotawej opaleniznie zmarszczki w kącikach oczu i koło ust harmonizowały z rysami twarzy i dopełniały ich regularności, zwykle nadając wyraz niesmaku lub znudzenia. Teraz obiecywały uśmiech, który jednak nie mógł się pojawić.

Oczywiście, jest to twarz do zapatrzenia się, a nawet do zagapienia, ale jeśli chodzi o nią, Martę Rodlińską, to na dzisiaj wystarczy.

Nie mówiąc słowa, odwróciła się i przeskoczyła przez małą kałużę, schodząc ścieżką w dół. Ścieżka osłonięta była z obu stron gęstym lasem, niewysokim, ale znakomicie chroniącym przed wichurą. Odczuwało się tylko wilgotny chłód, który jednak nie skłonił Drzygłoda do nakrycia głowy albo choćby zasunięcia suwaka kurtki.

Wyżłobione ostatnią ulewą koleiny i przyniesione przez nią kamienie sprawiły, że zejście ze wzgórza wymagało nieco więcej uwagi. Marta szła szybko, zgrabnie omijając niepewne miejsca. Nade wszystko obawiała się potknięcia czy zachwiania. Wiedziała, że jej towarzysz, od niechcienia pokonujący trudności zejścia, pilnie ją obserwuje. Gdyby istniała jakaś sprawiedliwość, powinien się wywrócić jak długi. Niestety, nic nie wskazywało na sytuację w tym stylu. Nie było nawet szans, że ochlapie się błotem, bo niezrozumiałym sposobem, lekceważąc prawa fizyki, jego idealnie jasne spodnie i także adidasów pozostawały całkowicie odporne na

warunki pogodowe i nic nie mogło zmienić ich wyglądu z bardzo czystego na mniej czysty. To nie może być normalny człowiek.

Wszystko jedno. Z człowiekiem czy z kosmitą należy prowadzić choćby symboliczną rozmowę. A przynajmniej usiłować. Żaden temat nie przychodził jej do głowy. Może o morderstwie. Dopiero teraz, w obecności tego człowieka, zdała sobie sprawę z zagrożenia dotyczącego wszystkich. Wzdrygnęła się.

Oczywiście nie uszło to jego uwagi.

- Chyba niepotrzebnie pani wychodziła podczas takiej pogody. Jest za zimno.

Nawet nie wiedział, jak bardzo źle trafił. Jasne, że jest wrażliwa na zimno, ale on nie ma prawa jej tego wypominać.

- Być może. Ale gdybym została w domu, straciłabym okazję spotkania pana.

Niestety, zabrzmiało to znacznie bardziej jadowicie, niż chciała. Co się z nią dzieje?

Drzygłód zareagował tylko lekkim zmarszczeniem brwi. Przez jego twarz przebiegł skurcz, który od razu opanował. Aż do zejścia na dół nie wypowiedzieli ani słowa.

To dziwne, że z Reisingiem może rozmawiać o wszystkim. Śmieszne, że ci dwaj mają przy sobie identyczne egzemplarze tego samego wydania książki. I też się nie dogadują. Ciekawe, jak wyglądało ich pierwsze spotkanie przy przedstawianiu samochodu. Tego musi się koniecznie dowiedzieć.

Koniec osłoniętej drogi przywitał ich tak napastliwym podmuchem, że odruchowo się cofnęli.

- To się chyba nazywa dujawica. Tak mówią górale. - Myślała, że udało jej się wymyślić coś na początek rozmowy.

- Nie wiem, jestem tylko z Krakowa. Proszę zapytać pana Reisinga - odpowiedział chłodno i bez komentarza podał jej ramię.

Istotnie, trzymając go pod rękę, a właściwie osłaniając się nim, szło jej się znacznie lepiej. Zsunęła kaptur na oczy, mogła nie martwić się atakującym powieki mokrym piaskiem. Poczula się niespodziewanie bezpiecznie, niemal komfortowo.

Mogłaby tak iść w nieskończoność. Nie patrzyła na drogę, na chwilę przymknęła oczy. Drzygłód nie zatrzymując się, wolną ręką uniósł zwisającą złamaną gałąź. Marta odruchowo pochyliła głowę i dzięki temu zauważyła imponującej wielkości ślimaka spokojnie

wędrującego w poprzek drogi. W ostatniej chwili przeskoczyła, żeby nie zrobić mu krzywdy.

- Czy coś się stało? - zainteresował się jej towarzysz. - Ach, winniczek, piękny okaz.

Może dobrze, że dzielne stworzenie przełamało barierę milczenia między nimi. Pochylili się nad nim.

Ślimak schował się do skorupki, ale już za chwilę zaczął z niej wyglądać.

- Czy on nie jest zbyt odważny? - Marta wyciągnęła rękę w jego stronę.

- Raczej mało inteligentny. Nie będzie chyba miły w dotyku - ostrzegł ją. - Nadaje się najlepiej do straszenia koleżanek w szkole.

- Mnie straszono zwykłymi glistami. Ma pan w tym doświadczenie?

Potrząsnął głową. - Nie, byłem bardzo grzecznym dzieckiem. Aż za grzecznym.

Myślała, że się przesłyszała. Po raz pierwszy jakieś ludzkie zdanie. Może już żałuje, że powiedział coś osobistego. Zmieniła temat.

- Zabawne, tak nosić ze sobą swój dom.

- Wygodne, wszędzie jest się u siebie. Wszędzie u siebie. Właściwie to również jej dotyczy.

Nie była przywiązana do swojego mieszkania ani do biurka na uczelni. Do niczego. Wszędzie czuła się jednakowo nijako. Rzeczywiście, sama dla siebie jest domem. Skąd jemu to przyszło do głowy? Czyżby mieli jedną wspólną cechę?

Podrażniła winniczka patykiem, chcąc sprawdzić jego zakwestionowaną właśnie inteligencję. Drzygłód obserwował go spokojnie i uważnie. Oboje, jak dzieci nad wspólną zabawką, milczeli w taki sam sposób. Myślą o tym samym? Taka zgodna cisza zdarza się tylko ludziom dobrze znającym się nawzajem i zaprzyjaźnionym.

Nie pamięta, kiedy tak się czuła, oderwana od wszelkich problemów i pytań. Przeniosła wzrok na swojego towarzysza. Zamyślenie dodawało ostrym rysom pewnej surowości. Z pewnością, czy tutaj w lesie przy złej pogodzie, czy w fotelu z walkmanem uszach, wszędzie wygląda tak samo. Chłodny, niezależny, nieosiągalny emocjonalnie dla otoczenia.

Nie, nie będą przez wieki udawać badaczy przyrody i filozofów natury. Wyprostowała się energicznie. Drzyglód natychmiast zrobił to samo, tylko bardziej od niechcienia.

- Chodźmy, bo przegapimy następne morderstwo - zażartowała i natychmiast przestraszyła się swoich słów. Nie wierzyła w przesady, ale lepiej uważać, co się mówi.

- Przewiduje pani jakąś serię?

Trudno rozmawiać z kimś pozbawionym poczucia humoru.

- A czy pan nadal uważa, że nie ma sensu myśleć o tym, co się stało?

- Myśleć zawsze można, ale wszelkie spekulacje należy zostawić zawodowcom.

- Mimo wszystko, czy pan ma jakieś zdanie na ten temat?

- Oczywiście. - Uważnie uchronił Martę przed spotkaniem z kałużą. - Staliśmy się świadkami lokalnych porachunków, o których nie możemy mieć pojęcia, w odróżnieniu od policji. Żyjemy niestety w czasach, kiedy takie sprawy stają się coraz bardziej banalne.

Zadarła głowę, chcąc sprawdzić, jak się wygląda, mówiąc takie nonsensy. Ich spojrzenia spotkały się. Zabłakane krople wody wylądowały na jej czole i brwiach i chyba właśnie zostały policzone. W zasadzie to nawet wygodne dla kobiety, gdy mężczyzna traktuje ją wyłącznie jako obiekt mówiący. Oszczędza się kłopotliwych nieporozumień, takich jak wtedy, gdy ktoś zaczyna normalny spacer zamieniać w randkę. Całe szczęście, że jej towarzysz nie poczuwa się do takich obowiązków. Zresztą nawet najbardziej abstrakcyjna wyobraźnia nie byłaby w stanie postawić go w tej roli.

- Mam nadzieję, że nie poczuła się pani urażona niezbyt szczęśliwą nazwą węzła, jakiej użyłem dzisiaj rano w rozmowie z panem Trzeciakiem. Jest tradycyjna i nie ma w niej nic antyfeministycznego.

Ostatnie słowa ledwie usłyszała w silnym podmuchu wiatru, odruchowo przywarła do jego ramienia. Kaptur zsunął jej się prawie na oczy.

- Tak, grandmother's knot. - Starła się mówić tak głośno, żeby być słyszaną. Chyba głośniej niż na wykładzie. - Dla Reisinga to coś z makramy.

Sądziła, że jej słowa mimo wszystko rozplynęły się na wietrze, bo nie było żadnej reakcji.

- Oczywiście, z makramy - odpowiedział po chwili bardzo chłodno.

Znaleźli się już na ostatnim odcinku drogi, całkiem osłoniętym drzewami, za to trochę śliskim. Marta zsunęła z głowy kaptur, bo bez niego czuła się znacznie lepiej.

- Nawiasem mówiąc, może pan śmiało wygłaszać poglądy antifeministyczne. Mnie to nie przeszkadza.

- Z pewnością. Nie mam jednak takiego zwyczaju. Ani takich poglądów.

Jasne, że nie. Kobieta nie jest najważniejszą rzeczą, ale lubimy mieć jakieś atrakcyjne pod ręką. Tak wynikało z listu niezwykle uzdolnionego Przemka. Teraz odbywa się spacer z jedną z tych właśnie rzeczy. Beznamiętnie, jak prowadzenie samochodu lub wykonywanie innego odpowiedzialnego zadania. Oczywiście dokładnie tak, jak należy. A może to ona nie docenia szczęścia, jakie ją spotyka? Może w Warszawie jest kolejka do tego pana ustawiona z wielbicielek, z których każda marzy, żeby zostać zobaczoną w tak nadzwyczajnie dobrym towarzystwie.

Za chwilę i ona zostanie zobaczona. Wyszli już z lasu, więc zgromadzeni przed domem mogli ich podziwiać, w jak zgodny i malowniczy sposób wędrują sobie niczym para dobrych przyjaciół.

Rozdział 12

Co innego jednak w tej chwili absorbowowało uwagę ich znajomych.

Wełniany szal otulający zwykle panią Ninę, teraz przypominał bardziej płaszcz Batmana, gdy biegła w ich stronę.

- Nareszcie państwo są. Panie redaktorze, niezwłocznie potrzebujemy pana pomocy. Niestety! Pan Jurek Trzeciak! - wyrzuciła siebie jednym tchem i zamilkła, chwytając powietrze.

- Co z nim? - prawie krzyknęła Marta. Kobieta pokiwała głową, potwierdzając jeszcze nieznaną fakt.

Martę ogarnął przykry chłód. Co komu zawinił ten nudziarz? Dlaczego on?

- W czym mogę pomóc? - spytał Drzyglód. Pod jego wzrokiem Nina musiała odzyskać głos.

- Potrzebny, niezbędny jest samochód. Żeby przywieźć pana Jurka. Został z panią Godziszewską tam, przy starej tawernie. Akurat tak się fatalnie złożyło. Łazik nie działa, pana Janka nie ma. Wolscy też gdzieś zniknęli.

Drzyglód skinął głową i nie zadając pytań, skierował się do prowizorycznego garażu. Marta pomyślała, że mogłaby bez skrupułów udusić tę kobietę jej szalem.

- Powie pani w końcu, co się stało, czy nie? - syknęła ze złością.

- Nie powiedziałam? Ale ze mnie gapa. Otóż było to tak. Wybraliśmy się z panią Godziszewską i Trzeciakiem na spacer w kierunku tawerny. Ładne miejsce, szczególnie przy starej łodzi. Patrycja, jak dziecko, chciała szukać w tej drewnianej ruderze skarbów, a pan Jurek zapalił się do pomysłu i zaczął opowiadać, jakie to różności można by tam znaleźć. Bez sensu zresztą. Potem usiadł, popił tego swojego białego płynu, nikt się tym nie przejął. A tu nagle zrobił się szary na twarzy i przewraca się zwinęty w kłębek. Potworny widok. Godziszewska prawie zemdląca, a Patrycja, dobre dziecko, uklękła przy nim i pytała, co go boli i czy bardzo. Dogadaliśmy się, że to atak wrzodu. W sumie trudno się dziwić przy tych naszych stresach. O normalnym powrocie nie mogło być mowy, więc zostawiłyśmy przy nim Godziszewską, a ja wróciłam z Patrycją, żeby dziewczyna nie łąziła sama po lesie. Przychodzimy do domu, a tu pustki. Tylko Antoniowa przy kuchni. Pana Janka też nie ma. Wolscy gdzieś zniknęli, a łazik leśniczego nieżywy. Szczęście, że

pojawił się pan Drzygłód i mamy środek lokomocji dla chorego. Szczęście w nieszczęściu, prawda, panie Krzysiu?

Krzyś Nowakowski stojący na werandzie smętnie skinął głową, automatycznie odprowadzając wzrokiem Ninę, która przeprosiwszy ich władczym ruchem ręki, dogoniła Drzygłoda najpewniej w celu poinformowania go o szczegółach.

Marcie było zimno. Chyba z przygnębienia. Dlaczego musiała przyjechać do miejsca, gdzie stale dzieje się coś złego? Dlaczego w dodatku Reising musiał się gdzieś zapodziać? Nie ma go, gdy jest potrzebny.

- Pan Janek poszedł znowu na bagna - Nowakowski chyba odgadywał jej myśli. - Mówi, że pierwszy raz widzi coś takiego i że go to wciąga psychicznie. Żeby go tylko nie wciągnęło fizycznie.

Wbrew pozorom nie miał nastroju do żartów. Ze ściągniętymi brwiami tulił ramiona w narciarskiej kamizelce nałożonej na kraciastą koszulę. Marta poszła za jego wzrokiem. Patrzył na Patrycję, która oparta o pień sosny monosylabami odpowiadała na pytania spragnionego wiadomości leśniczego. Nogi miała rzeczywiście rewelacyjne.

- Tak to jest - powiedział Nowakowski w zamyśleniu. - Tak to jest.

- Bardzo wieje. Nie zimno panu? - spytała Marta. - Wchodzimy do środka?

- Ma pani rację. Nic tu po nas. - Wzruszył ramionami. - Zwłaszcza że Wolscy nadciągają i wszystko zacznie się od nowa.

Też nie miała ochoty słuchać. Odwrócili się do drzwi i spojrzeli jeszcze raz na granatowego volkswagena, który prawie bezszelestnie stanął przed Patrycją.

- Tak to jest - powtórzył chyba całkiem automatycznie Krzyś Nowakowski i gdy za dziewczyną zamknęły się drzwi samochodu, Marta stwierdziła, że chyba znalazł się ktoś, kto ma humor gorszy niż ona. I może nawet trudno się dziwić. Ona sama wie doskonale, co to poczucie krzywdy. A na dodatek teraz czuje się winna, że zmarnowała pójście na cmentarz, które ją tyle kosztowało. Nie zrobiła nic. Ani przez chwilę nie postąpiła, a miała tam być znacznie dłużej. Tak długo, jak potrzeba, żeby dać sobie radę ze swoimi myślami. Wszystkiemu winien jest Drzygłód. Gdyby nie on, zrobiłaby tak, jak zamierzała.

Teraz odgradzony od świata przyciemnionymi szybami, konsekwentnie omijając kałuże, rozpędzał swój wóz w stronę lasu.

- Ładny pojazd - zaczął Wolski i urwał, wstrzymując oddech.

W tym momencie Nina Boguszewicz wydała okrzyk przerażenia.

Przed ich oczami działo się coś niezrozumiałego. Łazik stojący na wniesieniu ruszył po pochyłości, zjeżdżając na drogę dokładnie naprzeciw samochodu Drzygłoda i błyskawicznie nabierając prędkości.

Kilka metrów dzieliło go od przodu volkswagena, który ograniczony z jednej strony rzędem grubych dębów, a z drugiej stertą sosnowych pni, nie miał żadnych szans na ucieczkę w bok.

Nikt nie oddychał, czekając bezradnie na huk strzaskanej karoserii. Marta, wpatrując się do bólu oczu w granatowy samochód, miała dziwne wrażenie, że jego koła kręcą się do tyłu, choć on sam posuwa się powoli do przodu.

Nie było to przywidzenie. W istocie volkswagen przejechał w ten sposób niewielką odległość i gdy od łazika dzieliło go nie więcej niż wyciągnięta dłoń, nagle, jakby rzeczywistość stała się filmem przewijanym od końca, zaczął się od niego oddalać. Towarzyszył temu głuchy odgłos świadczący o spotkaniu łazika z dębami.

Bez problemu jadąc dalej do tyłu, wyminął leżące pnie i zatrzymał się na podwórku. Drzygłód, nie śpiesząc się, otworzył drzwi Patrycji. Bez śladu zdenerwowania poszukał wzrokiem leśniczego.

- Czy słyszał pan kiedyś o hamulcu ręcznym? - spytał z pogardliwą obojętnością.

Leśniczy na próżno szukał rozbieganymi oczami ratunku u obecnych.

- Ciekawe, przecież konie przywiązuje się, żeby nie uciekły - zastanowił się Wolski. - Czyli nie jest to nowy problem.

Odpowiedział mu krótki, nerwowy śmiech. Napięcie opadło. Tylko Marta i Drzygłód nie podzielali wesołości. Ich spojrzenia spotkały się. Nie wiedziała, czego on szuka w jej twarzy i dlaczego nie odrywa od niej wzroku. Pewnie ze zdenerwowania, które widać na kilometr, musi wyglądać okropnie i dlatego Drzygłód patrzy na nią, jakby ją pierwszy raz widział. Ale w sumie co za różnica? Ważne, że nic się nie stało.

- A Patrycja wcale się nie przejęła! - wykrzyknęła Nina Boguszewicz.

Dziewczyna potrząsnęła włosami, mrużąc oczy.

- Pan był taki spokojny, że wcale się nie przestraszyłam.

- No właśnie - podchwycił Wolski. - Jak pan to zrobił? Ten dziwny manewr.

Drzygłód uniósł brwi. Chyba dopiero teraz przestał obserwować Martę.

- Dziwny? Wcisnąć hamulec i wsteczny to nic nadzwyczajnego.

- Widziałem takie coś na filmie! - krzyknął Krzyś. - Kiedy zajadą drogę samochody mafii, to zanim wyciągną karabiny maszynowe, da się w ten sposób uciec.

Wojciech Drzygłód westchnął z bezgranicznym politowaniem.

- Manewr skuteczny przede wszystkim w obronie przed czyjąś niedbałością i bezmyślnością, których skutki bardziej nam zagrażają niż jakakolwiek mafia.

- Przysięgam, że zaciągnąłem ręczny - bronił się słabym głosem leśniczy.

Nina wzniosła oczy w górę, a Beata Wolska smutno pokiwała głową.

- Istnieje coś takiego, jak zmowa przedmiotów martwych.

- Przedmioty martwe zmawiają się przeciwko tym, którzy im na to pozwalają. Którzy podchodzą do swych zadań w sposób lekceważący i bez wyobraźni. Gdyby pan zostawił wóz na biegu - Drzygłód ledwie zaszczycił leśniczego spojrzeniem - nie byłoby problemów z wytrzymałością linki hamulca ręcznego. Ale chyba na nas już czas. Nie ma powodu, żeby pan Trzeciak czekał.

Płynnym ruchem zamknął za Patrycją drzwi volkswagena i usiadł za kierownicą.

Marta wzdrygnęła się z zimna.

- Chyba przyda nam się chwila na regenerację. Chodźmy do domu napić się gorącej herbaty - zaproponował Krzyś Nowakowski.

Odruchowo skinęła głową. Nie bardzo chciała być teraz sama. W przedpokoju spojrzała w lustro. Nie pocieszyło jej. Zziębnięta, rozczochrana, coś okropnego.

- Wygląda pani świetnie. - Krzyś był niezawodny.

- Nawet po takim stresie. To jest zdanie lustra prawdy - uśmiechnął się - które ja niniejszym potwierdzam. A po liptonie również poczuje się pani świetnie. Dobrze, że mam ze sobą saszetki,

bo między nami mówiąc, Antoniowa nie ma pojęcia o prawdziwym parzeniu.

Rzeczywiście trzymał na półce pokazne pudło z herbatą. Gdy poszedł po wrzątek, Marta rozejrzała się po pokoju. Właściwie miło było w nim posiedzieć. Krzyś zadbał, żeby czuć się dobrze. Stół przyozdobił wazonikiem ze skromną, ale ciekawą kompozycją gałązki sosny, traw i czegoś jeszcze. Obok książka w kolorowej okładce. Żeby tylko nie Umberto Eco! Na szczęście jakaś fantastyka. Na półce - tomik tego samego rodzaju. Obok prawdziwy bukiet różnorodnych pisaków w kubku z nieznanym jej firmowym logo. Jakies notatniki, reklamowe czasopisma.

W drugim kącie pokoju przyciągał uwagę niebieski turystyczny serwis rozstawiony na plastikowej serwetce.

- Szybko się uwinąłem, prawda? - Krzyś już nalewał herbatę.

Naprawdę była dobra. Patrzył w czerwony płyn, jakby chciał z niego wróżyć. Chyba nie wiedział, jak zacząć rozmowę.

- Takie jest życie - stwierdził. - Trzeba się z nim pogodzić. Jak pani myśli, czy w ogóle mamy na nie jakiś wpływ?

- Oczywiście - Marta odpowiedziała automatycznie. - Mamy wpływ na to, co się z nami dzieje.

- No tak, ale na przykład - wziął głęboki oddech - jeśli komuś podoba się dziewczyna, a nie ma jej nic do zaoferowania, nic prócz tego, że mu się podoba, a nawet więcej niż podoba, to co ma zrobić?

- Myślę, że to całkiem dużo do zaoferowania.

- W porównaniu z pieniędzmi i pozycją społeczną, całkiem niedużo.

- Takie podejście źle by świadczyło o dziewczynie. Krzyś przetarł okulary.

- Nie będę udawał. Wie pani, że chodzi o Patrycję. Marta wiedziała i nie wiedziała jednocześnie.

- Powiedział jej pan o tym?

- Co by to dało? Nie zdziwiłaby się. Jest przyzwyczajona.

- Zna ją pan dobrze?

- Sam nie wiem. Kiedyś mieszkaliśmy w sąsiednich blokach. Czatowałem przy oknie, kiedy szła na zakupy, żeby ją przypadkiem spotkać w sklepie. Jej mama była księgową na wydziale, gdzie studiowałem, więc liczyłem się za znajomego. Miała w sobie tyle czaru, te chwile, kiedy mogłem z nią zamienić choć parę słów,

trzymały mnie na nogach - wyrzucił z siebie jednym tchem. - Najpiękniej było, gdy udało mi się zaprosić ją do klubu na kabaret.

- Mama pozwoliła?

- Pozwoliła. Rzecz jasna, powrót przepisowo wcześniej i tak dalej. Ale to nie mama kieruje Patrycją. Ona jest sama z siebie taka... - szukał słów - czysta i niezależna. Inna niż dziewczyny w jej wieku.

Umilkł, jakby gubiąc się w swoich myślach.

- Zaprosił ją pan drugi raz?

- Nie, nie zaprosiłem. - Zmiał nerwowo brzeg grubej bluzy. - Zaraz potem miałem kłopoty, o mało nie wyleciałem ze studiów, żołądek mi nawalił, jak panu Trzeciakowi. Oni wyprowadzili się do większego mieszkania. Ja zaraz potem stanąłem na nogi. Zrobiłem bardzo dobry dyplom, dostałem świetną pracę. Ona zaczęła chodzić z jakimś ze swojej klasy, ale to nie było na serio. A teraz, widzi pani, już planuje się jej przyszłość. Mówi się, że ma czas na zamążpójście, bo to prawda, a jednocześnie obstawia się pana redaktora Drzygłoda, jak tylko się da.

- Może gdyby wiedział o pana uczuciach, byłoby inaczej - powiedziała Marta bez wielkiego przekonania.

- Jest jeszcze bardzo młoda. Imponuje jej ktoś taki. Przy tym, wie pani, on wygląda bardzo idealnie, nieskazitelnie, rzecz jasna, zewnątrz. A ona jest taka właśnie wewnątrz.

Na pewno dobrze, że drzwi się otworzyły, bo Marta stanowczo została przekarmiona zachwytem nad duszą Patrycji. Wybawcą okazał się Janek Reising.

- Od razu zostałem poinformowany, gdzie cię można znaleźć - oznajmił. - Dopiero jako wiadomość drugiej kategorii opisano mi niedoszłą katastrofę.

- Jeśli pan lubi mocne wrażenia, to pan stracił. - Krzyś podsunął mu filiżankę. - W przeciwnym razie nie ma czego żałować, prawda?

- Było nieprzyjemnie - zgodziła się.

Reising przeciągnął palcami po włosach, z których zabawnie sterczały kawałki suchych patyków.

- Słyszałem, że linka hamulca ręcznego jest przerwana i nie wiadomo, czy sama z siebie, czy ktoś jej pomógł.

- No nie! - Krzyś aż podskoczył. - To bez sensu.

- Jak większość rzeczy tutaj - przypomniała Marta. Młody człowiek pokręcił głową.

- Pomyślcie sami - patrzył, szukając zrozumienia w ich twarzach.
- Człowiek jeździ po Warszawie diabelnie niebezpiecznej, dobrze prowadzi samochód, nie ma problemu. Udaje się na spokojne wakacje, na prostej drodze, na podwórku taranuje go samochód bez kierowcy. Koszmar. Strach wyjść z domu.

Jasne oczy Janka błysnęły z zadowolenia.

- Jednak w końcu nie staranował dzięki wybitnym umiejętnościom kierowcy, z których też zdano mi sprawę. Stąd pochodzi morał, że wszystko w życiu należy robić na szóstkę, albo nic nie robić. Dobrze zrozumiałem?

Krzyś skinął głową z miną, jakby przełykał truciznę.

- Swoją drogą, to anioł, nie człowiek - ciągnął rzeźbiarz. - Ja bym chyba jednak zabił takiego klienta od latającego łązika.

Marta zbierała się do wyjścia.

- A ty oczywiście zawsze zostawiasz samochód na biegu? - spytała zgryźliwie.

- Zostawiam. Od czasu, gdy widziałem, jak młody biznesmen w czarnym płaszczu gonił swoje audi po chodniku, po jezdni, po wszystkim.

- Dogonił? - Przeszła pod jego ramieniem, uśmiechając się i machając Krzysiowi na pożegnanie.

- Dogonił. Już prawie w szybie wystawowej. Zaraz potem zasłabł i odwieźli go. Młody chłopak, a nie wytrzymał stresu. Ja nie chcę być następny.

- Ty byś się nie przejął. Chce jechać w szybę, niech jedzie, prawda? A w ogóle - zmierzyła go niezadowolonym spojrzeniem - skąd u ciebie, u licha, ten dobry humor? Wracasz umorusany z bagien, w których medytowałeś, jak kaczka w błocie, wszystko ci się podoba, możesz to wytłumaczyć?

- Oczywiście. Prosty wniosek, że spędziłem przedpołudnie właściwiej niż ty. Samotność mi lepiej posłużyła niż spacer z niejakim Drzygłodem, bo o tym też wiem, a potem oglądanie na żywo filmu akcji z tym panem w roli głównej.

Marta już otwierała drzwi do swojego pokoju.

- Spacer z niejakim Drzygłodem odbył się przypadkowo i z konieczności - rzuciła przez ramię. - Poszłam poszukać samotności nie na wilgotnym, paskudnym błocie, tylko na suchym, zabytkowym cmentarzu i okazało się, że ten człowiek już tam był. Co miałam

robić? Uciekać do lasu czy może go zacząć straszyć, udając czarną wdowę w środku dnia?

- Jak się przyczeseasz, to już taka straszna nie będziesz. - Musnął delikatnie jej ciemne włosy.

- A jeśli chodzi o wspomniany film akcji, to tylko Patrycja się nie bała, bo jest niezwykła. Wypadają z ciebie jakieś trawy, krzaki i zioła i lecą na mnie - zawołała. - Czy jesteś chochołem z przedstawienia?

- To jeszcze nie ze mnie - uspokoił ją. - Ze swetra. Ale jesteś zła! I dlatego pewnie nie pomyślałaś o tym, o co cię prosiłem. Kiedy naprawdę przestraszył się Krzysio?

- I nie pomyślę, bo wszystko jasne. Przestraszył się nóg Patrycji. Istoty nieskazitelne nie powinny ich w ogóle posiadać. Właśnie przed chwilą dowiedziałam się, jak mu zawróciła w głowie. To znaczy, jej walory wewnętrzne, nie zewnętrzne, gdybyś miał jakieś wątpliwości.

- Nie mam wątpliwości.

Reising wyprostował się i kładąc ręce na jej ramiona, spojrzał prosto w oczy. Białe okno oświetlało jego opaloną twarz kontrastującą z jasnym kolorem włosów.

- Nogi Patrycji nie są wystarczające, żeby przestraszyć kogoś nawet tak infantylnego jak Nowakowski. Musisz sobie przypomnieć dokładnie kolejność zdarzeń. Schowaj problem do podświadomości. Może rano obudzisz się z gotową odpowiedzią.

- Może. - Tak bardzo w tej chwili chciała wyrzucić wszystko, co miała w świadomości. To nic trudnego powiedzieć komuś stojącemu przed nią - silnemu i spokojnemu - całą historię. Zapytać, co robić.

Nabrała tchu, zacisnęła dłonie i poczuła pustkę w głowie. Nie, nic z tego nie będzie, to nie ma sensu. Sama musi dać sobie radę ze swoimi sprawami.

- Wybiegłaś tak szybko, myślałem, że podręczymy jeszcze Antoniowa. Sam nie daję rady, bo mnie przegania.

- Szło ci całkiem nieźle ze zdjęciami. - Miała nadzieję, że jej głos brzmi normalnie. - Przynajmniej do tej fotografii przy pomniku.

- Tak, na niej się zacięło.

- O co chodzi z autorem, jego też zamordowali?

- Nie, tutaj niektórzy umierają sami. Całkiem samodzielnie utopił się jakiś tydzień po odsłonięciu dzieła na Pierwszego Maja. Oficjalna wersja mówi o nieszczęśliwym wypadku i nadużyciu alkoholu, ale wszyscy wiedzą, że po prostu nie mógł znieść tego knota, który

postawił. Nie było to pierwsze jego dzieło „ku czci”, ale najgorsze i jak się okazało, dobijające. Stać go było na coś lepszego, ale zaplątał się w taką twórczość i już nie umiał z niej wyjść. Picie nie pomagało, więc rozwiązał problem radykalnie. Szkoda go, widziałaś, jaką miał sympatyczną twarz?

- Gdzie go miałam widzieć? - zdumiała się.

- Na zdjęciu obok małżonka Antoniowej. Wysoki, z długimi włosami.

- Coś takiego... - zaczęła, ale przerwało jej pukanie do drzwi.

Nina Boguszewicz była niezawodna.

- Mili państwo, chodźmy na dół, to nie pora, żeby chować się po pokojach. Jedyna nasza szansa to trzymać się razem. Obiad się spóźni, ale włączymy telewizor, nie musimy rozmawiać, grunt, żeby było bezpiecznie.

- Ma pani świętą rację - potwierdził rzeźbiarz. - Proszę tylko o jednoosobową przepustkę. Pogoda się poprawiła, a czuję, że utyję, jeśli nie ruszę się z miejsca.

- Panie Janku, był pan na spacerze, a przytycie panu nie grozi przy takiej budowie.

- Jest pani czarująca. - Pochylił się do jej dłoni, jednocześnie pociągając Martę tak skutecznie, że nie zauważyła, jak znalazła się razem z nim na korytarzu, zostawiając Ninę na chwilę samą.

- Wiesz, skąd mój dobry humor? - szepnął. - Ze zwycięstwa nad rzeczywistością. Zapomniałem ci powiedzieć, że wszystko mi się zgadza, zwłaszcza po waszej katastrofie.

- Aha, emocje. - Pokiwała głową ze zrozumieniem.

- Emocje. Zgadzą mi się lepiej niż tobie kiedykolwiek wykresy i wzorki. Cześć!

Zbiegł po schodach. Marta chciała poczekać, aż Nina sobie pójdzie, ale nie zanosilo się na to.

- Szczęście dla pani, pani Marto, że pani ma tego młodego człowieka. Dzięki niemu jakoś pani wytrzymuje, bo atmosfera zrobiła się nieznośna. Do nikogo nawet nie chce się człowiekowi odezwać. - Marta myślała, że się przesłyszała. - Wolscy zapatrzeni w siebie, Trzeciak ma się lepiej, ale jakiś dziwny. Godziszewska już o niczym nie myśli, tylko o Patrycji i jej rysującej się karierze małżeńskiej. Chyba wręcz chorobliwe się to u niej zrobiło. Ale trzeba przyznać, że szanowny pan redaktor też nie jest w porządku. Wypadałoby sobie

znaleźć żonę bliższą wiekiem i zainteresowaniami. Przecież ona mogłaby być jego córką. O czym oni będą rozmawiać?

- Chwileczkę, czy może coś przegapiłam? Czyżby młoda para była już, że tak się wyrażę, po słowie? - spytała Marta.

- No, nie, skądże. Widziała pani jednak, co się dzieje.

- Właściwie nie za bardzo.

- Nie zwraca pani uwagi, bo go pani nie lubi, ale proszę obserwować rozwój sytuacji. Swoją drogą - pokręciła krótko ostrzyżoną głową - ja się tej Godziszewskiej dziwię, naprawdę dziwię.

- Ma pani absolutną rację. - Marta podniosła się. - Przepraszam, o czymś sobie przypomniałam.

Wiedziała, że nie jest zbyt grzeczna, ale trudno, musi się pozbyć jej towarzystwa. W ogóle na żadne nie ma ochoty.

- Pani Marto! - Nina Boguszewicz schwyciła ją za ramię. - Nawet pani sobie nie wyobraża, jak ja się dziwię Godziszewskiej. Jak bardzo. - I co było do niej niepodobne, zniknęła w korytarzu.

Marta nie chciała ani przez chwilę myśleć o tych nonsensach. Może pójść na cmentarz jeszcze raz? Teraz już chyba nikogo nie spotka. Pogoda się poprawia, wiatr trochę słabnie. Co ją tu trzyma? Nie potrzebuje pozwolenia, żeby wyjść, a tak naprawdę to nikt nie zauważy, kiedy zniknie. Ciekawe, dom jest tak urządzony, że można przy wszystkich robić, co się podoba. Na przykład, gdyby ktoś tu jeszcze był, mogłaby go szybko udusić, wywlec na korytarz i szybko się ulotnić. Jeszcze nie wie jak, ale planując morderstwo, bez trudu wymyśliłaby drogę ewakuacyjną.

Na razie zeszła na werandę. Błade promienie słońca nieśmiało przedzierały się przez chmury, oświetlając i głaszcząc ciepłem szybę. Marta zmrużyła oczy niczym kot, czując, jak wycofują się przygnębiające myśli. Ich miejsce zajęło niepokojące przekonanie, że nie jest sama. Niemożliwe, ma urojenia i histerię. Po co ktoś miałby się tu zakradać po cichu?

Odwróciła się gwałtownie i prawie zamarła z zaskoczenia. Oparty o ścianę z rękami w kieszeniach, błędzący wzrokiem za oknem Drzygłód znalazł się tutaj najpewniej dzięki teleportacji. Nie przejawiał specjalnego zainteresowania jej osobą. Obserwował sobie po prostu widok za szybą, snując pewnie prognozy pogody na popołudnie.

Teraz wyjął rękę z kieszeni.

- Znowu panią przestraszyłem. Chyba taki mam dzisiaj zwyczaj. Przepraszam, powinienem był się odezwać.

Głos jego brzmiał tak beznamiętnie, że Marta natychmiast przyszyła do siebie. Postarała się nawet o uśmiech.

- Nie jest pan taki straszny. Zamyśliłam się. Podszedł do okna. Stali teraz obok siebie w milczeniu.

- Przerwałem pani rozważania. Czy nadal przeszkadzam?

Powinna coś powiedzieć. Najlepiej nawiązać do przygody z łązikiem. Zadać choćby najbanalniejsze pytanie. Niestety, jak zaczarowana nie może wydobyć ani słowa. Powinna się cieszyć, bo może to jej całkiem nowa cecha charakteru. Zawsze brakowało jej umiejętności milczenia.

Musiała przyznać, że ten człowiek odbiera chęć do mówienia. Gdzież się podziała zapowiadana aura pogody ducha i poczucia humoru?

- Zapraszam na obiad. - Pojawiła się Oleńka i wykonała ostentacyjny ukłon. - Tym bardziej, że drugie danie przyrządziłam ja sama. Smacznego.

Oczywiście, spóźniony obiad. Znowu zobaczy ponure miny odbierające jej apetyt. I bez nich miała zepsuty nastrój.

Z bliżej nieokreślonym poczuciem niespełnionego obowiązku mieszała łyżką w talerzu z rosółem. Reisinga jeszcze nie było, widocznie potraktował swoją przepustkę bardzo serio. Szkoda, powiedziałaby coś w tej ciszy.

Wyręczyła go Nina.

- Czy pan, panie redaktorze, zna powieść Krzyk lustra! Nie pamiętam autora.

- Krzyk lustra! Nie słyszałem. To coś nowego? Przez chwilę patrzyli na siebie - Drzygłód skupiony, jakby mu bardzo zależało na udzieleniu odpowiedzi, Nina Boguszewicz natomiast z ogromnym napięciem, a po chwili w jej okrągłych oczach odmalowało się po prostu przerażenie.

- Krzyk lustra - powtórzył jeszcze raz, ale Marcie wydawało się, że zabrzmiało to jakoś inaczej niż poprzednio.

Ozdobiona bursztynowymi pierścieniami dłoń Niny nerwowo zmięła brzeg obrusa.

- No wie pani - Krzyś skrzywił się zabawnie. - Znowu lustro? Czy w tej książce jest coś o lustrze prawdy takim jak nasze?

Kobieta wstrząsnęła się.

- To nie jest ważne - głos jej urwał się i sięgnęła po szklanę.

- A jak się pan czuje po ataku? - zagadnęła Godziszewska Trzeciaka. - Czy pieczeń panu nie zaszkodzi?

Ten westchnął i z męczeńską miną zabrał się do walki z wrogim daniem.

- Myślę, że to kwestia nieodpowiedniego trybu życia - stwierdziła dama. - Większość wrzodów żołądka bierze się ze stresów.

- Trzeba przyznać, że nie ma pan kojących wakacji - dodała Wolska.

- W ciągu roku należy tak żyć, żeby nie musieć liczyć na dwa tygodnie regeneracji, bo mogą się nie udać - poprawił jej mąż.

- W dzisiejszych czasach! - jęknął Krzyś.

- Wszystko jedno, jakie czasy. Każdy odpowiada za siebie.

- Jasne, że tak. - Janek Reising wkroczył do jadalni promieniejący zadowoleniem, pachnący wiatrem i żywicą. - Jak się pan czuje?

- Dziękuję, lepiej. Winne były nerwy.

- Gdyby pan wędrował w moim towarzystwie, wyleczyłyby się.

- A gdzie pan chodził, panie Janku? - spytała Wolska.

- Teraz akurat oglądałem sobie jezioro. Oczywiście z samego brzegu.

- Dobrze, że pan nie wpadł.

- Skądże. Wpadam tylko do bagien.

Pieczeń była nawet niezła. Marta jednak podziękowała i wyszła. Tak jest najprościej i najrozsądniej. Żeby tylko dalej od nich, na świeże powietrze. Na ganku poczuła się już wolna. Jednak nie, bo ktoś za nią stał. Antoniowa.

Nawet nie zorientowała się, kiedy znalazła się wraz z nią w kuchni.

- Proszę pani. - Usta kobiety były zaciśnięte w wąską linię, czarne oczy błyszczały jak w gorączce. - Musi pani to wiedzieć. Proszę mnie posłuchać.

Marta wciśnięta między kredens a jakąś skrzynię czuła, że wprawdzie nie będzie w stanie przejąć się rewelacją, ale zważywszy na beznadziejność sytuacji, uprzejmie uda zainteresowanie.

- Czy pani wie, gdzie ten Reising chodził?

- Nie pytałam. Jest dorosły.

- Ciekawe, co by pani odpowiedział. - Głos kobiety zduszała niepokojąca zawziętość. - A ja wiem, bo poszłam za nim - stwierdziła z dumą. - Był na cmentarzu.

Marta wzruszyła ramionami.

- Ja też byłam na cmentarzu. I pan Drzygłód. - W tym momencie w twarzy Antoniowej odbiło się zmieszanie, a może lęk. - Każdemu wolno.

- Wolno. Nawet położył kwiaty. I kartkę też, czemu nie. Tak, wiem, że pani nie rozumie. Położył wrzosa na grobowcu Rhodlina, dla towarzystwa u tego Witoskiego obok, a u Rhodlina kartkę... - urwała zaskoczona zmianą u Marty - jej zielonkawe oczy zwęziły się, policzki pociemniały, jakby pod smagłą cerą pokryły się rumieńcem.

- Wrzosa na grobie tego Witoskiego, jak pani była łaskawa określić - powiedziała z naciskiem - już leżały. O innych roślinach i kartkach nie wiem. Ale i pani najwyraźniej wie niewiele.

- Co wiem, to wiem. - Antoniowa nie dała się zbić z tropu. - Poszłam za nim, ale on leciał jak jakiś sportowiec. Tak, że jak podeszłam pod ogrodzenie, a musiałam się starać być cicho, to już kartkę położył i całą miał wiązkę wrzosów dla Rhodlina.

- Widziała pani, że kładł?

- Widziałam. I słyszałam: „Bitte sehr, Herr Rhodlin, vielleicht Sie werden wundern, aber ich habe die Ordnung gern (Bitte sehr... (niem.) - „Bardzo proszę, panie Rhodlin, może pan się zdziwi, ale ja też lubię porządek".) - wyrecytowała płynnie jak na lekcji.

Marta poczuła się, jakby ktoś pokazał jej wynik eksperymentów obalający teorię opartą na wiedzy i logice, a jednak teraz fałszywą. Czy jej się to śni, czy raczej ta kobieta jest szalona. A może zwyczajnie kłamie?

- Bardzo ładnie się wyraził - stwierdziła już dość opanowana. - Wspomniała pani o kartce. Też napisał?

- Kartka jest. Znalazłam ją, jak sobie poszedł. Ześlizgnęła się z płyty. Musiałam jeszcze posiedzieć trochę w rowie, bo zaczął obchodzić cmentarz dokoła. Spacerów mu się zachciało. Ale mnie nie zobaczył - zakończyła z satysfakcją.

- Wzięła pani kartkę z nagrobka? Przywłaszczyła pani sobie korespondencję świętej pamięci Rhodlina? To niemoralne.

Antioniowa uśmiechnęła się ironicznie.

- To nie do nieboszczyka. Proszę.

Z kieszeni fartucha wyjęła zmięty kawałek oddartego papieru do pakowania. Wyraźnie jednak widać było trochę nieudolny rysunek frontu starej tawerny z charakterystycznym szyldem z rybą. Z boku podkreślony zamaszty zapis „18.00”.

Marta nie odezwała się przytłoczona nawalem myśli. Antoniowa wyręczyła ją:

- Wszyscy wiedzą, moja kochana, że ci od węgorzy, jak się spotykali tutaj, to właśnie na cmentarzu zostawiali dla siebie znaki. Grób Rhodlina mieli upatrzony. Nie, żeby miał z nimi coś wspólnego, ale jest duży i widoczny. Nikt tam kwiatów ani lampek nie zostawiał. Jak u Rhodlina coś leżało, zaraz wiadomo było, o co chodzi. Teraz długo pusto miał, bo ich drudzy rozpędzili. Wyglądało, że się już nie zbiorą, ale nie, zaczęło się.

- Dlaczego pani mi to pokazuje?

- Jak będzie trzeba, to dam i policji, ale na razie lepiej za dużo się nie mieszać. Nikt tego nie zobaczy, tylko pani, chciałabym, żeby pani wiedziała. Żeby się z daleka od tego człowieka trzymać. Po co on pani?

Przy tym pytaniu spojrzała na Martę z dziwną u niej serdecznością. Ta jednak nie miała ochoty odpowiadać.

- Czy pani widziała, że on to kładł? - spytała może trochę zbyt szorstko.

Antoniowa pokiwała głową z politowaniem.

- Wrzosa, widziałam, położył, a kartek duchy nie piszą. Niech mu pani tylko nic nie mówi - przestraszyła się nagle. - Na Boga, niech pani uważa. Proszę mi obiecać.

Marta westchnęła ciężko.

- Obiecuję, że będę uważać.

- Nie wierzy mi pani ani trochę.

- Oczywiście, że wierzę. - Z trudem opanowała chęć wzruszenia ramionami.

W tej chwili kobieta położyła palec na ustach, w kuchni słychać było czyjeś kroki.

- Za chwilę przypali się pani coś w tym garnku i dopiero będzie katastrofa. - Janek Reising czuł się jak u siebie. - Widzę, że dokarmia pani Martę - objął ją lekko, ale zdecydowanie i wyciągnął z kąta. - Ubierz się, wszyscy idziemy na spacer.

- Nie chce mi się, już byłam.

- Pewnie, przechadzka w takim towarzystwie liczy się podwójnie. Mimo to chodź, bo już wszyscy się zbierają.

Jego pogodna twarz i śmiejące się niebieskie oczy zaczęły ją irytować.

- Czy ja nie mam prawa do odrobiny prywatności na wakacjach?

- Na tych nie masz. Chyba że ze mną. Ale teraz idziemy na zbiórkę. - Już podawał jej kurtkę, gdy prawie wpadł na nich Wolski, po raz pierwszy kompletnie wyprowadzony z równowagi.

Był blady, usta miał zacięte.

- Coś niesłychanego. Żeby człowiek był narażony na podobne historie!

- Jakie historie? - spytała niechętnie.

- Jakie? Proszę sobie wyobrazić, ta osoba zwana Oleńką - skrzywił się pogardliwie - nie daje mi spokoju.

- Co robi?

- Łazi za mną i wygłasza teksty, które może mają być mądre, może dowcipne, ale są bez sensu. Podobno ja czegoś nie wiem, a ona owszem. Tyle wynika z jej bredzenia. Ale ja nie jestem ciekaw. Mam urlop i nie muszę znosić obecności kogoś, kogo mam dość od pierwszej chwili. Co z tym zrobić? - zakończył bezradnie.

- Hm - Reising podrapał się po czuprynie - w wypadku, gdy chodzi o żonę, metoda jest prosta. Trzeba się rozwieść. Natomiast gdy mówimy o obiekcie innego typu, szybkiej rady może nie być. Musi pan cierpliwie znosić swój los, pocieszając się, że obiekt jest całkiem nieźle zbudowany.

- Może jej pan po prostu zalecić być cicho - doradziła Marta, sama nie wierząc w skuteczność sposobu. Skupiła się na zaciąganiu suwaka kurtki, widząc, że ruch jej ręki jest dokładnie rejestrowany przez Drzygłoda. Rzecz jasna, w celu upewnienia się, czy wykonuje wszystko tak jak trzeba.

Na szczęście Janek już otwierał jej drzwi. Za nimi wybiegła Patrycja z Krzysiem chwalącym się koszykiem na grzyby od Antoniowej.

- Pan nie jest zainteresowany maślaczkami, panie Janku? - zawołała Nina Boguszewicz.

- Nie specjalizuję się w małych formach - odpowiedział automatycznie, ogarniając wzrokiem całość gromadki, jakby ją chciał na zawsze zapamiętać.

Rozdział 13

Wreszcie wyruszyli. Na końcu Wolscy nie odzywający się i nie patrzący na siebie. Ratowała ich Godziszewska z zapalem rozprawiająca o marynatach. Przed nimi Trzeciak bawił Drzygłoda opowiadaniem o losie wrzodowca i listą potraw zabronionych i dozwolonych. Ten z głębokim zrozumieniem kiwał głową, nie odzywając się ani słowem.

- Musimy uważać - głos Niny Boguszewicz słycać było chyba w całej okolicy - żeby nie tracić się wzajemnie z oczu.

- Ma pani rację - włączyła się skwapliwie Godziszewska. - Zdarzyło się już wystarczająco dużo nieszczęść. Patrycja, kochanie, chodź tutaj.

- Słuszna uwaga - wtrącił się jeszcze skwaszony Wolski - bo chyba nie można uznać za przypadek ataku na samochód pana Drzygłoda i zamknięcia pokoju pana Janka. Do tego próba zac zadzenia nas wszystkich.

Drzygłód obrzucił go spojrzeniem, jakiego nikt nie chciałby na sobie poczuć.

- Ponieważ pan był łaskaw wymienić moje nazwisko, chciałbym przypomnieć, że wszystkie wspomniane incydenty zostały spowodowane po prostu przez czyjeś niedbalstwo i całkiem niepotrzebnie je demonizujemy.

Marta spojrziała na profil Reisinga trochę nieobecny, lecz dziwnie zacięty - przypominał jej ozdoby drewnianych góralskich kasetek.

- Słyszałeś? Jesteś niedbały - zagadnęła. Skinął głową.

- Tak, ja go chyba w końcu kiedyś zabiję - westchnął do siebie.

- Wczoraj, proszę państwa, ktoś podrzucił panu Jurkowi dowód rzeczowy, czyli śrubkę od zegara. Postąpił w sposób niesłychanie podły.

- Ojej - Nowakowski jakby się obudził. - Aż taka była ważna?

- Panie Krzysiu! - jęknęła Nina. - Chyba myśli pan cały czas o czym innym, ale proszę się skupić. Wskazówki zegara były ustawione na dziesiątą trzydzieści dwie, żebyśmy tę godzinę uważali za czas morderstwa. Ponieważ jest to stary, znany chwyt, więc morderca urwał śrubkę z tylnej klapy zegara, żeby wyglądało, że nie mógł go nastawić. Na szczęście Oleńka przypomniała sobie, że śrubka dopiero co była. Automatycznie pozamieniało się nasze alibi. Ci, którzy je

mieli na dziesiątą trzydzieści dwie, stali się najbardziej podejrzani, i przeciwnie: ci bez alibi na tę godzinę są w najlepszej sytuacji.

- Jasne - uśmiechnął się Krzyś. - Śrubki nie było nigdzie, trzymał ją morderca i zgrabnie podrzucił panu Trzeciakowi. Tylko dlaczego jemu?

Nina Boguszewicz wzniosła oczy ku czubkom sosen.

- To też zagadka do rozwiązania. Może mu akurat było poręcznie, a może ma do niego jakąś złość. Nie, niech się pan nie denerwuje, panie Jurku, to skończony epizod. Zresztą bardzo prymitywny.

- Bo to jest człowiek tego typu - odezwała się niegłośno, lecz stanowczo Beata Wolska. - Otrucie psa, ostentacyjna kradzież zdjęcia.

- I pióra - dodał Trzeciak. - Mówiliśmy panu, panie redaktorze, żeby uważać. I co? Mieliśmy rację. Nie widziałem tego wypadku, ale trzeciego ostrzeżenia może nie być.

Drzygłód zacisnął szczęki z tłumioną irytacją.

- Do wypadku nie doszło, zaś co do przyczyn, zna pan moje zdanie. Jeśli nikt z nas nie wykaże się znowu bezmyślnością czy tak zwanym roztargnieniem, nie grożą nam żadne przykre sytuacje.

Marta omal nie potknęła się o wystający korzeń.

- Słyszałeś? - spytała z satysfakcją.

- Tak. Sklasyfikował mnie jako idiotę i sklerotyka.

- No i co?

Reising wyciągnął ramię i szli teraz objęci jak para narzeczonych.

- Mówiłem ci, że jestem łagodny z natury - powiedział ze spokojem.

- Skoro pani przypomniała, że część z nas ma alibi, a część nie, to może rozdzielimy się na dwie grupy - zaproponował niewinnie Krzyś. - Bo na grzybki i tak nie ma sensu iść całą gromadą.

- No, coś podobnego - oburzyła się Godziszewska, ale natychmiast wydała zwycięski okrzyk i rzuciła się w kierunku błyszczącego igliwia.

- Chodźmy jeszcze dalej - popędzała Nina. - Tam prawie nic nie ma, a kierując się na bagna, możemy mieć pełne koszyki.

- No i dobrze mówiłem, zrobiły się dwie grupki. Trzeba tylko sprawdzić, czy podział ze względu na alibi jest zachowany.

- Pana żarty przestały być śmieszne - zganiła go Nina Boguszewicz i szybko dołączyła do Marty i Reisinga pozostających z tyłu.

- Kochani, chciałam tylko coś powiedzieć. Niezależnie od wszystkiego uważajcie na szanownego pana Drzygłoda. Nie mogę teraz dokładnie wyjaśnić całej sprawy, ale stało się coś, co nie budzi wątpliwości - zawiesiła głos dramatycznie.

- O, czyżby ukradkiem podjadał w kuchni? - zaciekał się Reising.

- Panu chce się żartować, ale nie daj Bóg, przypomnicie sobie, co mówiłam. - Obrażona odwróciła się.

Oboje odetchnęli z ulgą.

- Będziesz zbierać? - spytał. Potrząsnęła głową.

- Masz lepszy pomysł?

- Stara tawerna o tej porze może być lepsza niż jakieś tam grzybki.

- Chcesz tam iść?

- Wolisz maślaki?

- Skądże.

- To w drogę.

Spojrzała na zegarek. Było po piątej. Wzdrygnęła się. Nie, przede wszystkim zachować spokój i nie tracić zdrowego rozsądku. Zwłaszcza przez gadanie Antoniowej.

Przyciągnął ją ramieniem trochę silniej.

- Nie zimno ci?

- Nie. Na co ci ta tawerna?

- Może być ładnie. Lubię takie opuszczone miejsca.

- Dlatego chodziłeś na cmentarz?

- Między innymi. A tobie jak się udał spacer w dobrym towarzystwie?

Podniosła głowę. Na zamyślonej twarzy Janka nie było jednak widać ironii. Wzruszyła ramionami.

- Zdarzały mi się w życiu lepsze. Wiało potwornie i nagle okazało się, że ten dobry człowiek zwyczajnie straszy na cmentarzu. Poza tym łatwo udowodnić, że twój Przemek bredzi. Poczucie humoru, pogoda, tolerancja! Prędzej jego volkswagen wykaże się takimi cechami niż on.

- Widzę, że udało ci się naprawdę dobrze go poznać.

- Żartujesz sobie, a to jest chodząca okropność.
- Zgadzam się, okropność - stwierdził z przekonaniem.
- Nawiasem mówiąc, ciekawa jestem, jak wyglądało wasze pierwsze spotkanie przy przestawianiu samochodu.

- W szopie? Niespecjalnie. Przedstawiłem mu się i zamierzałem coś powiedzieć o tym, że znamy się ze słyszenia, ale odechciało mi się w pół słowa. Podał mi rękę z nadętą miną i lodowato polecił przestawić wóz. Wykonałem i postanowiłem na razie się nie odzywać.

- Ale nie na długo.

- Niestety. I naprawdę żałuję tych szczeniackich wygłupów z gwizdaniem i Old Spice'em.

Skrećali już na drogę do tawerny. Przez dłuższy czas szli szybkim krokiem w milczeniu. Czy to jest wspólne milczenie? Co zamierza ten jasnowłosy człowiek, którego bezpodstawnie uważa za przyjaciela? Nie wie o nim nic prócz tego, co sam powiedział. Czyli mniej niż nic.

Dochodzili do polanki.

- Dlaczego właśnie tutaj? - spytała rzeczowo.

- Myślałem, że lubisz to miejsce - uśmiechnął się. Zbliżała się szóstka.

- Dlaczego o tej porze? - dodała z ostentacyjną obojętnością.

- Tak wyszło - odrzekł. - Wywlekli nas do lasu i poszliśmy swoją drogą.

Zaczął ją irytować, że bardziej niż odpowiadaniem na pytania interesuje się jej profilem na tle ciemniejącego jeziora.

- Może mi łaskawie wytłumaczysz, co ty wyprawiasz. - Uosobienie niewinności, jakie miała przed sobą, wyprowadzało ją z równowagi. - Umawiasz się na cmentarzu nie wiadomo z kim. Tylko nie wiem, po co ci moje towarzystwo.

Jeszcze się uśmiechał, lecz patrzył na nią uważnie, starając się zrozumieć sens tego, co słyszy.

- Byłem na cmentarzu, ale z nikim się nie umawiałem. O czym ty mówisz?

- O kartce z narysowaną tawerną i godziną osiemnastą.

- Gdzie była ta kartka?

- Gdzie? Na grobie niejakiego Rhodlina. Dołożyłeś wspaniałomyślnie do bukietu. Nie pamiętasz?

Z rozmachem uderzył się w pierś.

- Nie pamiętam. Bukiet położyłem jak trzeba, ale nic więcej. Nie mam amnezji, nie zarobiłem w łeb po drodze.

Wyglądało, że raczej nie kłamie. Patrzył jej prosto w oczy.

- Czułem, że ktoś się tam czai, i w końcu dojrzałem Antoniowa za jałowcem w rowie. Musiałem jednak udawać, że jej nie widzę, boby dostała zawału. Specjalnie za mną poszła?

- Mówi, że tak.

- I widziała, że kładłem albo pisałem jakąś kartkę?

- Tego dokładnie nie widziała.

- Całe szczęście, że nie jest bezczelna.

- Ale zaraz po twoim odejściu kartka leżała.

- Ciekawe. Co na niej było? Widziałaś ją?

- Oczywiście, że widziałam. Na papierze pakowym narysowany był front tej rudery, oznaczona falką woda i dokładnie ten resztkowy szyld. Obok godzina osiemnasta.

Rozłożył ręce.

- To znaczy, że przyszliśmy tu na spotkanie. Wiadomo dokładnie z kim?

- Antoniowa twierdzi, że grób Rhodlina tradycyjnie służy do korespondencji między tymi od węgorki. Kwiaty, lampki to też tylko ich znaki. Dlaczego się nim zajmiesz?

- Jak to dlaczego? - zamilkł na chwilę. - Słuchaj, pogadamy o tym w domu. Teraz musisz szybko wracać. Jeśli to rzeczywiście oni, nie możesz tu zostać.

- To wróć ze mną.

- Marta! - jęknął. - Przecież muszę ich zobaczyć, jeżeli są prawdziwi.

- A widzisz! - Stanowczym krokiem podeszła do drewnianych schodów amfiteatralnie obniżających się ku brzegowi. Symbolicznie zmiotła piasek i uroczyście zajęła miejsce widza. - Nie ruszę się stąd. Jestem dorosła.

- Akurat dorosła. Tylko w teorii. - Z ciężkim westchnieniem usiadł obok niej. - Cała nadzieja, że to może wszystko lipa. Obiecuj chociaż, że będziesz mnie słuchać.

- Właśnie zamierzam posłuchać. Tego, co masz do powiedzenia. Co z tym Rhodlinem? To twój znajomy?

- Mój? - zdziwił się szczerze. - Przecież twój.

- Oszalałeś? - Ponieważ nie odpowiadał, chwyciła go za ramię i z całej siły potrząsnęła. - Chory jesteś? Dlaczego mój?

- Bo po pierwsze - spokojnie wyciągnął przed siebie palce do wylizania - masz kogoś na tym cmentarzu i w tym miejscu. Widać było gołym okiem, jak się zdenerwowałaś na naszej zbiorowej wycieczce. O mało nie zemdliałaś. Po drugie, nazwiska prawie się zgadzają, po trzecie, poszłaś tam dzisiaj położyć kwiaty.

Marcie oczy otwały się szeroko ze zdziwienia.

- I co? Położyłam?! - krzyknęła, nie panując nad sobą. - Położyłam cokolwiek u Rhodlina? Widziałeś? Odpowiadaj!

Ze strachu złapał się za głowę.

- Nie widziałem, ale...

- Ale wiesz na pewno! Wytwór twojej chorej wyobraźni uznajesz za realność. Bo ci nazwisko akurat trochę pasowało! - Zacisnęła dłoń, żeby go nie uderzyć. - Powinieneś się leczyć.

- No dobrze, ale jeden wrzos leżał na płycie u Rhodlina, reszta obok. Domyśliłem się, że to od ciebie, bo łodygi były nie ucięte, tylko poukręcane. Tylko kobieta i to zawzięta mogła tak zrobić. Mówiłaś, że Drzygłód cię zaskoczył, więc zrozumiałem, że nie chciałaś się przed nim zdradzić i położyłaś kwiaty na sąsiedni grób. Jak już tam byłem, to uciałem następną wiązkę i położyłem Rhodlinowi, bo mu się należała. Dla porządku. Naprawdę nie mam racji?

Przez chwilę z oburzenia nie mogła wydobyć z siebie słowa.

- Czy nie masz racji? Jak możesz mieć, przeprowadzając takie patologiczne, pokrętne rozumowanie niemające nic wspólnego w ogóle z niczym! Czegóż ja bym się miała, u licha, wstydzić przed Drzygłodem? - Nie zauważyła, kiedy znów podniosła głos. - Co złego jest w położeniu kwiatów? Chyba że to dawanie sygnału bandytom, co tobie się doskonale udało. Czy nie możesz przyjmować rzeczy takimi, jakie są, tylko akurat na odwrót? Na tym polega twoja artystyczność? Może byś wobec tego chodził na rękach i stał na głowie.

Reising tak się zmieszał, że zaczął coś rysować na piasku.

- Myślałem, że po prostu...

- Więc nie myśl. Nie zajmuj się myśleniem, bo ci nie jest przeznaczone. Ogranicz się do młotkowania, skoro ci dobrze wychodzi. Czy wyrażam się jasno?

Nieoczekiwanie, jakby zebrawszy się na odwagę, objął ją i pocałował w policzek.

- Przepraszam. Narozrabiałem i sprowadziłem kłopoty. Tamten jeden wrzos upadł ci przez przypadek i nie miał znaczenia, a moja wiązka po kartce mogła być wzięta za jakąś odpowiedź. Masz rację, nie będę więcej myśleć. Swoją drogą, pierwszy raz usłyszałem, że jestem patologicznie pokrętny. Wyrafinowany, zaskakujący - owszem, zdarzało się.

- A czy zdarzyło ci się zrobić coś normalnie, jak człowiek? Przyjmij, jako informację, że interpretacja wszystkich przesłanek na odwrót nie dowodzi wcale inteligencji, tylko czegoś przeciwnego.

- Rozumiem - zgodził się zrezygnowany. - Wytlumaczysz mi wobec tego, dlaczego Witoski, czy jesteś zbyt zła?

W pierwszej chwili chciała powiedzieć, że to nie jego interes, a wrzosa wolno jej położyć gdziekolwiek, ale ku własnemu zaskoczeniu skinęła głową.

- Józef Witoski to młodszy brat mojej mamy. Nie wiem, gdzie jest jego grób. Prawdziwego Witoskiego, nie Witowskiego bez „w”, jak tutaj. Był mi bardzo bliski. Pewnie tak, jak powinien być ojciec. Miałam siedem lat, kiedy zginął, szłam do szkoły - wyrzuciła z siebie jednym tchem.

- Zginął? - podchwycił Janek. - W wypadku?

- Tak. W wojsku. Nie byłoby go tam, gdyby nie mój tak zwany ojciec.

- Możesz opowiedzieć wszystko? - spytał cicho. - Jeśli nie chcesz, to zapomnę.

Nerwowo przeczesła palcami włosy.

- Nie wiem, czy chcę, ale czuję, że muszę. - Potrząsnęła bezradnie głową. - Nawet nie chcę wiedzieć, kim był ten Witowski bez domu, bez nikogo, nawet mu literę w nazwisku zgubili i przez to nazywa się tak jak moja matka. Niesamowite, że zobaczyłam nazwisko, które na pewno bardziej szanuję niż moje własne.

- Czemu swojego nie zmieniłaś? Marta Witoska brzmi całkiem nieźle.

- Nie Witoska, tylko Witoski, jeśli mamy być dokładni.

- Wioski? Zaraz, zaraz, czy mi się dobrze wydaje?

O czym się mądrzyła pani Nina? Marta, ty jesteś - ucieszył się nagle - ty jesteś po prostu...

- Macedonką. W połowie. Mój ojciec był tak zwanym Poznaniakiem. Wysokim blondynem.

- Jak ja?

- Nie, całkiem innym.

- Z pewnością się różnimy. Ale nie co do gustu. Mówiło się o Grekach z Dolnego Śląska. Dobrze trafiłem?

- Bardzo dobrze.

- Lewicujący, chroniący się po wojnie przed prześladowaniami. Opłacało się zmieniać klimat? Bułgaria mogłaby być też dobra.

- Niekoniecznie. Ale masz rację, klimatu mama nigdy nie zaakceptowała. Ani kultury, ani niczego. Języka nauczyła się chyba wbrew sobie.

- Ale za mąż wyszła?

- Wyszła. Kiedy przyjechali, była bardzo młoda. Na obozie młodzieżowym w sąsiedniej wsi pojawił się wysoki blondyn. Zakochany w niej bez pamięci, poważny, budzący zaufanie. Księżę z bajki. Rodzice namawiali ją. Miała przepisowe szesnaście lat, gdy została panią Rodlińską i wyjechała do Poznania.

- Od razu było źle czy choć trochę dobrych chwil mieli?

- Chyba niewiele. Dziewczyna, prawie dziecko, słabo mówiąca po polsku, nie wspominając już o czytaniu i pisaniu, przeniesiona w obce środowisko mało entuzjastycznie nastawione do jej odmienności. Kontrola teściów, mąż robiący szybką karierę polityczną. Takie międzynarodowe małżeństwo było szalenie dobrze widziane i na początku zdecydowanie mu pomogło, ale potem szybko zaczęło ciążyć. Okazało się, że atrakcyjna energiczna działaczka mogłaby być lepszym wyborem. Oczywiście, nie będę oszukiwać, mama nie wysilała się, żeby się dostosować. Ale też żadne przejawy jej dobrej woli nie były doceniane przez nikogo. Dostała etykietkę tej innej. Na domiar złego dziadkowie umarli, jakby uznali, że nie są już potrzebni. Został jej tylko jeden bliski człowiek, młodszy brat. Automatycznie wróg numer jeden dla teściów i małżonka. Moje przyjście na świat nie poprawiło sytuacji, przeciwnie. Awantury o wszystko. Niektóre sama pamiętam, jak przez mgłę. Mama pokorna nie była, temperamentu jej nigdy nie brakowało. Z rozwodem zwlekano, bo to akurat nie było wtedy dobrze widziane. Ale nie miałam nawet trzech lat, kiedy rzecz się sfinalizowała. Żeby wszystko było w tak zwanym porządku, kupiono mojej mamie domek, a raczej chałupkę na skraju małego

miasteczka. Prawie na wsi. Ojciec ożenił się odpowiednio, robił karierę, jaką chciał. Przysyłał alimenty. Widziałam go potem kilka razy i wystarczyło. Reising pokręcił głową.

- No, nieźle was urządził. Z czego żyłyście?

- Na początku z ogródka. Mamie jarzyny udawały się jak nikomu. Potem za namową brata, wujka Józka, zaczęła wykorzystywać talent do robótek ręcznych. Serwetki sprzedawały się świetnie, zwłaszcza że były trochę inne. W ogóle igłą, szydełkiem potrafiła zrobić wszystko. Wreszcie brat zmobilizował ją do czytania książek w tutejszym języku. Nakłaniał do zaakceptowania otoczenia. Dzięki niemu zrozumiała, że musi próbować stać się trochę mniej inna. Wtedy był dla niej jedynym oparciem.

Mimo że młodszy, jako mężczyzna pełnił rolę głowy rodziny. Z nim czułyśmy się bezpieczne.

Od jeziora zawiął chłodniejszy wiatr. Reising objął Martę, którą wstrząsnął dreszcz.

- Chodźmy do tawerny, oni pewnie się nie zjawiają, opowiesz, co było dalej.

- Nie, tu mi dobrze. Dalej zapowiadało się trochę lepiej. Wujek naprawdę czuł się za nas odpowiedzialny. Zorientował się, że alimenty są rażąco małe, poszedł do adwokata. Miała być sprawa sądowa. Wtedy niespodziewanie wzięli go do wojska, choć miał mieć odroczenie służby. Mama żegnała go, jakby szedł na wojnę. Pewnie coś przeczuwała. Wkrótce przyszła wiadomość o nieszczęśliwym wypadku. Tydzień potem odwiedziła nas była teściowa. Nie kryła satysfakcji ani tego, że maczała palce w tym, co się stało. Położyła na stole plik banknotów i z uśmiechem powiedziała: „Bardzo ci współczuję, moja droga, że zostałeś sama. Nie wybierasz się przypadkiem za granicę? Gdzieś do cieplejszych krajów?” Pamiętam to jak dziś. Wręczyła mi takiego dużego, kolorowego lizaka.

- A ty co?

- Niewiele rozumiałam, ale wyczułam sprawę. Lizaka rzuciłam, a ją oplułam. Artystycznie. Ale nie zdążyła zareagować, bo mama jedną ręką wcisnęła jej pieniądze za dekolt, a drugą złapała za kok i użyła jako narzędzia do otwierania drzwi. Tak skutecznie, że dama rozpląszczyła się w kałuży. Jak żaba. Kiedy wstała, była cała czarna i poszła sobie.

- Piękna sprawa - westchnął Reising. - Myślałem, że tylko u nas tak się sprawy załatwia.

- Zapewniam cię, że w Macedonii też mieszkają górale. I to wyłącznie. Poza tym już nie było zabawnie. Mama ubrała się na czarno i płakała. Strasznie długo. Potem się ocknęła. Poszła do domu kultury, dali jej pracę. Uczyła robótek i ciekawych tańców. Potrafiła też coś zrobić w glinie. Nie miała matury, wszystko za małe pieniądze, ale zawsze coś. Najważniejsze było, że była między ludźmi. Lubili ją mimo nierównego charakteru. Może też dlatego, że nigdy nie odpowiedziała na żadne zaloty. Zajęła stanowisko, że wszyscy są beznadziejni i nieuczciwi.

- O rany - zmartwił się. - Mam nadzieję, że nie wbiła ci tego do głowy.

- Nie do końca. Ale myślę, że miała sporo racji.

- O, tak, to po tobie widać. Słuchaj, muszę koniecznie poznać twoją mamę. Nigdy za późno na zmianę poglądów. Czeka! - Chwycił ją za rękę. - Słyszysz?

W wieczornej ciszy przerywanej pojedynczymi podmuchami wiatru wyraźnie przebijał się plusk wody. Rytmiczny i coraz bliższy. Marta nie zdążyła nic powiedzieć, podniósł ją jak dziecko, zwyczajnie przeniósł i wstawił za barek w tawernie.

- Nie ruszaj się, nie odzywaj, cokolwiek się stanie - rzucił szybko.

Marta uznała, że ponieważ nic się nie dzieje, chwilowo może spełnić taką prośbę.

Reising bez pośpiechu zszedł na brzeg, po drodze podnosząc bardzo ładny, ale też i poręczny kawałek drewna.

Nie było wątpliwości, plusk wioseł zbliżał się coraz bardziej. Marta wspięła się na palce i wyteżyła wzrok. Z jej punktu obserwacyjnego wyraźnie rysował się kształt łodzi. Czy Janek to widzi? Stał spokojnie, czekając na gości.

Łódź zbliżyła się już na kilka metrów i teraz przestała być widoczna w gęstych zaroślach za sosnami. Nie podpływała.

Wiatr zawiął silniej. Marta odwróciła głowę przed atakującym oczy piaskiem. Usłyszała tylko głośny plusk, jakby coś wrzucono do wody. I za chwilę to samo jeszcze raz.

Może zadziałała jej wyobraźnia, bo korony sosen zaczęły szumieć i z pewnością jakiś konar, ofiara dzisiejszej wichury, wylądował w

jeziorze. W każdym razie nie będzie tu sterczała. W kilka sekund znalazła się na brzegu za plecami Janka.

- Co tu robisz? - zdenerwował się. - Gdzie miałaś być?

Nie przejęła się.

- Zobacz, odpływają.

Rzeczywiście, łódź oddalała się szybko. Wiosła chodziły energicznie, widać było sylwetki kilku osób.

- Czterech. Chyba nie z gołymi rękami. Jak mogłaś tu przyjść!

Marta zlekceważyła jego oburzenie.

- Po co oni przyплыnęli? Widziałeś ich? Czy coś wrzucali do wody? Słyszałeś ten plusk?

- W zasadzie słyszałem, ale to mogło być cokolwiek. Widziałem tylko kawałek łodzi w szuwarach. Czekałem, aż przybiją.

- I nie zrobili tego.

- Właśnie.

- Dlaczego?

- Może być trudno się dowiedzieć.

Chciała skomentować jego artystyczną filozofię, ale zelektryzował ją trzask łamanych gałęzi. Nie byli sami. Zza gęstych jałowców, pomiędzy świerków wyłaniała się jakaś sylwetka.

Reising automatycznym ruchem usunął Martę z pola widzenia i nie śpiesząc się, zrobił kilka kroków w kierunku lasu.

Nic dziwnego. Ta historia nie mogła tak po prostu skończyć się na niczym.

Po co on tam idzie? Ten ktoś z pewnością jest uzbrojony. Marta chyba dopiero teraz odczuła lęk. Za chwilę stanie się coś nieodwracalnego. Co ona może zrobić? Na pewno nie uciekać. Cokolwiek się dzieje, można się temu przeciwstawić. Nawet jeśli ma się tylko kilka sekund.

- Mam nadzieję, że to nie państwa znajomi. Odpłynęli tak szybko. - W głosie Drzygłoda brzmiał autentyczny żal.

Marta zamrugła oczami. Niemożliwe, na pewno ma przywidzenia.

Ale nie, ten człowiek był tu naprawdę. We własnej osobie. Nie pochylając się, ani oczywiście nie brudząc, pokonał resztki ogrodzenia.

- Rozumiem, że pan za mało miał ostatnio silnych wrażeń i szuka jeszcze lepszych - ton Reisinga był niebezpiecznie spokojny - bo to, co pan robi, to zwykle napraszanie się.

Z aż nadto wyraźnym zamiarem umieszczenia nieproszonego gościa w jeziorze podszedł do niego i Marta właśnie chciała krzyknąć, żeby przestał. Reising wprawnym ruchem chciał chwycić go za klapy kurtki. Okazało się jednak, że złapał powietrze. Drzygłód musiał niepostrzeżenie zrobić unik i stał grzecznie z przepaszającym wyrazem twarzy naprzeciw Reisinga przypominającego teraz złego psa, któremu nie wolno rozszarpać kogoś, na kogo ma dużą ochotę, i kto jako zdobycz słusznie mu się należy.

- Chciałbym powiedzieć, jak bardzo mi przykro, że powstała taka sytuacja, i to z mojej winy. Całkowicie mimo woli stałem się słuchaczem państwa rozmowy - ani trochę nie zwracał uwagi na bezsilną wściekłość Reisinga. - Daję słowo, że to, co usłyszałem - skłonił się w stronę Marty - pozostanie na zawsze moją tajemnicą.

Poczuła, że krew napływa jej do głowy.

- Tak? Naprawdę? Dziękuję bardzo. Nie wiedziałam, że mówiłam kompromitujące rzeczy. Jeśli o mnie chodzi, mogę każde słowo ogłosić w gazecie.

- Ależ oczywiście. - Nie przejawiał ani śladu zmieszania. - Nie ośmieliłem się mieć nic złego na myśli. Pozwolą teraz państwo, że zostawię ich samych. Jeszcze raz proszę o przyjęcie mego ubolewania powodu tego, co zaszło.

- Chwileczkę - wpadł mu w słowo Reising, który zdążył już przynajmniej częściowo przyjść do siebie - gdzie pan się właściwie wybiera? Kierunek chyba mamy wspólny.

Obejmując Martę, drugie ramię wyciągał do Drzygłoda, który zrobił krok w przeciwną stronę. Nie zraziło to jednak rzeźbiarza ani trochę.

- Nonsensem byłoby wracać do domu osobno. Dobrze mówię? - zwrócił się do Marty, która tylko skinęła głową. - Zdaję sobie sprawę, że mamy wobec pana dług wdzięczności. Z czterema bandytami można mieć kłopoty, zwłaszcza jeśli się jest z kobietą.

- Tak? - szarpnęła się. - To moja wina, że tu byli? Ja do nich napisałam czy może oni do mnie?

- Przecież nie napisałem, a że oni do kogoś owszem i ja akurat przylazłem, to wiem, wyszedłem na idiotę, ale mogłaś mnie chociaż trochę wtajemniczyć.

- Może mogłam, ale nie musiałam.

- Panu należą się podziękowania za spławienie ich. Proszę powiedzieć, jak to się stało.

Drzygłód nie ukrywał zakłopotania.

- Szczerze mówiąc, nie miałem w tym żadnego udziału. Po prostu byłem. Widocznie nie spodziewali się nikogo. Albo - usiłował się uśmiechnąć - wyglądałam tak groźnie, że ich przestraszyłem.

Reising nie skomentował tego przypuszczenia. Skręcili w leśną drogę. Zaczęło robić się chłodno.

- Wydawało nam się, że słyszeliśmy jakiś plusk. Wie pan coś o tym?

- Chyba też słyszałem. Ale skupiałem się na obserwowaniu łąbędzy, dla których tu przyszedłem. Żyją gdzieś przy brzegu, z którego nawiasem mówiąc, znalazłem wspaniały widok. Handlowe zainteresowanie. Właśnie zastanawiałem się nad ewentualnym ujęciem, gdy zdałem sobie sprawę, że słyszę państwa rozmowę. Postanowiłem nie pogarszać sytuacji i po prostu wszystko zapomnieć.

- Nie potrzebuje pan nic zapominać - powtórzyła Marta. - Przeciwnie, jeśli coś jest niejasne, chętnie wytłumaczę. Może do zrozumienia całości potrzebne są jeszcze jakieś fakty, nie ma problemu.

- Uspokój się, nie jesteś na sali wykładowej - wtrącił łagodnie Janek.

- Nie jestem. Wiesz, co by się z tobą stało, gdybym była?

- Wiem, jako twój student jestem skończony. Ale nie rozumiem, jak można tak od razu przekreślać człowieka.

- Człowieka? Jakiego człowieka? I jakie „od razu”? Pół dnia uporczywej działalności na szkodę otoczenia chyba wystarczy. I nie mówmy o człowieczeństwie. Jesteś przypadek szczególny. Artefakt.

- Mój Boże, przecież nie ja działałem na szkodę, tylko skutki tego, co mi się wydawało.

- Tego, czego byłeś pewien. Niech ci się lepiej już nic nie wydaje, dopóki ja jestem w odległości nie większej niż dziesięć kilometrów.

Reising wzniósł oczy ku nie rozumiejącemu niebu.

- Gdybym ja tak traktował moich studentów, dawno by mnie nikt nie słuchał.

- A u was w ogóle się coś mówi? Mnie, wyobraź sobie, jakoś słuchają. Może dlatego, że nikt, kogokolwiek w życiu spotkałam, nie był tak kompletnie pozbawiony samokrytycyzmu, jak ty. - W ogóle nie zwracała uwagi na obecność Drzygłoda z kamienną twarzą słuchającego ich wymiany zdań, jakby to była debata wyborcza w kraju, którego nazwa nic mu nie mówi.

- Pozbawiony samokrytycyzmu - zastanowił się Reising. - Na pewno gdzieś to już słyszałem.

- W tych recenzjach, w których pisali o subtelności? - spytała niewinnie.

- No, nie. - Podrapał się w głowę. - Już prędzej za którymś razem, jak się rozwodziłem.

- Może nawet za każdym z trzech razy, prawda? Reising z ciężkim westchnieniem zwrócił się do Drzygłoda.

- Czy pan słyszy, jak ta kobieta mnie traktuje? W każdej chwili panem też może zacząć pomiatać. Lepiej trzymajmy się razem. Łowi pan ryby?

Drzygłód zaprzeczył z pogardliwym skrzywieniem.

- To bardzo dobrze, bo ja też nie. - Podniósł szyszkę i trafił nią w pień świerka. - Ale na zbieranie prawdziwych grzybów w Gorcach, normalnie, bez mordowania, może dałby się pan namówić?

- Dziękuję za zaproszenie, ale jestem bardzo zajęty w Warszawie. - Po chwili milczenia zwrócił się do Marty: - Jeśli to nie będzie natrętne pytanie, w jaki sposób zainteresowała się pani fizyką?

- W ogóle się nie zainteresowałam. Po podstawówce chciałam za wszelką cenę wyrwać się z domu. Zerwać z atmosferą inności. Szkoły z internatem były trzy: prowadzona przez zakonnice, liceum pielęgniarstwa i technikum nukleonowe. W grę wchodziła tylko trzecia możliwość, a dalej wszystko poszło samo.

- Całe szczęście - stwierdził Reising. - Strach pomyśleć, jakie miałabyś możliwości w białym fartuchu ze strzykawką lub czymś gorszym w ręku.

Drzygłód uniósł brwi.

- Nie wiadomo, może naturalne instynkty opiekuńcze wzięłyby górę i byłaby pani wspaniałą pielęgniarką.

- Instynkty opiekuńcze - prychnęła Marta - wspaniałą pielęgniarką. Według pana kobieta to opiekunka i służąca, a najlepiej siostra miłosierdzia. Mam nadzieję, że nadaje się pan doskonale na przedmiot takiej działalności.

Nie odpowiedział. Wzdrygnął się tylko i zaciął usta.

- Oczywiście, że się nadaje - zawyrokował Reising. - I ja oczywiście też. - Odważnie przyglądał jej rozrzucone włosy. - Utrzymujesz jakiś kontakt z ojcem?

- Nie żyje od kilku lat - odpowiedziała szybko.

- Przedtem widziałam go kilka razy, gdy miał fantazję sprawdzić, czy dziecko go nie kompromituje. Wchodził i wychodził jak obcy człowiek. Nie nauczyłam się, że ma mi być przykro z tego powodu. Teraz... - urwała w pół słowa.

- Teraz coś się stało - powiedział cicho Reising - i to cię dręczy. Żadna siła nie zmusi cię do opowiedzenia tego, i również nie zabroni.

Marta wzięła głęboki oddech.

- Żadna sensacja. Do mojej mamy zgłosiła się była teściowa z pewną prośbą. - Janek skinął głową z pełną satysfakcją. - Mój przyrodni brat potrzebuje pomocy.

- Finansowej?

- Nie, moralnej, psychicznej, nie wiadomo jakiej. Znalazł się w szpitalu psychiatrycznym. Pomogły mu w tym nieudane decyzje finansowe, ale zdaje się, że i bez nich tam pasował - recytowała jak lekcję. - Wpadł w jakąś depresję i lekarze twierdzą, że tylko pojawienie się mnie, czyli tak zwanej siostry, może coś pomóc. Rzecz jasna, z matką nie ma żadnego uczuciowego kontaktu, a babci nie chce znać.

- Też coś - parsknął Reising. - Przecież depresję się leczy.

- Właśnie przyczyną choroby ma być samotność, brak oparcia, takie rzeczy. I ja w roli bliskiej osoby ze względu na więzy krwi. Pewnie też dlatego, że go jeszcze nie znam.

- W ogóle go nie znasz?

- Ani trochę. Ledwie wiedziałam, że mam coś młodszego, przyrodniego, ale nie pamiętałam, jakiej płci.

- Ciekawe, jak tamto towarzystwo miało śmiałość zwracać się do ciebie.

- Zauważył pan chyba - wtrącił się Drzygłód do tej pory tylko uważnie słuchający - że świat jest pełen osobników pozbawionych

wszelkiego wstydu i skrupułów. Niezależnie jednak od wszystkiego, jeśli można, miała pani prawo do spadku po ojcu. Czy było coś załatwiane w tej sprawie?

- Było. W tym sensie, że cokolwiek, co miało wartość, figurowało jako własność jego żony. Żeby uniknąć tego, o czym pan mówi.

Drzygłód kiwnął głową ze zrozumieniem.

- I co masz zamiar zrobić? - zapytał Reising.

- Nie mam pojęcia. W każdym wypadku będę niezadowolona. Obrzydzenie mnie bierze na myśl o spotkaniu z tym człowiekiem, niezależnie od tego, jak jest chory.

- Obrzydzenie do niego czy do swojej roli?

- Jedno i drugie, ale raczej do siebie.

- Uważasz, że powinnaś się zemścić?

- Nie mogę udawać, że nic się nie stało. To by było niesprawiedliwe, niemoralne. Gdyby nie oni, brat mamy żyłby do dzisiaj.

- Masz dwie możliwości. Powiedzieć, że cię sprawa nie interesuje, albo pojechać i robić łaskę.

- Jest jeszcze teoretycznie możliwość pojechać i powiedzieć wszystko, co się myśli - zauważył Drzygłód.

- A potem wspaniałomyślnie przebaczyć?

- To już zależy od pani.

Reising strząsnął wilgoć z rozłożystej gałęzi świerku, ozdabiając swoje włosy srebrnymi kropelkami.

- A jednak w stosunku do gospodyni ktoś wybrał zemstę.

- Myśli pan naprawdę, że była jakaś zemsta? - Drzygłód prawie się uśmiechnął pobłaźliwie.

Marta wzdrygnęła się, chyba od chłodu.

- Czy zapomniałeś, co mówiłam? Masz przestać myśleć. Od teraz i na stałe. Da nam to szansę na przeżycie.

- Ależ moja droga, ja nie myślę, tylko mówię. Marta zagryzła wargi, żeby już się nie odezwać. Drzygłódowi to się nie udało.

- Wprawdzie jako winny dużego nietaktu nie powinienem się odzywać, ale chciałbym panu uprzytomnić, jak bardzo lekkomyślnie pan postąpił. Ci ludzie na łodzi byli z pewnością uzbrojeni i tylko dzięki przypadkowi państwo nie są na dnie jeziora.

- Chyba ponosi pana wyobraźnia - zaprotestowała Marta.

- Pan ma oczywiście rację - sprostował łagodnie Reising. - I naprawdę się wstydzę.

Drzygłód zrobił grymas, jakby usłyszał coś niemiłego.

- Jestem pod wrażeniem. Tylko z tego stwierdzenia nie wynika, że w dalszym ciągu będzie pan postępował inaczej. - Reising strapiiony podrapał się w głowę, co nie przekonało rozmówcy. - Są ludzie, którzy w swoim samozadowoleniu nie wyciągają wniosków z żadnej sytuacji i narażają nie tylko siebie, ale i innych, którzy na to nie zasługują.

Reising pocierał nos, Marta wołała się nie wtrącać. Drzygłód kontynuował:

- Po ukończeniu szesnastego roku życia człowiek powinien być odpowiedzialny, tym bardziej że chce za takiego uchodzić.

- Zapewniam pana, że nikt nie będzie przeze mnie narażony.

- Z wyjątkiem oczywiście mordercy, bo przecież zamierza go pan w najbliższym czasie ująć i przekazać policji. - Drzygłód wypowiedział się z tak spokojnym politowaniem, że Marcie zrobiło się głupio w związku z ich bawieniem się w detektywów.

- Słusznie pan zauważył, ale przecież ktoś tę robotę musi wykonać. - Rozłożył ręce rzeźbiarz.

- Czy pan wie, ile szkód może pan wyrządzić tymi harcerskimi podchodami? Niechący, to jasne. I potem pan przeprosi.

Powoli zbliżali się do końca drogi.

- Obiecuję panu, że nie będzie żadnych szkód i harcerskich podchodów.

- Będę szczery. Nie należy pan do ludzi, których obietnice są wiarygodne. Nie dorósł pan do tego.

Marta zaczęła się obawiać, że znajdzie się w centrum akcji z rękoczynem. Nie lubiła takich scen. Z kolei tego rodzaju zaczepki słowne w zasadzie nie powinny uchodzić płazem.

Ponieważ jednak nic się nie działo, uważnie spojrzała na Reisinga. On jednak, o dziwo, nie zdenerwował się.

- To już pana problem - powiedział miękko.

Nie chciała, żeby ta rozmowa toczyła się dalej. Przyspieszyła kroku, dom było widać całkiem wyraźnie.

- W jadalni cisza. Chyba udało nam się spóźnić na kolację - stwierdziła, gdy weszli na podwórze.

Z ganku zeszła Oleńka, owijając się w krótki sweterek.

- Martwiliśmy się o państwa, ale mama wiedziała, że jest pan redaktor, to nic się nie może stać. - Uśmiechnęła się zalotnie. - Kolacja w kuchni. Wszyscy już poszli na górę zmęczeni całym dniem. Przyszli! - wrzasnęła nagle w kierunku okna, w którym pokazała się Nina.

- Ach, dzięki Bogu. Wiedziałam przecież, że z panem Jankiem nie ma się czego obawiać.

Pokręcił głową.

- Rację miała pani Antoniowa. Proszę pogratulować jej przenikliwości.

W kuchni czekała kolacja. A także kawa w dzbanku i ciasto. Drzygłód zatrzymał się w drzwiach.

- Ja dziękuję. Życzę państwu dobrej nocy. - Płynnym ruchem skierował się ku schodom.

Marta nie zdążyła się nawet odwrócić. Zasiadła do stołu, czując nadzwyczajnie duży apetyt. Teraz zmarszczyła brwi, nie wierząc własnym suszom.

- Co on powiedział?

Reising oparty o kraciastą ceratę stołu wydawał się wypełniać sobą całą kuchnię.

- Wyglądasz, jakbyś zobaczyła jakiś wzór, który ci do niczego nie pasuje. Może nawet przeczy teorii względności.

Skrzywiła się.

- O co mu chodziła?

- No cóż, mamy dwie możliwości. Albo stracił apetyt z tego wszystkiego, albo mdło mu się robi na nasz, to znaczy na mój widok. I tyle.

Nieruchome spojrzenie Marty przestało być pytające i stało się złe.

- Nie będzie mi się stawiał, że nie je - ogłosiła. - Zobaczysz.

W trzech ruchach ułożyła na tacy ciasto i kubek z kawą, po czym bez słowa zniknęła za drzwiami, zostawiając Reisinga kiwającego głową.

Po schodach wspięła się tak szybko, że powinna była upuścić wszystko, ale lepsze wyczyny miała za sobą w internacie.

Zdecydowanie zastukała do drzwi.

- Obsługa hotelowa. Pan zamawiał kolację.

Nie zwracając uwagi na jego zaskoczenie, z rozmachem postawiła tacę na pustym stole.

- Nie chciałem sprawić jakiegokolwiek kłopotu. - Był zmieszany dokładnie tak, jak wypadało. - Nie wybaczę sobie, że pani fatygowwała się mojego powodu.

Marta bez komentarza zwróciła się do wyjścia. Mimo woli jednak jej wzrok zatrzymał się na równo ustawionych na półce książkach, jedynym osobistym akcencie w prawie pustym pokoju.

- Z przyjemnością służę czymś do czytania, jeśli pani chciałaby oderwać się od przygnębiającej rzeczywistości. Może na coś się przydam.

Może rzeczywiście zostać na chwilę? Przecież jeszcze chyba potrafi rozmawiać po ludzku. Mogłoby być normalnie i spokojnie.

Jednak sama nie wiedząc kiedy, znalazła się przy drzwiach.

- Dziękuję, nie będę przeszkadzać. Życzę panu dobrej nocy.

W kuchni Reising leniwie coś dojadał.

- Nakarmiłaś go? - spytał konkretnie.

- Sam zje. - Posmarowała masłem kromkę chleba. - Dlaczego nic z nim nie zrobiłeś? Obrażał cię systematycznie.

- Nie wiem, jak ci to wytłumaczyć. Jestem z natury spokojny i nie chciałem mu zrobić przyjemności, dając się sprowokować.

- Nie wiem, czyby się cieszył, gdybyś go potraktował jak leśniczego.

- Za łeb i o drzewo? Miałem ochotę, ale się rozmyśliłem. Marto, chciałem ci powiedzieć, jak bardzo mi przykro, że cię naraziłem, i jak bardzo się cieszę, że dowiedziałem się o tobie wszystkiego. Czy mogę ci coś poradzić?

Skinęła głową.

- Jedź do tej swojej przeklętej rodziny i zrób wszystko, co należy, bez jednego słowa. To będzie prawdziwa zemsta. Bo każda inna uderzy w ciebie. A ty jesteś najważniejsza, pamiętaj. Jutro położę piękną wiązaną na grobie Witoskiego, a potem, kiedy wszystko się skończy, nie uważasz, że należałoby znaleźć miejsce, gdzie leży twój wujek?

Znowu skinęła głową.

- Jesteś zmęczona. Dzień był ciężki, ale jutro wszystko się ułoży. Jeszcze chcę ci powiedzieć, że powinnaś pogodzić się ze swoją innością. Powinna być powodem do dumy, a nie zmartwienia.

Powoli piła kawę.

- Zawsze chciałam być taka jak reszta, a nie odróżniająca się na kilometr, jak mama, ale nigdy nie miałam pojęcia, jak się do tego zabrać.

- Mama nigdy nie zżyła się z otoczeniem?

- Nigdy. Jakoś ludzie ją lubią, bo jest miła i bezpośrednia. To, że na przykład potrafi rzucić cebulą w sąsiadkę, która podobno chciała ją obrazić, uchodzi jej na sucho. Ja stale zamierzam być chłodna i opanowana.

- Akurat! - ucieszył się. - Na co ci to? I tak nie będziesz, szkoda się wysilać. Całe szczęście zresztą, bo straciłabyś swój niepowtarzalny urok.

Poczuła się senna. Dobrze posłuchać miłych słów na koniec dnia. Nie myślała już o niczym. Sama nie wiedziała, jak dotarła do pokoju, chyba ją Janek odprowadził. Zasnęła głębokim, krzepiącym snem.

Rozdział 14

Obudziła się wypoczęta. Niespodziewanie jej myśli skupiły się na jednym. Jak taśma filmowa, przed oczami wyobraźni przewijały się jeden po drugim obrazy z podobno ważnej sceny.

Cała sekwencja od otwarcia telewizora aż do momentu reakcji Krzysia Nowakowskiego. Przerażenia tak widocznego, że trudno się dziwić zatroskaniu Niny Boguszewicz.

Absolutnie wszystko pamięta! Widzi jak żywe. I wszystko jest już jasne. Jak mogła tego wcześniej nie zauważyć!

Na zegarku minęła piąta. Czy Reising jeszcze śpi? Zobaczymy. Ani przez moment nie pomyślała, że mogłaby poczekać, aż się obudzi. Mówił, że wstaje wcześniej.

To prawda. Otworzyła drzwi w tym samym momencie, gdy Janek wychodził spod prysznic.

- Wiem wszystko! - zawołała.

Jeszcze trochę mokry wciągnął ją do pokoju. Jedną ręką zamknął okno, drugą zarzucił na nią swój wełniany sweter, który zziębnięta natychmiast wciągnęła na siebie.

- Przypomniałaś sobie? - domyślił się.

- Tak. Powiem po kolei. Najpierw Krzysiek włączył telewizor. Potem na ekranie jedna bohaterka wrzeszczała do drugiej, żeby oddała jej ciuchy. Potem coś z niej zdarła, chyba bluzkę. Wtedy on sięgnął po twojego Aresa. Równocześnie patrzył na ekran i stracił walkmana. Przeprosił, zaczął zbierać. Patrycja stanęła nad nim. Zbierał trochę drżącymi rękami, ale w sumie normalnie. I sam z siebie się przestraszył. Potwornie. Chyba miał krople potu na czole. Z ekranu zaczęło się, że nie wiadomo, czyje rajstopy. Krzysiek wstał z podłogi i dosłownie w szoku oddał walkmana Drzygłodowi, który w ogóle się nie przejął.

- Jesteś pewna, że wiesz, kiedy się wystraszył? - Janek przypominał kota, który już dopadł swoją zdobycz.

- Wiem, co mówię. Nie wiedziałam, nie mówiłam. Nie gapiłam się cały czas na niego, ale ten jego stres był taki, że się go bardziej czuło, niż widziało. Jakby go prąd poraził. Na pewno nie na widok lycrów ani na dźwięk telewizora. Raczej to go otruło od środka.

Mina Reisinga świadczyła, że mysz została zjedzona. Smakowała.

- Jesteś najlepszym profesorem na świecie, nie tylko najpiękniejszym.

- Rozumiem, że wszystko ci się zgadza z emocjami.

- Idealnie.

- No. Rzeczywiście, dzięki Bogu. Wiesz co, chyba się obrażę. Ja ci przedstawiam fakty, a tobie one pasują uczuciowo. Rozpacz intelektualna.

- Fakty każdy może widzieć inaczej. To sama mogłaś zauważyć. A emocji naprawdę nie daje się dobrze ukryć. Tutaj zresztą nikt nawet nie próbuje. W każdym razie grunt, że całość się zgadza. Jak spałaś?

- Świetnie. Czuję się jak nowo narodzona. - Potrząsnęła głową. - Nigdy nie zamierzałam tego wszystkiego opowiadać, ale dobrze, że to zrobiłam. - Zamyślona patrzyła, jak jego wilgotne włosy powoli wysychają i skręcają się w pierścienie. - Właściwie zobacz, jak całość ładnie się układa. Jakby ktoś umyślnie komponował. Najpierw straszenie: otruty pies, grająca pocztówka, ukradzione pióro. Potem wykonanie: morderstwo. A dalej z samozadowolenia zabawa. Dla kpiny podłożenie Trzeciakowi śrubki, zakopienie domu, zamknięcie twojego pokoju. Zaczęło być groteskowo, nie licząc oczywiście ataku Trzeciaka i prawie wypadku z Drzygłodem.

- Tak jest. Pierwszy spowodowany był przez słaby system nerwowy, drugi przez niechlujstwo i nieodpowiedzialność. Wszystko można wytłumaczyć. Na szczęście pogoda się poprawia, lada chwila przyjedzie policja, aresztuje winnego, wyjaśni wątpliwości. Doskonale ci w tym swetrze.

- Trochę drapie, oddam ci potem. Antoniowa mogłaby coś z tym zinnem zrobić.

Naprawdę było chłodno. Gdy otwierała drzwi do swojego pokoju, mimo grubej wełny wstrząsnął nią dreszcz. A może to nerwy? Odruchowo się obejrzała. Nie słyszała, od kiedy Drzygłód był na korytarzu, ale on musiał ją widzieć wychodzącą z pokoju Reisinga. O tej porze. Sweter jest również Reisinga, piżama na szczęście własna. Nic dziwnego, że wzrok, który na sobie poczuła, przepełniało potępienie nieomal paraliżujące na odległość. O co chodzi? Jest dorosła i całkowicie wolna. A w ogóle to naprawdę jak nowa. Z zainteresowaniem przyjrzała się swojemu odbiciu w małym, źle ustawionym lusterku. Mimo rozespania najwyraźniej odmłodziła. Może to sprawa góralskiego swetra. Zamówi sobie u mamy dokładnie taki sam.

Czuje się tak, że mogłaby teraz nosić nawet haftowaną przez nią bluzkę. Szkoda, że wyszły z mody.

Przez szyby dochodziło ciepło promieni niespodziewanego rannego słońca. Zapowiadał się pierwszy ładny dzień. Tym razem dobrze się złożyło, że nie poprosiła Janka o dokładne zamknięcie okna. Z zachwytem wciągnęła świeży zapach lasu. Bez sensu mieszkać w mieście. Rano iść do pracy i patrzeć na studentów, zamiast na przykład karmić króliki. Mogą być ciekawsze.

Dziwny ranek. Jakby wszystko miało się odmienić na dobre. W dużym lustrze w łazience widziała swój prawdziwy uśmiech. Gdy zbierała się do zejścia na dół, zaskoczyło ją ciche stukanie do drzwi. Coś podobnego, pani Nina mogłaby poczekać do śniadania.

Jednak na progu stała Antoniowa, torując sobie drogę koszykiem z imponującej wielkości gruszkami.

- Właśnie dojrzały, akurat na deser dla pani - powiedziała nieśmiało.

Marta ledwie wykrztusiła podziękowanie, kompletnie zaskoczona.

- Martwiłam się o panią - usłyszała. Niemal fizycznie odczuła, jak Antoniowa lustruje ją czarnymi oczami, które potem zatrzymały się na wiszącym na oparciu krzesła swetrze Reisinga. Nie, nikt nie zepsuje jej dobrego nastroju.

- Absolutnie nic nie mogło mi grozić. Byłam również w towarzystwie pana Drzygłoda. - Uśmiechnęła się słodko.

- To i chwala Bogu. - Antoniowa cały czas patrzyła na sweter. - Taki artysta z Warszawy, a zdjęcia nie rozumie. - Widząc zaskoczenie Marty, wyjaśniła lekko zirytowanym tonem: - Można chyba odróżnić maj od sierpnia i zwykłą fotografię od zdjęcia odsłonięcia pomnika. To była u nas największa uroczystość. Widać jakąś chorągiew? Nie widać. A on się upiera, że maj, kiedy ja mówię, że sierpień. Chyba ja wiem, prawda?

- Oczywiście, że pani wie. - Marta miała coraz lepszy nastrój. Należałoby poradzić kobiecie postukać się w czoło. - Przecież to pani zdjęcie, nie jego.

- Nie powinien był tak mówić.

- Chciał się z panią podrażnić. Dla zabawy. Antoniowa zmarszczyła brwi.

- Pamięta pani, co o nim mówiłam? Wszystko? Jest pani ostrożna?

- Jeśli pan Reising do tej pory mnie nie zamordował, to chyba nie leży to w jego planach.

Twarz kobiety zeszywniała ze strachu.

- Jest pani taka młoda. Takie piękne życie przed panią. Niech pani nic nie robi na odwrót. Niech pani go nie słucha. Proszę tylko czekać, a wszystko samo się stanie.

Nie odrywała od niej wzroku, może chcąc utrwalić swoje słowa.

- Niech pani pamięta, proszę - i zniknęła za drzwiami.

Marta wzniosła oczy w górę. Pewnie, może nic nie robić na odwrót. To nie ona jest specjalistką od odwracania kota ogonem. Swoją drogą zbyt łatwo przeszła do porządku dziennego nad popisem logicznego myślenia u Reisinga. Wyjątkowo Drzyglód miał rację, mówiąc o braku samokrytycyzmu.

Drzwi otworzyła równocześnie z Patrycją, która wyglądała świetnie z platynowoblond włosami upiętymi w węzeł. Za nią Godziszewska po królewsku odwróciła się w stronę Marty.

- Jak to dobrze, że państwo w końcu przyszli. Baliśmy się, że zabłądziliście. Tak bywa, kiedy jest mało grzybów.

- Mało było?

- Niewiele. Wszystko właściwie nie najlepiej się układa. Ale takie jest życie, które musimy pokornie znosić.

- Niech pani nie narzeka na życie. Udana córka, studiuje, to się liczy.

- Mam córkę udaną ponad przeciętność, to prawda. Ale i tak jako matka mam też i problem. Weźmy na przykład takiego pana Krzysia. Miły, inteligentny, nie powiem. I nie z tych, co oglądają się na boki. Ale czy on może być w dzisiejszych czasach oparciem dla kobiety, niech pani powie.

Marta nabrała tchu, lecz miała kłopot z odpowiedzią.

- Myślę, że najważniejsze jest uczucie - wyrecytowała.

- Pani dobrze mówić, bo pani jest samodzielna i robi, co chce, prawda?

- Czy ja robię, co chcę? - zastanowiła się nad sformułowaniem. - No nie wiem. Szczerze mówiąc, nie chcę zbyt wiele.

Oczy Godziszewskiej stały się nagle zimne.

- Może pani nie musi chcieć. Wszystko się wokół pani samo dzieje. Ale na pewno nie tyle, co pani sobie myśli.

Urwała w pół zdania i szybko zeszła na dół.

W salonie w najodleglejszym rogu Nina Boguszewicz robiła wykład Reisingowi, który podpierając czoło dłonią, pólżąc w fotelu, prawie już zsuwał się z niego. Ponad wszelką wątpliwość od rana dawał się maltretować. Słuchając, miarowo stukał jednym butem o drugi, tylko tym sygnalizując, że jeszcze żyje i owszem, potakuje.

- O, przyszła pani, jak dobrze! - Wykonała w kierunku Marty gest cezara. - Pani musi to usłyszeć ode mnie, żeby nic nie zostało przekrecone.

- Nie zostałyby - wtrącił Reising ze spokojem, który najwidoczniej dużo go kosztował - ale zna pani moje zdanie. Każdemu wolno mówić, jak chce, byle grzecznie. I nie należy o mówienie mieć pretensji, a tym bardziej startować z posądzeniami.

- Panie Janku, pan udaje, że nie rozumie, a to jest poważna sprawa.

- Doskonale rozumiem - potarł czoło, jakby uciekając gdzieś myślami - ale niechże pani da spokój temu człowiekowi. Co on panu winien?

- Mnie nic - odparła z wyższością, domykając drzwi. - Ale może się dowiemy, komu i co. Chodzi o to, żeby uważać.

- O kogo pani chodzi? - Marta mogła się domyślać, ale formalnie nie została poinformowana.

- Jak to o kogo? O pana redaktora Drzygłoda. Naprawdę pani nie słyszała, jak on mówi?

- W zasadzie nie przysłuchiwałam się zbyt uważnie.

- Ach, prawda, przecież pani go nie lubi. Ale to nie powód, żeby lekceważyć fakty. Otóż, moja droga, człowiek wychowany w Krakowie, kimkolwiek by był, mówi z południowopolską fonetyką międzywyrazową. Polega ona na udźwięcznianiu spółgłosek na końcu wyrazu, jeżeli następny zaczyna się od samogłoski lub spółgłoski płynnej. W odróżnieniu od wymowy na przykład warszawskiej. Czasem prowadzi to do autentycznych nieporozumień. Prawda, panie Janku? Nie miał pan z tym kłopotów?

Niechętnie skinął głową.

- Owszem. Kiedyś musiałem barmana wyciągnąć za kłapy zza baru, żeby się z nim porozumieć.

- Miałaś rację. Z Galicji też człowiek i powinien być należycie obsłużony - stwierdziła Marta. - Ale chyba takiej strasznej wymowy można pozbyć się po kilku latach między ludźmi.

- Nie strasznej, tylko bardzo ładnej i nie między ludźmi, ale w Warszawie - poprawił znudzony Reising.

- Oczywiście trochę można, ale nigdy do końca. Nawet u najlepszych aktorów czasem ją słychać. Zostaje do końca życia.

- No dobrze, współczuję. I co z tą wymową Drzygłoda?

- Oczywiście, że ją ma. Mówi starannie, dźwięcznie, prosto z Krakowa. Niestety tylko wtedy, gdy o tym pamięta. Czy państwo przypominają sobie, kiedy został zawołany do kuchni, szybko zerwał się i powiedział „już idę”? Wtedy o mało nie zemdlałam. Zabrzmiało to „jusz idę”. Jak na Mazowszu. Wczoraj zapytałam go o zmyślony tytuł Krzyk lustra. Powtórzył odruchowo bezdźwięcznie, a potem wyraźnie chciał się poprawić: „Krzyg lustra”. Ja zaczęłam się bać. To człowiek oszukujący z zimną krwią. Wszyscy powinniśmy się bać.

- No, nie. - Reising zdecydował się wstać z fotela. - Przesadza pani i to bardzo. Każdy ma prawo mówić, jak chce, a jeśli ktoś zamierza czepiać się fonetyki, zwłaszcza ktoś z Warszawy, to powinien uważać, bo może trafić na nerwowego. Chodźmy na śniadanie. - Pociągnął Martę, wyraźnie wymawiając „dź”. - Żeby nie był podejrzany - wycedził, niemal wypychając ją przez drzwi.

- Zdenerwowałaś się - nie kryła zdziwienia. Skinął głową.

- Nawet byłeś niegrzeczny.

- Byłem.

Jego oczy, zwykle błyszczące żywością, teraz błędziły gdzieś nad głową Marty. Uznała, że oboje mogą być w niebezpieczeństwie, ponieważ on zaczyna znowu myśleć, co może dać nieprzewidziane efekty.

Nie szkodzi. Chyba czuła głód. Bo i czemu nie? Jest normalna pogoda, jutro, pojutrze wróci do domu, już właściwie może się pakować, a stamtąd zaraz do Poznania. Załatwi tę sprawę, tak że będzie zadowolona z siebie.

Przy stole siedzieli prawie wszyscy. Tylko naprzeciw Marty miejsce było wolne. Chyba nikt tak z samego rana nie zamordował Drzygłoda. Nie było też Patrycji.

Krzyś, usiłując mieć dobry humor, balansował z serkiem między Godziszewska a Trzeciakiem.

- To na pewno panu nie zaszkodzi... - urwał, bo właśnie wkroczyła Patrycja, a za nią Drzyglód. Trzeba przyznać, że wyglądała bardzo ładnie. Sprężysto okrążyła stół i usiadła obok matki. Szeroko otwartymi, czystymi oczami zlustrowała stan stołu.

- Nalej sobie kawy, kochanie. I weź tego dobrego maselka. W twoim wieku jest bardzo potrzebne. Nie zapomnij o prawdziwym serku.

Patrycja delikatnymi, ale pewnymi ruchami zajęła się talerzem podawanym przez Krzysia.

- Myślę, że w ogóle powinniśmy zastanowić się nad tym, co jemy i dlaczego - odezwała się dźwięcznym głosem. - Wszystko, co dostarczymy organizmowi, powinno służyć jego rozwojowi i doskonaleniu.

- Jak również doskonaleniu duchowemu, masz rację! - Nina uniosła łyżeczkę.

Reising dotychczas duchowo nieobecny przy tej kwestii drgnął, aż widelec wypadł mu z ręki. Nie słysząc jednak było brzęku o podłogę, bo siedzący obok Drzyglód po prostu chwycił go w locie.

Reising dopiero wtedy zareagował.

- O, dziękuję. - Uśmiechnął się, patrząc mu prosto w oczy.

- Może skutecznie byliby zmienić tryb życia. - Ton Drzyglóda mógł ściąć lodem herbatę w szklance. - Dotychczasowy nie najlepiej na pana wpływa.

Reising nie przejął się.

- Tryb życia mam w porządku, każdemu taki doradzam.

- Pan wybaczy, ale daje marne efekty.

- Jest pan bardzo wymagający. Upuszczenia widelca nawet żadna z moich byłych żon nie uważała za zbrodnię.

- Może nie łapały go w locie. - Nina Boguszewicz posłała mu spojrzenie pełne wzgardy. - Nie wytresował ich pan na tę okoliczność.

- O mało co nie wywaliłem herbaty z wrażenia - oznajmił Reising z satysfakcją. - Temu już pan nie byłby w stanie zapobiec.

- Rzeczywiście. - Drzyglód od początku chyba ani razu nie spojrzał na Martę. - Ale jeśli pan koniecznie musi fizycznie zaznaczyć swoje istnienie, to proszę, nie będę przeszkadzać.

- Trafiony, zatopiony - ogłosił Janek uroczyście.

- W herbacie - zakrztusił się Krzyś, a Patrycja uśmiechnęła się do niego filmowo. Oczy młodego człowieka zatrzymały się na niej z tak

cielęcym zachwytem, że Marta poczuła sympatię. Jak miło zobaczyć kogoś tak młodego i autentycznego. W odróżnieniu od tego, który siedzi naprzeciw. Ściągniętą złym humorem twarz człowieka, który potrafi jedynie krytykować i stawiać siebie za wzór. Wprawdzie wczoraj, trzeba przyznać, uratował ich, ale nie na skutek celowego działania, tylko przez przypadek, samą swą obecnością. Ta z kolei obecność była spowodowana dziwactwem. Łabędzie, też coś.

Drzygłód smukłą dłonią obejmujący kubek, jakby bojąc się go wypuścić, choć to raczej mu nie groziło, po raz pierwszy spojrzął na Martę. Jego szare oczy pod lekko zmarszczonymi brwiami były chłodne i bezosobowe. Może powinna coś powiedzieć. Ale przecież nie ma obowiązku bawić go rozmową ani dbać o jego dobry nastrój.

- Czemu pani taka zamyślona, pani Marto? - Nina Boguszewicz skubnęła ją za rękaw. - Mam nadzieję, że nad tym, co mówiłam.

Odruchowo spojrzała na Reisinga. Słyszał. Jego opalone ręce spoczywały na obrusie i wyglądały na gotowe do akcji. Tak go drażni gadanie o spółgłoskach.

- Było bardzo interesujące - odpowiedziała - ale temat bardziej naukowy niż wakacyjny.

- Daje pani sobą manipulować. Przy pani wykształceniu zostaje pani, niestety, tylko kobietą.

- Myślę, że lepiej być wykształconą i kobietą, niż ani jedno, ani drugie - Marta odpowiedziała bez namysłu.

- Czy pani mówi o mnie? Dlatego, że jestem tylko humanistą, magistrem i niezamężna?

- Przecież mówi o mnie - wtrącił szybko Reising. - Moje wykształcenie znaczy dla niej tyle co nic, a o kobiecości nie ma co mówić.

Drzygłód wziął serwetkę i z ukłonem wstał od stołu. Inni również wzięli z niego przykład.

W drzwiach zatrzymał się, żeby przepuścić Beatę Wolską, ta jednak o coś się potknęła i byłaby upadła, gdyby jej nie podtrzymał. Nieoczekiwanie wyrwała ramię, odwracając się gwałtownie, wręcz ze wstrętem. Marta nigdy nie posądzała jej o takt, ale odrobinę wdzięczności za uratowanie powinna okazać.

- Tu się nie wchodzi! - usłyszeli ostry głos Antoniowej, gdy Godziszewska chciała otworzyć drzwi biblioteki.

- Widzisz, a myśmy byli w środku - rzucił Janek. Kobieta wyniośle założyła ręce na fartuch.

- Pokazywałam państwu zdjęcie pomnika, ale żałuję.

- Czegóż to? - przeraził się.

- Bo mi się pan wymądrzać zaczął, że to niby odsłonięcie pomnika. Jakby ludzie już kiedy indziej przyjść nie mogli.

Ostentacyjnie sprawdzając drzwi do biblioteki, prawie wojskowym krokiem przedfilowała do kuchni.

- Musisz się tak upierać przy tym potwornym pomniku? - nie wytrzymała Marta. - Co ci szkodzi ustąpić dla świętego spokoju?

- Pomyślałaby, że się jej boję - odparł filozoficznie. Machnęła ręką zrezygnowana. Niektórzy nie mają szans na dorosnięcie.

- Nie wybieraj się nigdzie - powiedział cicho, gdy byli na chodach. - Zostań przy Antoniowej. Niedługo to wszystko będzie się kończyć, a nie wiadomo dokładnie jak.

- Nawet ty nie wiesz? Emocje też nie wiedzą? Co u nich słyhać?

- Twoje mają się dobrze, ale z innymi bywa różnie. Bądź pod okiem Antoniowej.

- Nie ma sprawy, jutro i tak pewnie będę w Warszawie. Dzisiaj mogę oglądać zdjęcia albo karmić kury. Wszystko jedno. Jutro w końcu ma być policja, mówiłeś, że ich nie lubisz.

Skrzywił się.

- To, na co ich było stać, już mi zrobili, więc teraz luz. Jutro ci opowiem - dodał, widząc jej zaskoczenie.

Niepojęte, jak ktoś taki może narazić się policji. On nie byłby nawet zdolny ściągać na egzaminie. Rzeczywiście chyba najmądrzej będzie pokarmić kury. Dziwny, spokojny dzień.

Antoniowa czekała na nią na dole.

- Ten pani przyjaciel - wypowiedziała ze wzgardą - mówił, że panią boli głowa i że pani będzie tutaj.

- Pobędę na podwórku, pooglądam, czego nie widziałam.

- I bardzo dobrze. Panienska Patrycja też się położyła, nigdzie nie poszła.

- A gdzie są wszyscy?

- Państwo Wolscy, pani Godziszewska, pani Nina poszli na grzyby. Pan Krzyś miał jeszcze pooglądać bagna. Pan Reising na spacer, nie opowiadał mi się. Pan Trzeciak został u siebie chory, a pan

Drzyglód popłynął łodzią. Jak on sobie dobrze poradził, widać, że nie na takich pływał.

Wszystko jedno, na czym pływał pan Drzyglód. Pora iść do kur i królików.

Było przyjemnie. Jak w dzieciństwie. Mama zawsze coś hodowała. Drewniany pniak pod ścianą kurnika stał się świetnym fotelem. Czowała się, jakby się w ogóle nic nie działo. Sięgając do kieszeni, trafiła na jakąś kartkę. Może to pogróżki albo list od Węgorzy. Nie, zupełnie co innego. Tuż przed wyjazdem jeden z kolegów podrzucił jej problem, nie miała czasu nawet spojrzeć. Dobrze, że w innych kieszeniach znalazła się resztką notatnika i długopis.

Przez godzinę była obecna tylko fizycznie. Ale ma to, o co chodziło. Koniec zabawy. Myślała, że zajmie jej to więcej czasu.

- Pani pracuje. Sądziłem, że mamy jeszcze wakacje. - Krzyś zasłaniał jej anemiczne słońce. - A ja niosę cenny łup. - Wyciągnął zza pleców imponujących rozmiarów naręczce bagiennych kwiatów. - Jako bukiet dla damy chyba nie za bardzo pasuje, ale poza tym piękny.

- No, rzeczywiście. - Marta nie wiedziała, co powiedzieć.

- Patrycja położyła się z bólem głowy, dojść się do niej nie da, a ja nie chcę robić skandalu. Chciałbym już być w Warszawie, tam będę wiedział, gdzie ją spotkać bez mamy. Przecież nie mogę się poddać. Ona teraz jest jeszcze trochę dziecinna, ale jeśli poczekam... Jak pani sądzi?

- Jestem pewna, że nie może pan tak po prostu rezygnować, skrzywdziłby pan ją.

- Właśnie, jak to pani ładnie powiedziała. - Ucieszył się. - Chodźmy, niedługo będzie normalny obiad, a jutro wszyscy wymienimy numery telefonów i rozjedziemy się każdy w swoją stronę.

Na skraju lasu oświetlone niskimi, bladymi promieniami słońca pojawiły się sylwetki Wolskich i Godziszewskiej.

- Czy państwo też mają coś na marynatę? U nas są pełne koszyki! - wołali z daleka. - Nie? To się proszę wstydić.

- Coś wspaniałego! - Wolska uśmiechnięta jak nigdy podsunęła Marcie pachnący koszyk z maślakami. - Śliczne, prawda?

- Nie mogę wytrzymać, żeby nie pochwalić się Antoniowej. - Godziszewska była już w drzwiach, gdzie wspomniana czekała ze skrzyżowanymi po napoleońsku ramionami.

- No, tak - wycedziła. - No, tak.

- Co tak? - zagadnął Krzyś.

- Nie można domu z oka spuścić. Jak pies warować trzeba przy wszystkim.

- Ale co się stało? - irytował się Wolski.

- To się stało, że rozwaliliście drzwi do biblioteki.

- Całe? - jęknęła Wolska.

- Nie, zamek - odparła pogardliwie. - Ale wystarczyło, żeby bałagan zrobić, zdjęcia wywalić.

- Które? - spytała odruchowo Marta.

- Moje.

- Pewnie ktoś chciał podwędzić te najlepsze, z odsłonięcia pomnika - za plecami Antoniowej stał Reising.

Kobieta zbladła ze złości, ale momentalnie rozpogodziła się na widok ozdobionej kroplami wody kurtki Drzygłoda.

- Czy coś zginęło? - zapytał z uprzejmym zainteresowaniem.

- Chyba nie. Tylko zdjęcia porozrzucali.

- Tylko zdjęcia? - dopytywał się Reising. - Więcej nic nie ruszali?

- A skąd ja mogę wiedzieć, co kto ruszał, jak mnie tam nie było? Album na podłodze rozwalony i tyle.

- Może jednak sprawdzić, czy naprawdę nic nie zginęło - wtrąciła Wolska, ale bez odzewu.

- Może by tak wcześniejszy obiad? - zaproponował jej mąż. - Zgłodnieliśmy na powietrzu.

- Pomyślałam o tym. Za chwilę będzie na stole. - Z miną obrażonej królowej przemaszerowała do kuchni.

W jadalni czekali prawie wszyscy, a Jerzy Trzeciak nawet z ochotą zasiadł do stołu. Krzyś zrobił do niego żalostną minę.

- Niech się pan tak nie szykuje. Z daleka czuję ogórkową. To nie dla pana smakołyk.

- Do ust jej nie wezmę. Liczę na drugie.

Marta też liczyła na drugie. Nienawidziła ogórkowej i uważała, że nikt nie powinien mieć kontaktu z taką substancją. Chyba że Janek Reising, jemu wszystko jedno, co je. Siedzący obok niego Drzygłód

był chyba tego samego zdania, co ona. Przejazdźka łodzią w ogóle chyba nie podziałała na niego dobrze. Zmęczenie czy zdenerwowanie ściągnęło rysy jego twarzy, przez co stała się jeszcze bardziej chłodna i surowa.

- A gdzie pani Nina? - zapytała Godziszewska.

- Właśnie. - Siedzący zaczęli się rozglądać, jakby Nina Boguszewicz mogła pozostać niezauważona.

- Zaraz, chyba dopiero co tutaj rozmawiała - denerwowała się Wolska.

- Jesteś pewna, że teraz, a nie przed wyjściem?

Marta spojrzała na Janka Reisinga. Jeśli pod taką opalenizną można w widoczny sposób zblednąć, to jemu się to całkowicie udało.

- Słuchajcie, ona zaginęła! - Okulary Krzysia zsunęły się z nosa.
- Poszła na te grzyby w końcu czy nie?

- Och, poszła, oczywiście. - Godziszewska nabrała surówki. - Ale sama, bo ja dołączyłam do państwa Wolskich. Jakoś źle znosiłam rozmowę z nią, zobaczyłam, że państwo idą z lewej, więc przeprosiłam i oddaliłam się.

- To prawda, pani zawołała do nas i poczekaliśmy. Gdzie to było, Beatko?

- Tuż za tą pierwszą przesieką, zaraz jak się idzie w stronę cmentarza. My kierowaliśmy się na taką łączkę, gdzie, jak Antoniowa mówiła, po brzegach są maślaki. Na początku idzie się równolegle do drogi na cmentarz. Potem odbija w lewo. Ale przedtem jeszcze ją widać i wtedy pani do nas wołała. Zaczekaliśmy i dalej poszliśmy razem.

- A pani Nina została sama? - cicho wtrącił Trzeciak.

Godziszewska spojrzała wyniośle.

- A jak pan myśli, kto by znosił słuchanie takich insynuacji? Może pana one bawiły. To należało z nią spacerować.

- No dobrze - przerwał Krzyś - więc gdzie ona właściwie jest?

Nikt się nie odezwał. Marta poczuła, że znowu robi jej się zimno. To chyba zły sen, niemożliwe, pomyłka.

- Mogła zabłądzić, złamać nogę, zemdleć - wyliczał Trzeciak.

Wolski wstał od stołu.

- Nie ma na co czekać, idziemy jej szukać. Wtedy usłyszeli warkot silnika.

- Policja - stwierdziła Godziszewska. - Dzięki Bogu...

- Obiecali, to przyjechali - posumował skrzywiony Trzeciak, gdy Wolski i Krzyś już wybiegli z pokoju. - Ale im się śpieszy, muszą informować władzę. Przecież jeszcze nie wiemy, czy coś się stało.

- Na pewno nic - westchnęła Wolska. - Tylko kobieta zaginęła sama w lesie.

- Pojechali szukać - oznajmiła Godziszewska przy oknie. - Sami sobie dadzą radę. Bez nich - dodała z satysfakcją.

Dobrze, że jest już policja. Wreszcie pojawił się ktoś normalny z zewnątrz i zajmie się wszystkim. Marta nie miała nawet ochoty ruszać się z miejsca. Niech się dzieje, co ma się dziać, ona tylko przeczeka i pojedzie do domu. Potem zajmie się swoimi sprawami i zapomni dokładnie o wszystkim.

Inni też zostali przy stole. Również Wolski i Krzyś wrócili na swoje miejsca. Jakby zasiedli za stołem obrad, tylko że nikt nie miał nic do powiedzenia. Marta chciała uchwycić spojrzenie Reisinga, ale ten patrzył chyba na własne myśli. Nie, oczywiście nie myśli, tylko emocje, bo one się liczą. Drzyglód dla odmiany oparł czoło na dłoni. I bardzo dobrze. Nigdy nie wyglądał sympatycznie, a dzisiaj wyjątkowo niezachwycająco.

Po jakimś czasie w drzwiach stanęła Antoniowa.

- Znaleźli ją - rzuciła. - Nieżywą.

Uważnie przesunęła wzrokiem po zamarłych słuchaczach.

- Uduszoną - dodała.

Rozdział 15

Nie, to niemożliwe. Zły sen. Marta poczuła się winna. Popełniła błąd, nie angażując się naprawdę w rzeczywistość, zajęta swoimi sprawami. Trzeba było coś zrobić. Przecież morderca nie jest geniuszem. Może te Węgorze na łodzi mają większe znaczenie, a ona ich w sumie zlekceważyła. Jej myśli wirowały jak na karuzeli. Może trzeba każdego obserwować. Ostatecznie morderca jest człowiekiem i musi po tym, co zrobił, zachowywać się inaczej.

Przez dłuższą chwilę nikt nie wydobył z siebie słowa. Godziszewska miała łzy w oczach, a Nowakowski z trudem opanowywał drżenie. Beata Wolska kurczowo wbiła palce w ramię męża.

- To znaczy, że jednak nie była sama - zdławionym głosem przerwał ciszę Wolski. - Zanim nas będą wołać na rozmowy, ustalmy, gdzie kto był. My w trójkę z panią cały czas razem. Pan, panie redaktorze?

Drzygłód błędnym wzrokiem po ścianie, starannie omijając wzrok Marty. To nowy zwyczaj.

- Pływałem łodzią - odpowiedział niechętnie. - Z pewnością nie widział mnie nikt, jeśli nie byłem obserwowany. Natomiast mijałem pana leśniczego na cyplu za tawerną przy gniazdach łabędzi.

- Słusznie, są pod ochroną - rzekł nerwowo Trzeciak. - Przecież on za to bierze pieniądze. Podpłynął pan blisko?

- Wystarczająco, żebyśmy się zauważyli.

- Jak to miło zobaczyć go przy pracy. Ja nie mogłem nigdzie iść. Zostałem u siebie, teraz na szczęście jest mi lepiej.

- To prawda. - Oleńka w drzwiach jadalni potakiwała świadoma swego znaczenia. - Pan tu był, przynosiłam mu mleko, lepsze niż te zagraniczne lekarstwa. Pani profesor też cały czas była na podwórku. Mama widziała.

- I moja Patrycja została w domu. Położyła się. Już cię nie boli głowa, prawda, kochanie?

Patrycja skinęła już niebolącą głową.

- A pan Krzysztof poszedł na spacer na bagna.

- Poszedłem i nikogo nie spotkałem. Jedyne moje alibi to kwitnące bagno, które zresztą oddałem pani Antoniowej.

- Pan, panie Janku? Też pan poszedł?

- Tak, na spacer.

- Gdzie na spacer i czy ktoś pana widział? - denerwował się Wolski.

Reising wzruszył ramionami.

- Nikt mnie nie widział, więc wszystko jedno, gdzie byłem. Zresztą, żadna tajemnica. Poszedłem kawałek w las, żeby sobie posiedzieć i popatrzeć na drzewa.

- Tylko tyle?

- Wystarczy, jak na wakacje.

- Pan przecież nie mógł przewidzieć, że ma mieć alibi - zauważyła Beata.

- Dobrze, ale jak pan wytłumaczy to policji? - niepokoił się Trzeciak.

- Niech pan da spokój, przecież nie aresztują człowieka ot, tak sobie, za brak alibi.

Jeszcze by tego brakowało, żeby Janek miał kłopoty, myślała Marta. Chociaż wcale nie widać, żeby się przejął. Ledwie słucha, co do niego mówią. Z pewnością da sobie radę, ale jak mogli dopuścić do tego, że kobieta straciła życie. Oboje są winni. Na pewno to można było przewidzieć. Żeby choć odrobinę pomyślała!

- Nie aresztują - stwierdziła Patrycja równym głosem uczennicy referującej temat. - W lesie byliśmy razem. Ze sobą. Kochaliśmy się - uściśliła. - Mieliśmy o tym nie mówić, ale jeśli mają być problemy, to inna sprawa. Skończyliśmy o jedenastej trzydzieści pięć - dodała rzeczowo.

Godziszewska zakryła twarz dłońmi. Poza tym w śmiertelnej ciszy nikt chyba nie odetchnął głębiej z zaskoczenia. Reising również nie reagował na pytające, zdumione spojrzenia. Był tylko wyraźnie zmartwiony.

Milczenie przerwał Wolski.

- Skąd pani wie, o której godzinie? - spytał cicho.

- Janek popatrzył na zegarek.

- Więc pan jednak czasem nosi ten niepotrzebny sprzęt? - zdziwił się uprzejmie Drzygłód, wstając z miejsca.

Reising nie udzielił odpowiedzi. Marcie było dokładnie obojętne, do której przebywał na mchu z Patrycją. Gdyby w tym czasie męczył się, słuchając pani Niny, żyłaby do tej pory. Już nigdy nie usłyszą głosu tej kobiety, która ich denerwowała, ale miała prawo do życia jak każdy człowiek. I nie zrobiła nikomu nic złego.

Poczuła ściskanie w gardle. Za chwilę się rozplacze, albo zemdleje, wszystko jedno. Z trudnością wstała i wyszła z jadalni. Nie czuła się na siłach wchodzić na górę, nogi odmawiały jej posłuszeństwa. Zatrzymała się na werandzie. Oparła czoło o chłodną szybę. Kilka łez sprawiło jej ulgę, ale czuła jedno. Nie chce patrzeć na ten świat ani go słyszeć. Nie chce go w ogóle.

Była zbyt roztrzęsiona, żeby zauważyć czyjąkolwiek obecność. Nie była sama. Ktoś stał za nią.

- To nie ma sensu - dotarł do niej w końcu łagodny głos Drzygłoda. Cichy, spokojny, pewny siebie. - Proszę mi uwierzyć, choć w tej chwili jest trudno.

Nic nie rozumiała. O co chodzi temu człowiekowi?

- Słucham? - spytała niezbyt przytomnie. Stała z rozrzuconymi włosami i oczami błyszczącymi od łez naprzeciw niego, tak zrównoważonego i nieskazitelnego, jak nigdy dotąd.

- Żaden mężczyzna nie jest wart pani zdenerwowania, a tym bardziej ktoś, kto zachował się w ten sposób.

- Mężczyzna? Sposób? Czy pan oszalał? - zaczęła pojmować i jej żal zamienił się we wściekłość. - O czym pan, u diabła, myśli! Zamordowali kobietę, którą pan znał, z którą pan jadał przy jednym stole, ale to przecież nie jest ciekawe! Ciekawe jest, kto i z kim!

Teraz ze zmarszczonymi brwiami, w furii, jej wyglądu nie powstydziliby się ani mama, ani żadna babcia.

- Pańską chorą wyobraźnię - nie zważała na to, że krzyczy - absorbuje tylko jedna strona rzeczywistości! Strona brudnych plotek, do których pasuje moje rzekome zainteresowanie niejakim Reisingiem i która nie dopuszcza, że może być inaczej.

Co za ograniczenie umysłu i charakteru! Równie dobrze pewnie mogłaby mówić do ściany, przynajmniej jednak odrobinę się uspokoiła.

- Ależ oczywiście, nie miałem racji. Tylko że to przecież nic złego między dorosłymi, wolnymi ludźmi. Nie zdziwiłem się wcale, widząc panią dziś rano.

Może jego łagodny ton dodatkowo sprawił, że Martą aż zatrzęsło. Z całej siły uderzyła go w twarz.

- Dla pana łaskawej wiadomości: nie sypiam z Jankiem. I proszę sobie zapamiętać - jej wykład docierał już do ostatnich rzędów największej sali audytoryjnej - jeżeli kobieta wychodzi z pokoju

mężczyzny, to niekoniecznie była tam w celach biologicznych. O ile oczywiście ktoś na pana poziomie może to pojąć.

Drzygłód nawet nie drgnął.

- Ktoś na moim poziomie może to pojąć - powiedział miękko. - Czy wolno mi się wytłumaczyć?

- Wolno panu zniknąć mi z oczu. Możliwie dokładnie i na długo.

Odwróciła się i niespodziewanie zobaczyła niebieski kolor szetlandzkiej wełny.

Reising otoczył ją ramieniem.

- Mówiłem, żeby trzymać się razem. Inaczej będzie panem pomiatać - rzucił w stronę Drzygłoda i wyciągnął ją na korytarz. Dopiero na schodach zaczęła dochodzić do siebie.

- On zwyczajnie ustalił, że z tobą sypiam i już. Żadnych dyskusji ani wątpliwości.

Janek podrapał się w głowę, co sygnalizowało intensywny proces myślowy.

- No, dobrze, a właściwie dlaczego tego nie robisz?

- O Boże! - jęknęła. - Myślałam, że nie ma przymusu.

- No, niby nie ma. - Wsunął się za nią do pokoju. - Ale posłuchaj

- spojrzał jej w oczy - czy wy z Drzygłodem przypadkiem nie ustaliliście, że wolę Patrycję albo że na przykład jest mi wszystko jedno?

Mimo woli uśmiechnęła się.

- Niczego z tym panem nie ustalaliśmy, ale byłoby to niezłe wnioskowanie.

- Zauważyłem, co robiliście, a wnioskowanie oczywiście błędne. Gdybyś była, jak by to powiedzieć - wzniosł oczy, szukając pomocy niebios - w innej dyspozycji duchowej, to zużywając mniej czy więcej czasu, skłoniłbym cię do tego, do czego powinienem. Ale w tym układzie rzecz była bez sensu.

Oczy Marty otwierały się coraz szerzej ze zdumienia.

- No, coś takiego! Szczyt megalomanii. Zostań już sobie w tym błogim przeświadczeniu, ale co chcesz od mojej dyspozycji duchowej? Jest bardzo dobra.

- Na pewno świetna, ale całkowicie nieodpowiednia. Więcej nie powiem, bo nie jestem samobójcą... - urwał, bo myśli ich obojga skierowały się na inny temat.

- A to nie było samobójstwo - powiedziała cicho Marta.

- Nie było. Czuję się winny.

- Ja też.

Jego profil zdecydowaną linią odcinał się od szarości za oknem. Reising był przygnębiony, podobnie jak Marta.

- Można było to przewidzieć - stwierdził. - Ona aż prosiła się o nieszczęście.

- Przecież nie zrobiono tego z irytacji. Chodzi ci o lustro prawdy i tak dalej?

Skinął głową.

Chciała zapytać, czy jego zdaniem pani Nina naprawdę coś wiedziała, bo według niej nic zupełnie, gdy zapukano do drzwi. Krzyś Nowakowski usiłując się uśmiechnąć, nieświadomie miętolił brzeg kraciastej bluzy.

- Znowu robią nam przesłuchanie. W zasadzie nic dziwnego. Wiecie, że znowu wszyscy mamy alibi?

- Tak, zdaje się, że tu jest taki zwyczaj. - Reising skierował się na schody, lecz Krzyś nie kwapił się do wyjścia.

- Wie pani - oparł się o framugę, wyglądał nie najlepiej - ja ją nawet lubiłem. Naprawdę. Była taka pełna życia, otwarta na świat. Mówiła wprawdzie czasem bez sensu, i co z tego? Ale przecież się nie liczy, że ja kogoś lubię. Że ja w ogóle coś czuję.

Marcie zrobiło się go żal. Wiedziała, co chciał powiedzieć.

- Niech się pan nie poddaje. Ma pan przecież szanse. Chyba, oczywiście, że Patrycja i Janek to coś poważnego.

- Z jego strony na pewno nie. Ale ona jest taka naiwna. I taka wspaniała. - Ożywił się. - Przecież nie musiała od razu o tym mówić, ale wolała się skompromitować, niż ukrywać prawdę. Ludzie w ogóle nie zastanawiają się, co jest prawdą, tylko co dla nich korzystne.

Marta przyznała mu rację. Zeszli na dół. Na szczęście od razu poproszono ją do biblioteki, gdzie urzędował młody blondyn w okularach w złotej oprawce.

- Przyznam się, że trochę liczę na panią - powitał ją z zachęcającym uśmiechem. - Racjonalnie myślący naukowiec to ktoś nieoceniony przy porządkowaniu faktów. O ile mogłem się zorientować, wszystko zaczęło się przed państwa przyjazdem i mamy dwóch potencjalnych podejrzanych o nieznaną twarz.

- Z zastrzeżeniem, że nie muszą być dwiema różnymi osobami.

- O, nie pomyślałem o tym ucieszył się. - Teoretycznie nie jest to wykluczone. Król Węgorzy nie ma nazwiska ani twarzy, natomiast siostrzeńca zamordowanej właścicielki domu widziano podczas wakacji. Poza tym nazywa się Jerzy Janecki. Tak, po prostu Janecki. - Uśmiechnął się, widząc zaskoczenie Marty. - Oskarżony o udział w licznych rozbojach i podpaleniu na dodatek. Ofiarą tego ostatniego wyczynu padł jego prawny opiekun. W oskarżeniu była mowa o nieumyślnym spowodowaniu śmierci, ale za tę nieumyślność nie dałbym złamanego grosza. Nie był to jego przybrany ojciec - zajrzał do notatnika - Stefan Janecki. Ten zmarł jakiś rok wcześniej. Co do interesującego nas dżentelmena, mamy odnotowaną zmianę nazwiska, ale tu na nieszczęście panuje dziwny bałagan zapewne z powodu zmian organizacyjnych. Bez znalezienia się tam na miejscu nie ma co marzyć o żadnej wiarygodności danych. W sumie prawdziwe personalia tego pana nie są najważniejsze, o ile w ogóle jeszcze żyje, bo z takimi zwyczajami i towarzystwem rokowania są średnie. Ale zaczęło się od podejrzeń skierowanych na niego, prawda?

- Tak, przysłanie pocztówki grającej. Ale otruć psa mógł każdy. Czy udało się ustalić, jak wyglądał ten dziadek Władysław, do którego nasz Wyrodek był taki podobny?

- Niestety nie. Plotki mówią, że był męski, przystojny, czarujący. Całego rzekomego spotkania jako przywidzenia nikt nie brałby na serio, gdyby nie fakt, że już kilka razy w zasadzie stale pijany Florian pomógł policji, zeznając absolutnie wiarygodnie. To chyba złośliwość losu, że nie żyje, bo choć miał koło dziewięćdziesiątki, trzymał się świetnie. Wpadł zwyczajnie do jeziora i koniec. Ale wracając do sprawy, co dokładnie zdarzyło się po państwa przyjeździe?

- Najpierw zginęło dawne zdjęcie psa gospodyni. Zginęło też pióro pana Drzygłoda.

- Czy pani wiąże te dwa fakty?

- Trudno powiedzieć. Może dwóch podejrzanych i dwie kradzieże? - uśmiechnęła się Marta.

- Co pani sądzi o wersji ostrzeżenia pana redaktora? Czy jego zachowanie w jakiś sposób wskazywałoby na to?

- Nie sądzę.

- Nie przejął się? Pokręciła głową.

- Jest pani pewna?

- Nie znam myśli tego pana, ale cały czas pokazuje lekceważenie problemu. Tego i wszystkich innych.

- Nie sądzi pani, że to może być poza?

- A w rzeczywistości się boi? Na pewno nie.

- Nie zaszkodzi jednak uważać. Idźmy dalej. Potem było pierwsze morderstwo, podczas którego rozmawiała pani z Antoniową. Czy coś pani usłyszała lub zauważyła?

- Niestety nie.

- Słyszałem, że morderca chciał udoskonalić stary numer z zegarkiem. Jak to było po kolei?

- Najpierw zobaczyliśmy zegar na podłodze ze wskazówkami na dziesiątej trzydzieści dwie. Nikt tego nie wziął poważnie właśnie ze względu na stary numer. Ale potem była mowa, że zegar ma urwaną śrubkę, nie nastawia się go, więc godzina jest wiarygodna. Ustalono alibi. Dalej pani Aleksandra stwierdziła, że owszem, zegar nastawia się, bo śrubka została przyklejona. To zmieniło sytuację. Komisyjnie otworzono klapkę. Śrubki nie było. Czyli ktoś tam majstrował i jeszcze ją wyjął, żebyśmy myśleli, że nie można było nic nastawiać. Oczywiście nie było całkowitej pewności. Ktoś, na przykład gospodyni, mógł ruszać zegar i znowu śrubkę urwać.

- Ale w końcu się znalazła?

- Właśnie. I to dziwne. U pana Trzeciaka, pewnie podłożona. Pewnie morderca, widząc, że przejrzano jego plan, chciał rzucić na kogoś podejrzenia. Poza tym wszystkie alibi unieważniły się. Przeciwnie, ten, kto je miał właśnie na dziesiątą trzydzieści dwie, stał się najbardziej podejrzany.

- Tak jest. - Zajrzał do notatnika. - Czyli prawie każdy. Co dziwnego wydarzyło się dalej?

- Tego dnia już nic. Natomiast od rana o mało wszyscy nie zostaliśmy zaczadzeni. Antoniowa podobno omyłkowo zasunęła szyber. Ze zdenerwowania, ale nikt tego sobie nie może wyobrazić.

- I to jest podejrzane.

- Bardzo. Tak samo jak zamknięcie pokoju pana Reisinga i zaginięcie klucza. Niedługo potem atak łazika widma na samochód pana Drzygłoda. To oczywiście tłumaczy się ludzkim niedbalstwem i prawami przyrody, ale nie wiem, czy znajdziemy miejsce na przypadki.

- To prawda. Co pani sądzi o drugim morderstwie?

- Że zaszkodziło opowiadanie o lustrze prawdy, albo obie panie były jakoś ze sobą powiązane. Pani Nina przyjeżdżała tu od dawna. Chciała sprawiać wrażenie osoby panującej nad sytuacją, trochę na siłę. Wyciągała dziwne wnioski ze słabych przesłanek, udzielała nieproszonych rad.

- Słyszałem, że kilku osobom dokuczyła. Od kilku lat przyjeżdża tu również pan Nowakowski. Co pani o nim sądzi?

- Trudno powiedzieć. Wygląda na pochłoniętego własnymi kłopotami.

- Może sercowymi?

- Może. Poza tym jest bez pracy, bez ustawienia finansowego. To budzi w nim przekonanie o braku szans u dziewczyn.

- Pewnie w dużej mierze słuszne. Czy chodzi o konkretną dziewczynę? Wodził oczami za tą blondynką.

Skinęła głową.

- Nie ukrywa tego. Jeśli natomiast o nią chodzi, nie mam pojęcia, jak jest naprawdę.

- Pół domu aż kipi od sensacji, że podczas morderstwa była z panem Reisingiem w lesie w celach jednoznacznych.

Marta mimo woli uśmiechnęła się.

- Skoro tak mówi, to pewnie ma rację. Niech się pan tak nie patrzy. - Nie mogła powstrzymać się od śmiechu. - W ogóle nie mam zwyczaju mordować z zazdrości, a w dodatku nie jestem związana z panem Reisingiem.

- Przepraszam, a z kim? Uśmiech zniknął. Uniosła brwi.

- Nie rozumiem.

- Scena na werandzie - powiedział bardzo nieśmiało.

- Ten ktoś na werandzie po prostu przypuszczał to samo co pan.

Prokurator błysnął szklami złotych okularów.

- Wobec tego już nie przypuszczam. Ale w takim razie może zapytam, czy wierzy pani w alibi pana Reisinga. Potwierdzone tylko przez tę dziewczynę o godzinie, którą sam jej podał.

- Absolutnie tak.

- Dlaczego? To intuicja kobiety czy spojrzenie naukowca?

- Rozsądnego człowieka. Gdyby pan Reising chciał skłamać, zrobiliby to lepiej. Tak żeby pan nie miał wątpliwości.

- Wysoko go pani ceni.

- To prawda. Zdecydowanie wysoko.

- A zamordowana Nina Boguszewicz? Jaki był jej stosunek do pozostałych? Czy była z kimś bliżej? Może odniosła pani wrażenie, że spotyka się z kimś w tajemnicy. Albo wie coś, czego nie mówi, bo się boi?

- Raczej przeciwnie. Mówiła wszystko, co wydawało jej się, że wiedziała. I chyba nigdy w życiu nie bała się niczego.

- Ma pani na myśli to niefortunne opowiadanie o pochodzeniu i wymowie redaktora Drzygłoda. Co pani o tym sądzi?

- Że każdy może mówić, co chce, i pochodzić, skąd chce. Mnie jest wszystko jedno.

- Myślę, że to był jeden z tych nieszczęśliwych zbiegów okoliczności, jakie pana Drzygłoda dotknęły. W rozmowie ze mną lekceważył wypadek z samochodem. Czy pani sądzi, że naprawdę się nie przejął?

- Jeśli się przejął, to samym faktem ludzkiego niedbalstwa. Karygodnym i dla niego nie do pojęcia. Pana redaktora osobiście nie dotyczy nic.

Młody człowiek w okularach pokiwał głową.

- Tak mi się też wydawało. Oby to była prawda. Dziękuję pani bardzo.

Wychodząc, zastanawiała się, dlaczego nie wspomniała o wieczornej przygodzie przy starej tawernie. Po prostu nie pytał, nie dotyczyła pani Niny, a w ogóle wymagała zbyt długiego tłumaczenia.

Omam nie wpadła na Antoniowa, która z kolei nie zwróciła na nią uwagi. Z wyciągniętą złowieszczą ręką polowała na Janka Reisinga.

- Ma pan zgubę - oznajmiła dobitnie. Na otwartej dłoni błysnął kluczyk. - W bibliotece leżał. Sam nie wszedł. Z kieszeni wypadł.

Reising nie speszony obrzucił ją chłodnym spojrzeniem.

- Sam nie wszedł, z kieszeni nie wypadł. Dziękuję pani. - I zaraz odwrócił się do Marty. - Miło się rozmawiało? Ja zaraz skończę.

- Tego pan nie wie - zauważyła Antoniowa. - Prokurator decyduje, nie pan.

Gdy rzeźbiarz bez odpowiedzi zniknął za drzwiami, Marcie opadły ręce. Stała naprzeciw Antoniowej, czekając nie wiadomo na co.

- Gdzie dokładnie leżał ten kluczyk? - zapytała.

- Ano tam, jak państwo zdjęcia oglądali. Może kieszeń była dziurawa.

- On go nie nosi w kieszeni. Zostawia w drzwiach, przecież pani wie.

- Raz mógł włożyć. Tak jak raz wziął zegarek do lasu z dziewczyną. - Skrzywiła się pogardliwie w stronę Patrycji kroczącej w objęciach Beaty Wolskiej.

- Po tych przejściach należy ci się odpoczynek, może łyk kawy, moja droga. - Wolska prowadziła ją do salonu. - Powoli uodpornisz się na wszystko, ale na razie musi ci wystarczyć, że postąpiłaś szlachetnie, a nawet bohatersko.

Antoniowa odwróciła się do kuchni.

- Też mi bohaterstwo. Wstydu nie ma i tyle. Marta zostawiła ją z tym zgorzeniem. Czowała się naprawdę zmęczona. Na górę i odgrodzić się od świata.

Schody wydawały się jej bardzo wysokie, a drzwi ciężkie. Usiadła przy stole i zagapiła się w okno. Szarość i beznadziejność. Jutro będzie w Warszawie i dołoży starań, żeby o wszystkim zapomnieć. A może już się spakować? Świetny pomysł. Od razu poczuła się trochę lepiej. Z niespodziewanym przyływem energii wyciągnęła torbę, otworzyła szafę i już chciała rozpocząć przesypywanie jej zawartości, gdy usłyszała pukanie. Oczywiście Krzysztof Nowakowski. Zgnębiony.

- Mogę? Pani się pakuje. Dobry pomysł. - Usiadł naprzeciw przy stole i niepewnie się uśmiechnął. - Ja też o tym myślałem. Bardzo się cieszyłem na powrót do domu, ale nie wyszło.

Wiedziała, co nie wyszło, ale nie wiedziała, co powiedzieć. Chwilę milczeli.

- Wyobraża sobie pani, jest awantura - mówił raczej tylko po to, żeby mówić. - Antoniowa zaczęła chodzić i gadać o tym nieszczęsnym kluczu pana Reisinga. Aha, kazał pani powiedzieć, że idzie na spacer i niedługo wróci. No i w końcu prokurator poszedł zobaczyć, gdzie leżał ten kluczyk, bo to przecież niezła historia z zamkniętym pokojem, w którym w dodatku ktoś pewnie buszował. No to oglądają i jak to policja, wszystko chcą wiedzieć, wzięli się za albumy. Normalna sprawa. I nagle wrzask, że nie ma zdjęcia. Myślałem, że znowu jakiś pies albo kot zginął, a tu okazuje się, że całkiem co innego. Większe. Pomnik. I to czyj! Bohaterów Wyzwolicieli. Pani sobie wyobraża? - urwał i błądził wzrokiem po suficie. - Chciałem z nią porozmawiać - Marta domyśliła się, że nie

chodzi o Antoniowa i że nastąpiła zmiana tematu na ważniejszy - ale ta Wolska tak nią zawładnęła, że się nie dało. Może i dobrze. Wyszedłbym na głupiego. A pani Godziszewska ciężko chora. Wszystkie plany na nic.

- Martwi się pan? - uśmiechnęła się Marta.

- Z tego to się cieszę. Myśli pani, że ona go kocha?

- Nie mam pojęcia, ale może być coś w tym rodzaju.

- A on ją? Nie, to nie taki facet. Ona jest dla niego na raz, na dwa i tyle.

- Chciałby pan być pocieszycielem? Krzyś wzdrygnął się jakby od nagłego chłodu.

- Przecież to nic złego, a z czasem może... - westchnął i wyraźnie zmusił się do skończenia tematu. - Ruszymy się między ludzi? Żeby nie zwariować.

Ruszyli się. Na dole panował nastrój zgodny z oczekiwaniami, ale przerwał go hałas przy wejściu.

- Już wiem wszystko. - Leśniczy mimo chłodu ocierał pot z czoła. - Przemaglowali mnie jak nikt. Chyba uczepili się pomysłu, że to tutejsza lokalna historia. Samotna kobieta w lesie, naokoło grasują bandy kłusowników. Też coś. Może jeszcze Wyrodek przyczajony gdzieś na drzewie. - W miarę jak mówił, złość wylewała się z niego coraz większym strumieniem. - I na dodatek, proszę sobie wyobrazić, upierali się, że wałęsałem się dziś koło starej tawerny. Kiedy ja od rana wycierałem kurze w połowie urzędów w Pomyślewie. I jakby tego było mało, mają podobno wiarygodnego świadka. Niech sobie lepiej zapytają wszystkich babsztyli za biurkami, ile czekoladek ode mnie dzisiaj wzięły. Niech im powiedzą, czy miałem choćby pięć minut, żeby być gdzie indziej niż na ich przedpokojach. Ot, co! - Zmęczony upadł na stary fotel, który zaskrzypiał ostrzegawczo.

- O mój Boże! - jęknął Wolski.

- Niech się pan nie martwi - machnął ręką leśniczy. - Dam sobie radę.

- Nie o to chodzi, ale jeśli pana tam naprawdę nie było...

- Naprawdę?!

- To znaczy nic innego jak to, że jedna osoba nie ma wiarygodnego alibi.

- Kto?

- Pan Drzygłód - odpowiedziała Wolska z twarzą w dłoniach.

- O rany, to się zgadza - po chwili milczenia powiedział już spokojnie leśniczy.

- Co się panu nagle zgadza? - zdenerwował się Krzyś. - Nie przesadza pan?

- Nie przesadzam. Nie wiem, czy państwo są zorientowani, ale ja rozmawiałem bardzo dokładnie z policją. Sznurek, którym uduszono tę nieszczęsną kobietę, został zawiązany w bardzo fachowy sposób. Węzeł żeglarski zwany dusicielem. Służy podobno do mocowania przedmiotów obłych. Trochę też na ten temat czytałem.

- Ale pan nie ćwiczył? - spytał grzecznie Wolski.

- Nie, proszę pana. Ktoś inny tutaj, owszem. Rajstopy tego nie wymagają, zaciskają się same, ale nylonowy sznurek...

Marta poczuła się dziwnie. Czyżby robiło jej się słabo? Po raz pierwszy w życiu? To jest niemożliwe, co oni mówią. Jak zły sen.

Niezbyt pewnym krokiem wyszła z salonu.

- Przyjadą jutro koło ósmej - słyszała. - Teraz pojechali do jakiegoś morderstwa rabunkowego przy okazji powodzi. A gdzie on teraz jest?

- U siebie.

- A my nie docenialiśmy tego opowiadania nieboszczki o wymowie wyrazów i lustrze prawdy.

- On doceniał.

- Ja się boję.

- Nie ma czego, jesteśmy wszyscy razem.

O Boże, kiedy ten Janek wreszcie przyjdzie! Marta oparła się o ścianę w korytarzu i próbowała głęboko oddychać. Niech ktoś coś poradzi, niech coś się zmieni. Przeszła do kuchni i opadła na krzesło. Nie protestowała, gdy Antoniowa po odniesieniu tacy z niebywale obfitym wczesnym podwieczorkiem okryła ją wełnianą chustą.

- Dałabym pani kieliszek - mruknęła - ale może lepiej nie.

Chwile mijały w jakimś półśnie. W sumie nie ma o czym myśleć. Bezlitosne fakty zwyciężyły. Ktoś musiał być mordercą, dlaczego nie ten człowiek? Nie ma powodu, żeby wierzyć, że to nie on. Co zrobić, by wszystko zapomnieć?

Drgnęła. Ktoś ją leciutko pogłaskał. To Reising, który przykucnął przy jej krześle. Jasne włosy świeciły kropelkami wilgoci opadłej z drzew.

- Widzę, że wiesz, co się stało - powiedział cicho. - Gdzie on jest teraz?

- Chyba u siebie. - Powoli wracała do rzeczywistości.

- Czy zdaje sobie sprawę?

- Nie mam pojęcia. Pewnie nie, bo skąd?

- To dobrze. Ja musiałem sprawdzić jedną rzecz...

- I co?

- W porządku.

Rany boskie! O jakim porządku on mówi? Jasne, teraz spokojnie patrzy na finał, ma artystyczne przeżycie. Może będzie z tego happening. Potem dostanie nagrodę i na przykład następny tytuł naukowy.

- Miałem zakaz myślenia, więc musiałem się z tym zamiarem wynieść z domu.

- Teraz wymyślają za ciebie.

- Właśnie, słyszałem, że wybierają się na wizję lokalną. Chcesz iść?

Potrząsnęła głową.

- Słusznie, szkoda zdrowia. - Ponieważ Antoniowa stanęła nad nim, zmienił temat. - No i co? - zagadnął. - Po kłopotcie? Policja przyjedzie, robotę zrobi, my się wyniesiemy do domu i spokój. Tylko kto tu będzie teraz rządził?

Wzruszyła ramionami.

- Mnie tam za jedno. Odchodzę.

- I gdzie pani teraz będzie mieszkać? - zatroszczył się.

- U krewnych. Przyjmą mnie.

- A panna Aleksandra za mąż nie wychodzi? Wnuki można by pobawić.

- Da Bóg, to i wyjdzie.

- Zdjęcie się nie znalazło?

- A jak pan uważa?

- Mnie nie wolno niczego uważać. Mam szlaban na używanie rozumu. Co do zdjęcia, to pewnie jakiś wielbiciel. Świetnie pani wyszła, jak zwykle na takich uroczystościach.

Zatrzęsła się.

- Niech pan stąd idzie. I na oczy mi się nie pokazuje. Reising wziął Martę za rękę.

- Nic tu po nas. Chodź, położysz się po prostu i wypoczniesz. Z książką. Albo się prześpisz.

Nie wiedziała, kiedy i jak zaprowadził ją na górę, ułożył na tapczanie i przykrył kocem. Wetknął jej w rękę Imię Róży i szklanę mleka.

Wzdrygnęła się na widok tytułu.

- Myślisz, że on naprawdę nie wie, że wszyscy wie - Nic w tym dziwnego. Odciał się od nas, założył słuchawki i zablokował kontakt z ludźmi. Pewnie ma taki zwyczaj i bywa konsekwentny. Zejdzie na kolację i dopiero będzie ciekawie. Do tego czasu spokojnie można zaczekać. Ja posiedzę, ty poczytaj.

Posłusznie wbiła nos w książkę. Janek po drugiej stronie stołu coś rysował. Chyba po trzech stronach zasnęła. Płytkim, niespokojnym snem. Dręczył ją dziwny koszmar. Biegła gdzieś, do jakiegoś nieznanego celu po ciemnym, mokrym lesie. Gałęzie świerków atakowały ją, biel brzoźek raziła w oczy. Wokół powoli podnosiło się bagno. Chciała stanąć, ale wiedziała, że musi biec dalej. Nagle zaczęła zapadać się w gęstą, zimną maź. Błoto sięgało jej już po szyję. Obudziła się z krzykiem strachu.

Reising usiadł przy niej.

- Zły sen?

- Wpadłam do tego waszego bagna. Nawet nigdy go nie widziałam. Długo spałam?

- Niecałą godzinę. - Wyrzął przez okno. - Wrócili i wyglądają na bardzo zadowolonych. Chcesz się dowiedzieć z czego?

- Zamiast takiego snu wolę patrzeć na nich. - Dwoma ruchami poprawiła włosy, albo raczej jeszcze bardziej je rozczochrała.

- Nie przebieraj się, nie chesz. - Janek patrzył na nią z podziwem. - Tak jest świetnie.

Przywykła do komplementów i traktowała swój atrakcyjny wygląd jako coś oczywistego, ale to bez znaczenia. Zwłaszcza teraz. Trzeba zejść na dół, zmobilizować się i nie myśleć.

Rozdział 16

Na dole zebrano się wokół stołu zastawionego ciastem, owocami i - o zgrozo - czekoladą domowej roboty. Świeżo przybyli grzali ręce szklankami z herbatą i kawą. Patrycja, powoli nawijając na palec platynowy kosmyk, z rozchyłonymi ustami chłonęła słowa Wolskiego, który trzymając rękę żony, referował wyniki ekspedycji.

- No i oczywiście na samym miejscu zbrodni nie ma żadnych śladów. Trudno się spodziewać, żebyśmy znaleźli coś, co umknęło uwagi policji. Sherlockami nie jesteśmy. Pogadaliśmy chwilę i podeszliśmy jeszcze na cmentarz. Wszystkie tablice przeczytaliśmy tak dla porządku, może się coś na logikę skojarzy. I tylko na tym największym u Rhodlina leżała wciśnięta wiązka wrzosów. A jaka ogromna, ktoś się postarał. Obok, u tego Witoskiego też coś było. Nie widać żadnego związku z morderstwem. Chyba żeby pani Nina wiedziała jakieś rzeczy i to na temat Rhodlina. Kiedy zrobiło się chłodniej, zebraliśmy się do domu. Przy okazji zajrzeliśmy nad wodę, bo jeśliby ten ktoś płynął łodzią, to musiałby jakoś dobić do brzegu. Chcieliśmy poszukać śladów. Ale tam brzeg jest taki, że można łódkę przywiązać i jej nie widać. Dlatego policja podejrzewała leśniczego, zanim przedstawił alibi.

Postaliśmy sobie trochę nad wodą, popatrzyliśmy na wodorosty i wtedy pan Krzysio miał pomysł przyciągnięcia jednego, bo to ekologiczne. I chwala mu za to. Dlatego, że oczywiście się poślizgnął i byłby plusnął do wody, ale na szczęście wpadł w piasek.

- Tak było. - Kiwnął głową dumny z siebie Nowakowski. - A teraz skoczę sprawdzić, co na górze.

- Rozgarnął butem trochę piachu i z niego... - Wolski zawiesił głos, prostując się w fotelu - Beatko, zaprezentuj to wszystkim.

Wolska otworzyła torebkę, z której drżącą ręką wyjęła coś małego, zawiniętego w serwetkę.

Marta zamrugła oczami. Na cienkim papierku leżał metalowy guzik. Rzeczywiście, chyba go już widziała.

- Coś takiego! - jęknęła Godziszewska. - Od jego kurtki.

- Bardzo się starał, żeby nie zostawić śladów, ale o sobie nie myślał. To naturalne - rozważał Wolski. - I mało brakowało, a nie znaleźlibyśmy tego.

- I tak by wpadł - stwierdził Trzeciak. - Życie w końcu bywa sprawiedliwe. Czasami.

- Ale dlaczego? - denerwowała się Godziszewska. - Czy wiecie, dlaczego on to naprawdę zrobił? Ja po prostu nie mogę uwierzyć.

- Proszę pani - westchnęła Wolska - nikt nie może. To jest dla nas niezrozumiałe.

Przerwała na widok lekko zdyszanego Nowakowskiego.

- Wszystko w porządku - zameldował. - Czyta sobie książkę. Relaksuje się. Nie mówiłem, że tak będzie? Przecież życzył sobie, żeby go nie niepokoić.

- No i bardzo dobrze - odetchnął Trzeciak. - Kto inny go zaniepokoi.

- Człowiek z taką pozycją - kręciła głową Godziszewska - nie do pomyślenia. Żeby mógł mieć coś wspólnego z tymi Węgorzami. Człowiek kulturalny, a z jakiejś mafii.

Wolski przytaknął z przekonaniem.

- Ja też, gdyby ktoś mnie pytał, powiedziałbym absolutnie, że to nie on. Myślę, że jedyną osobą, która mogła coś przeczuć, albo nawet wiedzieć, jest Antoniowa. Może by ją delikatnie wypytać.

- Doskonały pomysł. - Krzyś wyskoczył na korytarz i po chwili wrócił, prowadząc wyprostowaną kobietę.

- Niech nam pani zdradzi - kontynuował Wolski - kiedy pani się zorientowała, że pan redaktor Drzygłód to Król Węgorzy? Od razu czy jego elegancja panią zwiódła?

Antioniowa po raz pierwszy od dawna nie obraziła się ani nie zezłościła. Przeciwnie, przez jej opaloną twarz przemknął cień uśmiechu. Był to uśmiech samozadowolenia.

- Żeby tak od razu, to nie powiem. Trochę zeszło. Ale swój rozum mam, niejedno w życiu widziałam, to i zwieść mnie nie tak łatwo. Tylko że co z tego? Udawać musiałam, żeby jak pani gospodyni nie skończyć. Córkę mam, też muszę pamiętać. - Obrzuciła gości spojrzeniem i odmaszerowała do kuchni.

Chyba naprawdę była z siebie zadowolona. Jakaś taka odprężona. To jedno jest pewne. Marta potarła czoło. Widać zdążyła się zarazić od Janka tym rejestrowaniem emocji. On sam za to teraz stanowi przeciwieństwo Antoniowej. Absolutnie niezadowolony, skupiony na własnych myślach, nie bierze udziału w rozmowach. Z pewnością w taki właśnie sposób powstają dzieła wybitnych artystów. Dobrze i to. Jedyny pozytywny efekt całokształtu wydarzeń. Tak, weźmie ciasto, które jej w milczeniu podsunął. Nic innego nie ma do zrobienia.

- Co zjesz, to twoje. - Jakby czytał w jej myślach.

- Nadchodzą ciężkie czasy.

- No dobrze - odezwała się Godziszewska. - Co z tym Wyrodkiem? Niewinny?

Wolska prawie się ucieszyła.

- Pewnie, że tak. Ktoś musi.

- Na to wygląda - potwierdził jej mąż. - W sumie trzeba przyznać, że miał szczęście. Być może chciał tylko postraszyć ciotkę, żeby od niej coś wyegzekwować, a tu wszystko ułożyło się lepiej, niż mógłby się spodziewać. Takim egzemplarzom ludzkim los sprzyja.

- Ojej - jęknęła - czuję, jakby patrzył na nas.

- Patrzy, uśmiecha się i wie swoje - kontynuował z zadowoleniem Krzyś.

Trzeciakowi nie spodobał się jego ton.

- Patrzy z włosami w pędzel i w wojskowych butach. I nie wiem, czy to takie szczęście dostać w końcu po latach to, co się należy. Ostatecznie został potraktowany przez los niesprawiedliwie i dopiero teraz mu się odwróciło. Ale też pamiętajmy, że najpierw chciał ciotkę zlikwidować, tylko zwyczajnie nie zdążył. Za długo bawił się w straszenie.

- Tego pan nie może stwierdzić - oburzyła się Wolska. - Nie ma podstaw, prawda, panie Janku?

Reising wbrew pozorom słyszał, co się mówi naokoło. Uśmiechnął się do niej.

- Jasne, że ma pani rację. Najlepiej będzie go zapytać, kiedy się pani przedstawi.

- Sądzi pan, że go poznamy?

- Czemu nie? Nie ma powodu, żeby przepadł bez wieści, skoro już się pojawił.

- Tak, poznam go, kiedy będzie chciał nas znowu wykończyć. Na przykład spalić. Bo pokazał, że potrafi. Nie cieszyłabym się na to spotkanie.

- Cieszyć się na pewno nie ma na co - podsumował jej mąż - ale o strachu też nie ma sensu mówić. Najgorsze mamy za sobą. A i kolacja też, widzę, wjeżdża po tym przedłużającym się podwieczorku. Jest jeden problem: co zrobić z tym człowiekiem na górze. Raczył zlecić, by zawołać go na kolację.

- Oleńka poszła do niego. Zaniesie mu tacę do pokoju. Niech nie zmiarkuje, co się dzieje.

Reising mrugnął na Martę.

- Bierz żarcie. Choćby przez rozum.

Nie miała apetytu. Najchętniej poszłaby na górę, ale nie mogłaby być sama z takim sąsiedztwem. Tupot na schodach ogłuszył ich.

- Nie ma go! - krzyczała Oleńka. - Nie ma!

- Czego nie ma? - nie zrozumiała Godziszewska.

- Drzygłoda. Pokój pusty. W całym domu go nie ma! Zniknął!

Marta mimo wszystko nie mogła uwierzyć. Jak to nie ma? Człowiek nie znika, a w każdym razie nie ten człowiek.

- Protestuję! - podskoczył Krzyś. - Dopiero co był. Widziałem go przez dziurkę od klucza.

- Albo pan źle widział, albo jest pod łóżkiem, albo w szafie, albo wyparował - dał mu do wyboru Trzeciak.

Tak, wyparował. Nie ma go, nie ma problemu. Dziwne, że poczuła ulgę. Coś jakby wrażenie bezpieczeństwa. Dlaczego? Przecież właśnie to jest niepokojące.

- Nie mógł wyparować! - Oleńka jeszcze krzyczała. - Nie mógł zejść schodami, oknem nie wyskoczył.

- Wyfrunął kominem - stwierdził zgryźliwie Wolski. - Tak się musiało stać. Przecież to nie był idiota. Przechytrzył nas. Sprawdźmy jego pokój.

Tylko Marta i Reising nie ruszyli się z miejsca. Znowu jej coś podsunął.

- Mówię ci, jedz.

- Po co? W domu się najem.

- W domu może być za późno. Jedz, jeszcze mi podziękujesz.

- Myślisz, że jest tak, jak mówią? Przechytrzył nas?

- Czy przechytrzył? Nie wiem. Ale na pewno zwiął, skoro go nie ma. Nie dziwię się.

- Spodziewałeś się tego?

Skinął głową.

- Jak to? - ledwie mogła mówić ze zdziwienia. - I nic nie robiłeś? Nie próbowałeś temu zapobiec? Przecież można było.

Zaczęło jej się wydawać, że widzi Reisinga naprawdę po raz pierwszy. Zmienił się. Okoliczności się zmieniły. Czy ona go znała? Nie wykonał ani jednego ruchu w pozytywnym kierunku. Nie zdziałał

nic dobrego. Ma twarz jak rzeźba. Może i ładna, klasyczna, ale rzeźba. Dlaczego ona, Marta, pochłonięta swoimi sprawami cały czas polegała na nim? Na jego bezsensownym, pseudoartystycznym opowiadaniu o emocjach. W tej chwili jest bezbronna wobec faktów, z którymi on czuje się dobrze. A ona nawet nie wie, czym się martwić.

Tłum z góry przetoczył się do wyjścia.

- Lecimy do garażu zobaczyć, czy jest jego wóz! - zawołał Krzyś.

Wolski obejmował żonę, która ukradkiem ocierała oczy. Reising nie zwracał na nich uwagi. Zaprowadził milczącą Martę na górę. W pokoju postawił tacę.

- Volkswagen jest na miejscu. Leśniczemu jakoś udało się zatarasować mu wyjazd swoim gratem.

Pomyślała, że to jakieś fatum. Znowu ten łazik.

- Odpocznij - usłyszała. - Zanim przyjdą i zaczną sejmikować.

- A ty? - spytała odruchowo. - Co będziesz robił? Odwrócił się w drzwiach.

- Ja? Będę ratować, co się da. Nie przejmuj się.

Przymknęła oczy. Co tu można ratować? Nie uratuje gospodyni ani pani Niny. Jest tu człowiek, który był kimś innym, niż myśleli. Kimś innym w ogóle, bo mordercą. Ona robi wszystko, żeby zapomnieć, ale wie, że jego obraz, ten fałszywy, zapamięta do końca życia.

Za oknem powoli się ściemniało. Nic dziwnego, to wszystko trwało jakiś czas. Poszukujący, wymachując latarkami, krążyli po podwórzu, za wszelką cenę chcąc znaleźć przestępcę. Pewnie powinna zasnąć, ale znów przyśni jej się jakiś koszmar. Nie otwierając oczu, usłyszała przez drzwi Wolskiego.

- Pani Marto, niech pani nie wstaje, nie trzeba. Każdy idzie do siebie, bo nic nie wymyślimy. Policja załatwi to za nas. Rano przyjeżdża prokurator. Dobrej nocy.

Ucieszyła się. Chyba nawet nikt nie oglądał telewizji. Usiadła na tapczanie. Nie, to nie koniec, to początek. Wreszcie rozumie, dlaczego tak dziwnie się czuła. Czekala na coś. Teraz to się zaczyna.

Janek wszedł bez pukania. Siadł przy stole, spojrzał jej badawczo w oczy.

- Nie jesteś bardzo zmęczona? Wspaniale. Słuchaj, może się okazać, że będziesz bardzo potrzebna. Powiedz prawdę, czy czujesz się na siłach pójść ze mną? Pewnie daleko i w ciemności.

- Co za pytanie! - prawie się obraziła. - Oczywiście, że się czuję na siłach. Wy tłumaczysz mi łaskawie, o co chodzi, czy tak po prostu idziemy?

Co się z nią dzieje? Dlaczego mu kompletnie bezpodstawnie wierzy? Musiała stracić rozum. Jednak ma tylko dwie możliwości. Zostać albo wyjść z nim. Wybiera drugą, choć nigdy w życiu nie zrozumie dlaczego.

- Na razie tak po prostu. Włóż na siebie wszystko, co masz najcieplejsze, i jeszcze upchnij do mojego plecaka. Wychodzimy cicho. Przyjdź do mnie, kiedy będziesz gotowa.

Gotowa była szybko. Wciągnęła na siebie wszystko, co się tylko zmieściło, i za chwilę wsunęła się przez uchylone drzwi do pokoju Janka. Miał na sobie gruby sweter i wkładał coś do wielkiego plecaka.

Otworzyła szeroko oczy.

- Co tu napchałeś w takiej ilości?

- Wszystko, co potrzebne do przeżycia jakiś czas. Masz ubranie i buty na zmianę? - Wyciągnął rękę. - Bardzo dobrze. To twoja latarka. Zaświecimy dopiero w lesie. Idziemy.

Bezszelestnie zeszli ze schodów. Na dole na widok światła z otwartej kuchni Marta zawahała się, nie wiedziała, jak zareagować na stojącą w drzwiach Antoniowa. Reising jednak podniósł rękę na pożegnanie, a kobieta milcząco nakreśliła w powietrzu znak krzyża.

- To coś nowego. - Marta nie posiadała się ze zdziwienia. - Od kiedy takie dobre stosunki?

- Od teraz. Połowa plecaka jest od niej. I dokładny opis trasy, którą pójdziemy.

Zanurzyli się w niebezpieczny, ciemny las. Nawet teraz dawał się we znaki wilgotny, przenikliwy wiatr. Na szczęście nie padało.

- Wiem, że to babska ciekawość, ale ciągle mam nadzieję, że wyjaśnisz mi, co ja tu robię z tobą o tej porze.

- Co tu robisz o tej porze? - powtórzył miękko. - Idziesz drogą, którą Antoniowa wysłała niejakiego Wojciecha Drzygłoda, aby umknął organom ścigania.

Martą wstrząsnął dreszcz. Chyba jednak nie z zimna.

- Dlaczego? - spytała rzeczowo.

- Bo nie chcemy, żeby on został tu na przykład na zawsze w którymś z bagien.

- Chcesz go spokojnie oddać w ręce policji zdrowego i całego? - usiłowała zrozumieć.

- No, niekoniecznie. Ale na pewno w miarę możliwości zdrowego i całego. I mogą do tego być potrzebne dwie osoby. Poza tym mam takie wrażenie, że bezpieczniej trzymać się razem.

- Bezpieczniej! Masz na myśli legendę o Wyrodku, który z kurnika zastanawia się, jak to wszystko puścić z dymem? Masz rację, tu jest przyjemniej. Naprawdę idziemy na bagna?

- Dokładnie. Dojdziemy do Czarciego Przesmyku. Nazwa jest myląca, to żaden przesmyk.

- Bardzo dobrze.

- Nie bardzo. Można się tam tylko utopić. Jakies dziesięć metrów za nim, za kępą brzózek i jałowcem, jest niewidoczna dróżka. Tamtędy Drzyglód miał pójść na skróty. Potem będzie niewidoczna, wytyczona świerkami trasa, którą należy dojść do prawdziwej ścieżki i nią do jeszcze prawdziwszej szosy z asfaltem. Tam przy tej szosie - ciągnął tonem gawędziarza - w odległości paru kilometrów stoi sobie stacja benzynowa prowadzona przez jakiegoś krewniaka Antoniowej. Drzyglód powoła się na nią, pożyczyci samochód i już jest w domu, albo gdziekolwiek mu się podoba.

Marta wzniosła oczy do góry. Na tle ciemnego nieba wierzchołki drzew tworzyły delikatną czarną koronkę.

- Mam nadzieję, że nie poszczują nas psami na tej stacji. Jeśli wcześniej nie utoniemy w bagnie.

- Nie mamy takiego zamiaru. Zaraz. O, chyba za tą krzyżówką ma być dąb i sąg.

- Sąg mogli rozebrać.

- Nie rozebrali. Skręcamy w lewo.

- Gdzie chcesz skręcić? W te krzaki? Nigdy.

- Antoniowa powiedziała skręcić, to skręcamy. Z nią nie ma dyskusji.

- Rzeczywiście skręcamy. Chyba obie nogi, jedną po drugiej. Przecież to się nie nadaje nawet dla zająca.

- Zając skacze, a ty idziesz. I masz tylko dwie nogi, to zawsze jedną gdzieś postawisz.

Na to Marta nie miała już argumentu. Ku jej zaskoczeniu jednak po kilkunastu krokach, z których każdy stanowił ryzyko zwichnięcia kolana, w świetle latarki pokazała się całkiem przyzwoita, choć kręta ścieżka. Coś takiego musi gdzieś prowadzić, skoro już jest.

- Wiesz chociaż, o co tu chodzi? - spytała ciągle urągliwym tonem.

- Chodzi o skrót. I jeszcze, żeby nikogo nie spotkać, jeśli się nie chce.

- O, to na pewno. Nie spotkamy tu nikogo. Normalnego.

Las nocą Marta pamiętała z dzieciństwa raczej pozytywnie. Był straszny, ale w zaczarowany sposób. Nawet przytulny. Teraz nie. Wilgotny i nieprzyjazny, krył w sobie coś wrogiego, ale co to było, miała się dopiero przekonać. Tylko pohukiwanie sowy brzmiało racjonalnie.

- Dlaczego nie pozwolisz mu spokojnie dojść do tej stacji i pojechać sobie? Tym bardziej że jest już pewnie w szybkim samochodzie daleko stąd.

Reising prawie się roześmiał.

- Naprawdę tak myślisz? Wyobrażasz go sobie prościutko, skutecznie zmierzającego w bezpieczne miejsce?

Wzruszyła ramionami.

- Skąd mogę wiedzieć? Dlaczego nie? Skoro uciekł, to chyba wiedział po co.

- Przekonasz się.

- Mówisz, jakbyś go dobrze znał.

Reising przez chwilę się nie odzywał. Marta sądziła, że nie dosłyszał. Jakaś mokra gałąź o mało jej nie uderzyła w twarz.

- Mam artystyczną intuicję - odezwał się w końcu niezbyt głośno - że ktoś tędy szedł.

- Czy ona ci przypadkiem nie podpowiada, że Król Węgory będzie chciał nas na przykład zastrzelić, jeśli przeszkodzimy mu w ucieczce?

- Teoretycznie może, ale raczej coś takiego nie wchodzi w grę. Popatrz na te liście.

- Ktoś tędy przechodził? - Zniżyła latarkę.

- Chyba tak. Ani trochę nie jestem tropicielem, ale na pewno niedawno ktoś to przygniótł. Wyjątkowo porządnie.

Skrzywiła się. Do porządnosci było daleko. Ale jak na tego typu intuicję mogło być znacznie gorzej. Byleby nie stała się teraz za bardzo twórcza.

- O psiakrew! - usłyszała. Reising stanął i zatrzymał ją ramieniem.

W kręgu światła latarki spod rozrzuconych liści złowieszczo sterczały kawałki żelaza. Na widok drapieźnych, metalowych zębów Martę przeszył dreszcz.

- Jednak. Patrz. - Na żółtozielonym tle nie dało się nie zauważyć śladów krwi. Pognieciona trawa, połamane gałązki.

- Coś się złapało? - wykrztusiła z trudem. - Biedne zwierzę. Kogoś powinni za to zamknąć.

- To na pewno. - Reising objął ją jakoś tak, jakby chciał samego siebie uspokoić. - Tylko wiesz, myślę, że nie chodzi zwierzę. Słuchaj, on nie mógł tego uniknąć. Fachowo, świeżo założone paści. To się musiało stać. - Spojrzał jej prosto w oczy. - Nie wiem, gdzie on jest w tej chwili, ale na pewno potrzebuje pomocy. I znajdziemy go, choćby świat miał się skończyć.

Dziwne, ale uspokoiła się. Las stał się mniej ciemny i nieprzyjazny.

- Chodźmy - powiedziała cicho.

Ścieżka stała się już całkiem wąska, ale nawet bez specjalnego wpatrywania się widać było wygniecione ślady. Zresztą musiał tędy iść. Nie przedzierałby się przez zwartą ścianę młodniaka osaczającego ich z obu stron. Teraz też wiedziała, że on nie może być daleko. O Boże, kiedy go znajdą?

- Jak myślisz, w jakim jest stanie? - odezwała się.

- Kochanie, z pewnością w złym. Cud, że w ogóle dalej szedł. Nie chcę ci mówić, jak to żelazo działa.

- Nie musisz. Dlaczego nie ma więcej krwi?

- Nie wiem. Może ma taki dobry opatrunek, jakie teraz robią. Pokażę ci.

- Masz ze sobą?

- Mam wszystko, co może przyjść do głowy. Chorej głowy, która mnie pakowała. W trosce o to, żebym wypoczął. I na to płacimy podatki - dodał bez sensu.

- Jak sądzisz, kiedy się to stało?

- Dawno. Antoniowa wyprawiła go od razu. Kiedy przyszedłem do domu, już go nie było.

- Świetnie udawała. Niesamowita kobieta.

- Zgadza się. Myślę, że jesteśmy jakieś cztery godziny do tyłu.

- To nie znajdziemy go.

- Musimy - rzucił krótko. - Patrz, trzy jednakowe świerki. Zaraz będą brzoźki. Jest wierzba. Za nią przesmyk, który nie jest przesmykiem. Teraz dwa duże jałowce, a następnie mamy - przyśpieszył kroku - przejście przez bagienka i dalej jak po maśle. O, nie!

Marta przystanęła. O co chodzi? Rozejrzała się. Chyba wszystko w porządku. Są brzoźki, wierzba. Energicznie zrobiła kilka kroków do przodu.

- Uważaj! - usłyszała.

Zatrzymała się. W kręgu latarki nie mogła dostrzec ścieżki. Wyteżyła wzrok. Nie było jej. Intensywne deszcze rozmyły brzeg tak dokładnie, że stali właściwie na półwyspie.

- Cofnij się. Tam jest niebezpiecznie. Posłuchała.

- Zostaliśmy odcięci. Nie dogonimy go. Pokręcił głową.

- To urwisko nie może być nowe. On dalej nie poszedł. Został tutaj.

- Gdzieś tu jest? - ledwie wymówiła.

- Musi być.

- Może zawrócił do lasu.

- Nie zrobił tego. Zobacz błoto, nie ma śladów. Nie przeskoczyłby go, zwłaszcza w takim stanie. Nie poszedł ani do lasu, ani drogą. Poza tym na pewno nie chciał wracać.

- Gdzieś tu jest - powtórzyła.

Skinął głową. Nie ukrywał zdenerwowania. Marta też zrozumiała, co się stało. Zagryzła wargi do bólu. Wezbrane bagno w świetle gwiazd nieoczekiwanie roz pogodzonego nieba drwiło z nich swoim spokojem. Spóźnili się. Mogli go jeszcze uratować. Teraz jest tutaj, ale ona go więcej nie zobaczy, nie usłyszy. Nie pozna go lepiej, on nie dowie się o niej niczego. Tak nie miało być. Poczowała się jakoś słabo, oparta o pień sosny. Wszystko jedno, czy zemdleje, czy nie. I tak to nic nie zmieni.

Rozdział 17

Reising zrzucił plecak. Stał na brzegu skupiony, z rękami w kieszeniach. Wpatrywał się w bagno, sprężony jak do skoku. W słabym świetle jego profil z zaciśniętymi szczękami zaostrzył się do drapieżności.

W końcu wyprostował się i powoli wyciągnął ramię w stronę Marty.

- Chodź, stań tutaj. Słuchaj teraz dobrze.

Spodziewała się czegoś szczególnego, a on po prostu zagwizdał.

Nie, to niemożliwe. Pisk?

Ścisnęła jej dłoń. Zagwizdał jeszcze raz i znowu wyraźnie słyszała żalosne kwilenie.

- O Boże, co za szczęście - odetchnął. - Może to znaczy coś dobrego.

Jak mogła nie pamiętać. Kluczyki! One przynajmniej są tu blisko.

- Widzisz tam ten konar? - machnął ręką. - Gdybym wpadł, to mi go podaj.

Nie zdążyła się odezwać, gdy zeskokczył w dół. Zobaczyła w igliwiu tylko jego dłoń. Zaraz zniknął cały.

- Ale numer - usłyszała. - Ta skarpa jest świeżo obsunięta. Nie martw się, stoję na takiej półce, szkoda, że nie na skalnej. Teraz się rozejrzę. - Ledwie go było słychać wśród mokrej ziemi, mchu i trawy.

Po krótkiej chwili znowu gwizd i rozpaczliwe dźwięki.

- Marta! - krzyknął. - Mamy go!

Wychyliła się tak, że o mało nie znalazła się w bagnie.

- I to jeszcze żywego. Odzyskała oddech.

- Gdzie ty naprawdę jesteś i co się stało?

- Obsunął się kawałek skarpy. Duży. On wpadł razem z nim. Spadł o centymetr od bagna, musiał się odbić i wleciał do takiej wymytej niby jamy, niby półki. I leży. Ja też tu jestem i zaraz go jakoś wywlokę. Uprzedzam, że nie wygląda dobrze. Uważaj!

Po chwili u stóp Marty leżało bardziej wyrzucone niż położone coś zabłoconego. Nie odważyła się przyjrzeć z bliska, chciała tylko wierzyć w to, co usłyszała. Żyje.

Nie zauważyła, kiedy Janek też znalazł się na górze. Szybko wyjął coś z plecaka i pochylił się nad leżącym. Ruchy jego rąk były precyzyjne i wskazywały na doświadczenie.

- No, już po najgorszym. Nie będzie się tak wykrwawiał. Jeszcze trochę i mogłoby być po nim. Wiesz, uratujemy go. Nawet wbrew jego woli.

Nie zrozumiała.

- Tam obok niego leżał taki specjalny opatrunek, jaki mu właśnie założyłem, tamujący krew i leczący wszystko. Zdjął go, jak Rzymianin w ciepłej kąpieli.

- Nie powinien był.

- W sumie trudno mu się dziwić. Zwyczajnie miał już dosyć. Myślę, że uciekał nie dokądś, tylko od tego wszystkiego. Pewnie i od samego siebie, bo on jest swoim największym kłopotem. Teraz dobrze by było go czymś odżywić, ale najpierw trzeba go obudzić.

- Sądzisz, że stracił dużo krwi?

- Chyba sporo. Mam doświadczenie tylko z nieudanymi tatarnikami i drobnymi zajściami na udanych imprezach. Ale musimy go przywołać do rzeczywistości, obojętnie jak.

Marta pomyślała, że jeśli nie ocknął się przy okazji rzucania na skarpe, to źle wróży, ale Janek optymistycznie wziął się do przemywanie jego twarzy którymś z tajemniczych płynów z plecaka.

- Już dobrze - mówił łagodnie. - Już wszystko dobrze. Jesteś bezpieczny wśród przyjaciół. - Powieki leżącego drgnęły pod światłem latarki. - Co złe, minęło, jutro zacznie się nowy, dobry dzień.

Drzygłód powoli otwierał oczy. Niespodziewanie przytomnie spojrzał na Reisinga i zamknął je natychmiast. Przez jego twarz przebiegł skurcz.

- Nie, nie, nie - usłyszeli cichy głos.

Janek roześmiał się z ulgą.

- No, w porządku. Klóć się, znaczy nic ci nie jest. Napij się teraz herbaty, najlepiej ci zrobi. I jeszcze antybiotyk, bo nie wiadomo, jakie było to żelazo. Posłuchaj - mówił, podsuwając mu kubek. - Wiemy, że jesteś niewinny i że jesteś siostrzeńcem gospodyni. Wyrodkiem po prostu. Wplątałeś się w historię, z której cię wypłaczemy i tyle.

Marta, gdy uwierzyła, że rzeczywiście to wszystko usłyszała, czekała tylko, że Drzygłód gwałtownie zaprzeczy. Musi. Przecież to czysty nonsens.

Jednak nie.

Zmarszczył tylko brwi i odsunął się od zachęcająco pachnącej herbaty.

- Proszę mnie nie dotykać - usiłował uwolnić się od otaczającego go ramienia. - Jestem tu z własnej woli i mam do tego prawo. - Mówił z dużym trudem, ale wyraźnie.

- Dobrze, oczywiście. Jesteś tu dla przyjemności. Ale na razie, stary, umawiamy się, że nie pyszczysz się, póki cię całkiem nie odratujemy, bo ci jeszcze zaszkodzi.

Marta myślała tylko o tym, że nie zaprzeczył. Przecież musiał słyszeć i zrozumieć. Takie są fakty. Ale fakty nie do przyjęcia.

Reising oparł go plecami o pień sosny.

- Teraz trzeba cię przebrać w suche rzeczy. Wziąłem, co trzeba z ubrania z twojego pokoju. Myślałem, że się ucieszysz - gawędził. - Pomogę ci.

Wyciągnął ręce, ale Drzygłód zdecydowanie się odsunął.

- Dziękuję, to nie jest skomplikowane zadanie - odezwał się swoim zimnym tonem.

Marta uznała, że nie musi tego słuchać.

- Rozpalę ognisko. - Podniosła się zadowolona, że coś zostało z jej bardzo krótkich harcerskich doświadczeń.

Widziała jeszcze, że Drzygłód usiłował sam rozpiąć kurtkę, ale jego palce zatrzymały się na zamku i Reising bez słowa wziął się do przebierania go. Układając gałązki, próbowała skupić się na opanowaniu drżenia rąk. I może jeszcze, żeby nie spalić lasu. Czy Antoniowa wiedziała, kogo chroni? Czy gospodyni wiedziała, kogo ma u siebie pod dachem? Bandytę podpalacza czy gangstera?

Nie zauważyła, kiedy Janek znalazł się przy niej.

- Wetknąłem mu w końcu w garść tę herbatę. Wiesz, nawet się nie skrzywił, kiedy mu opatrywałem wszystkie skaleczenia na twarzy i na rękach.

- Dlaczego nie powiedziałeś mi wcześniej? Co ci szkodziło?

- Nie uwierzyłabyś. Nawet teraz nie jesteś całkiem przekonana. Może nabieram drewna, a ty się nim zajmiesz.

- Ciekawe jak. Zachowuje się okropnie - stwierdziła ponuro. - Robi łaskę.

- Poradź coś na to, a ja pomyślę o reszcie.

Akurat, poradź coś na to. W teatralnym świetle rozgwieżdżonego nieba Drzygłód wyglądał nierealnie. Właściwie nie bardzo się zmienił.

Jasne, przecież nic się nie stało. Prócz tego, że był o włos od śmierci z powodu, który sobie sam zafundował. Wszystko w porządku. Teraz napijemy się herbatki i będziemy prowadzić życie towarzyskie. Najlepiej rozmowa na luźny temat.

Przysiadając obok niego na pniu, czuła przyływ irytacji. Ten sam profil, ten sam chłód. Jeszcze powinna przeprosić, że się narzuca.

- Jak się pan czuje? - spytała.

Bez reakcji. Nie, nie będzie się z nim cackać.

- Może wypadaloby coś wyjaśnić. Na przykład, jak się pan znalazł tutaj i w tym stanie.

Zmarszczył brwi.

- Może nie muszę składać wyjaśnień. Nie umawiałem się tu z nikim.

- Tylko przypadkiem przechodziłem, prawda? Nie, nie wyprowadzi jej z równowagi.

- Czy pan nie ma gorączki? - automatycznie dotknęła jego czoła. Było alarmująco zimne.

- Jest jeszcze bardziej lodowaty niż zwykle, bo w szoku. - Reising po skonstruowaniu paleniska stanął nad nimi z rękami w kieszeniach. - Marta ma rację. Gdzie i po co się wybierałeś, wiemy od Antoniowej. Ale ze zdjęcia opatrunku powinienes się nam łaskawie wytłumaczyć. Bez względu na to, jak jestem w tej chwili niedelikatny.

Drzygłód, który wzrok miał cały czas skierowany w dal, teraz dopiero spojrzął w jego stronę. Ze zdziwieniem, nawet z pretensją.

- Czy tak trudno się domyślić? - W jego głosie nie było słycać cienia emocji. - Oczekiwanie na najgorsze. Rano powtórka z koszmaru z dzieciństwa. - Zamilkł na moment. - Ucieczka byłaby jedynie odsunięciem wszystkiego w czasie. Gdy okazało się, że wszystko chce, żebym tu został, przyspieszyłem tylko bieg wydarzeń. - Wzruszył ramionami. - Nie było o co walczyć - mówił dalej całkiem spokojnie. - Nie ma nikogo, kto by się przejął moim odejściem, a jako alternatywa nie pozostaje nic. Absolutnie nic.

Reising popatrzył w górę, prosząc niebo o pomoc.

- A czy ty naprawdę sądzisz, że my z Martą nie mieliśmy lepszego czasu i miejsca na randkę? Nic przyjemniejszego do roboty, jak wlec się w nocy po zimnym mokrym lesie? - najwyraźniej szykował się do wykładu. - Jak myślisz, do kogo szliśmy? I jak byśmy się poczuli, gdyby było za późno? To w kwestii punktu, że nikt by się

nie przejął. - Drzygłód wciąż milcząco patrzył w inną stronę, w dal. - A jako alternatywa, zawsze możesz zostać napadnięty lub zwymyślany przez panią profesor Rodlińską, jak również czeka cię wycieczka w Gorce w najlepszym towarzystwie. I to ma być nic? Drzygłód nie odpowiedział.

- Jesteśmy umówieni?

Potańczał czoło dłonią. Trwało to przez chwilę, tak że Marta zdążyła się zaniepokoić. Co będzie, jeżeli teraz zemdleje?

Odsłonił twarz, ale wciąż jej nie odwrócił.

- Jeżeli mnie weźmiesz - powiedział nieoczekiwanie miękko. - Razem z niestrawnym charakterem.

- Charakter, rozumiem, jest chwilowy, ale i tak w ostateczności dałby się wytrzymać. - Reising wyciągnął ramię, na którym Drzygłód bez protestu oparł się i z widocznym wysiłkiem doszedł do ogniska.

- Witaj w domu - powiedział Janek. - Właśnie siadaliśmy do kolacji. Zupka od Antoniowej, więc trzeba zjeść, żeby nie było obrazy. Potem pomyślimy, jak wrócić. Rano odda się kogo trzeba prokuratorowi, skoro już będzie pod ręką, i tyle.

- Powiesz, kto taki? - spytała od niechcienia Marta.

- Nie, bo zaczniecie dyskutować, krytykować. Coś takiego można załatwić jutro. Jesz, czy będziemy cię karmić?

Drzygłód z trudem trzymał łyżkę w dłoni.

- Nie wiedziałem, że to taka ciężka praca. Chyba przesadziłem z testowaniem formy. - Uśmiechnął się przepraszająco.

Spojrzał prosto w oczy Reisinga.

- Wiem, że mam dużo do zeznawania, ale nie umiem zacząć. Łatwiej byłoby, gdybyś mnie pytał.

- Z tym nie ma problemu. Na przykład miejsce urodzenia i imiona rodziców w twoim rodowodzie. Czy to doskonałe fałszerstwo, czy jakiś jeszcze lepszy pomysł?

Potrząsnął głową.

- Wszystko jest prawdziwe. Urodziłem się rzeczywiście w Krakowie. Rodzice pojechali najpierw do Nowej Huty, Natomiast Stefan i Anna to imiona ludzi, którzy mnie adoptowali.

- Drzygłódów?

- Janeckich.

- Ręce opadają. Dużo jeszcze masz tych nazwisk?

- Akurat mi się skończyły. Poważnie, imię i nazwisko zmieniłem później, całkiem legalnie.

- Żeby pozbyć się etykiety bandyty i podpalacza?

- Dokładnie. W dodatku niezasłużonej.

- Jasne. Za niewinność?

- Powiedzmy. - Zrobił głęboki wdech. - Nie przypuszczałem nigdy, że będę z tego żartował. I chyba mogę zacząć od tak zwanego początku. - Zapatrzył się w ognisko i upłynęła dobra chwila, zanim powiedział: - Po śmierci matki znalazłem się w domu dziecka. Przeżyła ojca o dwa lata.

Widać było, że stara się dobrać idealnie obojętny ton, jakby relacjonował fakty dotyczące kogoś innego. Oparty o pniak służący za podpórkę, mimo okrywających go koców wyglądał niczym przeniesiony z salonu czy z biblioteki.

- Dobrze wspominam te lata. Mimo wstrząsu, jaki przeżyłem, dom dziecka dawał mi poczucie bezpieczeństwa i spokój. Przyszłość też zapowiadała się w miarę optymistycznie, zwłaszcza gdy zostałem adoptowany.

Znany, szanowany gospodarz po sześćdziesiątce potrzebował chłopca do pomocy. Przez ponad rok żyłem spokojnie w rodzinie. Przybrany ojciec traktował mnie rzeczywiście jak syna, choć bez specjalnych uczuć. Jego żona, dużo młodsza, była chłodna i obojętna. Pewnego ranka Józef Janecki nie obudził się. Zmarł w nocy na zawał. Miałem wtedy trzynaście lat. Jego żona niedługo zwlekała z następnym zamążpójściem. Drugi mąż bardziej odpowiadał jej wiekiem.

Przerwał na chwilę dla zebrania myśli. Reising podsunął mu kubek.

- Od tego czasu zaczęło się piekło - ciągnął prawie beznamiętnie. - Stałem się zbędny. Mój nowy właściciel planował oddanie mnie do szkoły górniczej, czego nie chciałem najbardziej na świecie. A zanim to miało nastąpić, chciałem, żebym wolał wszystko niż mieszkanie w jego domu. Dużą przyjemność sprawiało mu to, co teraz nazywa się maltretowaniem. Przy milczącej zgodzie żony. Wtedy znalazłem sobie towarzystwo, a raczej zostałem przypadkiem rozpoznany przez starszych ode mnie chłopców z okolicy, którzy pamiętali i bardzo lubili mojego ojca. Był mechanikiem. Pozwalał im przychodzić do warsztatu, a nawet wciągał do pomocy. Jako jedyny z dorosłych

szanował ich. Oni natomiast potem, pewnie z nudów, zajęli się szeroko pojętym chuligaństwem. Przyznaję, że nie przeszkadzało mi to. Byłem najmłodszy, traktowali mnie jak dziecko. W napadach, które zdarzały się coraz częściej, brałem udział jako widz. Patrzyłem, jak prawie śmiertelnie pobili człowieka, który zamiast dać się obrabować, naubliżał im.

- Nie zraziło cię to do nich? - zapytał Reising.

- Nie. Przykro mi, ale nie odczytywałem świata w kategoriach moralnych ani ludzkich. Spotykało mnie zło, przyzwyczailem się traktować je jak pogodę.

- A ci koledzy byli dla ciebie właśnie dobrzy?

- W zasadzie tak. W końcu zorientowali się, co spotyka mnie w domu, w którym starałem się być tylko tyle, ile musiałem. Zapytali mnie kiedyś, czego bym najbardziej chciał. Powiedziałem, że nie iść do szkoły górniczej. Przyznali mi rację i dalej nie było już o tym mowy. W sobotę zaprowadzili mnie na imprezę w remizie. Tam skutecznie napoili alkoholem. Obudziłem się po katastrofie. Paliły się zabudowania w moim domu. O ile wiem, chłopacy mieli zagrozić gospodarzowi spaleniem reszty, jeśli nie da mi całkiem spokoju. Nie przewidzieli jednak, że ten człowiek zginie w płomieniach. Może zresztą i o tym myśleli jako o planie B. Nie wzięli jednak pod uwagę, że ich wykryją i oskarżą. Z nimi również mnie. Nie pomogło murowane alibi. Wszyscy byli przekonani, że wiedziałem o sprawie, a nawet byłem pomysłodawcą. Mój właściciel działał społecznie we wsi, a ja miałem opinię nieudanego przybłądy.

- Wtedy trafiłeś do poprawczaka?

- Tak. Przedtem aresztowanie, brutalne i bezwzględne. Proces, z którego nic nie pamiętam. Chyba byłem nieprzytomny ze strachu. Wstyd przyznać, ale do tej pory nie mogę pozbyć się lęku przed policją. Z drogówką włącznie.

- I pewnie z piciem też nie przesadzisz?

- Zgadza się. Po doświadczeniu w remizie na długo miałem z tym spokój i ominęło mnie kilka niebezpieczeństw młodego wieku i może niezbyt dobranego towarzystwa. Zresztą wreszcie wszystko zaczęło odmieniać się na lepsze. Dopisało mi szczęście. Trafiłem do ambitnego domu poprawczego. Szybko zorientowałem się po raz pierwszy w życiu, że chcę uczyć, i odkryłem swoją pasję, książki. Na miejscu przy zwykłej zawodowce było technikum księgarskie. To

należy nazwać cudem. Poznałem samego siebie, zapomniałem o przeszłości, stałem się innym człowiekiem.

- I zmieniłeś nazwisko?

- Dopiero po wojsku. Pomógł mi w tym dziennikarz piszący o tak zwanej trudnej młodzieży. Podpisywał się Leonard. Pamiętał moją sprawę i wyrok. Z zawodowym zainteresowaniem śledził moje losy. Stałem się pozytywnym przykładem, więc załatwił mi zmianę nazwiska i miejsce w wydawnictwie w Krakowie. Pracowało mi się bardzo dobrze i szybko wysłano mnie na studia zaoczne. - Wydawał się zmęczony, na chwilę przymknął oczy. - Śmieszne, ale nie dawała mi spokoju myśl o własnym wydawnictwie. Wtedy całkiem oczywiście nierealna. Gdy zdobyłem pieniądze, pracując przez dobrych kilka lat w Niemczech, akurat przyszedł moment, gdy rzecz stała się możliwa i prosta. I to wszystko.

Przez jakiś czas słychać było tylko trzask ognia. Marta powoli zaczęła odzyskiwać grunt pod nogami.

- A co z ciotką? - spytała. - Żadnego zainteresowania?

- Żadnego. Podobno została zawiadomiona o rozprawie, ale nie pojawiła się. Ja przez te wszystkie lata też nie chciałem jej oglądać. Bardzo dokładnie pamiętałem zimny, jesienny dzień, kiedy zostaliśmy odesłani do Floriana. Nie chciałem też nigdy jechać na Mazury. Wreszcie tego lata, jak grom z jasnego nieba, przyszła do mnie reklama - zaproszenie. Zrozumiałem, że to przejaw snobizmu ciotki, i chciałem ją zlekceważyć, ale powoli zmieniałem zdanie. Postanowiłem nie uciekać przed wyzwaniem losu. Była to dla mnie próba i kosztowała sporo. Nie przespałem wystarczająco dużo nocy, żeby nie czuć się sobą. Zresztą nie chciałem być sobą przez ten czas. Do tej pory nikt nie wiedział nic o mojej przeszłości, teraz musiałem zobaczyć kogoś, kto ją zna i teoretycznie może mnie rozpoznać. Oczywiście było to niemożliwe, ale nie mogłem się pozbyć lęku. Kiedyś często zdarzało się, że przy zdenerwowaniu przybierałem taką sztuczną pozę sztywności. Teraz się przydała. Zwłaszcza gdy ją jeszcze trochę wyreżyserowałem. Kiedy sytuacja się pogarszała, uciekałem jeszcze bardziej w tę rolę.

- To było mądre - pochwalił Reising. - I tak byłeś spięty, nienaturalny ze zdenerwowania, a dzięki twojej masce wyglądało, że taki masz styl.

- Bałem się przyjazdu tutaj bardziej, niż się da opowiedzieć. Przedtem dostałem zaproszenie do Mrągowa. Nie odmówiłem, jak dawniej. To miała być próba spotkania z lękiem. - Wzdrygnął się i po kilku łykach herbaty mówił dalej: - Nie przypuszczałem jednak, że może zdarzyć się coś takiego. Spotkałem Floriana. I było dokładnie tak, jak w jego relacji.

- Uśmiechnąłeś się złowieszczo?

- Nie! - prawie krzyknął. Z trudem utrzymał kubek. - Zupełnie normalnie - stwierdził z przekonaniem.

Popatrzył na ostentacyjne powątpiewanie Reisinga oraz uniesione brwi Marty i nieoczekiwanie roześmiał się prawdziwym, zdrowym śmiechem.

- Już z sam nie wiem, ile morderstw chciałem popełnić, słuchając wszystkich legend o mnie. Jeszcze te buty i czarny podkoszulek. Zgroza.

- No dobrze, ale kitka była - Janek nie dawał za wygraną.

Drzygłód niezdecydowanie pokręcił głową z tak niewinnym wyrazem twarzy, że Marta już знаła odpowiedź.

- W zasadzie tak. To znaczy całkiem tak - poprawił się.

- Dziewczyna z tobą to kto? - przesłuchanie nie kończyło się.

- Na imię miała Paulina. Bez znaczenia.

- Jasne. A właściwie po co ta fryzura?

- Dla wygody przy dłuższych włosach. Ale przed przyjazdem tutaj chciałem się zmienić. Gabinet kosmetyczny sprawił, że wyglądałem jak od zawsze ogolony. Czułem się bezpieczniejszy, wyglądając jak ktoś inny.

- Słusznie. Ty siebie nie poznasz, więc i ciebie nie poznają. Nieźle nosiłeś tę maskę, pasowała ci. Może to twoja ukryta natura.

- O, broń Boże. Jeśli coś z niej zostało, chyba się zabiję.

- Widać, że raczej nic nie zostało - roześmiał się Reising. - Ale tak naprawdę, czy mimo wszystko nie mogłeś być zwyczajnie rozpoznany przez własną ciotkę?

- Nie. Jestem podobny do mojego dziadka, który przecież nigdy jej nie interesował. Nie mogła mnie poznać - pokręcił głową. - Bałem się, że nie zniosę tej nachalnej uprzejmości.

- Natomiast Antoniowa zidentyfikowała cię od razu?

- Chyba od razu. Powinienem był się tego domyślić, gdy opisała mój wygląd jako chłopca. Byłem wtedy zupełnie inny. Sądziłem, że

po prostu nie pamięta, a ona chciała chronić mnie przed rozpoznaniem.

- Nie miałeś ochoty powiedzieć prawdy? Zrzucić z siebie cały ciężar?

- Wiele razy. Ale przywykłem do ukrywania się. Nikt nie znał mojej przeszłości. Z nikim nie związałem się tak blisko - wyjaśnił.

- Nawet z kobietą? - dziwił się Reising.

- Nawet.

- Przecież w twojej przeszłości nie było nic naprawdę kompromitującego.

- Dla mnie było. Z resztą przyzwyczailem się do życia wśród ludzi i samotności jednocześnie. To dość przyjemne i bezpieczne. Teraz oczywiście było inaczej.

- Te trzy dni musiały być dla ciebie koszmarem. Wyglądałeś źle. A właściwie, od kiedy nie jadłeś? Stawiam, że od wczorajszego obiadu. - Drzygłód udawał, że nie słyszy. - Mam rację, czy nie?

- No, w zasadzie tak.

- Chwileczkę! - Marta oburzyła się. - Kolacja została podana. Niedobra była?

Przez chwilę milczał. Potem zaczął mówić z wysiłkiem.

- Dokładnie taka sama jak wtedy, gdy przyjechałem tu jako ośmiolatek. I tak samo z litości.

- Z jakiej litości? - zdenerwowała się. - Akurat nie było cienia powodu. Poza tym nie moja wina, że Antoniowa całe życie piecze identyczne ciasto.

- Aż tak bardzo pamiętasz tamto? - zapytał cicho Reising.

- Myślałem, że nie. Ale pomyliłem się. - Przesunął dłonią po czole. - Kiedy wiedziałeś, że to ja? - zapytał szybko.

- Muszę się pochwalić, że prawie od razu. Przy okazji oglądania zdjęć nie chciałeś patrzeć na Aresa. Wolno ci, ale ktoś, kto tak pozuje na ideał, nie może sobie pozwolić na niechęć do jakichkolwiek zwierząt, a kundelków przede wszystkim. Pies przyjacielem człowieka i nie ma dyskusji. Zrozumiałem, że chcesz coś zatuszować. Potem tak ostentacyjnie awanturowałeś się o pióro, którego nikt nie widział. - Drzygłód skrzywił się i pokiwał potakująco głową. - Każdemu wolno mieć ukochane pióro, które może zginąć, ale wtedy zostają pewne przyzwyczajenia. Mój przyjaciel, elektronik, ma swojego Pelikana i nigdy w życiu nie położyłby go niezamkniętego. To przyzwyczajenie

przenosi się oczywiście na inne pisaki. Ale ty, tak pedantyczny, zostawiłeś otwarty cienkopis pożyczony od Krzysia, kiedy zawołano cię do kuchni. Wiedziałem już, że w zasadzie pióra nie używasz.

- To prawda - westchnął Drzygłód. - Nie używam i chyba nigdy się nie nauczę.

- Nie musisz. Założę się, że w zasadzie przesiadasz się z długopisu na laptopa. No, właśnie. A potem to już dobrze ci się przyglądałem i widziałem przede wszystkim wielką miłość Antoniowej. Autentyczną i nie do ukrycia. Podejrzenia odwracała od ciebie w tak bezwzględny sposób, że nie wahała się zrobić Trzeciaka, ot, po prostu, bo go niezbyt lubiła.

- Jak mogła uważać mnie za mordercę?

- Normalnie. Sama by pewnie chętnie wykończyła szefową, ale nie starczyło jej energii i ograniczała się do straszenia. Tak, tak, pocztówka i piesek to jej dzieło.

- Zwyczajnie go otruła? - Marta była bliska załamania.

- Pewnie też za nim nie przepadała, a wrażenie się zrobiło. No i wszystko na Wyrodka. Nawiasem mówiąc, czy musiałeś brać to nieszczęsne zdjęcie?

- Absolutnie nie! Już go nie było, kiedy tam poszedłem. Sam nie wiem, po co. Nie wiem, co naprawdę chciałem zrobić. Moja matka mówiła, że Ares był jej jedynym przyjacielem. Żałowała, że nie wzięła chociaż jego fotografii. A ja stałem się tutaj znowu Wyrodkiem, chuliganem, członkiem bandy. Stale mi o tym przypominano. Rozumiem, że Antoniowa w swoim zapale straszenia była pierwsza i szczęśliwie uniemożliwiła mi jakąkolwiek głupią akcję. W końcu całkiem straciłem rozum, grając farsę z piórem, która wydawała mi się dość bezpieczna.

- I była - stwierdził Reising. - Ale wygląda, że nie jesteś stworzony do kłamstwa i oszustwa niezależnie od tego, czy okoliczności wtłaczają cię w przeszłość, czy nie.

- Nie jestem - zgodził się smętnie. - Od chwili znalezienia się w tym fatalnym domu chciałem tylko opuścić go i odjechać jak najdalej. Potem starałem się za wszelką cenę zachować jaki taki spokój. Ze średnim skutkiem.

- Skądże. Maskę nosiłeś świetnie. Tylko wyglądałeś coraz gorzej.

- Pewnie dlatego, że udawało mi się zasypiać zwykle koło czwartej. Ale sam jestem sobie winien stworzenia takiej sytuacji.

- Winien to ty jesteś pisku pocztówki. Mogłeś bardziej uważać. Długo musiałem tłumaczyć Patrycji, że jej się śniło i dlaczego ma takie sny.

Drzyglód nie uśmiechnął się. Patrzył na niego bez słowa. Przez dziwnie długą chwilę ich spojrzenia krzyżowały się. Reising wstał.

- Czas pomyśleć o powrocie... - jego głos brzmiał zaskakująco chłodno i rzeczowo. - Nie ma sensu męczyć cię taką odległością, skoro mamy rzeczkę. Zostawię was ze wszystkim, wodą za godzinę będę z powrotem. Przedtem - dodał beznamiętnie - miejmy tę rozmowę za sobą.

Nikt nie poprosił Marty, żeby nie uczestniczyła w tym, co miało nastąpić. Nie wiedząc, czy ze strachu, czy z niespodziewanej delikatności, zdecydowała się odejść i pozbierać gałązki.

Z odległości wystarczającej, żeby nic nie słyszeć, widziała tylko, że Drzyglód usiłował wstać i po kilku próbach bez pomocy Reisinga udało mu się stanąć w pionie, opierając się o sosnę. Czy między nimi dzieje się coś niedobrego? Rzeźbiarz z rękami w kieszeniach stał naprzeciw niego, jakby się zastanawiał. Wbrew pozorom chyba mało rozmawiali. Nie, nie będzie tam patrzeć, niech robią, co chcą.

- Chodź. - Reising, nie wiadomo kiedy, podszedł z tyłu. - Ten pan ma ci coś do powiedzenia.

Gdy podeszła, zobaczyła, że Drzyglód oparty o pień drzewa wygląda naprawdę źle. Janek prawie na siłę postawił ją naprzeciw.

- Ten pan ma coś do powiedzenia - powtórzył z naciskiem.

Coś do powiedzenia! Raczej zaraz zemdleje. Co za komedia! Nie mogą powiedzieć po prostu?

- Tak, zrobiłem to - zaczął mówić szybko i nerwowo. - Przyznaję się do kłamstwa, przywłaszczenia i naruszenia prywatności. Wziąłem klucz od pokoju pana Reisinga, wszedłem do środka, obejrzałem jego rzeczy w torbie. Biały proszek zostawiłem na wierzchu dla kompromitacji. Nie mam nic na swoje usprawiedliwienie. - Wyrzuciwszy te kilka zdań, zsunął się znowu na ziemię.

Marta usłyszała i zrozumiała każde słowo, ale na razie nie była w stanie przyjąć żadnego z nich do wiadomości. Zwróciła alarmujące spojrzenie na Janka, który gotowy do drogi spokojnie kiwnął głową.

- Dokładnie tak. I to chyba wszystko. Pilnujcie gospodarstwa.

Marta na chwilę zamknęła oczy, chcąc się odgrodzić od nieznośnej rzeczywistości. Już zamierzała krzyknąć do Drzyglóda

siedzącego nieruchomo z głową opartą na dłoniach, że jako oszust nie jest dla niej człowiekiem. Że dopuścił się czegoś niewybaczalnego. Ale ze złości głos uwiązł jej w gardle. Nie, szkoda każdego słowa. Nie będzie tutaj dłużej stała. Niemal przeskakując przez ogień, dogoniła Reisinga.

- Jak możesz być taki spokojny! - chwyciła go za rękaw. - Tak po prostu? Nic się nie stało?

Objął ją ramieniem.

- Stało się i się nie odstanie. - Odetchnął głęboko. - Postąpił niemoralnie, powodując się, delikatnie mówiąc, brakiem sympatii do mnie. Ale zastanów się, co by było, gdybym przypadkowo rzeczywiście był handlarzem narkotyków.

Potrząsnęła głową.

- Daj spokój z tym, co by było. To było nie w porządku. I to łaskawe oczyszczenie cię z podejrzeń. Co za dobroć i elegancja! Nie mogę na niego patrzeć.

- Jednak spróbuj. Wiem, najgorsze jest to, że cię rozczarował. - Gwałtownie wzruszyła ramionami. - Prosił jak o największą łaskę, żeby nie musiał ci tego sam opowiedzieć. Ale nie ustąpiłem.

- Mówiłeś, że nie jest stworzony do kłamstwa i oszustwa. Chyba ci nie dał wielkiego dowodu prostolinijności?

- Nie dał. Ale trzeba uwzględnić ekstremalne warunki. Nie był sobą. I pomyśl, jak on się teraz czuje. Pamiętaj, że jest w próżni, nie ma nikogo, prócz nas.

- Nie dziwię się. To jego wina, nie nasza.

- Nie nasza, ale co z tego?

- Rzeczywiście, nic - rzuciła ze złością. - Jeszcze jedno. Wiedziałeś, że to on?

- Wiedziałem.

- Od razu?

- Od razu.

- Skąd?

- Już ci mówiłem. Z emocji. Tylko jego uczucia pozwalały na tego rodzaju fatygę.

- Daj mi z nimi spokój. Mogłeś na niego patrzeć, rozmawiać z nim, mimo że wiedziałeś?

- Mogłem, chociaż czasem mnie trochę ręce swędziały. Ty też spróbuj. Najlepiej powiedz mu to, na co masz ochotę, zrób z nim, co chcesz, ale nie zostawiaj go samego.

Ledwie zauważyła, jak pocałował ją lekko w policzek i machnął ręką na pożegnanie.

Powiedz mu, co chcesz. Ciekawe. Na to nie ma najmniejszej ochoty. Podejść jednak w końcu trzeba, nie może przecież uciec do lasu.

Stała po drugiej stronie ogniska. Tkwił dalej nieruchomo. Na co czeka? Co sobie myśli? Z pewnością nie chciałyby być na jego miejscu. Przed chwilą odprężony, bezpieczny, wśród przyjaciół, a teraz... Ale to wszystko jego wina. Dokładnie wszystko.

Tylko dlaczego sama ma czuć się źle? Ona zasługuje na to, żeby czuć się dobrze. Trzeba skończyć z tą sytuacją.

Bez wahania podeszła i usiadła przy nim.

- Wstydzi się pan chociaż? - spytała rzeczowo. Brak odpowiedzi. Tylko jakiś dreszcz, który nim

wstrząsnął. Zrzuciła na niego koc i wetknęła kubek z zupą.

- Nie można bez końca myśleć o tym, że się raz postąpiło jak idiota. - Po tym stwierdzeniu, o dziwo, odpłynęło z niej całe zdenerwowanie.

Nie odezwał się. Poczwała tylko na dłoni delikatny pocałunek.

- Powiedz mi jeszcze uczciwie, ile mniej więcej przekrętów i innych kłamstewek zdążyłeś w ostatnim czasie popełnić. Miło by mi było wiedzieć.

Pokręcił głową.

- Żadnych. Wiem, że trudno mi uwierzyć po tym, co zrobiłem - popatrzył na nią swoimi wyrazistymi oczami tak, że przez chwilę myślała tylko o ich kolorze - ale nie obracałem się w takim towarzystwie, a życie nie wymuszało na mnie niczego wbrew mnie. Zwyczajnie, robiłem wszystko jak trzeba.

Z trudem opanowała śmiech.

- Tego się mogłam spodziewać. Teraz skończ kolację też dokładnie tak jak trzeba i może spróbuj zasnąć po tym wszystkim. Wyglądasz, jakbyś tego potrzebował.

- O nie, dziękuję. Dopiero co się obudziłem i - zastanowił się - było to najmądrzejsze, co zrobiłem w życiu. Szkoda, że nie samodzielnie, wbrew woli i na siłę.

Wyciągnął ramię, okrywając ją kocem. Siedzieli blisko siebie, trzymając ciepło.

- Po raz pierwszy od dwudziestu lat nie kłamię o sobie - powiedział z namysłem.

- I jak to znosisz?

- Bardzo dobrze.

- Nigdy nie miałeś ochoty wyjść z ukrycia? - spytała. - Powiedzieć prawdę o sobie?

- Nie. Najpierw był lęk, potem przyzwyczajenie. Nie widziałem powodu, żeby kogoś obarczać informacjami o mojej przeszłości. Chociaż dwa lata temu o mało co się nie ożeniłem. Opowiedzieć ci?

- Koniecznie.

- Spotkałem kobietę, która miała być moim przyjacielem. Naturalna, bezpośrednia, miła.

- Kochałeś ją? Nie zmieszał się.

- Niestety nie. Lubiłem ją bardzo. No i pewnie mój egoizm dobrze się czuł przy deklaracjach miłości, jakie słyszałem. Bezinteresownej i szczerzej. Uśmiech, bezpretensjonalność, krótkie jasne włosy, jazda konna. Mieliśmy nawet datę ślubu.

Przerwał, jakby opanowany przez wspomnienia. Spokojny, zapatrzony w dal.

- Jak to się skończyło? - spytała cicho.

- Bardzo zwyczajnie. Wchodziłem zbyt cicho na taras, gdzie rozmawiała z przyjaciółką. Spodziewała się mnie, ale nie słyszała moich kroków. Za to ja usłyszałem jej rozmowę. W sumie i tak łagodnie mnie w niej potraktowała. Nazwała mnie po prostu dobrym człowiekiem. Z kilku zdań wynikało, że jedyne, czego ode mnie potrzebowała, to pieniądze dla niepełnosprawnego młodszego brata, o którego istnieniu nie miałem pojęcia. Wychodziła za mąż dla dobra rodziny. Na szczęście podobno bez wielkiego obrzydzenia.

- Koszmar. Co zrobiłeś?

- Bez słowa wręczyłem jej czek, który przyjęła z płaczem. Więcej się nie widzieliśmy. Podobno wyjechała.

- Jak się po tym czułeś?

- Najpierw bardzo źle. Potem powiedziałem sobie, że miałem szczęście, kiedy sprawa wydała się w ostatniej chwili, i nabrałem przekonania, że najzwyczajniej powinienem być sam.

- Sam czy z przyjaciółmi?

- Sam wśród ludzi, z którymi można miło spędzić czas. Nazwijmy ich przyjaciółmi.

Wygodnie ułożyła głowę w głębi jego ramienia. Obejmował ją jak młodszą siostrę.

- Jak się czujesz? - spytała. - Tylko powiedz prawdę.
- Zawsze ci będę mówił prawdę. Czuję się absolutnie dobrze.
- Chyba niezupełnie. Spróbuj wstać, to zobaczysz.
- Dziękuję, już próbowałem. Bardzo niemiłe doświadczenie.
- No właśnie.

Oboje zajęli się milczeniem. Nie wiadomo, jak długo, ale wspólnie. To akurat wiedziała. Wiedziała też, że musi jeszcze jedną rzecz wyjaśnić.

- Wojtek - pierwszy raz powiedziała jego imię - przepraszam, że cię wtedy uderzyłam - powiedziała zwyczajnie. - Nie powinnam była.
- Szybko, jak dziecko, pocałowała go w policzek.

Drgnął chyba z zaskoczenia i delikatnie musnął wargami jej włosy.

- Powinnaś była. Wyglupiłem się niedopuszczalnie.
- Wcale nie. Chciałabym... - zaczęła się plątać - po prostu, żeby między nami wszystko było w porządku.

Dziwna chwila ciszy.

- Od dawna jest - powiedział półgłosem. - Zawsze było - dodał już tak, że Marta nie była pewna, czy naprawdę to słyszy.

Rozdział 18

Potem Marcie wydawało się, że zasnęła. Może i ona przez chwilę się zdrzemnęła. W pewnym momencie zrozumiała, że coś się dzieje. Janek wrócił? Nie, coś innego.

Drzygłód nie spał. Poczwała jego ręce na ramionach. Przesunął ją w bok za gęsty jałowiec.

- Nie ruszaj się stąd pod żadnym pozorem - powiedział cicho i bardzo spokojnie. - I nic nie mów, nie wołaj.

Nie ruszała się. Przez siateczkę gałązek w zimnym świetle księżycy widziała coś niezrozumiałego. Po wąskiej rzeczce sunęła łódź odpychana przez Reisinga wiosłem miarowo pluskającym o fale. Nagle dostrzegła jeszcze coś. Z tyłu za nim podążała bardzo cicho następna łódź z kilkoma osobami. W takiej odległości, że jej nie zauważył. Chciała krzyknąć, ale w ostatniej chwili przypomniała sobie obietnicę.

Tak, już ich zobaczył. Odwrócił się z wiosłem. Większy plusk. Któregoś musiał strącić do rzeczki.

Niewiele widziała w bryzgającej wodzie poza tym, że podpłynęła jeszcze jedna łódka z następnymi dwoma. Z nimi też by sobie jakoś poradził, ale byli na to przygotowani. W ostatniej chwili wprawnie zarzucili na niego sieć. Marta widziała tylko, że wpadł na dno łodzi.

Zdrętwiała ze zdenerwowania, do bólu zacisnęła dłonie, żeby nie wyjść z ukrycia. A może jednak? Przecież Drzygłód jest chory i leży gdzieś obok niezdolny do ruchu. Trzeba ich spłoszyć. Już zbierała się do wyskoczenia zza jałowca, panicznie myśląc, jak przestraszyć bandytów, gdy jakimś cudem człowiek z pierwszej łodzi zniknął pod wodą. Przecież sam nie wskoczył!

Druga łódź przybiła do brzegu zasłoniętego przez zarośla. Dwóch wyszło z niej z wiosłami.

Niespodziewanie jeden, już bez wiosła, przeleciał, prawie przefrunął kilka metrów i został z głową w potężnym jałowcu.

Potem odgłos, jakby uderzały o siebie dwa wiosła, i plusk. Pewnie ten drugi również znalazł się w wodzie, bo nagle wszystko się uspokoiło. Tylko podpłynęła, a chyba raczej została przyciągnięta łódź Reisinga.

- Marta! - usłyszała jego głos. - Jesteś wolna. Wyplącz mnie stąd.

Wybiegła, kłując się po drodze igłami świerków. Janka ledwie widziała, tak mocno był owinięty siatką.

- Zrób coś z tym z łaski swojej - powiedział pogodnie. - Jak mogłem być taki głupi i ich nie zauważyć?

- Wiadomo, co by ci przyszło z tego zauważenia? Dopiero teraz dostrzegła Drzygłoda, który klęcząc na mchu, metodycznie wiązał leżących na brzegu i ku jej zdumieniu ociekał wodą.

- No, raczej niewiele.

- Zero. Byłeś bez szans. Nie rób sobie wyrzutów.

Marcie chyba przypadkowo udało się ściągnąć sieć z Reisinga.

- Uratowałeś mi życie. - Podeszedł po chwili do Drzygłoda. - Gdyby nie ty, zwyczajnie by mnie utopili.

Pomógł mu wstać, otaczając go ramieniem, na którym ten oparł się bez wahania.

- Jeśli powiesz, że dobrze się czujesz, to będzie kłamstwo.

- Będzie. Nie powiem.

Wzięli suche rzeczy wyjęte z zawierającego wszystko, co potrzebne, plecaka. Gdy przebrani znów siedzieli przy ognisku, Marta starała się nie patrzeć na leżących, wprawdzie dość daleko, nieprzytomnych i związanych nieproszonych gości.

- Wyglądasz, jakbyś chciał zemdleć - stwierdził Reising, wyciągając termos,

Drzygłód skinął głową,

- Chciałem - potwierdził po kilku łykach kawy. - Ale już mi przeszło. To ci sami, co przy tawernie?

Rzeźbiarz obserwował go z uśmiechem.

- Chyba należałyby się nam jeszcze drobne wyjaśnienia. Śmiem twierdzić, że czytanie i głaskanie książek nie było twoim jedynym zajęciem w życiu. - Drzygłód otworzył oczy z niewinnym zaskoczeniem. - Nie patrz tak na mnie, doskonale wiesz, o czym mówię. Tych tutaj załatwiłeś bardzo profesjonalnie. Założę się, że wtedy pod tawerną, gdy odpłynęli bez pożegnania, to też nie z wrodzonej nieśmiałości, tylko z rozsądku, ratując życie. - Drzygłód wznosił oczy, stając się ucieleśnieniem niewinności. - Poza tym, mój drogi, znam się trochę na budowie człowieka i wiem, co to mięśnie. I widziałem twoje. Nic dziwnego, że bałeś się na centymetr podwinąć rękawy, jeśli chciałeś uchodzić za subtelnego intelektualistę. - Drzygłód westchnął jak męczennik. - Ciekaw byłem, czy ukrywasz blizny czy tatuaż, a tu chodziło o mięśnie. Stąd się wzięło na przykład cudem domknięte okno. - Zrobił do Marty taką minę, że nie

mogła się nie roześmiać. - Może byś łaskawie dopowiedział nam jakiś drobny szczegół z życiorysu, o którym zapomniałeś. Drzygłód zmarszczył nos.

- Wyglupiłem się? - spytał grzecznie. Janek skinął głową.

- Nie przejmuj się. Taki masz ten wieczór.

- Rzeczywiście - roześmiał się gromkim, zaraźliwym śmiechem - zdarzyło mi się kilka wpadek.

Jak na komendę wszyscy troje zaczęli się śmiać.

- No tak - powiedział w końcu - z tym oknem popełniłem błąd. Lepiej było wycofać się z tego, ale uważałem, że klamka powinna być porządnie domknięta. W rzeczywistości, to prawda, nie jestem taki delikatny.

- Długimi palcami złamał niepokojąco gruby patyk.

- Do wojska dostałem się do Południowej Brygady Powietrzno - Desantowej. Szło mi bardzo dobrze, zaproponowano mi szkołę podoficerską. Mam z tych lat bardzo dobre wspomnienia.

- Czyli po prostu komandos - podchwycił Janek.

- Mniej więcej. Chciałem jednak w życiu co innego. Gdy zdecydowałem się na opuszczenie służby zawodowej, powiedziano mi: „Jeszcze do nas wrócisz”. Odpowiedziałem: „Być może”. Na szczęście mogłem pracować w swoim zawodzie w wydawnictwie.

- Co ci załatwił dziennikarz Leonard - dorzucił Reising. - Wydaje się niemożliwe takie zestawienie. Sprawdzać się w służbach specjalnych i być mołem ksiązkowym. Czy oprawiaczem, jeszcze gorzej.

- To prawda. Przepowiadano mi, że nie wytrzymam za biurkiem. Stało się inaczej. Pracowało mi się świetnie. Byłem lubiany i doceniany. Skończyłem studia, douczyłem się niemieckiego, który w wersji gwarowej znałem z dzieciństwa. Byłem zadowolony, nie myślałem o zmianie. I jeden wieczór zdecydował o wszystkim.

Przyjechał szef niemieckiego wydawnictwa, z którym firma nawiązywała współpracę. Przyjmowany był zgodnie ze staropolską gościnnością, w końcu okazało się, że potrzebny jest kierowca znający język. Jeżdżących do tej pory wyeliminowała grypa. Ja się nadawałem i byłem trzeźwy. Dowiozłem więc towarzystwo do Wierzyńka, bawiłem gościa rozmową, kiedy miał na to ochotę, potem miałem ich odwiedzić, gdy ktoś zaproponował spacer po city. O tej porze nic dziwnego, że przyplątało się kilku agresywnych koleśi. Czepili się od

razu Niemca. Gdy szybko się z nimi uporałem, był zachwycony. Zwłaszcza kiedy po paru pytaniach i krótkim pokazie zorientował się w moich możliwościach samochodowych znacznie przewyższających jego wymagania. Następnego dnia zaproponował mi posadę kierowcy i ochroniarza jednocześnie. Początkowo odmówiłem. Umiał jednak przekonywać. Zwiedzę świat, stanę się finansowo niezależny, otworzę coś własnego, na przykład antykwariat, skoro tak lubię książki. Poddałem się.

- I to były te twoje saksy?

- Tak jest. Mój pracodawca nie skłamał. Rzeczywiście jeździłem, trochę zobaczyłem, funkcjonowałem prawie jak członek rodziny ze ściśle określonymi obowiązkami.

- Było go przed czym chronić? - spytała Marta.

- Czasem tak. Potrafił być nieostrożny i wtedy miałem trochę pracy. Poza tym czasem dostawałem dwóch osiłków do funkcji wykonawczych.

- I tam poznałeś się na narkotykach?

- Przypadkiem. Syn szefa wpadł w złe towarzystwo i trzeba było włożyć trochę energii w sprawę.

- Wyleciał ktoś przez okno - domyślił się Reising.

- Ale tylko raz. Ogólnie było raczej spokojnie, robiłem to, co umiałem i dość lubiłem. No i miałem szczęście, kilka lat w ciężkich czasach spędziłem za granicą. Po powrocie właściwie nie wiedziałem, co dalej. Warszawiak, którego poznałem w Niemczech na tyle, że mogłem mu zaufać, namówił mnie na otwarcie warsztatu samochodowego specjalizującego się w niemieckich markach. Był to dla mnie bardzo wygodny układ pozostawiający dużo wolnego czasu. Miałem na głowie rozmowy z trudniejszymi klientami i bardzo prosty biznes do pilnowania. Mogłem trochę doczytać, żeby uznać się za niewybrakowanego polonistę. W końcu wycofałem się z warsztatu i nie bez pomocy byłego szefa otworzyłem własne wydawnictwo. Do tej pory współpracujemy na niewielką skalę, ale w dobrym układzie.

- A ten twój drugi zawód, czy leży odłogiem? Nie licząc gościnnych występów tutaj.

- Zawód raczej tak. Natomiast trenuję dla przyjemności zamiast choćby gry w tenisa.

- W razie potrzeby jak znalazł. Przydaje się na przykład, gdy trzeba niepostrzeżenie opuścić swój pokój z pominięciem schodów,

tak jak dzisiaj, albo cudzy pokój akrobatycznie z jednego okna do drugiego, mam rację? - Drzygłód z niewyraźną miną skinął głową. - A co uczyniłeś z tamtymi przy tawernie?

- Prawie nic. Wystarczyło, że wpuściłem do wody pierwszego. Wyglądał, jakby nie żył, więc drugi był ostrożniejszy. Wskoczył za nim, wyłowił go i wszyscy szybko zniknęli.

- To dlatego słyszeliśmy dwa pluski. Ciekawe, dlaczego tamten wyglądał jak nieżywy.

- Wyglądał, ale nie był - wyjaśnił Drzygłód. - Co robimy z tymi tutaj?

- Hm, można by ich związanych włożyć do łodzi i wyciągnąć na środek jeziora.

- Wypadałoby jednemu z nich rozwiązać ręce, tylko przedtem trzeba mu trochę poprawić, żeby się nie obudził.

- Dobrze mówisz. Będziemy humanitarni. Ja to załatwię. - Janek już podnosił się z miejsca, gdy Marta schwyciła go za rękaw.

- Czyście poszaleli? To morderstwo!

- Uwierzyła - stwierdził rzeźbiarz. Drzygłód żałobnie skinął głową.

- Niestety, masz nas za zwierzęta.

- I niesłusznie - syknęła - bo jesteście zwyczajnie infantylni.

Janek przeciągnął się.

- O, na pewno. Dowiedziałem się o tym na sali sądowej przy okazji drugiego rozwodu. Ale teraz chyba najpraktyczniej będzie wezwać policję. Od tego przecież jest.

- W plecaku mam komórkę. - Drzygłód wyglądał, jakby zasypiał. - Może ich namówisz.

- Jak im wytłumaczysz okoliczności? - zastanowiła się Marta.

- Bardzo prosto. Nie będę nic tłumaczyć. Poszliśmy na spacer do lasu, mamy prawo, jesteśmy dorośli. Kolega wpadł w paści, bo miał pecha, a dalej prawdę.

- Nie uwierzą.

- Ich sprawa, co sobie pomyślą, ale złego słowa nie mogą powiedzieć.

Krytycznie patrzyła na Janka, gdy wspiąwszy się na kępę przy brzegu, spokojnie prowadził konwersację przy użyciu czarnego pudełka.

- W porządku - oznajmił, siadając przy ognisku. - Przyjadą.

- Tak? - Marta uniosła brwi. - A może byś nam wyjaśnił, skąd miałeś numer i kto to jest ten Karol jakimśtam, o którym do nich mówiłeś.

Reising niespieszony uśmiechnął się do niej tak serdecznie, że zaczęła ją ogarniać irytacja.

- Już mówię. Numer komisariatu w Pomyślewie mam od Karola.
- Po tym stwierdzeniu przestraszył się złego błysku w jej oczach.

- Aha, że też na to nie wpadłam. Rozumiesz coś z tego? - szukała wsparcia u Drzygłoda.

- Oczywiście, to proste. Karol dał mu numer telefonu.

- Wiesz, kto to jest Karol?

- Nie wiem, nie powiedział.

- Dał mi jeszcze - ciągnął dalej Reising - potwornie dużą apteczkę ze szczegółową instrukcją obsługi. „Dał” to źle powiedziane. Wmusił. Trudno się z nim dyskutuje, czego dowodem jest moja obecność tutaj. Nie miałem zamiaru nigdzie wyjeżdżać, ale on stwierdził, że jestem zmęczony, a ktoś zrezygnował z miejsca. Jego nie da się przekonać. Musiałbym go zabić, a to niebezpieczne. Więc zaniechałem oporu. Potem on wymyślił, że jest kłopot z Królem Węgory, i zaczęło się. Zdaje się, że nie powiedziałem, że Karol Stanisław jest komisarzem policji w Komendzie Stołecznej. Dla świętego spokoju wziąłem cały arsenał typu szkoła przetrwania i odmówiłem broni gazowej. Przy nim zamknąłem w szufladzie znienawidzoną komórkę, za co omal mnie nie zastrzelił. Musiałem więc obiecać, że w razie potrzeby powołam się na niego, co niniejszym uczyniłem.

- Opowiadałeś o złych doświadczeniach z policją.

- Bo mam najgorsze. Ten właśnie Karol spokojnie, bez wielkich zabiegów odebrał mi dziewczynę, która może by była moją żoną.

- Aha, czwartą. Odebrał czy sama poszła?

- Jaka ty jesteś dokładna. Dobrze, sama poszła. Drzygłód nie ukrywał podziwu.

- To wspaniałe, że mimo wszystko się przyjaźnicie.

- Nie takie wspaniałe. Jeszcze przed moim i jego przeniesieniem się do Warszawy marzyłem, żeby mu łeb rozwalić. I na pewno nie mogłem na niego spokojnie patrzeć, a co dopiero kulturalnie rozmawiać. Bo Karol to człowiek niewiarygodnie dokładny i dobrze wychowany. Mimo to dogadujemy się na swój sposób od czasu, gdy

wleźliśmy na siebie na Marszałkowskiej, nie wierząc własnym oczom i traktując jeden drugiego jak zły sen. Gdy okazało się, że jesteśmy w tej samej sytuacji nie tylko jako nowi mieszkańcy stolicy, ale również w kwestii Weroniki, która Karola też zdążyła zostawić, po raz pierwszy spojrzeliśmy na siebie po ludzku.

- Nie próbowałeś wobec tego zgłosić się do niej? - spytała niewinnie Marta. - Skoro zrozumiała, że tamto było pomyłką.

- O, nie. Powtórka to nie na moje nerwy. Wracając do sprawy. Karol z całą swoją skrupulatnością zaopatrzył mnie we wszystko i jeszcze rozkazał w nic się nie plątać.

Ostatnie słowa wypowiedział półgłosem, widząc śpiącego Drzygłoda.

- Spójrz. Nie do poznania.

- Myślisz, że taki jest naprawdę? - Marta patrzyła na jego twarz we śnie łagodną i spokojną.

- Myślę, że mniej więcej, tylko może trochę znerwicowany. Od nas zależy, jaki będzie teraz. Nie ma nikogo bliższego.

- Jak przekonałeś Antoniowa - szybko zmieniła temat - żeby ci wszystko zeznała?

- Zwyczajnie. Powiedziałem jej, że wiem, kim on jest, że jest niewinny. I mogę wyciągnąć go z kłopotów, w które się wpakował, ale muszę dokładnie wiedzieć, gdzie go wysłała. Zaaapelowałem do jej sumienia w nadziei, że jakieś resztkowe posiada. Siedziała i siedziała, patrząc w podłogę, a potem wyjąkała, że w ogóle to mi nie ufa, ale nie ma innego wyjścia. Wyrecytowała wszystko, jeszcze wręczyła kartkę z rysunkiem. Nawet interesujący prymitywizm. Razem z wojskowymi mapami od Karola byliśmy bogaci. Marta zamyśliła się.

- Nie chciało ci się przez ten cały czas powiedzieć mu, że wiesz, kim jest?

- Czasem bardzo. I pewnie powinienem był. Zaprzeczyłby, może dostał jakiegoś szalu, ale przecież by mnie nie zabił. Uniknęlibyśmy tej historii, on zaoszczędziłby zdrowia. Ale z kolei nie chciałem budzić czujności mordercy. Gdyby zrozumiał, że między nami jest jakiś układ, mógłby poczuć się zagrożony i bardziej wrabiać swoją ofiarę, czyli Drzygłoda. Wołałem się nie wtrącać.

- Nie obawiasz się jutrzejszego dnia? Przyjazdu prokuratora z kajdankami, nakazem i tak dalej?

- Absolutnie nie. Damy sobie radę. Co im za różnica, kogo aresztują?

Rzeczywiście, co za różnica. Zapatrzyła się w czerń lasu. Wydawał się spokojny, bezpieczny. Czy podobny rośnie na Południu, do którego w połowie należy? Gdzie jest naprawdę jej miejsce? Czy go jeszcze szukać? Jak je poznać? W każdym razie ten las należy do niej, obojętnie, kim ona jest.

Niezbyt hałaśliwy warkot silnika. Przyjechali. Nie ruszyła się z miejsca. Przywitali się, Janek załatwił wszystko. Coś pisali. Załadowali tamtych szybko i sprawnie. Pożegnali się. Pewnie do jutra. Reising był zadowolony.

- Budzimy go i ładujemy się do łodzi.

Podszedł do Drzygłoda, który wzięty za rękę drgnął nerwowo, ale rozbudzony patrzył spokojnie.

- Szczęście, że mnie z miejsca nie zabiłeś. Ryzykowałem.

- Nie - przesunął ręką po czole - w pierwszej chwili nie wiedziałem, gdzie jestem. Czy już po wszystkim?

- Tak, wracamy. - Podał mu ramię.

W łodzi było sucho i wygodnie. Płynęli powoli po czarnej, pokrytej wodorostami rzeczce.

- Patrzysz na te mokre obrzydlistwa, jakbyś coś kombinował - dziwiła się Marta. - Jeszcze ci nie przeszedł pomysł z happeningiem?

- Skądże. Za dobra rzecz, żeby z niej zrezygnować. Wszystko tu jest całkowicie romantyczne i pasuje do lektur szkolnych. To się teraz podoba. Mówiłeś, że lubisz Norwida.

Drzygłód uśmiechnął się niepewnie.

- Oczywiście nie. Kłamałem. Byłoby zbyt osobiste powiedzieć prawdę. Tak, jak bym się przyznał, że w poprawczaku w bibliotece znalazłem Słowackiego i przeczytałem wszystko. Dwanaście tomów.

- Słowacki? - ożywiła się Marta. - Ten, co mówił: „O mój Boże, jak mi smutno!”?

Łódź przechyliła się. To Reising o mało nie wpadł do wody.

- Potopisz nas - zwróciła uwagę.

- Sam się chciałem utopić! - krzyknął. - Coś ty powiedziała? Przeczysz - zabrakło mu tchu - wszelkim prawom psychologii rozwojowej. Jesteś pojedynczym, wyizolowanym przypadkiem umysłowym.

- Artefaktem - zgodziła się.

Drzygłód miał minę doświadczonego klinicysty.

- Żartowała - uspokoił go.

- Żartowałam - powtórzyła. Janek otarł czoło.

- Widzisz, jaka jesteś potworna? Uwierzyłem ci.

- A ja nie - przypomniał Drzygłód.

- Bo jej nie znasz. Stać ją na wszystko. Odbiega od wszelkich norm.

- Od twoich norm. Rzecz nazywa się Hymn o zachodzie słońca i umiem go na pamięć. W domu na półce był tylko niestety jeden tom, bo ktoś go przyniósł, ale dzięki niemu dotarło do mnie, że język, którym mówię, niekoniecznie jest świszczący i zgrzytliwy, a także bez melodii w odróżnieniu od języka mamy.

- Prawda, że w tej konkurencji polski nie ma startu do macedońskiego, ale czy mama w końcu nauczyła cię swojej, lepszej, mowy?

- Nigdy. Tylko kilku piosenek. Przysięgła bratu, że tego nie zrobi. Żeby nie wychowywać mnie na odmieńca.

- Mogłabyś studiować filologię albo tłumaczyć.

- Akurat to mnie nie interesuje. Wolę robić swoje.

- Dlatego i tak jesteś odmieńcem - rzekł, po czym kontrolnie spojrzał na Drzygłoda. - Jak się czujesz? Nie masz gorączki?

- Nie mam na pewno. Nie chciałbym tylko złapać kataru.

Na chwilę znieruchomieli.

- Czy ja dobrze słyszę? Byłeś jedną nogą na tamtym świecie, a boisz się kataru?

- Oczywiście. Raz miałem i pamiętam go jako coś okropnego.

Reising wykonał kilka oddechów dla uspokojenia.

- Przepraszam za niedyskrecję. Prócz tego niewątpliwego dramatu, jakim był katar, czy coś z przypadku zdrowotnych kiedykolwiek ci się zdarzyło?

Zastanowił się.

- Chyba nie. Nigdy mi nie mówiono, że jestem na coś chory.

- Wszystko jasne - westchnęła Marta. - Był idealny.

- Może dobrze by było jakoś sprawdzić, czy nie jesteś sztuczny - rozważał Reising - ale już dopływamy.

Przybili cicho do brzegu.

W domu najwyraźniej spali wszyscy oprócz Antoniowej, która czekała w uchylonych drzwiach. Nie powiedziała ani słowa. Od razu podporządkowała się dyspozycjom Reisinga.

- Proszę pilnować Marty, niech śpi u pani. My zmieścimy się w moim pokoju. Tylko tak będzie bezpiecznie.

- Jesteś pewien?

- Najzupełniej. Do mnie nikt nie wejdzie, tu nie ma szaleńców. Niech jej pani nie odstępkuje na krok. Na wszelki wypadek.

Na wszelki wypadek. Co się może stać, jeśli do tej pory nikt jej nie upolował?

Zagnieżdżona w pokoiku Antoniowej na jakimś niewiarygodnie wysokim i zgubnym dla kręgosłupa łożu zasnęła natychmiast głębokim, zdrowym snem.

Rozdział 19

- Kochana, niech pani wstaje. Już są.

Są? Aha, policja, prokurator. Martą wstrząsnął nagły lęk. Wczoraj wszystko było łatwe i proste. Dzisiaj trzeba z kimś wygrać. Przecież wcale nie musi się udać. Nie ma żadnej gwarancji. Ubrała się błyskawicznie, obejrzała w lustrze i stwierdziła, że wygląda fatalnie. Ale to bez znaczenia.

Stała w drzwiach kuchni, czekając na to, co ma się stać. Krzysz Nowakowski chyba też spłoszony dotknął jej ramienia.

- Widzi pani? Jak w filmie. Nigdy, nigdy nie przypuszczałem, że przeżyję coś takiego, jak to wszystko, co nas tu spotyka.

- Powinien pan się cieszyć. Koniec i do domu.

- I co w tym dobrego? Chciałem mieć chociaż fajne wakacje - posmutniał.

- Niech się pan nie martwi, jeszcze się ułoży - powiedziała odruchowo, lecz bez przekonania i dalej już nie słuchała, bo korytarz właśnie zaczął się zaludniać. Zobaczyła blondyna w szarej marynarce i złotych okularach, a za nim dwóch policjantów, z których jeden jej się uklonił. Wczorajszy znajomy z bagien. Czy oni nigdy nie śpią?

- Panie prokuratorze - Trzeciak chciał chwycić blondyna za marynarkę. - Oczywiście, posiada pan komplet dowodów, podsumuje pan sprawę i odjeżdżamy. Zaczniemy jednak od najlepszego śniadania w życiu Antoniowej.

- Dziękuję, zaliczyłem tę przyjemność w domu. - Prokurator szukając czegoś, lub kogoś, wzrokiem natknął się na Patrycję tym razem w pensjonarskiej spódniczce i niebieskiej bluzce. Oceniał ją wyraźnie pozytywnie.

- Czy uda się panu ująć mordercę? - spytał rzeczowo Wolski. - Jest znany z imienia i nazwiska, stoi jego samochód. Jakie są szanse na jego odnalezienie i aresztowanie?

- Sam pan sobie udzielił odpowiedzi - odparł grzecznie zapytany. - Mamy świadków i dowody, większych trudności nie będzie.

- Mogło mu się coś stać w tym lesie - westchnęła cicho Godziszewska.

- Żałuje go pani? - szybko wtrącił się leśniczy.

- Ależ skądże - spojrzała wyniośle. - Mógł jeszcze zdążyć za granicę.

- Nie ma obawy - uspokoił prokurator. - Poradzimy sobie.

Wszyscy weszli do salonu, robiąc mu honorowe miejsce. Leśniczy rozejrzał się.

- Gdzie pan Reising? Od rana go nie było?

- Ale w ogóle wstał - ogłosił Trzeciak. - Prosił, żeby na niego nie czekać, zje śniadanie prywatnie. Tak dokładnie powiedział.

- To już chyba przesadził - uznał leśniczy. - Coś go jednak obowiązuje, mimo że jest artystą.

- Oczywiście, na przykład artystyczne podejście do rzeczywistości. - Janek stał w drzwiach, świeży, zadowolony, jak po dobrze przespanej nocy i jeszcze lepszym śniadaniu. Za nim osoba, której obecność zmroziła wszystkich.

Drzygłód w ciemnym swetrze wyglądał na jeszcze bledszego, ale prócz lekkiego utykania nic nie wskazywało na to, co działo się z nim w nocy.

Marta wyobrażała sobie, ile musi go kosztować ten idealny spokój.

Kompletna cisza. Tylko westchnienie Beaty Wolskiej.

Reising bez wahania zajął miejsce przy prokuratorze. Za nim powoli Drzygłód.

Wolny fotel obok Marty pozostał niezajęty. Dobrze, wszystko jedno.

- No tak. - Prokurator popatrzył po obecnych, sprawdzając, czy ktoś nie dostał zawału. - Przyjechałem, jak państwu wiadomo, w związku z popełnionymi dwoma morderstwami. Gwałtowne opady i zalanie terenów po drugiej stronie jeziora uniemożliwiły natychmiastową akcję. Co nie znaczy, że sprawą się nie zajmowano. Natomiast wczoraj zostaliśmy zaproszeni - uśmiechnął się - na gotowe. Tylko dokonać aresztowania. Potem w ramach zmieniającej się rzeczywistości okazało się, że podejrzany zniknął. Nie na długo, bo sam się znalazł z pięcioma związanymi, nieprzytomnymi bandytami. Jak na Króla Węgorzy, nawet zgrabnie. Siły konkurencji zostały poważnie nadszarpnięte. Ze ścisłej relacji, jaką otrzymałem dzisiaj rano - spojrzał na leśniczego, który pojaśniał z dumy - wiemy, że pan Drzygłód nie posiada alibi na czas drugiego morderstwa, znaleziony fragment pana garderoby świadczyłby o tym, że przybił pan łodzią do miejsca, gdzie została uduszona Nina Boguszewicz. Przy pierwszym morderstwie znalazł się pan również wśród podejrzanych, gdy stwierdzono, że zegar został umyślnie nastawiony

na dziesiątą trzydzieści dwie. Motyw pierwszego morderstwa pozostaje nieznany, natomiast drugie zabójstwo byłoby konsekwencją pierwszego. Pani Nina Boguszewicz szybko zdiagnozowała pana jako ukrywającego prawdę o sobie. Tryumf z odkrycia wziął górę nad zdrowym rozsądkiem. Niemal drażniła się z panem, opowiadając o lustrze prawdy i dzieląc się z innymi swoimi rewelacjami filologicznymi dotyczącymi pana.

Drzygłód, który cały czas siedział, podpierając czoło, ale nie zasłaniał twarzy, teraz zmarszczył lekko brwi.

- Nie miałem pojęcia, o co chodzi pani Boguszewicz. Oczywiście, zdawałem sobie sprawę z błędów w wymowie, jakie mogą mi się zdarzyć, ale nie myślałem, że aż tak często - dodał bez cienia zażenowania i Marta z trudem powstrzymała się od uśmiechu

Po raz pierwszy chyba Marta ani nie siedziała naprzeciw, ani nie mogła uchwycić jego spojrzenia. Może dlatego, że w ogóle nie patrzył w jej stronę. W przeciwieństwie do Reisinga, który zdążył już kilkakrotnie zrobić do niej ostentacyjnie porozumiewawczą minę.

Na dźwięk głosu Drzygłoda wszyscy poruszyli się nerwowo. Godziszewska szarpnęła stylowy wisiołek, Trzeciak zdjął okulary do przetarcia i zostawił je na kolanach. Leśniczy pokręcił głową z dezaprobatą, po czym stanął w drzwiach, jakby chcąc udaremnić ewentualną ucieczkę.

- W sumie drogą eliminacji - mówił dalej prokurator - ponieważ oba morderstwa popełniła ta sama osoba i jest pan jedynym bez alibi przy drugim i podejrzanym przy pierwszym, poszlaki wskazują na pana. Pozostaje tylko dziwić się, dlaczego przy swojej inteligencji zdecydował się pan na tak prymitywny chwyt z ustawieniem wskazówek zegara.

Drzygłód uniósł brwi zaskoczony, natomiast Reising przeciągnął się tak skutecznie, że siedzący naprzeciw Wolski przezornie cofnął się z fotelem.

- Jasne, że to prymitywny chwyt - powiedział niegłośnie i trochę do siebie. - Pod warunkiem, że się na przykład po ustawieniu godziny zostawi śrubkę w spokoju albo przynajmniej pozostawi ją w obudowie. Wszystkie inne układy świadczą o tym, że w zegarze majstrowano.

- Przecież ona sama wypadła - zaprotestował leśniczy.

- Widział pan to? No właśnie. Natomiast nam rzeczywiście miało się tak wydawać. To uniemożliwiało nabranie się na ograny numer, nawet gdybyśmy przez przypadek okazali się tak naiwni.

- To dlaczego w ogóle coś ruszał? - nie wytrzymał Trzeciak.

- Dla zmyły. Ustalił godzinę dziesiątą trzydzieści dwie, moment, w którym człowiek bez alibi będzie właśnie poza podejrzeniem, a im lepsze alibi, tym bardziej nada się na mordercę. Niegłupio zrobione. Popełnia się zbrodnię, nastawia wskazówki zegara na jakąś godzinę, na którą planuje się nie mieć alibi, i najlepiej, żeby wrabiana osoba miała alibi bardzo dobre.

- Czyli najlepiej na wcześniejszą, kiedy już wszystko wiadomo.

- Oczywiście, jeśli jest taka możliwość. Tylko ofiara dla przyzwoitości raczej nie powinna być widziana o tej porze żywa. Jeśli wskazówki do przodu, to trzeba schować się do mysiej dziury, żeby nam nikt złośliwie alibi nie zrobił i jedyne, co ryzykujemy, to że ktoś, kogo wrabiamy albo, co gorzej, wszyscy też alibi nie mają. Ale nad tym można popracować, są przecież lepsze i gorsze pory dnia związane ze zwyczajami domowników.

- Podoba mi się to - stwierdził prokurator. - Sposób dobry. Co z motywami?

- Najlepszy najprostszy. Winien, kto korzysta.

- Wyrodek - szepnęła Wolska.

- Tak, pod warunkiem, że się go nie wyeliminuje. Na przykład jako domniemanego mordercę. Poza nim mogą być jeszcze inni krewni. Nie zapominajmy o dzieciach tego kuzyna, który przyjeżdżał i którego widzieliśmy na zdjęciu.

- Miał tylko córeczkę - Oleńka wyjrzała zza ramienia leśniczego.

- A zna pani jej imię?

- Nie, ale zawsze przecież można się dowiedzieć.

- Gdybyśmy znali imię, okazałoby się, że to nie dziewczynka, tylko ładny chłopczyk z buzią jak aniołek i nieobcinanymi jasnymi loczkami. Niektóre mamy, jeśli chciały córeczkę, a nie mają na nią szans, hodują syna na słodko.

- Straszne. I co dalej? - niecierpliwił się Wolski.

- Dalej mamy morderstwo, które całkiem zgrabnie się udało, i śrubkę w garści. Należy z nią coś zrobić. Najlepiej podrzucić wrabianemu. To proste. Gorzej, że jest ktoś, kto z kolei chce go chronić, i najzwyczajniej śrubkę przekłada. Niedobrze. Tym bardziej

że pani Nina zaczyna być zbyt aktywna, coraz więcej mówi o lustrze prawdy. Jest coś w tej nazwie. Można w nim zobaczyć wnętrze salonu, będąc na korytarzu. W tym również podkładanie śrubki do walkmana. Właśnie Nina Boguszewicz miała taką możliwość. Nie skorzystała z niej, zajęta czym innym, ale o tym nie było wiadomo. Na razie widzimy, że nie robi z tego użytku, zawsze jednak może sobie przypomnieć i zrozumieć. Na szczęście całą swoją energię kieruje na pana Drzygłoda i w momencie, kiedy już chyba wszyscy oprócz niego samego wiedzieli, że go podejrzewa, należało działać. Zwłaszcza jeśli nadarzyła się okazja. Wyśledziliśmy, że po rozstaniu z panią Godziszewska samotnie poszła w kierunku polanki, miejsca odludnego i dostępnego jednocześnie. Dostępnego również z jeziora. No więc, kiedy ofiara już nie żyła, umieściliśmy w piachu przy brzegu guzik z kurtki wrabianego. Alibi załatwił elegancko kwiatek bagienny, który miał przekonać wszystkich, że przez cały czas byliśmy całkiem gdzie indziej. W zasadzie wszystko się udało, możemy być zadowoleni, tym bardziej że nikt nie wie o motywie: spadku.

Krzyś Nowakowski zaśmiał się nerwowo.

- Albo pan żartuje, albo ja znowu mam pecha. Wiedziałem od gospodyni, że mam to samo nazwisko co jej kuzyn, ale Nowakowskich jest naprawdę bardzo dużo i nikt do tego nie przywiązywał wagi.

- Jest dużo, ale nie o rysach tak uderzająco podobnych do pana ojca. Obejrzałem wszystkie zdjęcia i potrafię odtworzyć jego twarz w dowolnym materiale, jak sądzę.

Na blade policzki Nowakowskiego wystąpił rumieniec.

- To jakaś groteska. Upatrzył mnie pan sobie na ofiarę, żeby osłonić siostrzeńca gospodyni. Nie wiem, dlaczego jest pan z nim w układach, i dowody przeciwko niemu nazywa pan wrabianiem. - Nie mogąc opanować drżenia, wskazał na Drzygłoda.

Prokurator uniósł brwi.

- Na jakiej podstawie twierdzi pan, że to siostrzeniec gospodyni? Czy pan jest jego krewnym?

Przez chwilę wydawało się, że młody człowiek zemdleje, ale z dużym wysiłkiem zaczął mówić cichym, nierównym głosem:

- Jestem krewnym, to akurat prawda. Mój ojciec, Ryszard Nowakowski, jako dziennikarz piszący o młodocianych przestępcach pomógł mi kiedyś, nie zdradzając się, kim jest. Powiedział mi o tym

niedługo przed śmiercią, w tajemnicy. Powinienem był jej dotrzymać, ale nie mogłem. Poszedłem do pana Drzygłoda, przedstawiłem się i powtórzyłem wszystko. Myślałem, że się ucieszy. Nie. Zagroził mi, że źle skończę, jeżeli go przed kimś zdradzę. Bałem się. Bałem się go cały czas. Dziwiliście się mojemu zdenerwowaniu, gdy upuściłem walkmana. Wiedziałem, że mnie nienawidzi, a teraz, kiedy uszkodziłem jego własność, będzie się mścił, jak każdy posiadacz. I to jest wszystko, co mam do powiedzenia - zakończył nerwowo, podnosząc głos.

Wszyscy patrzyli na Drzygłoda, którego twarz nie wyrażała teraz nic poza kompletnym zdumieniem i zaskoczeniem.

Reising ani trochę nieprzejęty pogrzebał w kieszeni dżinsów i wyjął coś w plastikowej torebce. W dwóch palcach podał ją prokuratorowi.

- Może to pana zainteresuje, panie Krzysztofie, bo lubi pan dowody rzeczowe z fragmentów garderoby. Ten akurat dzyndzelek od zamka przy kieszeni pana bluzy musiał się już dawno źle trzymać. Taką tandetę teraz sprzedają. Pewnie zaczepił się o gałąź, gdy pan zrywał te piękne kwiatki dla alibi. Musiał się pan nieźle nagimnastykować w tym małym oczku wodnym jakieś pięćdziesiąt metrów od miejsca morderstwa. Jest trochę gorzej dostępne niż bagna, nad którymi miał pan być. Charakteryzuje się specyficzną florą i fauną, badania laboratoryjne łatwo to potwierdzą. Moja żona, trzecia, była biologiem, dlatego wiem, co mówię. Nowakowski znieruchomiał.

- Co pan na to? - spytał prokurator.

Milczał, ciężko oddychając, potem z trudem skinął głową.

- Miałem pecha. Jak zawsze. Przyznaję się do wszystkiego. Zadowoleni jesteście? - Jego twarz wykrzywił grymas złości. - Przyjemnie tak być górą? Macie, napatrzcie się! Dumni z siebie? Sprawiedliwi! Przynajmniej nie będę musiał was wszystkich widzieć!

Gdy policjanci wyprowadzili go, zapanowało wrażenie pustki. W powietrzu zawisła tylko cisza. Drzygłód poruszył się w fotelu.

- Chciałem powiedzieć, że nigdy nie rozmawiałem na mój temat z tym młodym człowiekiem i nikogo nie straszyłem.

- Nikt ani przez chwilę w to nie wierzył, prawda? - uśmiechnął się prokurator.

- Oczywiście nie - ożył Trzeciak.

- I nikt nie sądził, że jest pan w coś zamieszany - dodał Wolski.

- Tak jest, niniejsze zebranie najlepiej o tym świadczy - stwierdził uroczyście Reising.

- Było mi bardzo miło poznać państwa - prokurator zbierał się do wyjścia. - A nawiasem mówiąc, nie byłbym taki pewien różnicowania próbek z bajerek w laboratorium. Zna się pan na tym?

Reising wyglądał jak uosobienie niewinności.

- Ani trochę. Lepiej niech pan ich nigdzie nie daje. Wybrudziłem dzyndzel koło kurnika. Wczoraj wieczór oberwałem go Krzysiovi na wieszaku. Byłem pewien, że się nabierze. Proszę się tak nie patrzeć, on może fałszować dowody, to ja też.

- Nie doceniłem pana. - Prokurator nie krył wesołości. - Komisarz Stanisław radził, żeby panu zaufać i w niczym nie przeszkadzać, nawet wbrew wszelkiej logice. Kosztowało mnie to trochę silnej woli, ale warto było. - Podał mu rękę i zwrócił się do Drzygłoda: - Chyba przydałby się lekarz. Może pojedziemy razem? Czy woli pan później? - dodał, nie widząc jego entuzjazmu. - Tylko proszę z tym nie zwlekać. Dobrze, że się wczoraj nie pośpieszyłem. - Przytrzymał chwilę jego dłoń. - Właściwie przygotowałem już nakaz. Mieliśmy szczęście.

Gdy wyszedł, nikt nie ruszył się z miejsca. Tylko Drzygłód nagle znalazł się przy Marcie.

- Czy mogę usiąść przy tobie? - Były to pierwsze słowa, jakie od niego usłyszała, i chyba pierwsze jego spojrzenie.

- Od dawna - odparła obrażona.

- Uznałem, że powinienem być sam, dopóki nie zostaną oczyszczony z zarzutów. - Szybko ujął jej dłoń i pocałował.

Czuła się dziwnie. Siedzieli obok siebie przyjaźni, spokojni, jak starzy znajomi. Ani śladu dawnego napięcia. Jednak skąd ten niepokój? Co się dzieje? Przymknęła oczy.

- Jesteś zmęczona? To moja wina. Janek ma rację, że ze mnie beznadziejny histeryk.

Spokojny, zrównoważony przysunął Marcie filiżankę. Przez chwilę otaczał ją ramieniem. Poczowała dreszcz. I żal, kiedy znowu siedział obok niej poprawny, elegancki. Z trudnością opanowała się, żeby nie patrzeć na niego cały czas. Na jego lekką opaleniznę i prawie sterylność, jakby przez ostatnią dobę nie zajmował się niczym poza dbaniem o swój wygląd. Z trudem sięgnęła po herbatę, za wszelką

cenę starała się zachowywać normalnie. Nie, nie spojrzysz na niego, nie będzie sobie niszczyć nerwów.

- Panie redaktorze - usłyszała Wolskiego - jak pan wytłumaczy zamach na pana z samochodem terenowym?

- Wcale nie wytłumaczę. Przypadek.

- Jak to? - zdziwił się Janek. - Wytłumaczeniem jest niedbalstwo i nieodpowiedzialność.

- To prawda - zgodził się Drzygłód. - Przypadkowo stałem się jej ofiarą. Natomiast nie mogę wytłumaczyć tego, że pana leśniczego widziałem nad brzegiem, kiedy był w mieście.

- Przysięgam na wszystko. - Uderzył się w pierś. - Wiem, że pan mi nie wierzy i ma o mnie najgorsze wyobrażenie, ale mówię prawdę. Żeby mnie pan miał zabić!

Drzygłód przesunął po czole ręką teraz z podciągniętymi rękawami odsłaniającymi filmowe mięśnie przedramienia i rozbudowany nadgarstek ze szczupłą, elegancką dłonią.

- Nie chce pana zabijać, ale widziałem kogoś w mundurze.

- Na przykład w zielonym, niekoniecznie dokładnie leśnika - dodał Reising - może trochę harcerskim, prawda?

Pod jego pogodnym spojrzeniem Trzeciak zrobił się również zielony.

- Dobrze - rzucił nerwowo. - To nie przestępstwo. Byłem tam wtedy. Trochę się przebrałem, dla urozmaicenia.

- Nie mógł pan tego wcześniej powiedzieć? - zainteresował się Wolski. - Na przykład przy ustalaniu alibi.

- Nie bardzo - sięgnął po maalox.

- Tylko niech pan nam oszczędzi ataku - powiedział zimno rzeźbiarz. - Lepiej proszę wytłumaczyć sprawę szyberka, bo wokół niej powstały legendy.

Trzeciak zakręcił butelkę. Obtarł czoło chustką.

- Nie wiedziałem, że się go nie zamyka. Chciałem, żeby wszystko było w porządku. Reszty nie będę tłumaczył.

- Nie jesteśmy ciekawi.

Reszta czuła wprawdzie niedosyt informacji, ale nadaremnie. Marty akurat nie interesowały szczegóły. Prawdę mówiąc, nie interesowało ją nic. Czuła się jak uwięziona. Nie może dłużej słuchać, jak wypytują Drzygłoda o plany na przyszłość, i jego uprzejmych, zdawkowych odpowiedzi.

- No dobrze - wrócił do tematu Wolski. - To czego w końcu przestraszył się Nowakowski, gdy upuścił walkmana? Bo nie zrobił mu pan awantury ani nie groził wcześniej morderstwem. Więc czemu tak się spłoszył?

- Właśnie - dołączyła się Godziszewska. - Trząśł się, jakby coś stracił. Coś, na czym mu zależało. Myślałam, że pracę.

- Albo jakby zobaczył ducha.

Drzygłód bezradnie rozłożył ręce.

Reising bezskutecznie usiłował zmierzwić swoją krótko przyciętą czuprynę.

- Rzeczywiście. Oboje państwo mają rację. Jakby ducha. Miałem przeczucie, że tutaj tkwi ostateczne rozwiązanie zagadki. Mógł się przestraszyć tego, co zobaczył albo co usłyszał. Marta jednak dokładnie pamiętała, że jego lęk pojawił się precyzyjnie na widok rozpadniętego walkmana. Śmieszne by było sądzić, że chodzi o rozsypanie tej zabawki. Mógł więc ujrzeć coś strasznego w środku. Ale tam nic nie było. I to właśnie musiało go przerazić. Tam powinna była wypaść śrubka, którą podłożył. I nie wypadła. Czyli ktoś ją wyjął. Ktoś ingeruje w jego działania. Może go śledzi. Pewnie pomyślał o pani Ninie, która teoretycznie mogła widzieć w lustrze, jak podkładał śrubkę do walkmana.

- O Boże, to co się z tą śrubką stało? Wyfrunęła? - denerwował się Wolski.

- Nie wyfrunęła - dziwnie łagodnie odezwała się spod drzwi Antoniowa. - Sprzątałam, upadł, wyleciała. Pudełeczko jakoś samo mi się złożyło, a ze śrubką trzeba było coś poradzić. Podłożyłam.

- Dlaczego mi? - jęknął Trzeciak.

- Sam pan dobrze wie - rzuciła krótko.

- I tak w pani oczach stałem się już pewnym mordercą - skinął głową Drzygłód. - Dobrze, że sobie z tego nie zdawałem sprawy.

Sięgnął po filiżankę, pytając Martę, czy dolać jej herbaty. Podziękowała. Jeszcze wczoraj, gdy siedzieli tutaj obok siebie, panowało między nimi napięcie i chłód. Czy rzeczywiście chłód? Już nawet nie wie, co przy nim czuła od samego początku. Pierwszy raz w życiu nie rozumie, co się z nią naprawdę dzieje. Wieczorem w lesie ta przyjacielska bliskość, coś nowego, dobrego. Dziś absolutnie poprawna grzeczność. Jest idealnie miły w każdym geście i słowie, dokładnie tak, jak powinien. Perfekcja w zachowaniu w stosunku do

niej. Bardzo dobrze. Niech sobie będzie tak doskonały, jak tylko go stać. To jego sprawa.

Natomiast siedząca naprzeciw Patrycja wpatrywała się w Drzygłoda szeroko otwartymi oczami.

- No dobrze - przypomniał sobie Wolski - panie Janku, czy pan wyjaśnił historię z kluczem do pana pokoju?

Reising machnął ręką.

- Zwykle nieporozumienie. Już o tym zapomniałem.

- Rzeczywiście, to nic w porównaniu z morderstwem. Niech pan powie, kiedy zaczął podejrzewać Nowakowskiego.

Janek podniósł brwi z zastanowieniem.

- Właściwie nie dawały mi spokoju dwie rzeczy. Gdy zrozumiałem, że pasują do siebie, miałem go namierzonego. Pierwsze, to że chwyt z zegarkiem, zbyt prosty, mieliśmy pokazany jak na dłoni. I wskazywał nam dawanie alibi temu, kto go nie ma. Drugie, to dziwny moment, kiedy przy mojej wpadce do bagna widziałem Krzysia z pewnej odległości, ale niezbyt dużej. Byłem przekonany, że on mnie też zauważył i poda jako swoje alibi. Nie zrobił tego. Widać nie chciał i to nie dawało mi spokoju. Potem zrozumiałem, jaki może być najprostszy powód. Nie chciał mieć alibi, żeby stanąć poza podejrzeniami. Ponieważ sprawy najwyraźniej nie uznał za załatwioną, opowiedział o swoim słabym wzroku i nieodpowiednich okularach. Ale ja to miałem już sprawdzone. Pokazałem, pozornie po to, żeby irytować Wojtkę, kartkę z niezbyt wyraźnym szkicem. Nowakowski z odległości rozpoznał drzewo, które narysowałem. Potrafiłem zrobić taki szum wokół siebie, że stracił czujność. Chyba zaczynał się trochę plątać, chociaż i tak w sumie wszystko całkiem nieźle mu wychodziło.

- Takie dobre robił wrażenie - kręciła głową Beata. - Pamiętacie, jak ładnie mówił o sprawiedliwości?

Nikt nie odpowiedział. Powoli wszyscy ruszali się z miejsc. Całe szczęście. Marta już od dawna chciała wyjść. Woli być sama w swoim pokoju niż oddalona o centymetr od tego człowieka. Dochodząc do schodów, raczej wyczuwała, niż słyszała, że szedł za nią. Nie odwróciła się.

- Marzysz pewnie o znalezieniu się w domu? Jego czarny sweter teraz lekko dotykał jej ramienia.

Dobrze pamiętała tę bliskość z ostatniego wieczoru. Bardzo zwykła i naturalna.

- Raczej tak - odpowiedziała, siłąc się na obojętny ton.

Lekko odwróciła głowę. Zdecydowany zarys opalonego podbródka, twarz, którą już tak dobrze знаła.

- Panie redaktorze! - głos Godziszewskiej brzmiał dramatycznie.

- Jest pan niezbędny jako gospodarz, błagamy o przyjęcie.

Chyba się skrzywił.

- Przepraszam cię. - Delikatnie dotknął jej ramienia. - Pójdę, ale w przyszłości wymówię sobie takie akcje.

Zniknął, a ona powoli wspinała się na górę. W pokoju ledwie zdążyła wyciągnąć się na tapczanie i utkwic wzrok w rysie na suficie, kiedy z symbolicznym pukaniem do środka władował się Reising. Usiadł bezceremonialnie przy jej nogach, wygodnie opierając się o kilim.

- No, załatwione - oznajmił. - Koniec zabawy. Teraz Wojtek ma zajęcie, bo Antoniowa wessała go do kuchni. Pytała, co na obiad. Żebyś widziała, jaką miał minę! Myślę, że nigdy więcej nie zada mu takiego pytania. Stanowczo nie bawi go rola gospodarza, chociaż oczywiście zaprosił wszystkich do pozostania jak najdłużej w charakterze gości. Ale raczej powyjeżdżają dziś albo jutro rano.

Marta ledwie słuchała. Myślała o czym innym.

- Chyba nie chwyciłam, o co chodzi z tymi emocjami. Miłość Antoniowej do Wyrodka mogę sobie wytłumaczyć, ale reszty nie bardzo.

- Zaraz sobie wytłumaczysz. Z miłości do Wyrodka w prostej linii wynika miłość do ciebie, bo uznała cię za jego wybraną. - Marcie zrobiło się gorąco, ale na szczęście pod jej karnacją nie było widać rumieńca. - Automatycznie nienawiść do mnie jako domniemanego rywala. Ta kobieta nie uznaje żadnych uczuciowych półcieni. Miłość albo nienawiść. Ofiarą tej drugiej padł niejaki Trzeciak. Dlaczego? Bardzo proste. Jest nałogowym wczasowym uwodzicielem i szuka tylko obiektu, a Oleńka bardzo chętnie korzysta z takich okazji. Martwi to matkę, która chce ją upchnąć za leśniczego. Miejscem spotkań jest zwyczajowo stara tawerna. Stąd można tam znaleźć latarkę, słodycze i co tam jeszcze. Ze sprawą wiąże się również awantura i popłoch z porannym zaczadzeniem. Trzeciak przyznał się, bo nie miał wyjścia. Wieczorem w domu Antoniowa ich spłoszyła, a

on został, żeby zatrzeć ślady. Ponieważ zna się na piecach węglowych, automatycznie zamknął szyber. Chciał zostawić wszystko w porządku i wyszło akurat na odwrót. Znacznie lepiej udało mu się atak wrzodu, który miał powstrzymać towarzystwo od dojścia do tawerny, gdzie zostały jakieś pozostałości jego życia towarzyskiego. No i na deser nie chciał się przyznać do wizyty w tawernie w paradnym harcerskim ubranku, choćby to miało kosztować czyjeś życie.

Marta spojrzała na rzeźbiarza uważnie, jakby pierwszy raz w życiu.

- Skąd ty to wiesz? - spytała rzeczowo.

- Z oślizgłych spojrzeń, które rejestruję, z lęku, który wyczuwam. Z tego, że życie w gruncie rzeczy jest proste, banalne i wszystko się w nim zgadza. A nie zgadzało się na przykład u romantycznie zakochanego Krzysia. Po niedoszłym wypadku z łazikiem zachował się bardzo interesująco. Wszystkim się przejął, ale nie tym, że Patrycja była w niebezpieczeństwie. Zapomniał, że ma być zakochany, albo raczej nie wiedział, jak to wtedy jest.

- Myślisz, że nie był ani trochę?

- Ani trochę. Nie posiada takiej umiejętności. Udawał, bo mu pasowało. Na nieszczęśliwie zakochanego zwykle wszyscy patrzą z sympatią, jest bezpieczniejszy. Całą rzecz dobrze zaplanował. Od dawna tu przyjeżdżał obserwować. Stwierdził, że to ostatni moment, kiedy można liczyć na spadek. Należało jeszcze zwabić kuzyna i wrobić go w morderstwo. Wy tłumaczył gospodyni, że warto wysłać do pana redaktora zaproszenie. Spodziewał się, że on nie odmówi. I nie mylił się...

- Dlaczego nie przyznał się gospodyni do pokrewieństwa? Przecież był synem człowieka, którego kochała.

- Ale z małżeństwa, którego nienawidziła. Natomiast sam Ryszard Nowakowski po ciulęcemu niegdyś zakochany w starszej od siebie, pięknej, promieniejącej uczuciem Alicji zachował sentyment dla jej syna. I kiedy zetknął się z nim z racji zawodowych zainteresowań, zajął się nim i jego przeszłością. Na wszelki wypadek jednak nie przyznał się do pokrewieństwa. Nie musiał, jego sprawa. Ale synowi zdążył jeszcze powiedzieć, że ma kuzyna i kim on jest. Ten na wszelki wypadek nie przedstawił się Drzygłodowi. Zawsze mógł to zrobić, a miał lepszy plan, który stał się bardzo potrzebny,

kiedy wylali go z roboty. Chodziło o pozbycie się niezbyt dobrego pracownika, a skutecznego intryganta, to akurat wiem od Patrycji. Wtedy Krzysz znalazł się na łodzi i zaczął działać. Z wiadomym skutkiem. Gospodyni oczywiście lubiła go, ucieszyła się, że przyszedł do niej, gdy bolała ją głowa. Łatwo było mu sprawdzić, czy nikt nie widzi, że wchodzi, wychodzi. Wizyta trwała króciutko. Parę minut po dziesiątej wszyscy byli w pokojach albo na zewnątrz. Szybko pobiegł na bagna żeby, broń Boże, nie mieć alibi. I prawie mu się wszystko udało. Gdyby wczoraj Wojtek został w lesie, jego ucieczka byłaby automatycznie przyznaniem się. Sprawa zamknięta, jest jedyny spadkobierca i koniec. Dlatego życzliwie poinformował go o zagrożeniu i namówił do ucieczki. Ale zdążyliśmy na czas - przeciągnął się zadowolony.

- Mało brakowało - westchnęła Marta.

- Teraz trzeba jeszcze byłego Wyrodka odwieźć do lekarza, żeby go wyremontować do końca. Wstawaj, jedziemy, nie ma na co czekać.

Marta pokręciła głową.

- Ja nie jadę.

- O rany, dlaczego?

- A po co?

- A po co poszłaś wczoraj?

- Wczoraj to co innego. Dzisiaj jest prosta sprawa. Zawieziesz go i przywieziesz.

- Nie przyszło ci do głowy, że będzie mu przyjemniej z tobą niż bez ciebie?

Wzruszyła ramionami.

- Boli mnie głowa - oznajmiła twardo. Skrzywił się, jakby przelykał coś kwaśnego.

- Dobrze, wygrałaś. Nie jestem taki głupi, żeby po trzech małżeństwach nie wiedzieć, że dyskusja z takim argumentem to niepotrzebne narażanie życia.

Zlustrował ją z góry do dołu.

- Pogadaj z tym twoim bólem głowy i wyproś go uprzejmie, bo zamierzamy niedługo wrócić.

Dobrze, pogada. Trzeba przemyśleć, co dalej. Pojedzie do Poznania, tam będzie się starać postępować tak, żeby nie mieć sobie nic do zarzucenia. Potem od razu zabiera się do roboty. Ma całkiem niezły pomysł na artykuł, trzeba go tylko szybko zacząć i skończyć.

Weźmie też wykład, o który proszono ją po sąsiedzku. Nowy temat, nowi ludzie, będzie o czym myśleć. Na pewno uda się jej zapomnieć. Jakim prawem miałyby się dręczyć wspomnieniami? Myśleniem o tym, czego nie może mieć? Przyjaźń to mur nie do przeskoczenia. Załatwia odmownie wszystko w sposób szlachetny i elegancki.

- Nie ma. Koniec. Nic nie było - powtórzyła głośno. - To mnie nie dotyczy. Zaczynam wszystko od nowa.

Rozdział 20

Zmęczona wsunęła się pod koc. Zmęczenie dało znać o sobie, bo dopiero gdy usłyszała głosy na podwórzu, zorientowała się, że zasnęła i to na dłużej, niż się mogła spodziewać. Chyba wrócili Wolscy z Pomyślewa, z zewnątrz dochodziły odgłosy rozmowy, do tego cichy, zaraźliwy śmiech Janka.

Stanęła przy oknie. Patrycja i jej mama pojechały do miasta z Wolskimi, ale wróciły z Drzygłodem i Reisingiem. Spojrzała na zegarek. Miało być szybko! Dobrze, że przespała cały ten czas. Przetarła oczy i jeszcze raz spojrzała na zewnątrz. Drzygłód nieznacznie utykając, pochylał się w stronę Patrycji, która wpatrzona w niego jak w ekran telewizora mówiła coś niezwykle interesującego.

Marta cofnęła się, bo Janek idący za nimi spacerkiem z rękami w kieszeniach spojrzał wyraźnie w jej okno. Jedno, na co nie może sobie teraz pozwolić, to źle wyglądać. Boski wygląd nie leży teraz w granicach jej możliwości, ale po przespaniu się powinno być akceptowalnie. Obmyła twarz zimną wodą i przeczesała włosy.

Próba uśmiechu. Fatalnie. Jeszcze raz. No, na trzy z plusem. Najwyższy czas, bo ktoś idzie po schodach i może tutaj trafić. Nie myliła się. Reising już pakował się w drzwi.

- Wypoczęłaś? - Sam nie sprawiał takiego wrażenia. - Mamy sukces. Chirurg powiedział, że wszystko goi się świetnie. Kazał mu przysiąc, że będzie się zachowywał spokojnie. Wychodząc, natknęliśmy się na panie, i przyjechaliśmy razem, Szanowna mama nie może się już połapać, czy mnie nienawidzi, czy wielbi. Wszystko jej się pomieszało.

Marta była przekonana, że Patrycji się nie pomieszało, on zaś mówił dalej:

- Jeszcze musiałem strząsać z siebie Antoniowa z wyrzutami sumienia. Tak, tak, nawet mnie przepraszała. Myślała, że ją szpieguję w związku ze zdjęciem. Nie wiem, co by mi z tego przyszło, jak mógłbym ją szantażować. Może miałem nastawać na jej cnotę w związku z utrzymaniem tajemnicy.

- Mój Boże, jakiej tajemnicy?

- O, przepraszam, zapomniałem z tego wszystkiego, że nie wiesz. Pamiętasz, jak się pienila o to śliczne zdjęcie przy pomniku? I problem, czy pochodzi z odsłonięcia czy później?

- Jasne, że pamiętam. Chodziło o autora, który sobie coś zrobił. W łeb sobie palnął?

- Utopił się. Nieważne, ale wtedy jeszcze z nimi tam stał. Gdyby zdjęcie było z sierpnia, jak ona twierdzi, to mógłby tylko straszyć, a duchy na kliszy nie wychodzą. Teraz pytanie, dlaczego upierała się przy nieprawdzie.

- Może dla zasady.

- Jeżeli kobieta kręci coś z datami, to znaczy, że chodzi o dziecko. Czyli o pannę Oleńkę. Gdyby Antoniowa ją rzeczywiście urodziła, musiałaby na tym zdjęciu zupełnie inaczej wyglądać miesiąc przed rozwiązaniem.

- No wiesz! - Oczy Marty zrobiły się okrągłe.

- Oleńka nie jest córką Antoniowej, tylko tamtego starszego faceta, jej męża. Nieślubną z kimś tam. Wydali ją gospodarze za swojego znajomego. Opowiedziała mi to wszystko. Tłumaczyli, że będzie miała zabezpieczenie. Miała na odwrót. Picie i bicie. Pił chyba rzeczywiście za dużo, bo szczęśliwie owdowiała po kilku latach. Zostawił jej długi i Oleńkę. Ona ją kocha, ale pewnie tak samo byłoby jej bliskie dziecko ubóstwianej Alicji.

- Niesamowite. Nieszczęśliwa kobieta. Ile w niej musi być złości do świata, a najbardziej do kochanych chlebodawców.

- I jest. Z zemsty straszyla swoją szefową, a chroniąc Wojtka, nie cofała się przed niczym. Najpierw wrobić Trzeciaka, bo wstrętny. Skądinąd słusznie, bo nawet symulował zgubienie dowodu, żeby na wszelki wypadek móc udawać kawalera. Mnie z kolei nienawidziła z twojego powodu, a potem jeszcze, gdy zorientowała się, że wiem więcej o zdjęciu, sama wykonała włamanie do biblioteki. Oczywiście ja miałem być podejrzanym. Co szkodzi, prawda? Przecież naprawdę nic takiego nie powiedziała. Ale na wszelki wypadek, ponieważ kochającym serduszkim wyczuła, kto buszował po moim pokoju, porzucony klucz natychmiast podłożyła do biblioteki. Miało nie być wątpliwości, że sam go zgubiłem, albo raczej cały czas nosiłem w kieszeni, albo już nie wiem co. Ona sama pewnie też już nie wiedziała, co na mnie powiedzieć, żeby nie wyglądał na zboczeńca i gangstera jednocześnie. Teraz sobie trochę rozpacza. Idziemy na dół?

Marta szła po schodach, powtarzając sobie, że wszystko jest do wytrzymania. W szczególności widok życia towarzyskiego, które na szczęście z konieczności będzie już krótkie.

Z salonu było słycać jakieś deklaracje Wolskich o pakowaniu się. Przy okazji usiłowano oglądać telewizję, ale raczej nikt nie wiedział, co dzieje się na ekranie. Zdecydowanie bardziej interesowano się Drzygłodem.

Trzeciak usiłował uszczęśliwić go bardzo ważnymi wiadomościami o najbliższym terenie, nie miał jednak szans wobec Patrycji, która z przejęciem pokazywała mu coś zapisanego w słupku w zeszycie. Czyżby wiersze? Słuchał jej uważnie, tym chętniej pewnie, że kosmyki blond włosów muskały go od czasu do czasu, a spojrzenie niebieskich oczu wyrażało autentyczną ufność i sympatię.

Reising pociągnął Martę do jadalni.

- Mało nas za tym stołem - stwierdził smętnie.

- I będzie jeszcze mniej - za nimi wsunął się Wolski - bo pan Drzygłód dostał właśnie telefon z Pomyślewa, który jak znam życie, zajmie mu trochę czasu.

- Nie może go spławić? Obiad to obiad.

- Nie tym razem - wtrącił leśniczy. - To pan mecenas, a on lubi mówić.

Reising wzruszył ramionami i chyba słusznie, bo po dłuższym, ale nie zbyt długim czasie Drzygłód pożegnał się i odłożył słuchawkę. Już był w drzwiach, gdy Oleńka zawołała go znowu. Teraz nadleśnictwo.

- Za chwilę będziemy mieć na linii księdza proboszcza, bo już przedtem dzwonił - stwierdził leśniczy, delektując się zupą pomidorową, którą Marta uznała za bardziej odrażającą niż zwykle.

Godziszewska poprawiła kołnierzyk przy bluzce Patrycji.

- Jeśli nie chcesz, kochanie, zupki, to drugie na pewno będzie smaczne.

Drugie wjechało na stół. Pieczeń wieprzowa. Okropny wygląd i zapach. Jak najdalej od tego! Marta bąknęła coś o bólu głowy i uważając, żeby sprawnie ominąć telefon, szybko wymknęła się na zewnątrz.

Nie, nie ma ochoty na spacer. Przysiadła w głębi podwórka pod lasem na leżącym pniu. Spokojnie. Pomyśli o kolorze nieba, zapachu sosen. Tylko to jest prawdziwe i tylko to się liczy.

Leniwie robiła zygzaki patykiem po mchu. W końcu zajęła się ustawianiem wieży z szyszek i szło jej nieźle, gdy jakiś cień zasłonił nagle światło słoneczne.

Zabawne, tak jak na początku spotyka się tutaj z Jankiem Reisingiem. Tylko teraz wszystko jest znacznie bardziej nieznośne. Może lepiej nie słuchać, co on ma do powiedzenia.

- No i tak, jak przepowiedziano, był telefon z plebanii. Nie chciałem czekać na następny, bo mogłoby to być jakieś UFO albo Nessie z jeziora.

Wyciągnął się, prostując nogi.

- Antoniowa na przemian płacze, cieszy się i modli, Wolscy pakują torby, Godziszewska króluje, Trzeciak z rozpaczą, że musi się dobrze prowadzić, wyciągnął całkiem nową książeczkę o Puszczy Piskiej i już prawie czyta ją na głos. Minie trochę czasu, zanim wszystko wróci do normy. Chociaż taka to i norma. Żadne życie bez Wyrodka.

Uśmiechnął się do Marty, ale widząc jej brak entuzjazmu, mówił dalej:

- Jednakże niektórzy są zadowoleni. Wojtek, kiedy przyszedł do siebie, od razu zaproponował Wolskiemu pracę. Tak, on jest bezrobotny. To niestety normalne u nas po powrocie z zagranicy. Beata prosiła o to wcześniej pana redaktora, oczywiście w tajemnicy przed mężem, ale odmówił mimo jej płaczu. Dopiero teraz widzimy, w jakim musiał być stanie. - Pokręcił głową. - Oni aż nie mogą uwierzyć, jak się zmienił, stając się sobą.

Nie odpowiedziała. Od strony miasta nadjechała furgonetka i zatrzymała się przed domem. Reising podrapał się po głowie.

- Prawda, mieli przyjechać. Udało im się namówić pana dziedzica do obejrzenia podtopionych gospodarstw z drugiej strony jeziora. Piękny początek akcji charytatywnej, ale może by się pooszczędzał choćby do jutra, jeśli ma być w miarę szybko sprawny.

Drzygłód rzeczywiście poruszał się niepokojąco dobrze, tak że z łatwością i elegancją pomagał wsiąść Patrycji - z pewnością niezbędnej na tę wyprawę. Musiał przy tym powiedzieć coś bardzo zabawnego, bo roześmiała się szczerze i bezpretensjonalnie.

- Mam nadzieję, że nie zajmie im to całego dnia - mruknął Janek, patrząc za odjeżdżającymi.

- Czemu nie? Na miejscu może ich spotkać mnóstwo niespodzianek. Taka powódź, choćby niewielka, to nie żarty.

- Właśnie, nie żarty - stwierdził zamyślony i przez chwilę panowała cisza. Nagle objął ją i mocno przytulił.

- Przejdziemy się po lesie? Mam straszną ochotę pogadać. Egoistycznie, o sobie. Wytrzymasz?

Było ciepło, spokojnie, bez wiatru. Marta najpierw wyłączona, starała się tylko sprawiać wrażenie słuchającej, potem zdziwiło ją, że nie traci ani słowa. Wbrew deklaracjom Janek mówił nie o sobie, a raczej o swojej pracy. Nie przypuszczała, że to, co oboje robią, jest takie podobne i podobnie reagują na niepowodzenia, które przecież muszą się zdarzać.

Różnią się podejściem do życia rodzinnego, choć ostatecznie są na tym samym etapie i chyba zawsze chcieli tego samego, tylko że on uporczywie i desperacko próbuje, a ona po prostu nie chce ryzykować.

- Teraz na serio myślę o tym happeningu. Nigdy przedtem nie widziałem bagna, nie wiedziałem, że jest takie piękne. I na zawsze scaliło mi się w pamięci z bajecznymi przygodami tutaj. To właśnie chcę zachować. Nadać mu kształt.

Tu też się chwilowo różnią. Ona pragnie jak najszybciej zapomnieć. Uda się jej to. Wprawdzie nie będzie już taka jak przedtem, ale nie słabsza. Raczej silniejsza. Na to musi umówić się ze sobą.

- Mieliliśmy szczęście - ciągnął - to, co widzieliśmy, czuliśmy, wzbogaca i odnawia. Sprawia, że czuje się ziemię pod stopami, a niebo nad sobą.

Zapomniał, że chyba jednak przeżyli niezupełnie to samo.

- Użyczysz mi trochę czasu na pozowanie? - spytał nagle. - Bardzo cię proszę. Może uda mi się coś świętego. To znaczy z rzeźby sakralnej.

- Wszystko jedno, co wyjdzie. Masz załatwione.

Bardzo dobrze. Cokolwiek nowego ją zajmie, jest dobre. Widok Reisinga innego niż dotychczas, przy pracy, zatrze w pamięci wspomnienia stąd.

Zawrócili w stronę domu. Marta zaczęła w myśli planować dobry moment na wyjazd. Najlepiej jak najszybciej. Żeby jej dali spokój, trzeba to wykonać inteligentnie, bez ostentacji. Teraz Janek nie zapyta, ale odwiezie ją do miasta, kiedy będzie chciała.

Rzeczywiście, o nic nie pytał. Powoli zbliżali się do domu. Przed schodami Wolscy układali torby w bagażniku.

- Dziś Wiadomości oglądamy w domu - uśmiechnęła się pani Beata.

Antoniowa ze skrzyżowanymi na piersi ramionami przyglądała się im obojętnie, ale po zacięciu ust znać było, że nie myśli nic dobrego.

- Martwi się pani, że goście wyjeżdżają? - zagadnął rzeźbiarz.

- Nie, panie Janku - powiedziała cicho, a Marta aż wzdrygnęła się zdumiona jej łagodnym tonem. - Nie, wcale nie.

- Czym innym? - spytał. - Nie warto, zapewniam panią - uśmiechnął się, ale bez większego skutku. Twarz kobiety pozostała zgnębiona.

W korytarzu chyba oboje z Martą odczuli, jak wiele się zmieniło. W domu zrobiło się pusto. Tylko na dole rządziła Godziszewska.

- Napiją się państwo kawy czy herbaty? - spytała z powagą.

Reising obdarzył ją teatralnie zdumionym spojrzeniem.

- Najeła się pani do roboty za Antoniowa? - zapytał grzecznie.

- Ależ skądże. - Nie obrażała się. - Może będę musiała przyzwyczać się do roli sekretarki albo poprowadzić drugi dom. - Westchnęła, ukradkiem ocierając łzę. Marta usiadła za stołem zdumiona. - Nie wiem już sama, jestem oczywiście szczęśliwa, ale jakoś jednak smutno w takich chwilach. Powiem już, nie ma sensu ukrywać. Tak sobie myślałam, że Patrycja znajdzie pracę sekretarki u pana Drzygłoda, studia mogłyby poczekać. A tu stało się całkiem co innego. Wywiązało się między nimi takie porozumienie... Tylko do mnie nic nie docierało, gdzie ja oczy miałam! I rozumiecie państwo, mimo różnicy wieku, która w tym wypadku nie jest wcale drastyczna... W sytuacji, w której pan Drzygłód obecnie się znalazł, po takich przejściach odczuwa potrzebę stabilizacji i kobiety, która mogłaby mu ją stworzyć. Tak, że sami widzicie... - zawiesiła głos, sięgając po chusteczkę.

- Jasne. - Reising z rękami w kieszeniach stał przed nią, słuchając bardzo uważnie. - Zaręczyny były? - spytał rzeczowo.

Uśmiechnęła się z wyższością.

- Takie sprawy wymagają chyba większej ceremonii, prawda?

- Nie wiem, szanowna pani. W tym akurat nie mam doświadczenia. Obywałem się do tej pory bez ceremonii - stwierdził niespodziewanie oschle, ciągnąc Martę za rękaw. - Chodźmy stąd, póki jesteśmy względnie zdrowi.

Bez protestu poszła, dając się trzymać za rękę.

- Chyba się starzeję - stwierdził Reising - nerwy mi wysiadają. Chciałem udusić tę damę. Co robimy? - dodał już pogodniej.

- Ja się pakuję - odpowiedziała szybko.

- Żartujesz. Już chcesz jechać?

- Już. Gdybym mogła, to jeszcze dzisiaj.

- Nie ma problemu. - Spokojny, zdecydowany podziałał na nią naprawdę kojąco. - Jeśli chcesz, pojedziemy po kolacji. Późny film w telewizji obejrzysz sobie już w domu.

Westchnęła.

- Wiesz, że słabo stoję z telewizją.

- Dobrze. Przed kolacją - dodał bez związku, ale trafnie. - Powiedz, kiedy będziesz gotowa - zamachał ręką i zniknął u siebie.

Nawet na chwilę nie usiadła, żeby się zastanowić. Nie ma na co czekać. Z rozmachem ustawiła na krześle torbę i zaczęła do niej przeladowywać zawartość szafy. Żadnego układania, tylko wrzucać i ugniatać. W tym trybie po kilku zdecydowanych czynnościach interwencyjnych zamek został dopięty. Teraz wszystkie drobiazgi do bocznych kieszeni i już. Gotowe. Zastuka do Janka, wsiadają do samochodu i nie ma ich. Nie ma tego wszystkiego. Bajki o Wyrodku, morderstw, szczęśliwego zakończenia i przygód w lesie. Życie toczy się od nowa.

Za dwie godziny z kawałkiem będzie u siebie. Nawet rzeczywiście może włączyć telewizor i obejrzy jakiś film. Jakikolwiek. Zanim pojedzie do Poznania, zrobi sobie parę dni odpoczynku. Od wszystkiego. A teraz szkoda czasu.

Jeszcze raz rozejrzała się po pokoju, stwierdzając, że nic w nim nie zostało, gdy usłyszała pukanie do drzwi. Inne niż Reisinga. Mogliby na koniec dać spokój, nie ma czasu.

Myślała, że to nie rzeczywistość, tylko dokuczliwy wytwór jej wyobraźni, gdy w drzwiach zobaczyła Wojciecha Drzygłoda. Wyglądał inaczej niż ostatnio. Spokój, zrelaksowanie zniknęły. Był blady i chyba bardzo spięty. Spojrzała pytająco, ale nie usłyszała ani słowa. Patrząc w jego wyraziste oczy, nie mogła nawet drgnąć.

Coś się musiało stać. Niewielki kłopot nie skłoniłby go do przyjścia tutaj. Dobrze, jako wypróbowana przyjaciółka, zrobi wszystko, żeby pomóc.

Stali bez słowa, oddaleni prawie o szerokość pokoju, nieruchomo, jak wmurowani.

- Chciałem cię o coś prosić - ledwie usłyszała.

- Ależ oczywiście, usiądź. - Cudem dopisała jej sztuka wyuczony grzeczności.

Nie ruszył się z miejsca, tylko zacisnął palce na oparciu krzesła. To, co miał powiedzieć, nie chciało przejść mu przez gardło. Że też nie zdążyła w porę wyjechać. Ale to już ostatnie chwile, ostatni wysiłek. O Boże, niech się to wreszcie skończy!

- Chciałem cię prosić o pozwolenie na bycie - powiedział stłumionym głosem.

Ponieważ nie zrozumiała, nie zareagowała. Stał się chyba szary na twarzy. Ale widziała tylko jego oczy.

- O pozwolenie na bycie. Chociaż odjeżdżasz. Na bycie przy tobie. Nie proszę o nic więcej, wiem, że nie mogę. Nie łudzę się, że nagle stanę się dla ciebie kimś takim, jak ty dla mnie. Pragnę tylko być przy tobie, służyć ci we wszystkim, być na każde zawołanie. Może z czasem - zawahał się - kiedyś przyzwyczaisz się do mnie i do tego, że cię kocham. Od pierwszej chwili, gdy cię zobaczyłem w tym domu. Wśród tych ludzi. Piękną i dobrą jak anioł.

„Piękną i dobrą”, „kocham”, te słowa docierały do niej jakby z oddali. Niemożliwe, a jednak prawdziwe i zrozumiałe.

To ona pociągnęła go za sobą. Tam, gdzie niedawno obserwowała sufit, teraz utonęła w jego ramionach, ich ciała połączyły się. Wszystko zniknęło, a ona czuła tylko szczęście.

Gdy się ocknęła, świat był zupełnie nowy. Wiedziała, że teraz zawsze będzie tak pełen barw, zawsze będą razem.

- Chciałem cię o coś zapytać, tylko nie zdążyłem.

- Jego twarz była rozświetlona delikatnym uśmiechem.

- Czy wyjdiesz za mnie?

- Oczywiście - odpowiedziała automatycznie.

- Nie tak miały wyglądać moje oświadczenia - zmartwił się.

- Widzisz? Można zrobić coś nie tak jak trzeba i też jest dobrze. -

Ich usta złączyły się.

- Dlaczego chciałaś wyjechać?

- Myślałam, że Patrycja...

- Myślałem, że chcesz być moją dobrą koleżanką i niczym więcej. I właściwie, że wybrałaś Janka. On wiedział o wszystkim, ale przysiągł, że mnie nie zdradzi.

- No i rzeczywiście nie zdradził.

- Powiedział mi o twoim pakowaniu. Dobrze wiedział, że tak tego nie zostawię.

- Teraz jasne, dlaczego tak łatwo zgodził się mnie odwiedzić. Rozumiał, że to i tak tylko teoria.

- Gdybyś jakimś cudem wyjechała, też bym cię znalazł i nie dał spokoju.

Długo jeszcze nie wychodzili z pokoju. W drzwiach znaleźli kartkę.

Do zobaczenia w Warszawie. Chyba pójdę za Waszym przykładem. Najwyższy czas się ożenić. Mam już na to pomysł. Nie zapominajcie o Gorcach.

Janek